

# DIABŁO

NAWAŁNICA ŚWIAŁŁA



NATE KENYON



# NAWAŁNICA ŚWIAŁA

**NATE KENYON**

PRZEKŁAD

PRZEMYSŁAW BIELIŃSKI

POWIEŚĆ OPARTA NA MOTYWACH  
BESTSELLEROWEJ GRY FIRMY  
BLIZZARD ENTERTAINMENT

 **Insignis**



# SPIS TREŚCI

PROLOG

CZEŚĆ PIERWSZA

SKRADAJĄCA SIĘ CIEMNOŚĆ

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4.

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7.

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9.

ROZDZIAŁ 10

CZEŚĆ DRUGA

DROGA DO ZACHODNIEJ MARCHII

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14.

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17.

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

CZEŚĆ TRZECIA

TRYUMF NEFALEMÓW

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

ROZDZIAŁ 42

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

## O AUTORZE



*Dedykuję tę książkę Ellie Rose za to, że spała  
mocno podczas porannych sesji pisarskich tatusia.*





## PROLOG



### *Królestwo Niebios*

*Od zarania czasu siły ciemności i światła toczyły ze sobą nieustanną wojnę.*

*Kolejne bitwy wybuchały na przestrzeni wieków niczym płomienie strzelające z rozżarzonych węgli. Zawsze, gdy aniołom udało się pokonać ciemność, ta podnosiła się ponownie, silniejsza niż przedtem. A jednak za każdym razem strażnicy światła i władcy Królestwa Niebios twierdzili, że oto odnieśli ostateczne zwycięstwo.*

*W Dniach Ostatnich zaślepiała nas nasza głupia duma. Ukryty w ciele niewinnego dziecka Diabło powstał z popiołów i ruszył przez Sanktuarium, by strzaskać Diamentowe Wrota. I zaprawdę był o krok od zwycięstwa, albowiem Kryształowy Łuk, źródło anielskiej mocy, znalazł się w zasięgu łap Najwyższego Zła.*

*A wtedy na drodze stanął mu rodzaj ludzki.*

*Jeden śmiertelnik powstrzymał zagładę dwóch światów. Wielka odwaga nefalema dodała sił nam wszystkim, jego czyny zmieniły bieg wojny i doprowadziły do upadku Diabło oraz ocalenia Sanktuarium, a także samego Królestwa Niebios.*

*Lecz ciemność nie ustępuje tak łatwo. Po raz kolejny tryumf ogłoszono o wiele za wcześnie. Najwyższe Zło zostało pokonane. Ale istnieją inne siły, które zagrażają światu ludzi.*



Szybujący sokół mógł w nich widzieć pasmo pokrytych srebrem górskich szczytów, wyłaniających się z mgły, olbrzymich ponad ludzkie pojmowanie. Centralny kształt był wyższy niż pozostałe, lśniąca wieża zwieńczona fasetowym łukiem, iskrzącym mocniej niż szlifowane diamenty. Światło Niebios pieściło owe błyszczące powierzchnie, rozpalało je ogniem tak, że całość jaśniała niczym rozłożone skrzydła, iglice sięgały jeszcze dalej w niebo, a połyskliwe kryształy ogrzewały ciemność iskrami blasku.

Srebrne Miasto.

W świecie aniołów, uświadomił sobie niedawno Archanioł Mądrości, nie ma łózek.

Znużony Tyrael podniósł zmęczone oczy pod opuchniętymi powiekami znad pióra leżącego na pergaminie. Ciepło i światło, które obmywały strzelisty łuk i jego podstawę, napełniały życiem otaczającą archanioła olbrzymią, pustą przestrzeń. Nie potrzebował snu, dopóki w jego piersi nie zamieszkała śmiertelna dusza.

Teraz niegasnąca światłość Niebios zaburzała jego nowo pozyskane wewnętrzne rytmy; pragnął złożyć głowę na czymś przytulniejszym niż kamienna podłoga tych komnat. Ale jeszcze nie rozkazał sprowadzić sobie czegoś wygodniejszego. Już odrzucenie skrzydeł dało jego braciom wystarczający powód, by doszukiwali się w nim słabości. Nie zamierzał podsuwać im następnego.

Tyrael zgiął i rozprostował zeszywniałe palce. Dopisywał własne notatki obok niezgrabnego pisma Deckarda, ale dziś wieczorem nie zrobi już nic więcej, mimo niewypowiedzianej obietnicy danej staremu horadrimowi i Lei, że skończy to, co oni zaczęli. Nie mógł się jednak zmusić, by zamknąć oczy. Jeszcze nie. Poza słabością własnego, śmiertelnego ciała musiał mieć na względzie wiele innych kwestii. Na przykład narastający konflikt z Imperium i Radą. Rolę, jaką odgrywali ludzie w kierowaniu swym przeznaczeniem. Los samego Sanktuarium.

Przede wszystkim zaś - co zrobić z tym, co przebywało między nimi, pozornie milczące i nieruchome, choć jego macki rozpełzały się po świętej ziemi niczym strużki smoły.

Archanioł porzucił odosobnienie swej kwatery i ruszył przez puste sale i korytarze otaczające Komnaty Sprawiedliwości i Krąg Sądu. Jego kroki odbijały się echem od niekończących się płaszczyzn wypolerowanego kamienia. Śmiertelne zmysły Tyraela z trudem przyswajały otoczenie. Mieszkał tu od niezliczonych tysiącleci, a jednak wszystko wydawało mu się teraz inne. Każda sala prowadziła do następnej, okazalszej i bardziej oszałamiającej wielkością; wysoko w górze zamykały się strzeliste łuki i misterne, żebrowe sklepienia; rzędy kolumn zdawały się ciągnąć w nieskończoność; niezliczone kryształowe fasetki obracały się i zmieniały barwy, ciskając w przestrzeń przypadkowe smugi światła.

W obecności aniołów ich pieśń rozbrzmiewała wraz z Pieśnią Łuku w idealnej harmonii światła i dźwięku. Ale siedziba Sprawiedliwości była teraz pusta, jej przestronne sale, ławy i siedziska - opustoszałe i zimne, a muzyka Niebios rozbrzmiewała tu słabo i nieśmiało.

Archanioł poczuł dziwny ból w piersi, tęsknotę za tym, co minione. Choć anioły wciąż przychodziły tu ze swoimi skargami, dawny dom Tyraela od

czasu jego przemiany najczęściej pozostawał pusty. Luminarei, Obrońcy Łuku, przenieśli się do Imperiusa, do Komnat Odwagi.

„Powiniennem stąd odejść”, pomyślał. „To echo mojego dawnego ja, które nigdy nie wróci”. A jednak nie potrafił. Od czasu zniknięcia Maltaela domena Mądrości również ucichła, ucierpiała też Rada Angiris. Tyrael zamierzał przejąć jego obowiązki, pełnić rolę głosu rozsądku podczas podejmowania przez Radę najtrudniejszych decyzji. Ale studnie w tej dziedzinie zdawały mu się obce, niepokojące, archanioł nie śmiał posłuchać wezwania Chalad’ara nawołującego go pieśnią. Legendarny Kielich wymagał umiejętności, których posiadania Tyrael nie był już pewien.

Zabolały go plecy, zakłuło w kolanie. Jego ciało zaczynało szwankować; będzie marnieć powoli, aż spocznie w grobie, który czeka wszystkich śmiertelników. W głębi serca Tyrael wiedział, że wybrał słusznie. „A mimo to wciąż w siebie wątpisz”, dodał w myślach.

Co oznaczała taka słabość dla archanioła? Jak miał dawać odpór ciemności, kiedy jego nowe ciało było tak podatne na atak? Czy byłby lepiej przygotowany na czekające go przeciwności, gdyby nie podjął tamtej decyzji?

Z Komnat Sprawiedliwości wyszedł do atrium, sklepionego wysoko nad jego głową. Za następnym łukiem ujrzał przed sobą platformę z kryształu i kamienia zdobionego w misterne faliste wzory. Sala Rady Angiris. Stał przed tronami, z których przemawiały archanioły, gdy przedstawiały swoje stanowisko. Komnata była pusta, światło wpadające przez strzeliste okna dziwnie tu nieobecne.

Czarny Kamień Dusz spoczywał na swoim postumencie, jakby czekał na przybycie Tyraela.

Ostre płaszczyzny i dzioby sięgały w górę z jego podstawy niczym poczerniałe szpony. Był niewiele większy od ludzkiej głowy. Jak coś tak

małego mogło skrywać w sobie tak straszliwą ciemność?

Tyrael zbliżył się powoli, zarazem zafascynowany i odpychany mocą Kamienia. Poczł dreszcz, jakiego dotąd nie doświadczył, ostrzeżenie wysłane przez śmiertelną powłokę. Krwawy blask bijący z Czarnego Kamienia Dusz zgasł, kiedy Diabło został pokonany, a sam Kamień przeniesiono z niższego świata do Niebios. Ale kiedy archanioł podszedł bliżej, zdało mu się, że dostrzega w jego wnętrzu ledwie dostrzegalne lśnienie.

– Stać!

Pospiesznie cofnął wyciągniętą w stronę Kamienia rękę i odwrócił się w kierunku, z którego nadszedł głos.

Balzael stał w sklepionym wejściu do komnaty, jego imponującą sylwetkę częściowo skrywał cień. Wojownik Luminarei, prawa ręka Imperiusa. Balzael wyszedł na platformę i rozłożył wspaniałe skrzydła; wstęgi światła wystrzeliły ku sklepieniu. Nosił złotą zbroję z symbolem swojej rangi na napierśniku.

– Co Mądrość robi tu sam?

Tyraelowi tylko się zdawało, czy jego nowy tytuł został wypowiedziany z nutą kpiny?

– Nie przepytuj mnie, Balzaelu. Chodzę, gdzie chcę. Imperius cię przysłał, żebyś mnie szpiegował?

– Strzegę Kamienia - odparł Balzael. - To zadanie, które mi przydzielono, ważniejsze niż wszystko inne.

– Ale Archanioł Odwagi wydał ci także inne rozkazy, prawda? Nie ufa swojemu bratu?

– Śmiertelną duszę nietrudno zdeprawować.

Serce Tyraela zabiło szybciej na tę bezczelność. Sugestia wojownika była jasna - Balzael posiada skrzydła, Tyrael nie, a więc jest gorszy.

– A duma aniołów czyni ich ślepyi na przeznaczenie - odparł archanioł.  
- Jeszcze niedawno ci rozkazywałem, tak szybko o tym zapomniałeś?

Zamiast się cofnąć, Balzael podszedł bliżej.

– Zapamiętałem twoje nauki na tyle dobrze, by wiedzieć, kiedy należy zachować czujność.

Jego dłoń przesunęła się ku mieczowi, tak nieznacznie, że niemal niedostrzegalnie. Ale przekaz był jasny. Jawne wyzwanie sprawiło, że Tyraela zalała fala gniewu; też dał krok w przód i wyprostował się dumnie. Palce świerzbily go, by sięgnąć po wiszącego u boku El'druina. Pamiętał jednak o swoich ograniczeniach. Choć wprawiony w bojach, Tyrael nie dysponował już siłą nieśmiertelnego.

Przez chwilę zdawało mu się, że Balzael dobędzie broni. A potem w wejściu do komnaty objawiła się światłość. Ujrzeni przed sobą Archanioł Nadziei, która weszła do środka i w jednej chwili oceniła sytuację.

– Odejdź - powiedziała do Balzaela. - Wkrótce będziemy obradować.

– Nie powiadomiono mnie o...

– Rada Angiris nie ma obowiązku o niczym cię powiadamiać - odparła Auriel. Spowijająca ją światłość zmieniła się nieznacznie, pulsując niczym bicie serca. Auriel rzadko przemawiała tak zdawkowo, tym bardziej było to uderzające. - Ja przypilnuję Kamienia. A teraz idź.

Balzael zawahał się, po czym lekko skłonił.

– Jak sobie życzysz.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł przez łuk. Jego blask rozpląnął się w ciemności.

Auriel i Tyrael zostali sami. Po kilku kolejnych rozbłyskach światła odwróciła się ku niemu.

– Po awansie stał się arogancki.

– Odwaga i arogancja to bliscy kuzyni - odparł Tyrael. - Wykazał się wielkim bohaterstwem w walce z Najwyższym Złem i odesłał do Piekieł więcej demonów niż ktokolwiek inny. Wybór Imperiusa był oczywisty. Ja zrobiłbym to samo.

– Być może. - Poświata Auriel przygasła i nabrała cieplejszego odcienia. Archanioł przyglądała się Tyraelowi. - Pomyślałabym, że przyszedłeś tu na spotkanie, tyle że Rada nie zaplanowała żadnego posiedzenia. Wyglądasz... jakbyś był znużony, bracie. Nie możesz spać?

– Wolałbym w ogóle tego nie potrzebować.

– Ach, ale potrzebujesz. Wyczułam twoje wewnętrzne zmagania. Ściągnęły mnie tu z ogrodów. Balzael... - Auriel machnęła ręką, jakby odpędzając jakąś myśl. - Niebiosa niechętnie wybaczą, nie są też przesadnie wrażliwe. Anioły mogą nie pochwalać tego, co zrobiłeś, Tyraelu, ale to nie oznacza, że twój wybór był niewłaściwy.

Auriel zdjęła Al'maiesha, Powróż Nadziei, i wyciągnęła go ku Tyraelowi. Była ucieleśnieniem światła, odziana w powłóczyste szaty i zbroję z palczastymi rękawicami. Kiedy przewiesiła mu powróż przed ramię, poczuł rozchodzące się po jego śmiertelnym ciele ciepło, spokój i dobre samopoczucie.

Sznur się zacisnął, a czas przestał istnieć. Potem Auriel się cofnęła i ciepło zniknęło.

– Jesteś zatroskany - powiedziała po chwili. - Martwisz się o mnie?

– Nigdy - zapewnił Tyrael.

Z całych sił starał się pozostać niewzruszony, jak przystało na archanioła. Nie mógł powiedzieć jej prawdy. Co noc, kiedy zasypiał, śnił tak, jak śnią śmiertelnicy: nie były to wizje aniołów, lecz coś zmiennego i o wiele barwniejszego. Trafiał w tych snach do miejsc, których nigdy wcześniej nie odwiedził. Z początku były to sny radosne, pełne wspomnień o Królestwie



Niebios i jego własnej nieśmiertelnej egzystencji. Ale potem, z każdą kolejną nocą, zaczęły się zmieniać; jasne światło i muzyka śnionych krajobrazów stawały się coraz bardziej mroczne i złowrogie. Śnił, że goni go coś, przed czym nie może uciec, cień nieustępliwy i zimny jak lód, ściskający go mrozem, aż Tyraelowi przestawało bić serce. Śnił o ludzkich miastach zmiotanych z powierzchni ziemi, o krzykach umierających, których śmiertelne ciała były rozrywane na strzępy, o walących się gmachach, o ziemi pękającej i obracającej się w pył.

Auriel nie mogła zrozumieć tych snów. Tyrael był śmiertelnikiem, dzieląca ich przepaść - zbyt wielka. A mimo to owe śmiertelne słabości doprowadziły go do wniosków niedostępnych dla reszty Rady Angiris. Duma archaniołów sprawiała, że nie były w stanie wyczuć grożącego im niebezpieczeństwa.

Auriel zwinęła Al'maiesh u boku; wstęga światła na powrót stała się jej częścią.

– Jesteś Mądrością - zagaiła - a mimo to nie przebywasz między studniami. Nie pogodziłeś się jeszcze ze swoją rolą. Twoja rada może nam pomóc we władaniu Królestwem Niebios, jeśli tylko przestaniesz się przed tym wzbraniać.

– I jeśli Rada zechce mnie posłuchać.

– Pozostali wyczuwają twoje rozterki - wyjaśniła Auriel. - Nie rozumieją, czemu odrzuciłeś skrzydła. Jeśli jasno pokażesz, po czyjej stoisz stronie...

– A co z przymierzem, które przysiągłem zbudować między aniołami a ludźmi? Wiele wieków temu nasze głosy ocaliły Sanktuarium przed zniszczeniem. Ludzie mają wiele do zaoferowania. Gdyby nie nefalemowie, Najwyższe Zło zniszczyłoby Łuk, a Niebiosy by upadły.

– Ale też bez ludzi to nigdy by nie powstało - powiedziała Auriel, wskazując Kamień na postumencie. - Rada będzie o tym rozmawiać,

Tyraelu. Tam powinno się toczyć takie dyskusje.

– Dyskusja niczego nie zmieni. Imperius nie da się przekonać. Uważam, że Iterael zagłosuje przeciwko przetrwaniu Sanktuarium. Nie taką przyszłość sobie wyobrażałem, siostrzo. Anioły i ludzie wspólnymi siłami mogą odeprzeć ciemność na zawsze.

Auriel odwróciła się, jakby chcąc odejść, ale Tyrael zastąpił jej drogę.

– Decyzja należy do nas. Czy staniesz przy mnie tak jak kiedyś?

Rada zabraniała rozmawiać o takich sprawach wprost poza formalnymi posiedzeniami; Auriel nie odpowiedziała. Tyrael wyczuł w niej chłód i sztywność, których nie pamiętał. Zawsze wspierała sprawę ocalenia ludzkości, więc nie rozumiał jej milczenia.

Bał się jednak, że wie, co ono może oznaczać.

Stali tak przez chwilę bez ruchu. Posunął się za daleko. Zasmucony odsunął się, a Auriel wyminęła go bez słowa. Pozwolił jej odejść. Ucisk w jego piersi wzmógł się jeszcze, kiedy zniknęła w wejściowym łuku. Ich przyjaźń przetrwała tysiąclecia, więc reakcja Auriel zabolęła Tyraela jak setki drobnych cięć. Odczuwał teraz wszystko mocniej, więc nieufność archaniołów raniła go do głębi.

Odwrócił się z powrotem do Czarnego Kamienia Dusz, nieruchomego i bez życia, jakby chcącego zakpić z Tyraela. Mądrość przyjrzał się artefaktowi uważniej. Nie miał wątpliwości - wygląd Kamienia się zmienił. Czy to możliwe, że kryształ spęcał i urósł przez tę chwilę, przez ten czas, gdy Tyrael stał obok?

„Reaguje na moją obecność, tak jak przypuszczałem”. Jeśli tak, to czasu istotnie było coraz mniej. „Ciemność przeniknęła do Niebios w zupełnie nowy sposób. To nie jest szturm Najwyższego Zła na bramy, to coś znacznie subtelniejszego i bardziej podstępного... skradające się zło, które wyczuć mogą tylko ja”.

Mądrość lękał się o przyszłość Królestwa Niebios i Sanktuarium; był przekonany bardziej niż kiedykolwiek dotąd, że wszystkich ich czekają straszne rzeczy.



Ukryty w cieniu pod wejściem do sali obrad Rady Angiris Balzael patrzył, jak Auriel wychodzi. Zaczekał, aż blask jej skrzydeł zgaśnie w oddali. Nie słyszał całej ich rozmowy.

Ale usłyszał dość.

O tej porze w salach panowała cisza; anioły nie sypiały tak jak śmiertelnicy, ale zdarzały się ciche okresy kontemplacji i nauki, kiedy muzyka Niebios łagodniała, a ich mieszkańcy zastygali w bezruchu. Balzael powinien był tak właśnie postąpić. Ale wyznaczono mu ważne zadanie i zamierzał pełnić swoją powinność.

Jak dotąd wszystko toczyło się dokładnie tak, jak przepowiedział Strażnik. Każdy kolejny etap trzeba było przeprowadzić z idealną precyzją, jeśli plan miał się powieść. Póki co Tyraela należało pilnie obserwować, ingerencja Auriel niczego tu nie zmieniała.

Chwilę później z komnaty wyłonił się sam Tyrael. Balzael schował się głębiej w cieniu, osłaniając skrzydła, żeby nie zdradziły jego obecności. Śmiertelne oczy miały wiele wad, ale światło wychwytywały bardzo dobrze. Tyrael oddalił się od sali posiedzeń Rady; jego kroki niosły się echem po korytarzu. Zostawiał za sobą mięsny smród ciała. Balzael z trudem powstrzymał prychnięcie odrazy. Jak legendarny archanioł mógł upaść tak nisko i tak szybko, tego nie pojmował. Ale jeszcze trochę i ten smród zostanie unicestwiony raz na zawsze.

Balzael zaczekał, aż kroki Tyraela ucichną w oddali, i poszedł za nim, starannie okrywając swój blask. Później opowie o wszystkim Strażnikowi i otrzyma wskazówki co do dalszego postępowania. Tyrael o tym nie wiedział, ale miał odegrać kluczową rolę w czymś, co było sprawą życia i śmierci dla aniołów i ludzi, końcem Wiecznego Konfliktu, wojny Niebios i Piekieł.

Najważniejsze to nie pozwolić, by powstrzymał ciemność, która zaczęła się rozpełzać po domenie aniołów.

Przyszłość Niebios zawisała na włosku.



# CZEŚĆ PIERWSZA



SKRADAJĄCA SIĘ CIEMNOŚĆ



## ROZDZIAŁ 1



### *„Pod Wędrowcem”, Kaldeum*

– Wejście do grobowca było ciemne niczym paszcza wydmowego rekina - opowiadał grubas przyciszonym głosem, pochylony do przodu, jakby zdradzał jakiś straszliwy sekret. - Blask pochodni ukazywał tylko kilka stopni przed nami, dalej połykała go ciemność. Bijący z jamy smród zapowiadał rzeczy martwe, które pragnęły pozostać pogrzebane.

Bajarz rozejrzał się w dymie i półmroku po kręgu otaczających go twarzy; każdemu ze słuchaczy zajrzał głęboko w oczy, by odwrócić ich uwagę od jęśliwych tonów liry, dobiegających z drugiego końca sali. Jego kaftan i spodnie mogłyby należeć do szlachcica, ale były znoszone i połatane.

Do zebranych wokół kominka dołączyła kobieta odziana w suknię uszytą z worka na bulwy i rzuciła brzęczącą monetę do leżącej na stole odwróconej czapki ze świńskiej skóry. Kiedy usiadła na stołku, dookoła rozszedł się smród drożdży i kwaśnego mleka.

– Co to ma wspólnego z młodym cesarzem? - wtrącił jakiś mężczyzna. - Mówiłeś, że wyjaśnisz, dlaczego doszło do powstania, a potem do ewakuacji miasta.



– To żadna tajemnica - odparł inny, gdzieś w głębi sali. - Mówią, że to sam Władca Piekieł zesłał deszcz zielonego ognia, ale kapłani Zakarum sprzymierzyli się z radą konsorcjum handlowego i chcą nowego przywództwa. Mówię wam, to oni za tym stoją! Hakan miał szczęście, że przeżył.

– Dajcie człowiekowi powiedzieć - uciszyła ich kobieta w sukni z worka, wskazując na gawędziarza. Wyszczrzyła się w uśmiechu, prezentując czarne dziury w miejscu przednich zębów. - Miasto dość ma kłopotów. Dobra bajęda nam nie zaszkodzi.

Zbudowany jak barbarzyńca karczmarz skrzywił się i wrócił do przecierania kontuaru brudną szmatą. Kręcił głową i mamrotał coś pod nosem.

– To nie bujda, zapewniam was - powiedział szybko bazarz. - Każde słowo to prawda.

Ogień grzał go w plecy. Spomiędzy rzednących włosów po skroni spłynęła mu strużka potu. Skinął głową kobiecie, porośnięte siwą szczecina tłuste policzki drgnęły w przelotnym uśmiechu i zaraz ułożyły się na powrót w grymas przejmującej zgrozy.

– Gdzie to ja byłem? A, tak. To był grobowiec potężnego horadrimskiego maga, zważcie sobie, którym owładnęło najbardziej plugawe zło i który układał się z demonami. Mag dawno już nie żył, ale mój pan w drodze długich badań ustalił, że miejsce jego ostatniego spoczynku jest na pewno nawiedzone i chronione zabójczymi czarami. Wszyscy podejrzewaliśmy, że to, co czeka na nas na dole, nie pochodzi z tego świata i nikt - mężczyzna, kobieta ani młody chłopak, który zaprowadził nas do tego przekłętą miejsca - nie chciał iść pierwszy. A jednak zejść musieliśmy, bo zależało od tego los całego Sanktuarium. Wtedy właśnie z dołu dobiegł nas nieludzki krzyk, jakby ktoś torturował jakieś stworzenie na katowskim łożu i

rozdierał na ćwierci! Tak musiała brzmieć sama śmierć. Strach wyssał siłę z moich kości, ale al-Hazir wyrwał pochodnię czarownikowi i podszedł do schodów. „Żywiej tam - powiedział. - Może i jestem biednym wędrownym skrybą, ale pierwszy oświecę tę czarną jamę demona!”

W miarę jak opisywał zejście do grobowca, gawędziarz podnosił głos. Słuchacze pomrukiwali, szuranie przesuwanych stołków zagłuszało kolejne słowa opowieści, bowiem coraz więcej osób obracało się, żeby jej posłuchać. Kilka monet znów wpadło z brzękiem do czapki; wielu kręciło głowami i śmiało się z tych bzdur, inni uśmiechali się niepewnie. Kaldeum było miastem ogarniętym niepokojami, a historie o czarnej magii i demonach zawsze rozpałały wyobraźnię jego mieszkańców.

Przy stoliku w kącie, jakieś dziesięć stóp dalej, siedział szczupły, jasnowłosa mężczyzna, oplatając dłońmi kubek miodu; tylko lekkie nachylenie głowy zdradzało, że i on słucha. Miał na sobie proste, piaskowej barwy szaty nomady, a wokół pasa czarną szarfę, za którą zatknął pochwę krótkiego miecza. Jego twarz o ostrych rysach ginęła w cieniu. Właściwie niczym się nie wyróżniał. Nie wyglądał na rodowitego mieszkańca Kaldeum, ale gdyby chcieć zgadnąć, skąd może pochodzić, nikt w gospodzie nie umiałby odpowiedzieć. Inni goście zostawiali go w spokoju, jakby wyczuwali, że niechętny jest towarzystwu.

Opowieść bazarza nabierała tempa: zaczął wymachiwać tłustymi rękami tak zamaszyście, że wyglądał, jakby lada chwila miał spaść ze stołka. Opowiadał, jak jego pan, al-Hazir, napotkał olbrzymie, nieludzkie bestie z kamienia oraz piasku i pokonał je sprytem, gdy zawiodły czary i miecze pozostałych poszukiwaczy przygód.

– Horadrimowie wiele wieków temu obcięli Kullowi głowę, żeby nie powstał z umarłych - mówił gawędziarz. - Znaleźliśmy jego szczątki w komnacie rytualnej. Mimo ostrzeżeń mojego pana czarownica zaczęła

rzucać swoje czary. Al-Hazir czytał *Demonicusa*, napisanego przez samego Zoltuna Kulla...

– Och, wynoś mi się stąd! - krzyknął nagle karczmarz. Słuchał bajań grubasa, nie przestając wściekle przecierać podrapanej, wyślizganej powierzchni kontuaru brudną szmatą, i czerwieniał ze złości. - Dość już się nasłuchałem! Wciskaj ludziom swoje bujdy na ulicy, nie w moim lokalu!

Lirnik nagle przestał grać, nieliczni goście, którzy dotąd nie zwracali uwagi na spektakl rozgrywający się przy kominku, teraz się obejrżeli. Grubas zamrugał.

– Jeszcze jedna kolejka, Marley, za twoją cierpliwość...

Karczmarz cisnął szmatę, zdjął poplamiony fartuch i wyszedł zza kontuaru. Ze stosu drewna pod ścianą wyjął polano i machnął nim jak maczugą, zbliżając się do gawędziarza.

– Nie dla ciebie. Wynocha, powiedziałem. - Zatoczył szczapą koło, wskazując słuchaczy przy palenisku. - Wy wszyscy możecie iść z nim i sięść gdzieś na rogu, na zimnie, jeśli ciągle macie ochotę słuchać takich bzdur. Albo zostać i napełnić sobie brzuchy tutaj, gdzie ciepło.

Cisnął polano w ogień. Posypały się iskry, chmura czarnego dymu spowiła ludzi siedzących nieopodal. Odsunęli się z kaszlem, złorzecząc. Inni zaczęli się śmiać, kiedy wciąż protestujący grubas wstał i zatoczył się jak pijany. Chwycił swoją czapkę,omal nie rozsypując monet, a karczmarz złapał go za ramię, wciąż mamrocząc przekleństwa pod nosem.

– Idź, poszukaj swojego pana - powiedział i powlókł bazarza do wyjścia. - Może rzuci czar na twój jezor i nie będziesz nim tak mełł.

– Proszę, daj mi jeszcze szansę... - jęknął tamten, zapierając się w drzwiach, które karczmarz otworzył na oścież, wpuszczając do środka lodowaty powiew. - Mam dużo do opowiedzenia, ludzie muszą to usłyszeć! Al-Hazir spotkał samego Tyraela, Archanioła Sprawiedliwości...

– Nie obchodzi mnie to, nawet jeśli wie, gdzie ostatnio srał młody cesarz - uciął karczmarz. - Nie będzie tu o tym opowiadał i ty też nie.

Wypchnął grubasa na zewnątrz. Drzwi zatrzęsęły się z hukiem, przestało ciągnąć zimnem. Ogień w palenisku chybotął się przez chwilę, rzucając chwiejne cienie na twarze patrzących. Nikt się nie poruszył. Karczmarz dał znak lirnikowi i znów rozbrzmiała niezbyt czysta melodia. Ludzie pochyłili się na powrót nad kuflami, niektórzy wciąż się śmiali. Ogień w palenisku trzaskał.

Nikt nie zwrócił uwagi, kiedy jasnowłosy przy stole w kącie wstał i cicho przemknął się do drzwi, znikając w ciemności wietrznej nocy niczym duch.



Drewniany szyld „Wędrowca” obijał się i tłukł o słupek, łańcuchy pobrzękiwały na mrozie. Wiatr podrywał z ulicy tumany kłującego piachu, niósł ze sobą źdźbła słomy i smród nawozu z pobliskiej stajni. Kilka pochodni już zgasło, chmury zasłoniły księżyc, mrok zgęstniał.

Jacob ze Staalgardu zatrzymał się, naciągnął na głowę kaptur i zawiązał go wokół szyi, a potem mrużąc oczy, rozejrzał się za gawędziarzem. Tyrael, powiedział grubas. Archanioł, który dzierżył El’druina. Bajarz pokręcił wiele szczegółów wskrzeszenia Zoltuna Kulla; był błaznem, który nigdy w życiu nie zbliżył się nawet do prawdziwego demona. Ale ta wzmianka o archaniele wprowadziła Jacoba w stan podniecenia. Musiał się dowiedzieć, czy w opowieści kryło się choć ziarno prawdy.

Właściciel sklepu alchemicznego pospiesznie przybijał grube, nieheblowane deski do okiennic, żeby nie urwał ich wiatr. Stukot młotka niósł się echem po pustej ulicy niczym głuchy łomot bojowych toporów spadających na tarcze. Poza tym miasto wydawało się opuszczone; wszyscy

schowali się przed burzą. Jacob zauważył grubasa, zanim ten, skulony dla ochrony przed wiatrem, zataczając się od nadmiaru gorzałki, zniknął w ciemności. Ruszył za nim, szybko zmniejszając dystans.



Bajarz skręcił za róg i szedł niespiesznie dalej, nie oglądając się za siebie. Przesypał monety do kieszeni i założył na głowę starą czapkę, podskakującą przy każdym jego kroku, który z chwili na chwilę stawał się pewniejszy. Gdy dotarł do błotnistej ulicy, biegnącej między chałupami na obrzeżach Kaldeum, nie zataczał się już w ogóle, a Jacob skradał się zaledwie kilka kroków za nim.

W tej części miasta, blisko namiotów handlowych, mieszkali głównie pracujący na dniówki robotnicy, prostytutki, złodzieje i szaleńcy. Nie było tu pochodni. Ciemność zgęstniała, widać w niej było tylko zarysy kształtów. Grubas, choć wydawał się pijany, nie pasował do tej okolicy - nawet strażnicy nie zapuszczali się tu po zmroku. Chałupy zbudowano z błota i piasku, a dachy pokryto kukurydzianymi łuskami, które poświstywały i chrobotwały na wietrze. Kroki Jacoba ginęły w tym szumie, ale grubas i tak by ich nie usłyszał; Jacob całe lata uczył się podkraść do celu sprytnie i bezszelestnie.

„Może osłabłem po utracie Miecza Sprawiedliwości, El'druina - pomyślał - albo stałem się zbyt zdesperowany. Miecz pozwoliłby mi lepiej ocenić prawdziwe zamiary tamtego”. Jacob wędrował po tych krainach od prawie dwudziestu lat, wyszukując miejsca, gdzie równowaga między dobrem a złem została zachwiana, i miecz archanioła Tyraela stał się jego nieodłączną częścią, zwyczajną jak oddech. Bez niego czuł się ślepy, miał wrażenie, że porusza się po omacku, a to było bardzo niebezpieczne,

zwłaszcza tutaj, gdzie ktoś mógł go zadźgać tylko po to, żeby zabrać mu buty.

Nie był bohaterem, już nie. Nigdy się za takiego nie uważał, nawet jeśli inni się z tym nie zgadzali; po prostu wymierzał sprawiedliwość, tak jak domagał się tego miecz. Zaszedł jednak bardzo daleko i nie miałyby sensu, gdyby teraz zawrócił. Musiał się przekonać, jak się to wszystko skończy.

Ledwie widział sylwetkę gawędziarza, który zmierzał do największej z chałup, jedynej, w której paliło się światło. Czerwonawy poblask migotał w małym okienku wstawionym w grubą ścianę z suszonego błota; to wystarczyło, żeby chata jaśniała w mroku niczym latarnia morska. Może grubas wybrał ją przypadkowo, szukając ciepłego miejsca, w którym mógłby przeczekać lodowaty powiew nocy. A może mimo wszystko właśnie tu mieszkał. Choć jego strój wskazywał, że kiedyś mógł mieć pieniądze, to przecież szlachcic za żadne skarby z Kaldeum nie odwiedziłby „Wędrowca”. Te ulice były ostatni przystankiem w drodze do zapomnienia.

Jacob złapał bazarza przy drzwiach. Grubas mocował się z grubą pętlą, na którą je zamknęto. Wzdrygnął się, czując rękę na ramieniu, i wydał cichy okrzyk. Jacob obrócił go i zobaczył, że mężczyźnie z twarzy odpłynęła krew; poblady wyglądał w ciemności jak duch. Był podobny wzrostem i ważył ze dwieście funtów, ale Jacob i tak nie widział w nim zagrożenia.

– Ta twoja opowieść - powiedział Jacob. - Jak ona się kończy?

– Prze... przepraszam - wyjąkał grubas, wytrzeszczając świńskie oczka, żeby zajrzeć Jacobowi pod kaptur. - Nie... nie mam pieniędzy...

Wiatr oderwał z dachu kukurydziany liść i cisnął go na ziemię.

– To, o czym opowiadałeś w „Wędrowcu”... Co wiesz o archaniele Tyraelu?

– Ja... nic. Zupełnie nic. Ja tylko próbuję zarobić trochę grosza na kolację. - Gruby zmrużył oczy, jakby próbował odgadnąć, o co chodzi. -

Przysłano cię, żebyś zabił biednego Abd al-Hazira?

– Al-Hazira, wędrownego skrybę? Jest w środku?

Na twarzy mężczyzny odmalowało się zmieszanie, większe, niż wynikałoby z pytania. Otworzył usta, jakby chciał odpowiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Zamiast tego sięgnął niezdarnie do kieszeni spodni, rozsypując jej zawartość na ziemię.

Monety potoczyły się w piach.

– O nie - jęknął grubas, pokręcił głową i cofnął się pod same drzwi. - Bierz wszystko, co mam, tylko zostaw mnie w spokoju... A może jesteś jakimś demonem, który przyszedł odebrać mi życie?

Jacob nie odpowiedział. Schylił się po medalion, który wypadł mężczyźnie z kieszeni, i podniósł go, trzymając za złoty łańcuszek. Wisiorek błysnął w czerwonym blasku bijącym z okna. Na jego powierzchni wygrawerowano wzór łusek. To był talizman alchemika. Jacobowi serce zakołatało w piersi, a po grzbiecie przeszedł go zimny dreszcz.

– Skąd to masz?

W ciemności dał się słyszeć jęk. W pierwszym momencie Jacob myślał, że to wiatr wyje pod okapem, ale dźwięk dobiegał z wnętrza chaty.

Przez długą chwilę słyhać było tylko szelest kukurydzianych łusek i świszczący w nich wiatr.

A potem rozległ się wysoki, przeszywający krzyk kobiety.



Grubas poruszał się szybciej, niż można by się spodziewać. Jacob zerknął w okno, a kiedy odwrócił się znów w stronę bazarza, drzwi chałupy były otwarte, a mężczyzna zniknął.

Jacob wepchnął medalion za pazuchę i przestąpił próg, zagłębiając się w gęstym mroku. Powietrze przesiąknięte było smrodem gnijącego mięsa. Ściągnął z twarzy kaptur i dobył krótkiego miecza, rodowej pamiątki. Ściskając wysłużone drewno rękojeści, wyciągnął ostrze przed siebie. Sien chaty była całkowicie pusta, nie licząc beli siana w kącie. Obok niej ujrzał kamienne palenisko, ale węgle dawno już w nim wystygły.

Grubasa nigdzie nie było widać. Czerwona poświata biła z następnego pomieszczenia w głębi chaty. Jacob przystanął, nasłuchując, tuż pod drzwiami, odrobinę uchylonymi. Zza nich dobiegały go szelesty.

„Cokolwiek możesz tam zastać, nie będzie warte ryzyka”. A mimo to czuł przymus, by pójść za gawędziarzem. Medalion. .. i krzyk kobiety. To musiało być coś ważnego. Pchnął drzwi. Otworzyły się na oścież, wydając odgłos jak szlachtowane prosię, i ze stuknięciem zatrzymały się na ścianie.

Czarne, patykowate cienie otaczały półkolem smukłą postać przywiązaną do krzesła, bez wątpienia kobietę. Na ramiona narzucono jej brudny płaszcz, na szyi zawiązano worek, zasłaniający twarz. Cienie okazały się ludźmi w ciemnych szatach; dzierżyli długie, zakrzywione, groźnie wyglądające noże, lśniące krwawą czerwienią w blasku run nakreślonych na wytartej, drewnianej podłodze. Jacob nie rozpoznawał znaków, ale nie miał wątpliwości, że rytuał, który opisywały, musiał się skończyć rozlewem krwi.

Nie pierwszy raz używano tej izby do czynienia zła. Jacob się wzdrygnął, oddech uwiązał mu w gardle, poczuł suchość w ustach. Ściany i podłogę pokrywały rozbryzgi starej krwi, czarne jak smoła.

„Kultyści w służbie wiedźmy”.

Był przekonany, że po śmierci Mahdy Sabat został wybity, a przynajmniej rozpędzony na cztery wiatry. Jacob stał nieruchomo, z wyciągniętym mieczem i bijącym szybko sercem. Przypomniał sobie słowa



dawno nieżyjącego ojca: „Nie szarżuj jak zraniony byk, jeśli nie chcesz, żeby to była twoja ostatnia walka”. Złamał podstawową zasadę, której dotąd pilnie przestrzegał. Przemknęło mu przez myśl, czy nie uciec; nie mógł się z nimi mierzyć, już nie. Przestał być awatarem Sprawiedliwości, kiedy El’druin zniknął w ciemności, pozostawiając Jacoba bezsilnym.

Ale jeśli ucieknie, ta kobieta zginie. „Ona jest niewinna”. Nie mógł do tego dopuścić.

W izbie na moment zapadła cisza, a potem kultyści odwrócili się jak jeden mąż. Krzesło pod szamoczącą się kobietą skrzypiało rozpaczliwie i paskudnie; Jacob prawie czuł na własnej skórze zimne ukąszenia sztyletów, widział, jak jego własna krew wycieka i barwi podłogę czerwienią.

Usłyszał coś za sobą. Obejrzał się i zobaczył, że grubas jakimś sposobem zaszedł go od tyłu, choć przecież Jacob nie mógł go przeoczyć. Jednak teraz tłuszczoch zatarasował wyjście, skrzyżowawszy na piersi mięsiste ramiona.

Zaśmiał się i pokręcił głową.

– Jacob ze Staalgardu.

– Skąd znasz moje imię?

– Zrobiłeś się leniwy po złożeniu posady. Naprawdę sądziłeś, że to będzie takie proste, okraść mnie z owoców mojej pracy? Myślałeś, że powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć, bez walki?

– Czy ja... spotkaliśmy się już?

Grubas znów się zaśmiał.

– Nie w tej postaci.

Sięgnął do swojej twarzy i zaczął drzeć ciało; wbijał paznokcie w pulchne policzki, zrywał skórę, która opadała długimi, żółtymi pasmami, rozciągającymi się i pękającymi niczym glina na słońcu. Spod spodu

wyłoniła się wilgotna ohyda: połyskliwe ścięgna, mięśnie i rogata kość, czerwone ślepia rozjarzone niczym ognie Piekieł głęboko pod ich stopami.

– Bar’aguil... - szepnął Jacob.

Już raz przyszło mu zmierzyć się z tym demonem, wiele lat temu. Piekło zostało odparte, ale jego słudzy wciąż wędrowali po Sanktuarium, łaknąc krwi niewinnych. Cofnął się myślą do karczmy, do rzuconej mimochodem wzmianki o Tyraelu; bajdurzący głupiec wywabił Jacoba w nocną zawieruchę bez wielkiego wysiłku. Zastawił pułapkę, a ten, ot tak, dał się w nią złapać.

A medalion? Zmroziło go jeszcze bardziej. Wolał nawet nie wyobrażać sobie, co to mogło oznaczać...

– Morderco... - zasyczał demon, zbliżając się. Ciało bazarza zwisało z rozjarzonego pyska niczym jakieś groteskowe przebranie. - Hipokryto. Potworze. Polowałeś na nas od lat. Pora odpłacić ci pięknym za nadobne.

– Mahda nie żyje. A Beliala dawno już nie ma.

– Teraz służymy nowym panom. - Demon podszedł jeszcze bliżej drobny, owadzim krokiem, a potem znieruchomiał i przekrzywił łeb, przyglądając się Jacobowi. - Zdziwiłbyś się, wiedząc jakim. Ale nie będziesz żył tak długo. Wiesz, co zrobimy, morderco? Wiesz, gdzie trafisz, kiedy skończymy z twoimi gnatami?

Jacob machnął przed sobą mieczem, starając się odpędzić i demona, i kultystów. Zakapturzeni mężczyźni również się do niego zbliżyli i poczuł w brzuchu znajomy skurcz paniki.

Kiedy jeden z nich skoczył, Jacob ledwie zdążył odwrócić się do napastnika, a tamten uwiesił się mu na ramionach, zionąc w twarz cuchnącym oddechem, kwaśnym smrodem gnijącego mięsa.

Obalił Jacoba swoim ciężarem, ale ten zdążył pchnąć kultystę mieczem pod żebra. Upadając, Jacob szarpnął ostrze w górę i poczuł, jak struga

gorącej krwi moczy mu szatę. Runęli ciężko na podłogę. Kultysta stęknął, jęknął i jego nogi uderzyły o podłogę w skurczach agonii.

Zanim Jacob zdołał zepchnąć z siebie martwego kultystę, pozostali złapali go za ramiona, podnieśli i wykręcili mu brutalnie rękę z mieczem, zmuszając do upuszczenia broni. Dwaj najwięksi przygwoździli go do ściany tak, że nie sięgał nogami ziemi. Zbliżył się do niego Bar'aguil; twarz demona ociekała krwią i tłuszczem, jego ślepia świeciły w mroku. Wyciągnął rękę - czubki palców rozpekły się jak gotowane kiełbaski, ukazując zakrzywione, ostre szpony.

- Zapłacisz za to - zasyczał stwór z krwawą pianą i śliną wzbierającą tam, gdzie przedtem były usta bajarza. - Twój drogocenny anielski miecz już cię nie ochroni. Tyrael nie żyje, a na Sanktuarium spadnie pomsta! Ludzie będą cierpieć, a my powstaniemy z popiołów, silniejsi niż kiedykolwiek.

Runy na podłodze zabłysły czerwienią. Demon chwycił Jacoba za gardło. Pazury rozcięły ciało; Jacob zacharczał, wolno pozbawiany powietrza. Przed oczyma zaśniły mu gwiazdy, świetlny wir jaśniał i jaśniał, za chwilę pochłonie wszystko, co Jacob znał i kochał...

Nie był pewien, co się stało potem. Światła odpłynęły gdzieś w tył, a gdy oprzytomniał, demon już go nie trzymał.

Jacob łączywie wciągał powietrze, gorączkowymi, spazmatycznymi wdechami. Bar'aguil i kultysty odwrócili się w stronę swego więźnia. Ale kobieta nie była już spętana, stała wyprostowana, a resztki więzów leżały w strzępach na podłodze. W dłoniach dzierżyła jaśniejącą kulę fioletowego ognia, ale Jacob nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy.

- Shanar?

- Padnij - rozkazała czarownica. Nieznacznym strzępieniem delikatnego nadgarstka posłała kulę magicznej energii w najbliższego kultystę. Kiedy

pocisk trafił mężczyznę w pierś, ten eksplodował, a Jacob rzucił się na podłogę i osłonił głowę rękami.

Gdy znów się rozejrzył, dzwoniło mu w uszach. Obok Bar'augila zobaczył już tylko dwie zakapturzone sylwetki. Demon ryknął wściekle i skoczył naprzód, wyciągając szpony, jakby jednym, potężnym ciosem zamierzał zerwać czarownicy głowę z ramion.

Kula blasku otoczyła Shanar, a wraz z nią demona oraz ostatniego kultystę. Obaj nagle zwolnili, podczas gdy czarownica poruszała się z oszalamiającą prędkością; wyczarowywała smugi trzaskającej energii i ciskała je niczym włócznie fioletowego światła, tańcząc wokół bezradnych istot schwytych w jej sieć.

I w kilka chwil było już po wszystkim.

Kula światła zgasła. Szczątki grubasa, w którym ukrywał się Bar'aguil, broczyły krwią rozdarte na pół, otoczone wieńcem zabitych kultystów niczym w jakiejś makabrycznej aranżacji.

Shanar stała na środku poboju, prostując nagie ramiona; jej kształtne piersi falowały w wycięciu skórzanego gorsetu. Ciemne włosy ścięła do ramion, poza tym jednak nie różniła się od kobiety, której Jacob kiedyś pożądał; po dwudziestu latach nadal nie miała ani jednej zmarszczki.

Rzuciła mu znajome wyzywające spojrzenie, które zawsze doprowadzało go do szaleństwa, w każdym znaczeniu tego słowa.

– I znowu to samo - stwierdziła. - Ratowanie ci skóry zaczyna być nudne, Jacobie. Czekałam, ile mogłam, ale żadna dziewczyna nie lubi być związana zbyt długo.

– Mogłaś czekać trochę krócej - odparł Jacob. Wstał ostrożnie, po czym podniósł i wytarł miecz. Dotknął szyi pokaleczonej pazurami Bar'aguila, popatrzył na palce. Krwawienie ustało, ale zraniona duma nie przestawała boleć.

– A gdzie w tym zabawa? - Z niemal niedostrzegalnym uśmiechem Shanar przestąpiła zwinnie najbliższego trupa. - Musiałam cię zwabić i zaczekać, aż demon się ujawni, żeby mieć pewność, że pora działać. Oczywiście miałam nadzieję, że uratujesz damę w opałach, jak i własną żalostną skórę. Tak to już jest na coś liczyć... - Wyciągnęła rękę. - A teraz, zanim poniesie nas nostalgia, zdaje mi się, że masz coś, co należy do mnie.

Jacob sięgnął za pazuchę i wyjął medalion jej ojca, jeden z niewielu przedmiotów, które miały dla czarownicy jakiegokolwiek znaczenie. Symbol alchemika. Shanar opowiedziała mu kiedyś, jak zdjęła wisiołek z szyi martwego ojca, zanim jego trumnę złożono w grobie. Nigdy jej bez niego nie widział.

– Kiedy go zobaczyłem, bałem się, że ty...

Nie dokończył. Nawet po tylu latach nie potrafił wyrazić, co do niej czuł. To był jeden z wielu powodów, które ostatecznie doprowadziły do ich rozstania.

– Doniesienia o mojej śmierci były mocno przesadzone - odparła Shanar. Schowała medalion. - Pozwoliłam demonowi go wziąć, to była część planu. Wiedziałam, że przeżyję na tyle długo, żeby go odebrać. Co do ciebie jednak... - Popatrzyła na Jacoba. Wydawało mu się, że w jej spojrzeniu jest czułość, ale może tylko to sobie wyobraził. - Wyglądasz, jakbyś najlepsze lata miał za sobą.

– To był ciężki rok. Co robisz w tej części miasta?

– Nie tutaj - ucięła, rozglądając się po pobojuwisku. Runy zaczęły blaknąć, do izby wpełzała ciemność. Shanar podniosła kostur, leżący na środku kręgu, do tej pory niewidoczny przez blask symboli. - Wyjdźmy.



W sieni było ciemniej niż na zewnątrz. Shanar mruknęła kilka słów i podniosła na czubku kostura kulę niebieskiego światła. Czar rozświetlił mrok. Jacob poszedł za nią, kiedy otworzyła na oścież drzwi. Nagły podmuch lodowatego wiatru przeniknął ich na wylot, tnąc do kości i syjąc kłującym piachem z ulicy.

– Zaczekaj - powiedział Jacob. - Wciąż nie wyjaśniłaś, co tu robisz.

Shanar westchnęła, jakby prosił ją o jakąś wielką przysługę.

– Pamiętasz, jak znalazłeś tę jaskinię, w której czekał na ciebie El'druin i ja?

Kiwnął głową.

– Wyryłaś na jej ścianach historię mojego życia.

– Szłam za pieśnią Kryształowego Łuku - wyjaśniła Shannar. - Niebiosy doprowadziły mnie do ciebie i do miecza, a teraz, tyle lat później, przywiodły mnie tutaj. Nie wiem po co, ale zważywszy na okoliczności, uznałam, że lepiej ich posłuchać.

Jacob poczuł znajomy dreszcz.

– Ja... myślałem, że już cię nigdy nie zobaczę.

– Taki był plan. - Shanar zadrżała i zgarbiła się. - Ale plany się zmieniają, czy nam się to podoba, czy nie.

Znów się odwróciła i wyszła na zewnątrz.

– Dokąd idziesz? - zawołał za nią Jacob.

– Po starego przyjaciela! - odparła, przekrzykując wicher. - Chodź. Wyjaśnię ci więcej po drodze, ale nie mamy czasu do stracenia. Wyruszamy jeszcze dziś...

Jacob złapał ją za ramię.

– Zaczekaj, Shanar. Ot tak, pojawiaasz się na powrót w moim życiu i oczekujesz, że pójdę za tobą jakby nigdy nic?

Czarownica Strząsnęła jego rękę.

– Posłuchaj, wiem, że różnie między nami bywało, ale masz wybór: albo będziesz się dalej użalał nad sobą i zapijał swoje żale przez najbliższe dwa tygodnie, albo ruszysz ze mną ku następnej przygodzie, jak za dawnych lat. Kto wie? Ostatnim razem, kiedy poszłam za pieśnią, zaprowadziła mnie do El'druina. Może miecz znów mnie wzywa i chce, żebym cię przyprowadziła.

Z tymi słowy ponownie się odwróciła i zniknęła w ciemności nocy.

Jacob stał na progu, rozdarty. „To jest cios poniżej pasa”, pomyślał. Shanar wiedziała, co znaczyła dla niego strata miecza, wiedziała, co poczuje na choćby wzmiankę o możliwości jego odzyskania.

Z drugiej strony - co tak naprawdę było do stracenia? Miała rację, za długo już użalał się nad sobą. W Kaldeum nic go nie trzymało. Widok Shanar obudził w nim wszystkie dawne uczucia. Jacob pragnął jeszcze raz ujrzeć jej twarz.

I może, zaledwie być może, El'druin też gdzieś na niego czeka.

Naciągnął kaptur dla ochrony przed kłującym wiatrem i podążył za czarownicą.





## ROZDZIAŁ 2



*Tristram, kilka tygodni później*

Mnich przystanął na szczycie wzniesienia i gestem nakazał zatrzymać się dwóm swoim towarzyszom. Rozejrzał się po wyniszczonej okolicy, wypatrując oznak niebezpieczeństwa. W niewielkiej dolinie nic się nie poruszało. Zmierzch ustąpił miejsca nocy, połówka księżyca wyjrzała zza chmur na tyle, by wydobyć z mroku sylwetki karłowatych szkieletów drzew, wyciągających gałęzie niczym kościste palce ku poczerńiałemu niebu. Wystarczająco, by ukazać ruiny starej katedry na sąsiednim wzgórzu.

Wyniosła niegdyś budowla została zniszczona, kiedy niczym spadająca gwiazda runął na nią z Niebios archanioł. Bogowie ukazali to mnichowi w wizji - ową mknącą przez niebo rzekę światła. Wieża i mury w większości ocalały, ale dziura w ziemi ziała niczym szczerbate usta, ukazując górne poziomy tajemnych katakumb, ciągnących się głęboko pod fundamentami. Z gruzowiska sterczały potrzaskane łuki, wszędzie wały się sterty drewna i kamieni. Część wnętrza spustoszył ogień, ale w słabym świetle księżyca Mikułow widział kilka rzędów nietkniętych ław, jakby czekających, aż usiądą w nich wierni.

Widział to wszystko wiele razy w swoich snach. Ale co innego śnić, a co innego oglądać katedrę na własne oczy, czuć smród spalenizny niesiony wiatrem i zgniliznę wnętrza budowli.

Bogowie milczeli. Mnich nie mógł ich winić za to, że opuścili to przeklęte miejsce.



Dwaj mężczyźni, którzy przybyli tu z Mikułowem, zaczekali na sygnał, że wszystko jest w porządku, po czym z wysiłkiem wspięli się na szczyt wzgórza. Dzięki swojemu przygotowaniu byli sprawniejsi niż przeciętny człowiek, ale nikt nie mógł równać się z legendarną kondycją iwogrodzkiego mnicha, nadto podróż z Gea Kul w Kedzystanie była długa i wyczerpująca. Ciężkie sakwy, które dźwigali na ramionach, też nie ułatwiały marszu, jednak żadnemu z nich nie przyszłoby do głowy, by je porzucić. Byli horadrimami, a pergaminy, które nieśli, miały dla nich nie mniejszą wartość niż krew krążąca w ich żyłach.

Niewysoki Kullen pierwszy stanął na szczycie i popatrzył na ruiny. Poprawił okulary na nosie. Latami studiował pisma Caina i zawsze chciał zobaczyć katedrę w Tristram, lecz tylko ktoś, kto dobrze znał Kullena, pod pozornym niewzruszonym spokojem dostrzegłby jego podniecenie.

Thomas położył sakwę na ziemi i klepnął Kullena w ramię. Oczy wyższego mężczyzny połyskiwały w ciemności.

– Mamy przed sobą kawał historii - stwierdził. - Gdybyśmy przedostali się na niższe poziomy...

– To by było nieroztropne. - Mikułow odwrócił się do swoich towarzyszy. - Są niestabilne. Poza tym muszę jeszcze sprawdzić okolicę.

Sanktuarium może i jest wolne od Najwyższego Zła, ale pomniejsze demony wciąż przemierzają te krainy. Musimy być bardzo ostrożni.

– Poszukajmy więc stosu - powiedział Thomas. - Jeśli nie będzie tam kaplicy, musimy ją zbudować, choćby skromną. On na to zasłużył.

Mikułow popatrzył po twarzach przyjaciół. Kullen, uczony, mimo łysiny miał chłopięce rysy, ale podczas długiej, ciężkiej podróży policzki mu się zapadły. Thomas był o głowę wyższy i znacznie szczuplejszy od towarzysza, ale spoglądał z pewnością siebie godną wojownika. Obaj bardzo się zmienili, odkąd Mikułow zostawił ich w Gea Kul po pokonaniu Mrocznego i upadku Czarnej Wieży. Zastanawiał się, jak on sam wygląda w oczach horadrimów.

– Zostańcie tu - powiedział. - Bogowie milczą. Muszę się dowiedzieć dlaczego.



Horadrimowie patrzyli, jak ich przyjaciel schodzi ze wzgórza, przemyka między kikutami drzew i znika w mroku. „Porusza się jak duch”, pomyślał Kullen. Wydawało się, że nawet księżyc nie chce oświetlić sylwetki mnicha. Uczony pamiętał tę mieszanię podziwu, zdumienia i niepokoju, która go przepełniła, gdy poznał Mikułowa ponad dziesięć lat temu.

Te same uczucia odżyły w nim przed kilkoma miesiącami, kiedy mnich wrócił do Gea Kul i nowej świątyni Zakonu Horadrimów. Mikułow zdawał się zaskoczony tym, że zastał tam tętniący życiem ośrodek nauk i badań, założony przez grupę horadrimów, której przewodzili Thomas i Kullen. A nie powinien się przecież dziwić - po upadku Czarnej Wieży Deckard Cain stał się legendą, a oni ślubowali zrobić to, o co ich prosił, kiedy odchodził. Pilnie stosowali się do jego nauk i pism.

Mikułow dołączył do studiujących starożytne teksty, ale wciąż nie mógł znaleźć sobie miejsca. Mówił, że przez ostatnie dziesięć lat spędzonych w drodze bogowie pokazali mu niejedno, ale nie poznał jeszcze swojego prawdziwego przeznaczenia. A potem, pewnego wieczora, miał kolejne widzenie. Badał akurat ruiny wieży, gdzie stoczono ostateczną bitwę z Mrocznym, i omal nie stał się jednością z wszechświatem. Mnich powiedział potem horadrimom, że w wizji stanął przed nim święty nieznamy spowity w światłość, ucieleśnienie samych bogów, i powiedział, że Mikułow musi się udać do Tristram i odszukać ruiny katedry.

To niepodobne do bogów, by ukazywać się w takiej postaci, twierdził mnich, ale nic więcej o widzeniu powiedzieć nie chciał. Cokolwiek ujrzał, wstrząsnęło nim na tyle, by skłonić go do milczenia. Był jednak zdeterminowany odnaleźć starą katedrę, a kiedy poprosił Thomasa i Kullena, by mu towarzyszyli - powiedział im, że od tego zależy los całego Sanktuarium - obaj ochoczo się zgodzili.

„Nasz przyjaciel całymi latami wędrował po Sanktuarium w poszukiwaniu prawdy, wymykając się przy tym niejednemu iwogrodzkiemu zabójcy. Zasłużył na kredyt zaufania. Jeśli bogowie wezwali go do katedry, mnie to wystarczy”.

Oczywiście nie był to jedyny powód, dla którego tu przyszli.

– Zawsze sobie wyobrażałem, że katedra będzie... większa - przyznał Thomas. - Bardziej imponująca.

– Całymi latami uczyliśmy się o tym, co się tu wydarzyło. To miejsce ma kluczowe znaczenie dla wszelkich naszych założeń i celów. Poza tym strawił je pożar.

Thomas zapatrzył się w dal, za ruiny. Przez długą chwilę milczał, wędrując spojrzeniem po wypalonych wzgórzach. Kullen wiedział, czego

szukał przyjaciela.

– Deckard spoczywa niedaleko cmentarza, tam, gdzie jego ciało spłonęło na wielkim stosie świętego dymu i ognia - powiedział. - Świadkiem był sam archanioł Tyrael. Takie świadectwo zostawiła nam Lea, zanim... zanim ją utraciliśmy, a ja nie mam powodu, żeby w to wątpić.

Zrzucił sakwę na ziemię i zaczął ją przetrząsać w poszukiwaniu mapy, jednej z wiernych kopii planów Tristram, które sami sporządzili w świątyni. Kullen miał pod swoją pieczę wszystkie stare i nowe teksty, katalogowanie wielkiej biblioteki horadrimów oraz nadzorowanie przepisywania i oprawiania kopii ksiąg, którym groziło rozsypanie się w pył; ta mapa była jedną z jego najlepszych.

Rozłożył ją na grubym korzeniu, który niczym czarny wąż wychylał się z kamienistej gleby, i wyrecytował pod nosem kilka słów mocy. Oznaczenia zaczęły słabo lśnić, ukazując prosty szkic katedry i jej okolicy.

„Prosty, ale starannie oznaczony”.

To była kopia autentycznego zwoju horadrimów, którą Kullen uzupełnił osobiście na podstawie nowszych źródeł. Patrząc z miejsca, w którym stali, cmentarz powinien się znajdować za ruinami. Kullen schował mapę i wyteżył wzrok w słabym świetle księżyca. Serce tłukło mu się głośno w piersi.

– Może moglibyśmy po prostu przejść kawałek...

– Nie ruszać się.

Kullen poczuł na szyi dotyk ostrza.

Thomas zdołał wyciągnąć do połowy miecz z pochwy, ale na te słowa znieruchomiał. Popatrzył na napastnika nad prawym ramieniem Kullena, a potem błyskawicznie spojrzał w dół i w lewo. Kullen zrozumiał znak. Napastnik był leworęczny - odpowiednio wykonany unik mógł uwolnić

uczonego spod noża na moment wystarczający, by Thomas zdążył zadać cios.

Ale ostrze mocno przywierało do ciała Kullena; taki manewr był bardzo niebezpieczny.

Horadrim wydał cichy, gardłowy odgłos, a stojący za nim mężczyzna poruszył się nieznacznie. Klinga zakłuła mocniej, księżyc przelotnie rozjaśnił ziemię.

– Nekromanto - powiedział Thomas. Powoli wsunął miecz z powrotem do pochwy i pokazał puste ręce. - Wypuść mojego przyjaciela. Nie chcemy z tobą zwady. Jesteśmy horadrimami, przybyliśmy z Kedzystanu. Czego tu szukasz?

Ostrze nie drgnęło, a Kullen zamknął oczy, spodziewając się strużki własnej gorącej krwi spływającej po szyi. W końcu jednak nacisk klingi zelżał.

– Prędeż zebrakami i złodziejami - usłyszeli drugi głos. - Ja bym spał z jednym okiem otwartym. Oczywiście nie mam tu nic do powiedzenia, idę tam, gdzie mnie poniesiesz.

Kullen się odwrócił, oczekując widoku dwóch osób, ale zobaczył tylko jedną.

Nieznajomy był szczupły, brodaty i blady jak śmierć, z czarną, ukośnie opadającą grzywką i poważną twarzą. Miał na sobie płaszcz, wyszywany wzdłuż krawędzi w srebrne runy, na prawej ręce - czarną rękawicę, a w lewej - kościany sztylet, którego ostrze jarzyło się upiorną błękitną poświatą. Najdziwniejsze jednak były jego oczy - jasnoszare i opalizujące jak dwa maleńkie, bliźniacze księżyce.

To był człowiek pełen cichej, ale niebezpiecznej mocy.

Kullen swego czasu spotkał jednego czy dwóch nekromantów; praktykowane przez nich mroczne sztuki zawsze budziły w ludziach obawę.

Nekromanci rzadko okazywali uczucia i zazwyczaj trzymali się na uboczu. Nieznajomy obudził jednak w horadrimie szczególny niepokój, którego uczony nie potrafił dokładniej wyjaśnić. Może dlatego, że przed chwilą przystawiał Kullenowi nóż do gardła.

No i oczywiście pozostawała kwestia owego drugiego głosu.

– Gdzie podział się twój towarzysz? - spytał Kullen.

Nekromanta sięgnął dłonią w rękawicze do sakwy rozmiarów melona zawieszanej u pasa.

– Nie ma tu nikogo poza mną.

– Miłe powitanie, nie ma co - odezwał się z oburzeniem nieco stłumiony głos. - Sam nie zdołam uścisnąć im dłoni. I co, nie wstyd ci? Jestem jak ta garbata ciotka, którą rodzina zamyka w piwniczce, żeby nie płoszyła sąsiadów.

– Cicho - powiedział nekromanta. Poklepał sakwę.

– Za długo już byłem cicho - zaprotestował głos. - Ciemno tu i raczej ciasnawo. I śmierdzi jak z osłego zadu, przepraszam za wyrażenie.

Nekromanta jakby zawahał się przelotnie, a potem rozpiął sakwę i wydobył z niej pozbawioną żuchwy ludzką czaszkę. Kullen zatoczył się, a Thomas krzyknął i wyciągnął miecz, jakby chciał ją ugodzić.

Krawędzie pustych oczodołów zalśniły w blasku księżyca.

– Miło mi panów poznać - rzekła czaszka.





## ROZDZIAŁ 3



### *Nekromanta*

Dwaj mężczyźni nazwali się horadrimami; na sakwach dostrzegł wyhaftowany znak tego zakonu. Istotnie, wyglądali na skromnych uczonych, jeśli wnosić po prostych strojach - odziani byli w jasnobrązowe szaty, pod nimi zaś szare tuniki ściągnięte pasami, na stopach mieli sandały.

Chodziły słuchy, że zakon odrodził się z upadku i założył nową siedzibę gdzieś w Kedzystanie; nekromanta widział niedawno dobrej jakości reprodukcję tekstu horadrimów w Zachodniej Marchii. Właściciel księgarni twierdził, że przysłano ją z Gea Kul.

Niższy omal nie zgubił okularów, kiedy wystraszył się czaszki. Teraz poprawił je palcem na nosie, nerwowo mrugając.

– Kim... czym... jesteś?

– Podczas plądrowania zaginionego miasta spotkał mnie nieszczęśliwy wypadek - odparła czaszka. - Ten przyjemniaczek, który groził ci przed chwilą nożem, na imię ma Zayl, przy okazji: wskrzesił mojego ducha, żebym zaprowadził go we właściwe miejsce...

– Wystarczy, Humbarcie - uciał nekromanta. Czuł się niepewnie w tej okolicy, choć za nic by tego nie okazał. Tristram już zawsze miało pozostać

siedliskiem ciemności, z którą na razie wolałby się nie mierzyć. „Władają tu chaos i zniszczenie, pomyślał, a ci ludzie też szukają odpowiedzi”.

Z żalem wspomniął miniony rok. Rzadko oceniał swoje życie na podstawie tego, co było, czy samych zrządeń losu. Pora, by opuścić ten świat, przyjdzie w swoim czasie i ani chwili wcześniej. Ostatnio jednak odnosił wrażenie, że chaos dostał wolną rękę. Sanktuarium cały czas odczuwało brak Kamienia Świata; hordy demonów dotarły dalej na wschód i zagrażały ojczyźnie Zayla we wschodnich dżunglach. Wraz ze swoimi braćmi odparł je, ale po raz kolejny znalazł się daleko od domu, szukając przyczyn zakłócenia Równowagi. Przeczynał, że źródło niepokoju leży na zachodzie i że Pomniejsi Żli, Belial i Azmodan, przybędą z Płonących Piekieł, by najechać Sanktuarium.

Walczył po stronie światła w Kaldeum, kiedy miasto omal nie uległo podstępemu Belialowi, choć nie poznał tych, którzy ostatecznie pokonali Władcę Kłamstw. Od opętanej duszy strażnika Zayl usłyszał pogłoski o demonach, które przedarły się przez Diamentowe Wrota Niebios, i przepełniała go obawa, że Wielki Cykl Istnienia zostanie trwale zmieniony.

Jeśli jednak istotnie doszło do takiej inwazji, słudzy Piekieł musieli zostać odepchnięci przez anielską straż, bowiem inaczej ziemia rozpękałaby się pod stopami ludzi. Tymczasem świat zdawał się wracać do normalności. Zayl opuścił Kaldeum, szukając wyjaśnień, i trafił do Zachodniej Marchii.

Ostatnim razem, kiedy go tam wezwano, omal nie został zabity przez pajęczego demona Astrogha. A także, co musiał przyznać sam przed sobą, zakochał się. Nekromantom nieczęsto się to przydarzało; uczucie było słabością, czyniło nekromantę bardziej podatnym na atak. Porzucenie Salene okazało się jedną z najtrudniejszych decyzji, jakie kiedykolwiek podjął, ale było konieczne. Kapłan Rathmy działał samotnie.

„A jednak tak bardzo chciałem wrócić”. Może powodem była właśnie Salene. Jeśli tak, to złamał kardynalną zasadę swojego obrządku - przedłożył własne potrzeby ponad powołanie - i popełnił straszliwy błąd.

Wyczuwał rosnący niepokój dumnych mieszkańców Zachodniej Marchii. Choć większość z nich podejrzliwie odnosiła się do jemu podobnych, usłyszał dość, by wyrobić sobie ogólne pojęcie, co się dzieje: krążyły plotki o tajemniczym religijnym ugrupowaniu, które szybko rosło w siłę i liczbę; między nim a rycerzami narastało napięcie. Mówiło się też o zniknięciach - zawsze czyichś krewnych.

Zayl, nie tracąc czasu, odszukał lady Salene, wmawiając sobie, że na pewno posiada ona ważne informacje, które pomogą mu dotrzeć do poszukiwanych odpowiedzi. Humbart nie dał się zwieść ani przez chwilę; wiedział, że prawdziwy powód leży w ciemnych głębinach Zayłowego serca. Salene nie wyszła za mąż, i choć generał Torion nieśmiało sprzeciwiał się powrotowi Zayla, Salene nie kryła swoich uczuć do nekromanty.

Kiedy ją odnalazł, teraz damę na dworze, i znów byli razem, czuł się tak, jakby nigdy się nie rozstawali. Wybaczyła mu odejście. Żyła nadzieją na jego powrót i nigdy nie przestała na niego czekać.

A potem, nocą, przyleciały po nią czarnoskrzydłe potwory.

Zayl mimowolnie zadrżał. Tego dreszczu, wywołanego emocjami, nikt nie był świadom, poza samym Zaylem i być może Humbartem, bliższym nekromancie niż jakakolwiek żywa istota. Kapłan Rathmy przypomniał sobie o swej słabości.

Najbardziej żałował tego, co potem zrobił, kiedy już spóźnił się z odsieczą. Nie powinien był poddać się uczuciom do tego stopnia. „Nad światem wisi nowe niebezpieczeństwo - powiedział mu duch Salene - takie, przy którym błędą wszystkie inne, bo jego jedynym celem jest

nieodwracalne zniszczenie ludzkości. Zostałeś wezwany do starej katedry w Tristram przez bardzo potężnego śmiertelnika, który poprosi cię, byś mu towarzyszył w niebezpiecznym zadaniu. Musisz iść z nim i znaleźć w Bramwell Borada kowala. On ma klucz, którego szukasz”.

Zayl nie kwestionował tego posłannictwa; nie mógłby. Jego przeznaczenie leżało tu, pośród ruin. Choć minął ponad miesiąc, rozpacz po utracie Salene nie słabła. Nekromanci nie powinni postrzegać śmierci jako tragedii, jednak Zayl opłakiwał ukochaną. To właśnie niegasnącą miłość do niej zaprowadziła go do tego przeklętego miejsca.

„Jeśli nie możesz znaleźć drogi - mawiał rzekomo Rathma - zaczekaj, a droga znajdzie ciebie”.

– Horadrimowie, powiadacie? - Czaszka wyrwała Zayla z mrocznych rozmyślań. - Nie słyszałem o was od upadku Tristram. Jesteście pewni, że nic was nie opętało?

– Wybaczcie nieokrzeseń mojego towarzysza podróży - poprosił Zayl. - Ale obawiam się, że w tym przypadku jego niepokój jest zrozumiały. Co do moich spraw tutaj, ja mógłbym was spytać o to samo.

Dwaj wędrowcy szybko otrząsnęli się z przestachu, choć wciąż spoglądali na czaszkę i nekromantę z pewnym niesmakiem i trzymali się na dystans. Zayl przywykł już do takich reakcji; kapłani Rathmy nie cieszyli się w tych stronach zaufaniem, ich mroczna sztuka budziła lęk wśród ludzi, którzy ich nie rozumieli. Nekromanci działali na pograniczu życia i śmierci i wiedzieli, jak manipulować linią dzielącą jedno od drugiego. Wywoływanie duchów nie zaskarbiało nikomu zbyt wielu przyjaciół.

– Szukamy miejsca ostatniego spoczynku założyciela naszego zakonu, Deckarda Caina. - Niższy zbliżył się o krok. - Nazywam się Kullen, a to jest Thomas. Podróżujemy wraz z iwogrodzkim mnichem.

Ostatnie słowa zaskoczyły Zayla. Nie widział nikogo innego, co znaczyło, że mnich musiał być bardzo uzdolniony.

– Czy mogę? - Ciekawość Kullena najwyraźniej przewyciężyła odrazę; zerknął na Humbarta, potem na nekromantę. Zayl zawahał się, po czym oddał czaszkę horadrimowi.

– Fascynujące - Kullen obracał Humbarta w dłoniach i oglądał go uważnie, na co czerep zareagował okrzykiem przestachu i litanią obelg. Kullen oddał go pospiesznie i wytarł palce w tunikę, jakby chcąc oczyścić je z jakiegoś plugastwa. - Oczywiście czytałem o takich rzeczach, ale chyba nigdy nie widziałem...

Jego słowa przerwało nagłe zamieszanie blisko ruin katedry - podniesione głosy, a potem szcęk mieczy, niosące się w nocnym powietrzu. Zayl wepchnął Humbarta do worka i dobył kościanego sztyletu, a Thomas i Kullen pobiegli w dół zbocza ku sąsiedniemu wzniesieniu.

Drzewa zdawały się sięgać ku ich ubraniom martwymi palcami gałęzi, grunt był niepewny, kamienie i ziemia osypywały się nieustannie. Ale Zayl biegł zwinnie, z łatwością wyszukując stopami twarde podłoże, toteż szybko wyprzedził pozostałą dwójkę.

Kiedy zbliżyli się do drugiego wzgórza, odgłosy walki ucichły. Wiatr wiał przez dolinę, wznosząc tumany pyłu. Zayl zatrzymał się na chwilę, czekając, aż wszystko opadnie, a gdy powietrze stało się czyste i znów było widać księżyc, po łagodnej pochyłości zbliżały się ku nim cztery postacie, prowadzone przez iwogrodzkiego mnicha. Jego łysa głowa lśniła, szata spowijała umięśnioną pierś, w pasie był przewiązany żółtą szarfą, nosił pancerne osłony na przedramionach, na szyi zaś sznur drewnianych koralików. Wyglądał onieśmielająco, uznał Zayl. Poruszał się pewnie, zdecydowanie, biła od niego cicha siła. „To wojownik, którego lepiej mieć po swojej stronie”.

Pozostała trójka szła za nim ramię w ramię: czarownica obok szczupłego mężczyzny o jasnych włosach, odzianego w znoszone szaty nomady oraz, nieco z boku, barbarzynka o głowę wyższą od pozostałych, w napierśniku podkreślającym imponujące krągłości. Na ramieniu oparła bojowy topór, który musiał ważyć chyba tyle co sam Zayl, mimo to niosła go bez wysiłku.

– Co się dzieje? - poskarżył się głos z worka. - Odrobina narracji, jeśli łaska! Wyczuwam tu mroczną magię. Chciałbym to wiedzieć, jeśli zanosi się, że zarobisz strzałę w brzuch!

Zayl obejrzał się na Kullena i Thomasa, którzy prawie już się z nim zrównali.

– Mamy towarzystwo - poinformował Humberta. - Tym razem pozwól, że to ja będę mówił.



Mnich, który na imię miał Mikułow, zaskoczył trójkę nowoprzybyłych, kiedy podchodzili do ruin z przeciwnej strony.

Czarownica nazywała się Shanar, szczupły blondyn - Jacob, a barbarzynka przedstawiła się jako Gynwir. „Starsza, niż się wydaje na pierwszy rzut oka - ocenił Zayl - ale dobrze się trzyma”. Blondyn najlepsze lata miał już za sobą, ale czarownica, najmłodsza z całej trójki, była szczupła i wyjątkowo piękna.

Oni też zostali tu wezwani w jakimś niejasnym celu.

– Kryształowy Łuk Królestwa Niebios śpiewa - powiedziała Shanar, kiedy wszyscy się sobie przedstawili. - Słyszę go, a jego pieśń... ona do mnie przemawia. Nie umiem tego jaśniej wytłumaczyć.

– Studiowałem teksty opisujące Łuk - rzekł Kullen z przejęciem. - Według legend z owej pieśni rodzą się anioły. Deckard pisał o tym w

najważniejszej księdze naszego zakonu. A ty znalazłaś sposób, żeby ją wyczuwać, tutaj, w Sanktuarium?

Shanar kiwnęła głową.

– Pieśń przepływa przez nas wszystkich, w tajemniczy sposób kształtuje przeznaczenie śmiertelników, wibruje jak uderzony kamerton, którego drżenie jest odczuwalne tylko w otaczającym go eterze. Większość ludzi nie jest w stanie tego usłyszeć. Pieśń przyprowadziła mnie tutaj, do Tristram. - Wskazała Jacoba i barbarzyńkę. - Ich obecność była... wymagana. Pieśń objawiła to bardzo jednoznacznie.

Gynwir wyjątkowo czujnie przyglądała się nekromancie, zaciskając dłonie na stylisku topora.

– Co on tutaj robi? - spytała, rzuciwszy mu wrogie spojrzenie, i zwróciła się do Shanar. - Mówiłaś, że mamy ocalić Sanktuarium od zła, i wiesz, że będę się za to bić na śmierć i życie. Ale nie pisałam się na obecność jednego z nich.

Barbarzyńcy byli zabobonnym, uduchowionym ludem, zagorzale broniącym powierzonego im Kamienia Świata. Kiedy góra Arreat została zniszczona, a Kamień, jak sądzono, zaginął na zawsze, wielu z nich zaczęło szukać okazji do walki, żeby wypełnić czymś pustkę w sercu. Nie mogli liczyć na należyty pochówek wojownika na zboczach swojej ukochanej góry, przemierzali więc świat, a śmierć przestała się dla nich liczyć.

– Proszę, nie mam złych zamiarów - zapewnił Zayl. - Jestem tu z tego samego powodu, co wy: żeby walczyć z ciemnością i przywrócić Równowagę.

– E. - Barbarzyńka splunęła w pył. - Jeśli spróbujesz w mojej obecności swoich mrocznych czarów, posmakujesz ostrza mego topora. Pytam jeszcze raz, nekromanto, co robisz w Tristram?

– Poluje na barbarzyńców - odezwał się Humbart z worka. - A cóżby innego?

Barbarzynka zasłoniła swą obfitą pierś ściskanym oburącz toporem.

– Kto to? - Rozejrzała się czujnie. - Pokaż się!

Zayl westchnął. Spróbował się uśmiechnąć - nie był bynajmniej w przyjacielskim nastroju, chciał raczej uspokoić barbarzynkę. Ale uśmiech nie przychodził mu naturalnie, a sądząc po reakcji wojowniczk, przypominał raczej wyszczerzenie zębów. Nekromanta żałował nieudanego dowcipu Humbarta, nie chciał też wzbudzić podejrzeń reszty grupy, ale nie był jeszcze gotowy, by wyjawiać coś więcej. To spotkanie było zdecydowanie zbyt dużym zbiegiem okoliczności. Zayl miał pewność, że wkrótce coś się wyjaśni, jednak na razie postanowił milczeć.

Jakby w odpowiedzi w ciemności rozbłysło jasne światło, ukazując zarys ruin katedry. Wraz z nim równowaga została na moment zachwiana; Zayl poczuł to zaburzenie i usłyszał, jak Humbart klnie niewyraźnie, czerep odczuwał bowiem takie zmiany znacznie mocniej niż jakikolwiek śmiertelnik. Owa zmiana oznaczała obecność czegoś spoza tego świata, czegoś potężnego, sprzymierzonego z Niebiosami albo Piekłem i zagrażającego równowadze między światłem a ciemnością.

Co to było, Zayl nie umiał powiedzieć, ale przeczuwał, że niedługo wszyscy się przekonają.

Mnich poprowadził grupę z powrotem pod górę. Dotarli na szczyt, kiedy światło zaczęło gasnąć, i obiegli skraj zapadniętej katedry, kierując się ku cmentarzowi. Nagrobki dawno poprzekrzywiały się na wszystkie strony, z zatartych napisów zostały tylko niewyraźne linie i cienie. Ale spojrzenia wszystkich skierowały do ku temu, co najpewniej było wejściem na cmentarz.



Wznosiła się tam kolumna z czystego, białego kamienia, wysoka jak dwóch dorosłych mężczyzn; pięknie rzeźbiony, idealnie symetryczny monument o gładkich krawędziach zbiegających się w trójkątny wierzchołek z wyrytym symbolem. Tym samym, który widniał na sakwach towarzyszy mnicha.

Znakiem horadrimów.



Kiedy wiatr zmienił kierunek, poczuli woń zwęglonego drewna; u stóp postumentu spoczywały popioły. Thomas i Kullen podbiegli bliżej, reszta tuż za nimi, zostawiając Zayla na skraju cmentarza. Świat na chwilę ogarnęła cisza.

– Zostawili nas, tak?

– Nie poszli daleko, Humbarcie - powiedział cicho Zayl. - Proszę, nie drażnij ich. Dość już mam na głowie, nie chcę jeszcze tłumaczyć się z powodu twojego dość specyficznego poczucia humoru.

– To akurat najmniejszy z twoich problemów - głos Humbarta brzmiał nieco niewyraźnie przez materię worka. - Wybacz, ale twoje zachowanie wydaje mi się dość nieprzewidywalne. Najpierw gonitwa za tymi stworami, które porwały Salene...

– To nie twoja sprawa - uciął Zayl ostro.

– Trzeba to głośno powiedzieć. Za długo ze sobą jesteśmy, żebyśmy mieli się z tobą cackać. Straciłeś ją i to jest straszne. Ja też straciłem ukochaną... - Czaszka umilkła na chwilę. - Niepotrzebnie przywołałeś jej ducha i popędziłeś na oślep nie wiadomo gdzie, przez co trafiliśmy do tej dziury, gdzie ziemia jest zbrukana ludzką i demonią krwią. Przychodząc tu, nie wskrzesisz Salene. Wpadłeś prosto na bandę włóczęgów i złodziei, nie

myśląc o naszym bezpieczeństwie. Można by odnieść wrażenie, że chcesz przyspieszyć własny koniec.

– Tu chodzi o przywrócenie Równowagi między porządkiem a chaosem. Mój czas nadejdzie...

– ...kiedy nadejdzie i ani chwili wcześniej - przerwała czaszka. - Oczywiście. Ale może ten czas jest właśnie tu i teraz, hę? Może tu spotkasz swój koniec.

Zayl musiał przyznać, że Humbart trafił w sedno. Poczuł jednak mrowienie na skórze, takie samo jak wcześniej, ale znacznie silniejsze. W pobliżu był ktoś jeszcze, do tego ktoś bardzo potężny. Równowaga była zagrożona, ale nie sposób było powiedzieć, czy przez istotę światła, czy ciemności.

Zayl podszedł do pozostałych, którzy zebrali się wokół monumentu. Mnich i jego dwaj towarzysze zdawali się pogrążeni w żalu niemal bez reszty. „Tu leży poległy przywódca horadrimów, Deckard Cain”, pomyślał nekromanta. Ale skoro przybyli tu postawić kapliczkę, to kto wyrzeźbił kamień, który już tu stał?

Humbart mruknął coś niewyraźnie. Zayl spojrział w prawo. Zza szczytu wzgórza wyłoniła się barczysta postać z wygoloną głową, odziana w zbroję i powłóczyste szaty. Pobrużdżone, przystojne oblicze nieznanego przecinały zdobyte w boju blizny.

Niósł plecak i kroczył powoli, zdecydowanie, z niezmiennym wyrazem twarzy. Jeśli zauważył, że Zayl mu się przygląda, nie dał tego po sobie poznać.

Nekromanta powinien się zaniepokoić, ale nie wiedzieć czemu, nie czuł lęku. Pozostali również, jedno po drugim, zauważyli mężczyznę i odwrócili się ku niemu. Nieznajomy zatrzymał się przed nimi. Bił od niego spokój, cicha siła, dobre samopoczucie i światło. „Trag'Oul przemówił”, pomyślał

Zayl. Równowaga została przywrócona, choćby na krótko. Uświadomił sobie, że pod jego stopami z kamienistej, skażonej złem ziemi zaczyna kiełkować trawa.

– Witajcie, wojownicy światła - powiedział nieznajomy. - Jestem Tyrael z Rady Angiris i przybyłem prosić was o pomoc. Królestwo Niebios i całe Sanktuarium są w niebezpieczeństwie, a wy... - Obdarzył każde z nich po kolei spojrzeniem, które zdawało się przesywać ich na wskroś. - ...Wy jesteście jedyną nadzieją, jaka nam została.



## ROZDZIAŁ 4



*Rada Angiris, kilka tygodni wcześniej*

*Mądrość śnił o śmierci ludzi.*

*Tyrael spał na łożu z zimnego marmuru. W jego śnie Dni Ostatnie nadeszły znienacka. Czarna smoła kapąła i rozlewała się szeroko, jej macki rozprzestrzeniały się wśród chmur, puchnących na jasnoblękitnym niebie. Światłość opromieniająca ziemię zmieniła się i świat Sanktuarium zadrżał w posadach. Krzyk niezliczonych rzesz śmiertelników wzbił się ponad tuman pyłu, gdy w ziemi otworzyły się przepastne szczeliny. Największe dzieła ludzkiego rodzaju, wieże z drewna, kamienia i cegły runęły, miażdżąc ludzi. Całe miasta zniknęły w rozwierających się otchłaniach. Oceany wrzały i czerwieniały od krwi.*

*A mimo to słudzy Płonących Piekieł nie runęli naprzód, nie było to bowiem ich dzieło. Promienie jasnego światła przedarły się przez chmury, których czarna kipiela szalała nad ruinami. Anielska horda spadła na uczynione przez siebie dzieło zniszczenia, zasnuwając niebo, i bezlitośnie wyrznęła niedobitki.*



*Tyrael obudził się zlany zimnym potem, zamrugał. Od łez piekły go oczy. Dotknął twarzy, popatrzył na wilgotne palce, zdumiony tym, co zobaczył.*

*„Płaczesz nad losem swych śmiertelnych pobratymców”.*

*Archanioł nigdy dotąd nie płakał. Obolały podniósł się z kamiennej podłogi i rozprostował plecy, czując, jak jego mięśnie napinają się i rozluźniają. Tyle doświadczeń było dla niego nowych, każde go zaskakiwało. Próbował zapomnieć o mroku ze snu, ale ten spowił go niczym całun. Nie minęło wiele czasu od upadku Najwyższego Zła i obwieszczenia przez Tyraela nowej ery pokoju dla aniołów i ludzi. Dziś Rada Angiris miała po raz kolejny rozpocząć spór o rolę ludzkości w Wiecznym Konflikcie.*

*Anioły były dla Sanktuarium takim samym zagrożeniem jak demony z Płonących Piekieł. Tyrael najwyraźniej srodze się pomylił w swoich przepowiedniach. Jakim cudem do tego doszło, i to tak prędko?*

*„To wpływ Kamienia”.*

*Sanktuarium zostało potajemnie stworzone przez Inariusza eony temu i od tamtej pory archanioły debatowały nad jego losem. Imperius nie dałby sobie wyperswadować przekonania, że powinno zostać zniszczone. Nawet sam Tyrael kiedyś tak uważał, wiele wieków temu, zanim ludzkość udowodniła, że jest zdolna do wielkich rzeczy.*

*„Ale to nie Imperiusa powinna się lękać”, pomyślał, kierując się do sali Rady. Szedł samotnie przez Niebiosy, trawiony złym przeczuciem. Zdanie Archanioła Odwagi było powszechnie znane. Ale Auriel... to do niej należał rozstrzygający głos. Jeśli popierała dalej istnienie Sanktuarium, była szansa, że Iterael stanie po jej stronie. Nawet gdyby tego nie zrobił, bez Maltaela nastąpi pat.*

Tyrael próbował jeszcze raz pomówić z Auriel po tym, jak przerwała jego konfrontację z Balzaelem. Przed wejściem do Ogrodów Nadziei zatrzymała go członkini jej anielskiej świty, powiedziała, że Auriel odpoczywa i nie zobaczy się z Tyraelem. Ogrody były miejscem spokoju i błogości, anioły spędzały tam czas, medytując i poszukując równowagi przy dźwiękach niebiańskiego chóru, od którego drzewa migotały światłem i muzyką. „Auriel nie pozwoli zasiać wśród nich konfliktu”, powiedziała strażniczka. Dała Tyraelowi symbol pokoju, świetlisty kwiat do ozdobienia szat, tak jak każdemu odwiedzającemu ogrody, ale przemawiała lekceważącym tonem. Czy zachowałaby się tak samo, zanim Tyrael odrzucił skrzydła?

Odprawić go - to nie byłoby podobne do Auriel, nawet w tych okolicznościach. Tyrael opuścił ogrody bez protestu, ale to, co tam zobaczył, przejęło go chłodem. Drzewa wciąż migotały świetlistością, ale w ich blasku pojawiły się ledwie zauważalne smugi szarości, jakby...

Nie. Nie wolno mu było tak myśleć. Może prawdziwy problem tkwił w nim, w jego niedawno zyskanej śmiertelności i natłoku dziwnych emocji, które odczuwał. Czyżby decyzja o powrocie do Rady Angiris jako śmiertelnik była jednak błędem? Czyżby nie mógł już orzekać jako Mądrość czy ktokolwiek inny?

Dotarł do sali obrad. Przed wejściem czekał na niego Imperius.

Archanioła Odwagi otaczali członkowie Luminarei - wśród nich Balzael, który, widząc Tyraela, wystąpił naprzód. Chciał się odezwać, ale Imperius odepchnął swojego zastępcę na bok i wyminął go, rozkładając skrzydła w rozbłysku światła.

- Twoje próby przeciągnięcia naszej siostry na swoją stronę były błędem - oznajmił. - Zabronione jest prowadzenie debaty, zanim zostanie ona podjęta na formalnym posiedzeniu. Swoją lekkomyślnością zagroziłeś całej Radzie. Czyżby twoje śmiertelne ciało mąciło ci osąd?

Odkąd Tyrael postanowił odrzucić skrzydła, na zawsze zmieniając swoje relacje z Radą, konflikt jego i Imperiusa pozostawał nierozstrzygnięty, wisząc nad nimi niczym czarna chmura.

– Nie pozwalaj, żeby nasze niezałatwione porachunki wpłynęły na twoją opinię - odparł. - To, co się tu dzisiaj dzieje, nie ma nic wspólnego z gniewem, jaki wzbudziły w tobie moje decyzje.

– Mądrość. - Skrzydła Imperiusa zadrżały z wściekłości albo rozbawienia, Tyrael nie potrafił ocenić. - To ma być twoja rada dla mnie? To wyczytałeś w studniach mądrości? Nie sądzę. Śmiertelnik, który zagląda w Kielich, może oślepnąć, Tyraelu. Może boisz się tego, co mógłbyś zobaczyć.

– Nie boję się niczego oprócz twojego umiłowania waśni. Kamień oddziałuje na Królestwo Niebios, nawet w tej chwili. Odwaga nie oznacza wytracenia niewinnych.

– Bzdura - uciął zimno Imperius. - Kamień nie może nam tu wyrządzić żadnego zła. Dostrzegasz w tym pretekst do zawarcia pokoju, ale ten nie zapanuje, dopóki Sanktuarium nie zostanie zniszczone. Zwycięstwo, o które walczymy, wymaga ofiar. Najwyższe Zło omal nie rzuciło nas na kolana, Tyraelu! Wrota nigdy przedtem nie padły. Nie ma miejsca na litość. Już nie!

Odwrócił się do wejścia, jakby nie chciał więcej Tyraela oglądać. Archanioł Mądrości złapał Imperiusa za opancerzone ramię. Poczł wyładowanie mocy, które niemal zaparło mu dech w piersi. Zgrzytnął zębami.

– Nie rób tego, Imperiusie - poprosił. - Jest w nich także wielkie dobro. Nie odwracaj się plecami do szansy, którą nam dano.

Balzael znów wystąpił, ale Imperius oddalił go machnięciem ręki. Strząsnął dłoń Tyraela, jakby brzydził się jej dotykiem, a ton politowania w jego głosie był o wiele gorszy niż gniew.



– Świat ludzi zbyt długo już zagraża naszemu istnieniu - powtórzył. - To narzędzie, którego Piekła używają przeciwko nam. Postanowiłeś dołączyć do śmiertelników i nie można już ufać twojemu osądowi. Wkrótce się przekonasz. Rada podejmie działanie, podoba ci się to czy nie.



– Nie zapominaj, że gdy ostatnim razem los Sanktuarium zależał od Rady, ostateczny głos przeważył szalę na korzyść ludzi - powiedziała Auriel. - Żeby na nowo rozpocząć taką debatę, musisz przedstawić dowód fundamentalnej zmiany, która takiej debaty wymaga.

– Dowód jest oczywisty! - zagrzemiał Imperius ze swojego miejsca nad podłogą. Nachylił się i wskazał Czarny Kamień Dusz. Uderzył skrzydłami, wstęgi światła oplotły jego złocistą zbroję i rozkazujący ton wypełnił salę. - Oto spoczywa przed nami w niemym osądzie.

– Nie uważasz, że Kamień jest wśród nas bezpieczny? - spytała Auriel.

– Spieraliśmy się już o to wiele razy. Największym zagrożeniem nie jest sam Kamień, ale ludzie, którzy go stworzyli. Zbyt długo już powstrzymywaliśmy się od działania. A podczas gdy my bez końca, całe wieki się kłócimy, Piekło szepcze swoje plugawe sekrety w uszy śmiertelników, zagarnia ich dusze i wykorzystuje ich świat przeciwko nam. Kamień Dusz to tylko jeden z wielu przykładów. Stworzyli go ludzie, Auriel! Gdyby nie to, czy wrota Niebios padłyby przed Najwyższym Złem? Czy stracilibyśmy tylu braci i tyle sióstr, czy brakowałoby tak niewiele, by Łuk został strzaskany na naszych oczach?

– To nie jest wcale takie jednoznaczne, jak wynika z twoich słów - odparła Auriel. Tyrael przyglądał się jej ze swojego miejsca. Jej głos był spokojny, brzmiał jak całkowite przeciwieństwo żarliwych przemów

*Imperiusa, ale Tyrael wyczuwał w niej to samo napięcie co wówczas, gdy spotkał ją w tej sali poprzednio. - Najwyższe Zło mogło po prostu znaleźć inny sposób i być może wtedy udałooby mu się zniszczyć Łuk.*

*Imperius się zaśmiał, ale nie był to serdeczny śmiech.*

*- Nadzieja czyni cię ślepą na prawdę, siostrze. Słudzy Płonących Piekieł zostali pokonani, ich przywódcy - ciśnięci w otchłań. Teraz jest idealna pora na nasze działanie! Mamy szansę zadać decydujący cios. Sanktuarium zawsze było naszą największą słabością. Zniszczmy je, a szala zwycięstwa przechyli się na naszą stronę i zakończymy Wieczny Konflikt na zawsze.*

*W sali Rady zapadła cisza.*

*- Wciąż jest nadzieja dla ludzi - rzekła w końcu Auriel. - Pamiętaj, że zrodziły ich pospółu anioły i demony. Mają w sobie tyle samo światła, co ciemności.*

*Ale w słowach Archanioła Nadziei nie było stanowczości i jej argumenty zabrzmiały słabo. Tyrael odchrząknął. Nie uszło jego uwagi, że Imperius przez większość posiedzenia zdawał się unikać jego spojrzenia.*

*- Nie zapominajcie o roli, jaką nefalemowie odegrali w pokonaniu Najwyższego Zła! - zawołał. - To prawda, Czarny Kamień Dusz został stworzony w Sanktuarium i wykorzystany przeciwko nam. Ale nefalemowie stawili czoła złu i pokonali je, kiedy my, strażnicy Niebios, nie mogliśmy nic zrobić.*

*- A ty ogłosiłeś nastanie nowej, złotej ery aniołów i ludzi, zjednoczonych po wieki wieków - odparł Imperius głosem przepelnionym ledwie skrywanym obrzydzeniem. - Może trzeba było skonsultować się z Radą, zanim złożyłeś taką obietnicę.*

*W lodowatych słowach archanioła brzmiało wyzwanie; w powietrzu znów zawisła groźba. Tyrael nie zamierzał dać się sprowokować, nie tym razem.*

– Nefalemowie posiadają umiejętności, które dopiero zaczynamy rozumieć - rzekł. - Jeśli zniszczymy ich teraz, możemy stracić najpotężniejszą broń przeciwko złu.

Imperius podniósł głos.

– Łamiąc prawa Niebios, raz po raz mieszałeś się w sprawy świata ludzi! Do tego postanowiłeś odrzucić skrzydła. To tylko kolejny przykład twojej lekkomyślności! - Odwrócił się do pozostałych członków Rady. - Pora zająć się kwestią, która dotyczy nas wszystkich. Gdyby nie wtrącanie się Tyraela w sprawy śmiertelniczki Lei i jej matki, Najwyższe Zło nie zagnieździłoby się w Kamieniu.

– Nie nam o tym wyrokować - powiedziała Auriel. - A Mądrość nie stoi tu przed sądem.

– W takim razie być może Mądrość powinien nam doradzić. - Iterael, Archanioł Losu, przez większość posiedzenia milczał. Właściwie w ogóle rzadko się odzywał; jego słowa zaskoczyły Tyraela. - Zajmijmy się inną sprawą, wciąż nierozstrzygniętą mimo licznych debat - co zrobić z Czarnym Kamieniem Dusz.

– Mądrości już z nami nie ma - odpowiedział mu Imperius. - Maltael odszedł i nigdy nie wróci.

– Bacz na swój ton, bracie - ostrzegła Auriel. - Nie obrażaj decyzji Tyraela, by dołączyć do Rady, to ci nie przystoi.

– O Mądrości, w takim razie powiedz nam, czego dowiedziałeś się z Chalad'ara - znów zakpił Imperius. - Powiedz nam, co zrobić z Kamieniem. Już zbyt długo Rada była co do tego podzielona. A może plotki, które krążą wśród aniołów, są prawdą i jeszcze nie zajrzałeś do Kielicha?

Iterael i Auriel odwrócili się do Tyraela, czekając, aż przedstawi rozwiązanie. Archanioł popatrzył na Kamień Dusz leżący na postumencie, wyobraził sobie, że widzi w czarnym sercu błysk krwawoczerwonego

światła. „Ciemność przesącza się w to święte miejsce”, pomyślał. „Rozpełza się i zostawia swój ohydny ślad na wszystkim, czego tknie”.

Tyrael podjął decyzję. Nie miał jednak pewności, jak zostanie przyjęta jego rada, i wahał się trochę za długo.

Imperius się odwrócił.

– Maltael zawsze miał dla nas odpowiedzi, jednak ten tutaj znów milczy. Wobec tego ja przemówię za niego. Rozbijemy Kamień w Piekielnej Kuźni.

Auriel mruknęła coś niezrozumiale. Na reakcję nie trzeba było długo czekać.

– Zniszczenie Kamienia jest ryzykowne. Nie powinniśmy tego robić - zaprotestował Iterael. - Został stworzony przez ludzką magię; jego przeznaczenie jest dla mnie tajemnicą. Nawet Zwój Losu nie mówi nam, co może wyniknąć z takiej próby...

– Kamień należy ukryć! - oznajmił Tyrael.

Jego słowa zabrzmiały głośniejsz i mocniej, niż zamierzał. Pozostali archaniołowie umilkli i zwrócili się ku Mądrości. Odchrząknął, zżymając się w duchu, jak słabym może się przez to wydawać. Gardłu uczynionemu z krwi i kości nie można było ufać, gdy chodziło o taką przemowę.

– Iterael ma słuszność - podjął. - Moc Czarnego Kamienia Dusz jest nam nieznana. Horadrimski mag Kull stworzył go, używając magii, jaką dysponują wyłącznie nefalemowie. Nie możemy ryzykować próby zniszczenia czegoś takiego; możliwym jest nawet, że tym samym ponownie uwolnilibyśmy Najwyższe Zło.

– Ukryć gdzie? - spytała Auriel z rezerwą, jakby domyślała się, co Tyrael chce zaproponować. - Dyskutowaliśmy już o tym, ale nie zdołaliśmy dojść do porozumienia. Nie może zostać w sali Rady na zawsze.

Tyrael patrzył na skrzydlatych, czując ogarniający go smutek. Nie wątpił, że oni z kolei patrzą na niego pełni podejrzeń, może skrywanej wrogości.

*Nawet aura Nadziei uległa zmianie, skrzydła Auriel pulsowały delikatnie światłem tak samo zanieczyszczonym jak drzewa w jej Ogrodach.*

*Nie był Sprawiedliwością ani Mądrością, ani też człowiekiem: był śmiertelnym aniołem, a ktoś taki nie pasował ani do ich świata, ani do żadnego innego. Jego wizja pokoju z krainą ludzi i wiecznego snu wieńczącego to nowe, doczesne życie powoli bladła.*

*Nigdy nie chciał, żeby do tego doszło.*

*– W Sanktuarium - powiedział w końcu. - Musimy ukryć Kamień w miejscu, gdzie nie dosięgnie go żaden anioł ani demon.*

*– Oszalałeś?! - ryknął Imperius. Jego głos przetoczył się przez salę Rady niczym huk gromu. - Chcesz go zanieść tam, gdzie go stworzono; gdzie słudzy Piekiel obracają ludzkie dusze przeciwko nam? Ciemność znajdzie sposób, by znów powstać, a Kamień stanie się bronią, która zniszczy nas wszystkich!*

*– Już wcześniej ukrywałem Kamienie Dusz w Sanktuarium - odparł Tyrael. - Wiązałem je magią nefalemów i zamykałem w nich Najwyższych Złych...*

*– A im zawsze udawało się na tyle zdeprawować istoty ludzkie, by pomogły im uciec - przerwała mu Auriel. - Ja również nie mogę się na to zgodzić, Tyraelu. Imperius ma rację, Sanktuarium nie może wiedzieć, że Czarny Kamień Dusz wciąż istnieje. Jest o wiele bezpieczniejszy tutaj, gdzie mogą strzec go Luminarei.*

*– Nie widzicie, co ten Kamień z wami robi? - Tyrael również podniósł głos. Wstał ze swojego siedziska i zaczął schodzić po materializujących się przed nim stopniach przesyconych energią Niebios. - Siedzicie tu i oszczędzacie mnie, podczas gdy wszystko dookoła z każdą chwilą robi się coraz zimniejsze i ciemniejsze. Trzeba go stąd zabrać, bo ryzykujemy splugawienie wszystkiego, co dla nas najświętsze!*

Imperius wyciągnął oskarżycielsko palec w stronę Tyraela, stojącego teraz na środku sali.

– Zarzucasz nam, że staliśmy się ślepi i leniwi w wypełnianiu naszych obowiązków, w przestrzeganiu praw Niebios, podczas gdy ty sam, Archanioł Sprawiedliwości, dobrowolnie porzuciłeś swoje obowiązki i przyoblekleś ciało śmiertelnika?

– Twoja wściekłość to jeden z objawów. Kamień karmi się waszym światłem, pije waszą esencję i czeka, aż osłabniecie na tyle, że zaczną spadać gwiazdy...

– Nedorzecznosc. Nie sądzisz, że potrafimy wyczuć takie zagrożenie?

– Duma nie pozwala wam dostrzec prawdy. Nie czujecie tego tak jak ja. Nie jesteście... śmiertelni.

W rozbłysku ognia Imperius wystrzelił ze swojego tronu, stanął przed Tyraelem i nachylił się nad nim groźnie.

– Jak rzekłeś, nie jesteśmy. Wystarczająco już obraziłeś Radę. Powinniśmy byli działać dużo wcześniej. Nie będę dłużej znosić twojej bezczelności!

Zapadła cisza, chwila zamrożona w czasie. Całkiem niedawno w tym samym miejscu stanęli naprzeciwko siebie i doszło do wymiany ciosów.

– Nie podniosę na ciebie broni, Imperiusie - rzekł Tyrael. - Nie tym razem.

Wyminał Archanioła Odwagi, który ani drgnął. Serce Tyraela biło jak oszalałe, kiedy szedł w stronę wyjścia.

– Dokąd idziesz? - zawołała za nim Auriel. - Prawa Rady zabraniają wychodzenia, kiedy trwa posiedzenie.

Tyrael przystanął pod łukiem.

– Nie mogę dłużej zasiadać między wami jako Archanioł Mądrości. Albo uszanujecie mój wybór, by odrzucić skrzydła, albo nie zostanę wśród was. A

jeśli zatrzymacie tu Kamień, Sanktuarium będzie zgubione, i Królestwo Niebios razem z nim. Lękam się, że wybieriecie drogę, z której nie ma powrotu.



Pod wyjściem na Tyraela czekał Balzael z obnażoną bronią, za nim stało dwóch innych. Krzepki strażnik zastawił archaniołowi drogę; od jego zbroi biła złocista poświata.

– Obraziłeś Radę - rzekł. - To wbrew prawom...

– Zejdź mi z drogi, Luminarei - przerwał mu Tyrael. - Czy zamierzasz może użyć miecza?

– Anioł bez skrzydeł - odpowiedział Balzael. - Jesteś jak ptak z podciętymi lotkami, który nie może latać. Może powinniśmy wsadzić cię do klatki.

Tyrael dobył El'druina. „Jak śmiesz mnie obrażać, ty, któremu przez tyle lat rozkazywałem?”, pomyślał. Trzymany dotąd na wodzy gniew wezbrał w nim niczym żarłoczny płomień.

– To byłaby ostatnia rzecz, jaką spróbowałbyś zrobić - zagroził.

Balzael podniósł broń i stanął w szermierczej pozycji. El'druin zatoczył potężny łuk, Tyrael włożył w cios całą swoją wściekłość; Luminarei został zepchnięty w tył i rzucony na kolana. Gniew był jak oczyszczający ogień, trawił go od środka, zarazem jednak dławił moc El'druina.

Tyrael zamachnął się ponownie, czując drżenie mięśni, ale Luminarei błyskawicznie przetoczył się w bok i poderwał na nogi z mieczem w gotowości.

– Dość!

W łuku wejścia stanął nagle Imperius. Rozłożone, ogniste skrzydła strzelały wyładowaniami niczym błyskawice otaczające jego pancerną sylwetkę.

– Panie - powiedział Balzael - on wyszedł z Rady w trakcie obrad! Trzeba go postawić w Kręgu...

– Niech idzie - rozkazał Imperius. - Spójrz na jego kości, na jego ciało. Śmiertelność go osłabiła, nie jest w stanie pełnić swoich obowiązków.

– Mylisz się - odparł Tyrael. - Mój duch jest teraz silniejszy niż kiedykolwiek, Imperiusie.

– To dlaczego nie zajrzałeś wciąż do Chalad'ara? Boisz się tego, co możesz w nim zobaczyć? A może to coś, czego śmiertelnik nie potrafi znieść?

– Moje decyzje należą do mnie i nie muszę się z nich tłumaczyć.

– I po raz kolejny postanowiłeś stanąć po stronie Sanktuarium - powiedział Imperius. - Jeśli Rada zagłosuje za zniszczeniem go i wyeliminowaniem raz na zawsze zagrożenia, jakie ten świat stanowi dla Niebios, czy dalej będziesz stał po stronie ludzi i zginiesz razem z nimi?

Tyrael popatrzył na Balzaela, nadal z mieczem w dłoni, i na Imperiusa, stojącego w przejściu, jakby chcącego upewnić się, że Mądrość nie zdoła wrócić. Schował El'druina. Nagle przeszła mu wściekłość. „Nawet na mnie działa ta plugawa, czarna smoła, która rozlewa się po naszym królestwie”, pomyślał. Muszę znaleźć sposób, żeby położyć temu kres.

– Jeśli taka będzie wola Rady, niech tak się stanie - rzekł.

A potem odwrócił się i zostawił ich tam, świadom, że oto zrobił kolejny krok na drodze, której końca nie potrafił przewidzieć.





## ROZDZIAŁ 5



### *Spotkanie złodziei*

Tyrael odepchnął wspomnienie debaty Rady Angiris i skupił się na otaczających go ludziach. Na ich twarzach malowały się - w różnych proporcjach - sceptycyzm i nabożny podziw. Jacob najpewniej wyczuł El'druina z daleka, a nekromanta Zayl prawie na pewno wiedział o nadejściu Tyraela na długo, zanim ten pozwolił, by go dostrzegli. Zaakceptowali jego obecność i to, co miał do powiedzenia, choć każdy z innych powodów.

Co do pozostałych nie miał tej pewności.

Mnich wykazał się imponującą siłą i męstwem w bitwie ze sługami Beliala w Gea Kul, a serce miał czyste. Ale podążał własną ścieżką, a skutki, jakie mogły z tego wyniknąć, były w najlepszym razie groźne. Jego dwaj towarzysze z odrodzonego w Gea Kul Zakonu Horadrimów posiadali cenną wiedzę, jednak nie zgłębili jeszcze ukrytych zasobów mocy, którą posiadali, i możliwe było, że nigdy im się to nie uda. Czarownica była utalentowana, bez dwóch zdań, ale równie uparta i cyniczna; blizny nie znaczyły jej ciała, a jedynie duszę, były za to wyjątkowo głębokie i niełatwo będzie się z nimi uporać. Barbarzynka zaś, kobieta bez plemienia

czy poczucia przynależności, posiadała wielką fizyczną siłę, ale mało pewności siebie.

„Zbieranina obcych sobie ludzi i nic ponadto”, pomyślał Tyrael. Przypomniała mu się chwila sprzed wielu wieków, kiedy to stał przed podobną drużyną i powierzał jej zadanie, które zdawało się niemożliwe do wykonania. Obecne było jednak jeszcze trudniejsze. Kim mogą się okazać, jeśli przystaną na to, co ma im do powiedzenia - to zależało tylko od niego.

– Wybaczcie te tajemnice - powiedział. - Każde z was pokonało wielkie niebezpieczeństwa. Ale to było konieczne z przyczyn, które wkrótce pojmiecie. Spotkaliście się tu, w Tristram, nieprzypadkowo.

– To byłeś ty - weszła mu w słowo czarownica Shanar. Zabrzmiało to jak oskarżenie. - To ty stałeś za pieśnią!

– Ty byłeś człowiekiem, który objawił się mi z posłannictwem bogów - dodał Mikułow.

– Pisma niejednokrotnie wspominają, że archanioł Tyrael kroczył pomiędzy ludźmi - odezwał się Kullen, uczony. - I to samo usłyszeliśmy nie tak dawno od Lei. Ale, wybacz śmiałość, nie jesteś aniołem.

– Postanowiłem przybrać śmiertelną postać - odparł Tyrael. - Wiele muszę wyjaśnić. Znałem waszego dawnego przywódcę, horadrimie, człowieka wielkiego honoru. Ofiara, którą złożył za naszą sprawę, nie zostanie zapomniana.

– Przebyliśmy długą drogę, żeby wznieść tu pomnik, tylko po to, żeby zastać już stojący, o wiele bardziej imponujący niż wszystko, co moglibyśmy zbudować - powiedział Thomas. Odwrócił się do obelisku z białego kamienia. Symbol horadrimów na jej wierzchołku zdawał się lśnić w świetle księżyca. - To twoje dzieło?

Tyrael kiwnął głową.

– Tak długo, jak istnieje Sanktuarium, nie da się go zniszczyć. Będzie trwać jako świadectwo odwagi Deckarda, będzie blaskiem światła w ciemnościach.

Powiódł spojrzeniem po zwróconych ku niemu, wyczekujących twarzach. Nie ufali sobie nawzajem ani jemu, a to, co miał im do powiedzenia, najpewniej jeszcze pogorszy sytuację.

Było tyle do zrobienia, a tak mało czasu.

– Rozpalmy ognisko, żeby się ogrzać i odpędzić mrok - powiedział. - A potem wszystko wam opowiem.



Ułożyli krąg z kamieni i naznosili gałęzi z uschniętych drzew porastających wzgórze. Thomas próbował zapalić poczerńiałe, wyniszczone zarazą drewno przy pomocy krzesiwa, ale nie chciało się zająć, dopóki Shanar nie użyła swojej magii. Płomienie mogły ściągnąć czyjąś uwagę, wszyscy jednak z radością powitali ciepło, gdyż noc zrobiła się lodowata i jeszcze ciemniejsza.

Usiedli w małych grupkach - Mikułow i horadrimowie razem, Shanar, Jacob i Gynwir z dala od Zayla. Barbarzynka, odkąd pojawił się nekromanta, nie wypuściła z dłoni topora.

Tyrael opowiedział im, jak wiele tysięcy lat temu Sanktuarium zostało stworzone przez anioła Inarius, który opuścił Królestwo Niebios znudzony Wiecznym Konfliktem i zapragnął stworzyć miejsce ukryte przed obiema stronami, gdzie podobnie myślące anioły i demony mogłyby współistnieć w harmonii. Na przekór wszelkim przeciwnościom, Inarius zakochał się w demonie Lilit, córce Mefista. Z ich bezbożnego związku narodzili się pierwsi nefalemowie - Rathma, Bul-Kathos, Esu i inni - zupełnie nowa rasa

potężnych istot, które zaludniły świat i zaczęły się rozmnażać, choć raz po raz próbowano ich zniszczyć. W każdym pokoleniu potomstwo nefalemów traciło moce przez bliskość Kamienia Świata, aż w końcu stali się ludźmi. Nadal jednak moc była w nich silna na tyle, by obudzić magię w jej obecnej postaci.

– Po zniszczeniu Kamienia Świata przed dwudziestu laty - ciągnął Tyrael - moce nefalemów zaczęły się na powrót budzić u tych z ludzi, którzy potrafili ujarzmić tajemnice starożytnych. Musicie zrozumieć tę historię, bo to z niej wynika, dlaczego jesteśmy dziś tutaj.

– Nefalemowie byli odważni i bez skazy - powiedział Kullen. - Czytaliśmy o nich w starych tekstach.

Tyrael pokiwał głową. Potem opowiedział im o stworzeniu Czarnego Kamienia Dusz przez horadrimskiego maga Zoltuna Kulla, jednego z pierwszych członków Zakonu Horadrimów i człowieka wielkich możliwości. Los Kulla stanowił przestrożę przed niebezpieczeństwami, którym wszyscy musieli stawiać czoła. Moc potrafiła korumpować, pokusa, by zwrócić się ku ciemności, była silna, a nieustające pragnienie Kulla, aby zyskać nieśmiertelność, stało się przyczyną jego upadku. I choć Kull został ostatecznie pokonany, jego Czarny Kamień Dusz, artefakt o wielkiej i niepoznanej mocy, został użyty wiele wieków później do przemiany dziewczyny imieniem Lea w Najwyższe Zło i szturm na bramy Niebios. Kryształowy Łuk ocalał tylko dzięki bohaterskim czynom prawdziwego nefalema, śmiertelnika obdarzonego mocami płynącymi z jego starożytnego dziedzictwa, potężniejszego od najsilniejszych aniołów czy demonów.

Opowieść ciągnęła się długo, ogień zaczął przygasać. Gynwir podniosła się, żeby dorzucić drewna, a Shanar tchnęła życie w płomienie.

– Ten bohaterski nefalem przemierza teraz ziemie na wschód od Zachodniej Marchii - mówił Tyrael. - Szuka więdzmy Adrii, która zaginęła.

Przybyłem do Sanktuarium i zebrałem was tu, ponieważ musimy zająć się inną sprawą najwyższej wagi, a czasu zostało bardzo niewiele. Czarny Kamień Dusz znów zagraża wszystkiemu, co kochamy, ale nie można go w bezpieczny sposób zniszczyć. Jest tylko jedno wyjście. Trzeba go ukryć. Wybrałem was - tak jak wieki temu zebrałem horadrimów, by wytropić i pojmać Najwyższych Złych - abyście pomogli mi w tym nadzwyczaj ważnym zadaniu.

Kullen pierwszy przerwał ciszę, która zapadła po tych słowach. Przypominał Tyraelowi Deckarda Caina; choć fizycznie zupełnie się różnili, łączyła ich wrodzona ciekawość i bystrość umysłu.

- Jakiś czas temu posłaniec przyniósł do naszej świątyni w Gea Kul list od Lei - powiedział uczony. - Napisała w nim, że w Tristram odnaleziono nieznanego ze złamanym mieczem. Opisała śmierć Deckarda z rąk kultystów i znalezienie Kamienia Dusz. Napisała także, że odnalazła swoją matkę, wciąż żywą, i prosiła nas o pomoc w odcyfrowaniu prawdziwej natury Kamienia.

- A więc wiesz, że mówię prawdę.

- Adria była przekonana, że Kamień skrywa klucz do zniszczenia siedmiu Złych z Płonących Piekieł. Przetrzaśnałem naszą bibliotekę, szukając wszelkich informacji o kamieniu, i wysłałem swoje zapiski do Kaldeum, ale wróciły do mnie. Posłaniec powiedział, że nie mógł znaleźć Lei. A ty mówisz, że ona...

Kullen urwał i ostrożnym ruchem zdjął okulary. Wyjął z torby gałganek, otarł wilgotne oczy i ponownie założył szkła.

- Tyle lat zastanawiała się, co spotkało jej matkę - powiedział głosem ochrypłym ze wzruszenia. - Zasłużyła na lepszy los.

- Walczyła przeciwko temu, co opętało jej duszę - rzekł Tyrael. - Upadek wrót nie był jej dziełem. Najwyższe Zło już nią zawładnęło. Nie sądzę, by

długo cierpiała.

Kullen kiwnął głową, zerkając na swoich dwóch towarzyszy, Thomasa i mnicha.

– Gdzie teraz jest Kamień? - spytał.

– Spoczywa w Niebiosach, chroniony przez Luminarei, Obrońców Łuku.

– Świętą straż? Czemu go tam nie zostawić?

– Kamień jest zbyt niebezpieczny. Już zaczął plugawić Niebiosą i obawiam się, że niedługo będzie za późno na jakiegokolwiek działanie. Ale Rada Angiris nigdy dobrowolnie nie zgodzi się, by strzegli go ludzie.

– Co w takim razie proponujesz?

Tyrael popatrzył uczonemu w oczy.

– Musimy wtargnąć do Nieba i go ukraść.

Patrzyli na niego wstrząśnięci i pełni niedowierzania.

– Wtargnąć do Nieba? - powtórzył Kullen. - Według moich badań ludzka stopa nigdy tam nie powstała, a przynajmniej przed ową bitwą z Najwyższym Złem, którą opisujesz. Śmiertelnicy nie są w stanie pojąć piękna Wysokich Niebios, ich przytłaczającego ogromu. Ryzyko towarzyszące takiej próbie...

„Masz słuszość - zgodził się w duchu Tyrael. - Nawet ja mogę postradać życie w tych zmaganiach”. Ta myśl przyszła mu do głowy nieproszona i zaskoczyła swoją siłą. Jego dłoń skierowała się do wewnętrznej kieszeni szaty jakby kierowana własną wolą, potem opadła. Śmierć przychodzi po wszystkich śmiertelników, prędzej czy później.

– Wybaczcie tę odrobinę sceptycyzmu - odezwała się Shanar. Wstała ze swojego miejsca, jej ładną twarz oblał rumieniec. - Szłam za Pieśnią Łuku, bo nie miałam wyjścia; to była wola Niebios. Poprzednim razem, kiedy to się stało, zostałam uwięziona w jaskini, za całe towarzystwo mając miecz, aż ten tu... - wskazała Jacoba - w końcu łaskawie się pojawił. Zaś teraz przybyliśmy nie wiadomo z jak daleka w to przeklęte miejsce, a ty nam

mówisz, że mamy podjąć się wypełnienia zadania, które przyniesie śmierć nam wszystkim?!

Słowa czarownicy zawisły w powietrzu; pozostali milczeli. Tyrael widział, jak popatrują po sobie ukradkiem, jakby żadne z nich nie chciało się odzywać pierwsze. Na ich twarzach malowała się nieufność, niepewność, nawet strach.

– Wybrałem was wszystkich nie bez przyczyny - powiedział Tyrael. - Każde z was odegra istotną rolę w uratowaniu waszego świata, jak również tego, który znajduje się ponad nim. Zaylu, nie tak dawno walczyłeś z potężnym demonem i zwyciężyłeś. Mikułowie, Thomasie, Kullenie, staliście ramię w ramię z Deckardem Cainem w Gea Kul, stawiając czoła mrocznemu czarownikowi sprzymierzonemu z Belialem, i pokonaliście armię nieumarłych. Shanar, Jacobie, Gynwir, nie cofnęliście się w obliczu plagi szaleństwa. - Podniósł głos: - Staniecie przed straszliwymi niebezpieczeństwami i wyzwaniem, które będą się zdawały niepokonane. Ale wszyscy macie w sobie nieodkryte zasoby siły danej wam w chwili narodzin; w waszych żyłach płynie krew aniołów i demonów, światło wraz z ciemnością. Dzięki temu jesteście w stanie władać mocą przekraczającą wasze pojmowanie.

– Nasza siła... - powtórzył wolno Jacob, jakby próbując coś zrozumieć. Do tej pory głównie milczał. - Wszyscy lepiej lub gorzej umiemy walczyć, ale to, o czym mówisz, wymaga o wiele więcej. Do tego potrzeba armii.

Tyrael wyciągnął miecz. Przysunął jego lśniąca klingę do światła.

– Kiedy utraciłem swą fizyczną formę wraz ze zniszczeniem Kamienia Świata, ty dzierżyłeś El'druina jako awatar Sprawiedliwości - powiedział. - To nie był przypadek, Jacobie. Możesz wiele nauczyć wszystkich tu zebranych.



– Moc, którą władałem jako narzędziem Sprawiedliwości, otrzymałem poprzez miecz - odparł Jacob. - El'druin wrócił do swojego pana. Nie jest już mój.

– Co się teraz dzieje? - Głos był stłumiony, nieco poirytowany, jakby należał do kogoś, kto zbyt długo siedział w niewygodnej pozycji. - Nic tu, do diabła, nie widzę!

Tyrael zobaczył, że Zayl poklepuje pękatą sakwę przy pasie.

– Jeszcze chwila, Humbarcie - powiedział cicho nekromanta i spojrzął na archanioła. - Przybyliśmy na wezwanie. Nie wiem jak inni, ale ja jestem gotów zaakceptować wiele z tego, o czym mówisz. Powiedz jednak, czy masz jakiś plan, jak dokonać tej kradzieży?

Tyrael się zawahał. Bardzo dużo czasu spędził, ślęcząc nad starożytnymi pismami Deckarda Caina w poszukiwaniu odpowiedzi. Musiał znaleźć idealną kryjówkę dla Kamienia, miejsce, gdzie byłby on bezpieczny przed wszystkimi, którzy pożąдали jego mocy.

W końcu ją znalazł, w zdawkowych wzmiankach zawartych w *Księgach Kalana* ze zbiorów Caina.

– Gdzieś w zachodnich krainach znajduje się ukryta twierdza, potężne miasto zbudowane przez nefalemów; teraz puste, ale chronione przed aniołami i demonami. Uważam, że to jedyne miejsce, gdzie bezpiecznie możemy ukryć Kamień.

– A jak konkretnie mamy je znaleźć? - Shanar wciąż była sceptyczna.

– Deckard Cain uważał, że Rakkis i jego synowie odkryli je wiele lat temu i że leży gdzieś blisko Bramwell albo Zachodniej Marchii. W świętych tekstach Zakarum Cain znalazł akapit mówiący o kluczu do odnalezienia fortecy, o jakiejś mapie. Sam pisał, że Rakkis mógł posiadać inne dokumenty, zawierające więcej informacji na temat opuszczonego dawno miasta. Ale zostały gdzieś ukryte.

– Istnieje kilka mniej znanych tekstów, w których można znaleźć wzmianki o takim miejscu - powiedział Kullen. - Uczony imieniem Hael pisał o tym dwieście lat temu, ale uznał, że to raczej symbol niż istniejące miejsce.

– W mojej wizji oznajmiono mi, że w Bramwell mamy odszukać kowala, człowieka imieniem Borad, który będzie miał klucz do tego, czego szukamy - dodał Zayl. - Mogę tylko zakładać, że chodzi o owe dokumenty i twierdzą...

– Nie chciałbym przerywać - odezwał się stłumiony głos z sakwy - ale jeśli nie będziecie ostrożniejsi, cała ta wasza wyprawa będzie najkrótszą, jaką ludzie pamiętają. Ktoś lub prędzej coś zbliża się tu w wielkim pośpiechu i raczej nie ma przyjaznych zamiarów! Nie czujesz tego, Zayl? Hej tam, przyjacielu? Śpisz?

Pozostali gapili się na sakwę. Nekromanta pokręcił głową. Patrzył nad ogniskiem na sylwetki karłowatych drzew, czarniejsze jeszcze od ciemności nocy.

– Humbart ma rację - powiedział cicho. - Coś nas obserwuje. W pobliżu jest... coś nienaturalnego. Bądźcie cicho i słuchajcie.

Zamarli.

Z każdej strony dobiegały ich ledwo słyszalne dźwięki, świadczące o tym, że coś porusza się w ciemności - szuranie, ostrożne stąpanie, sapanie, stukot toczących się w ciemności kamyków. Z nieco większej odległości dosłyszeli odgłos czegoś większego, co pięło się po wzgórzu w ich stronę.

Shanar podniosła się jednym szybkim ruchem i wyrzuciła ramiona ku czarnemu niebu. Z jej palców wystrzeliły płomienie, pomknęły wysoko w górę i wybuchły smugami różu, fioletu i błękitu.

Jaskrawe światło wydobyło z ciemności nagrobki i stado podobnych do psów bestii, podchodzących grupę. Skradały się ze wszystkich stron, rogate

bezokie pyski trzymały nisko, ich napięte uda dygotały. Za nimi zza wzgórza nadchodził tuzin olbrzymich istot o umięśnionych ramionach i wyszczerzonych zębach, wlokących za sobą kolczaste wekiery.



## ROZDZIAŁ 6



### *Ucieczka do Nowego Tristram*

– Demoniczny pomiot - wycodziła Gynwir przez zęby. - Skąd one się tu wzięły?

– Niedobitki zła wciąż krążą po tych krainach - wyjaśnił Tyrael. - Polują stadami, pewnie zwabił je ogień.

– Co ty nie powiesz? - mruknęła Shanar. - Nie wyglądają mi na komitet powitalny.

Członkowie drużyny stanęli tak, by mieć dogasające ognisko za plecami, utworzyli okrag, dobywając broni. Jacob wyciągnął swój krótki miecz i popatrzył na pozostałych. Zdołaliby się utrzymać, gdyby potrafili zawierzyć sobie nawzajem własne życie, ale do tego było im daleko. Wystarczyło, żeby jeden słabszy wojownik przepuścił piekielnika, a zapanowałby chaos. Między Gynwir a Zaylem przerwa była na tyle duża, że bestia mogła dać tamtędy susa do środka kręgu, ale barbarzynka nie chciała przysunąć się bliżej do nekromanty i zerknęła na niego co chwila, jakby tylko czekała, aż tamten się na nią rzuci. Jacob gestem kazał Shanar stanąć między nimi. Rzuciła mu wymowne spojrzenie, ale posłuchała.

Mroczni berserkerzy zbliżali się. Jacob już z nimi walczył, na Ponurych Ziemiach. Byli powolni, ale niełatwo ginęli - potężni jak dwóch mężczyzn, o muskularnych, gołych torsach, z ohydnyimi, powykręcanyimi pyskami zamkniętymi w żelazne klamry, przez które widać było rzędy ostrych zębów i zakrwawione dziąsła. Jeden z nich podniósł w obu łapach swoją gigantyczną wekię, zamachnął się i rąbnął nią w kamienistą ziemię. Od siły uderzenia grunt się zatrząsł, a piekielniki w szale zaczęły się ślinić; warcząc coraz głośnieji, podkradły się bliżej.

„A ja mam tylko ten mały mieczyk”. Jacob zerknął na Tyraela, który dzierżył El’draina. Pamiętał ciężar tej potężnej broni we własnych rękach i przebiegł go upiorny dreszcz. Z Mieczem Sprawiedliwości stał po stronie światła i wypełniał każdą obietnicę, którą złożył swojemu dawno nieżyjącemu ojcu, człowiekowi prawemu, który wyraźnie widział różnicę między dobrem a złem i bez wahania wymierzał sprawiedliwość zgodnie z prawami Staalgardu, zanim plaga szaleństwa zmieniła go w potwora. Takim Jacob postanowił go zapamiętać - a nie szaleńcem, który stracił jego matkę i omal nie doprowadził do upadku miasta.

Nie człowiekiem, który próbował zabić własnego syna; nie tym, którego Jacob zgładził własną ręką.

– Wypatrujcie ich panów - powiedział Zayl cicho, choć wyraźnie. - Berserkerzy nie działają sami. W pobliżu są kultyści, którzy nimi kierują.

Wtedy bestie ruszyły do ataku i nie było już czasu na myślenie.

Długi sus pierwszego z piekielników poniósł stwora wprost pod ostrze El’draina. Tyrael machnął mieczem. Klinga zaśpiewała w powietrzu i przecięła bestię równo na pół. Dwie zakrwawione, wijące się części potoczyły się po ziemi, zęby wciąż kłapały wściekle, wnętrzności rozlały się po piasku. Drugi potwór skoczył zaraz w ślad za pierwszym i Tyrael zadał kolejny potężny cios, odrąbując mu łeb.

Kullen krzyknął krótko i zatoczył się w tył. Na ostrzu drobnego uczonego szczyrzyła zębiska paszcza piekielnika. Thomas rozrąbał brzuch następnemu, odsłaniając żebra i ścięgna. Ale w ferworze walki nie zdołali utrzymać swojego miejsca w kręgu.

Gdzie jest mnich? Jacob nigdzie go nie widział. Czyżby Mikułow zniknął w ciemności, zostawiając ich samych?

Wtedy go ujrzał, jak błysk świętego światła.

Mikułow był po drugiej stronie ogniska, wśród skradających się potworów. Poruszał się z oszłamiającą prędkością, przeskakiwał nad grzbietami piekielników i uderzał ostrzem, które wyglądało jak przedłużenie jego ręki; przecinał kręgosłup, obracał się i atakował następnego. Walczył bez wysiłku, jego siła zapierała dech w piersi.

– Uważaj!

Dzięki ostrzeżeniu Shanar Jacob odwrócił się w ostatniej chwili. Jedna z największych bestii biegła na niego, nisko przy ziemi, mierząc w stopy. Kiedy skoczyła, wbił jej ostrze w kark, tuż za kościstą czaszką. Piekielnik zawył i szarpnął się tak mocno, że wyrwał Jacobowi broń z ręki, a potem zatoczył się z mieczem sterczącym z karku jak rozdygotane pióro, zanim runął w piach.

Przepełniony pragnieniem, by jeszcze raz poczuć w rękach moc El'druina, Jacob obejrzał się na Shanar, która recytowała słowa zaklęcia, nie dosłyszał jakiego. Z jej palców niczym błyskawica wystrzeliła wiązka fioletowej energii; z trzaskiem i odgłosem skwierczenia trafiła dwa najbliższe piekielniki, robiąc chwilową wyrwę w ich szeregach. Czarownica cisnęła następny czar, który trafił w pierś jednego z berserkerów.

Stwór zawył z wściekłości, zachwiał się i padł na kolana. Wypuścił wekierę i sięgnął pazurami do dymiącego krateru we własnym ciele.

Jacob wyrwał miecz z zabitego piekielnika. Ktoś musiał wyrąbać im drogę ucieczki. Obejrzał się na pomnik Deckarda Caina, jaśniejący bielą w mroku. Od monumentu dzielił go tylko raniony berserker, dalej zaś droga w kierunku, z którego przybyli, była wolna.

Poczuł w sobie iskrę dawnej brawury, a wraz z nią chęć zaimponowania Shanar.

– Nie! - Czarownica jakby odgadła jego zamiar, ale Jacob nie posłuchał i skoczył w wyrwę. Trzema susami znalazł się obok rannego berserkera i z całej siły ciął mieczem ohydny łeb. Ale potwór go zaskoczył - odbił cios uniesionym ramieniem, a klinga ledwie drasnęła jego grubą, siną skórę.

Jacob poczuł nagłą pustkę w żołądku; ciął ponownie, ale jego miecz świsnął tylko w powietrzu. Berserker dźwignął się i zaryczał wściekle. Jacob zerknął w lewo i zobaczył, że zbliża się ku niemu następny, z uniesioną wekierą, obnażając zakrwawione zęby.

Jacob znalazł się w pułapce, odcięty od pozostałych, sam przeciwko dwóm potworom, szykującym się, by odebrać mu życie.

Jeden z berserkerów był już dość blisko, by zmiażdżyć czaszkę Jacoba, nagle jednak zmylił krok, zatrzymał się jak wryty, a potem zadygotał, chwiejąc się na nogach. Jego olbrzymie, umięśnione łapy opadły bezwładnie, opuścił łeb i runął przodem na ziemię.

Z jego grzbietu sterczał bojowy topór.

Gynwir pochyliła się, oparła stopę na plecach potwora i z cichym stęknieniem wyrwała broń.

– Odsuń się - poleciła Jacobowi. Ledwie zdążył uskoczyć, a jej topór zatoczył świszczący łuk i trafił drugiego berserkera pod brodę. Ostrze wbiło się głęboko w chorą tkankę, odsłaniając mięśnie i kości; łeb przechylił się w bok i odpadł, z kikuta trysnęła fontanna czarnej krwi. Bezgłowy korpus zwałił się na piach.



– Dzięki - rzucił Jacob. Barbarzynka uśmiechnęła się do niego przelotnie, a potem znów obróciła i rozrąbała na pół piekielnika. Jej wspaniale umięśnione plecy błysnęły wilgocią w gasnącym świetle czarodziejskiej flary.



Potwory nie ustępowały. Jacob wciąż walczył, z najwyższym trudem pozostając przy życiu. Tyrael zabił El'druinem czterech berserkerów i tuzin piekielników. Jacob powalił jeszcze dwa; udało mu się uniknąć ukąszenia ostatniego, który już w agonii usiłował chwycić go za nogę. Wiedział dobrze, czym groził kontakt z trującą śliną bestii.

W końcu wydało mu się, że dostrzegł coś za zboczem wzgórza. Chwilę później przebił się w tamtą stronę i mógł to sprawdzić.

W dole ujrzał kultystów.

Stali w nierównym kręgu wokół wykreślonych w piachu, świecących run. Ich ciemne szaty powiewały na wietrze, głosy wznosiły się ku niebu w rytmicznym zaśpiewie. Jacobowi znów się wydało, że widzi coś na obrzeżach kręgu, coś wielkiego, czarnego i skrzydlatego, ale zaraz zniknęło.

Odwrócił się w samą porę, by ujrzeć mnicha, który przebił się przez szeregi skandujących postaci, jakby pojawił się znikąd.

Jego ostrze cięło, pięści uderzały tak szybko, że rozmywały się w oczach, wirował i siał spustoszenie. W kilka chwil rozerwał krąg, a ziemię u jego stóp zasłały trupy.

Za nim nie było piekielników ani berserkerów. Mikułow popatrzył w górę, na Jacoba, i skinął głową.

– Tędy! - zawołał nagłaco. - Szybko!

Jacob rozejrzał się po cmentarzu i duch w nim upadł. Thomas i Kullen walczyli wspierając się plecami, udawało im się odpierać ataki piekielników. Reszta grupy poszła w rozsypkę. Shanar i Gynwir zostały oddzielone od Tyraela, a nekromanta stał sam na drugim końcu płaskiego szczytu wzgórza.

Pozbawieni kierującej nimi czarnej magii kultystów berserkerzy popadli w zamieszanie, kręcili się w tę i z powrotem. Zayl wznosił ręce, trzasnęło wyładowanie i ruchy potworów zwolniły do ślimaczego tempa. Jacob krzyknął do pozostałych i machaniem kazał im biec w swoją stronę, ku pomnikowi Caina.

Thomas i Kullen zbiegli już po zboczach i dołączyli do mnicha. Zayl ich dogonił, gdy do monumentu dotarła Gynwir. Shanar przybiegła ostatnia; berserkerzy zaczęli wyrywać się spod czaru nekromanty i odwracać w ich stronę.

– Biegnij! - krzyknęła czarownica. - Będę tuż za wami! Chcę ich tylko jeszcze trochę spowolnić.

Ziemia pod stopami Jacoba zadrżała i zwilgotniała. Spod suchej gleby wezbrała woda; błoto wsysało mu buty, ale zaraz zamarzło w lodowe kryształki. Temperatura szybko spadła, przed twarzą Jacoba pojawiły się białe chmurki oddechu. Zaczęły spadać płatki śniegu.

Shanar obejrzała się na niego z twarzą ściągniętą w grymasie skupienia.

– Idź! - ponagliła Jacoba. - Długo nie wytrzymam!

Zbiegając ze wzgórza, Jacob obejrzał się i zobaczył, że pierwszy berserker dotarł do Shanar. Poczul szarpnięcie paniki, ale w tym samym momencie z góry runął wielki lodowy blok, wbijając potwora w ziemię. Shanar odskoczyła w tył; na cmentarz zaczęły spadać z hukiem kolejne lodowe bryły, a wrzaski wściekłości i bólu ranionych bestii zrobiły się

głośniejsze. Żadna nie próbowała pochwycić czarownicy, która wraz z Jacobem szybko dołączyła do pozostałych, czekających na nich na dole.



## ROZDZIAŁ 7



### *Pod Zarzniętym Cielakiem*

Byli w tarapatach.

Tyrael prowadził drużynę przez pustkowie, najszybciej, jak śmiał. W milczeniu pokonywali trudną drogę. Wszyscy pilnowali się, żeby nie złamać nogi na kamienistych wybojach.

Archanioła nie martwił zdradziecki teren ani odległość od bezpiecznego schronienia. W oddali widział już migoczące latarnie Nowego Tristram, a nawałnica lodu Shanar rozpędziła potwory, które zostały na cmentarzu. Nikt nie ścigał drużyny.

Martwiła go reakcja drużyny podczas pierwszej próby.

Choć był przygotowany na to, że wataha zabłąkanych demonów zjawi się prędzej czy później - niedobitki armii Pomniejszych Złych wciąż włóczyły się po Sanktuarium, i zwykle błąkały się przede wszystkim w okolicach Katedry Tristram - zaskoczyła go ich liczba i zaciekłość. Spodziewał się, że będzie miał więcej czasu i mniej przeciwników.

Taka liczba berserkerów i kultystów, działających do pewnego stopnia razem, była czymś niecodziennym.

Mimo wszystko liczył, że w obliczu wymagających okoliczności drużyna zareaguje lepiej. Dostrzegł w trakcie walki kilka aktów odwagi - Gynwir najpewniej uratowała Jacoba przed okrutną śmiercią z łap dwóch berserkerów, a Mikułow w pojedynkę odwrócił los starcia, które w przeciwnym wypadku zakończyłoby się sromotną porażką ludzi. Ale zarazem mnich opuścił krąg i działał na własną rękę, a i reszta walczyła, jak popadnie. Kullen ledwie się obronił przed piekielnikami. Wszyscy ocaleli tylko dzięki szczęściu.

Musieli się o wiele bardziej postarać, jeśli chcieli mieć choćby szansę na wykonanie zadania, inaczej śmierć dopadnie ich bardzo szybko.

„Naraziłeś ich dziś na śmiertelne niebezpieczeństwo, żeby ich wypróbować - powiedział sobie. - A oni zawiedli”.

Prowadząc ich w dół ostatniej, łagodnej pochyłości w stronę miasta, Tyrael zastanawiał się, czy warto było ryzykować.



Nowe Tristram powstało jako miasteczko kupieckie, handlujące z poszukiwaczami skarbów, przybywającymi, by plądrować ruiny starej katedry i to, co pozostało z pierwotnego Tristram. Nowe rozwijało się samoistnie, bez konkretnego planu. Najpierw drużyna napotkała chaotyczne zbiorowisko chat i wozów. W niektórych oknach błyskały świece, inne domostwa wyglądały na porzucone. Wkrótce lepianki zastąpiły solidniejsze budowle z kamienia i drewna, a kamieniste dróżki zmieniły się w kręte, byle jak wybrukowane ulice, cuchnące mulim nawozem i dymem.

Karczma „Pod Zarzniętym Cielakiem” była jednym z największych budynków i tętniła życiem. Lamy wiszące na słupach oświetlały szyld z

nieheblowanych desek, okna jaśniały żółtym światłem, z wnętrza zaś dobiegały podniesione głosy i śmiech.

Drużyna przystanęła w cieniu. Gwar przybrał na intensywności, gdy w drzwiach stanął brodaty mężczyzna. Ten mruknął coś pod nosem i oddalił się ulicą, potykając się na nierównym bruku i przeklinając.

Tyrael był tu poprzednio z Leą i Deckardem Cainem. Tuż po przemianie w śmiertelnika, kiedy to pozbawiony wspomnień szukał odpowiedzi na temat własnej przeszłości. Patrząc teraz na karcznię, czuł się, jakby widział ducha; nagle ukąsiła go dojmująca tęsknota za przyjaciółmi. Był winny ich śmierci bardziej niż ktokolwiek inny. Nie zadziałał dość szybko, nie zdołał uratować Caina przez wiedźmą Mahdą i jej sługami, nie zapobiegł powolnemu zdeprawowaniu Lei przez Diabła, swojego odwiecznego wroga. Nie przewidział prawdziwej roli Czarnego Kamienia Dusz i późniejszej przemiany Lei w Najwyższe Zło.

Była niewinna.

Poczucie straty się wzmogło, wbiło ostre szpony w duszę archanioła.

Zaskoczyło go natężenie tych uczuć; Tyrael po raz kolejny przypomniał sobie o swojej śmiertelnej powłoce i wszystkim, co się z nią wiązało. Inaczej odczuwał teraz smutek i samotność - jak wielką, przygnębiającą pustkę gdzieś w głębi jego jestestwa.

Ilu ludzi straciło życie w obronie Królestwa Niebios? Jakich ofiar należało się spodziewać teraz, by jego nowe zadanie zakończyło się powodzeniem?

Tyrael pomyślał o przedmiocie niesionym na piersi, bezpiecznie ukrytym pod szatami. Pożądał tego, co się w nim kryło - wszystkie jego smutki zginęłyby, przynajmniej na chwilę, w jego wirujących głębiach...

- Nie podoba mi się tu - odezwał się cicho Jacob, który stanął obok niego. Pozostali zebrali się z tyłu. - Ale powinniśmy wejść do środka.

Tyrael odwrócił się do towarzyszy. Gynwir miała paskudne skaleczenie na udzie, a Thomas masował obolałą kostkę.

– W środku zawsze jest uzdrowiciel Malachiasz, zajmie się waszymi ranami - powiedział archanioł. - Kullenie, ty najmniej zwracasz na siebie uwagę. Wynajmij pokoje i znajdź sposób, żeby przemycić nas do środka. Dzisiejszą noc spędzimy tutaj.



Karczma „Pod Zarzniętym Cielakiem”, jako przystanek na jednym ze szlaków handlowych między Kaldeum a Zachodnią Marchią, dobrze prosperowała ostatnimi czasy. Tego wieczora działo się tu coś jeszcze i Kullen szybko zorientował się co - przyjęcie na cześć karczmarza Brona, najwyraźniej właściciela karczmy, kandydującego na burmistrza Nowego Tristram, trwało w najlepsze. Tylu kupców i złodziei piło z Bronem i innymi miejscowymi, że nikt nie zwrócił uwagi na niskiego, łysiejącego uczonego, który poprosił o kilka pokoi dla siebie i swojej grupy podróżnych, dodając, że należy do niej pewien szlachcic z Kaldeum, który wolałby pozostać anonimowy. Podsunął Bronowi kilka monet za kłopot, a karczmarz skierował go do tylnego wejścia, z dala od wścibskich oczu.

– Burmistrzowanie jest dla naiwnych i głupców - mruknął Bron, ze spojrzeniem mętnym od trunków. - Holus dał nogę na pierwszy zwiastun kłopotów, zostawił nas na lodzie. Niech mnie szlag, jeśli dam się posadzić na jego stołku, ale mogę pić ich miód, dopóki leje się za darmo.

Kullen pokiwał głową, jakby rozumiał te rozterki, a Bron, zataczając się, poszedł zwierzać się komu innemu. Uczony wpuścił resztę drużyny tylnym wejściem, tak jak zasugerował właściciel oberży. Karczmarka przyniosła im z kuchni udziec barani i chleb, a Malachiasz przyszedł obejrzeć skaleczenie



Gynwir i kostkę Thomasa. Ponieważ ani barbarzynka, ani horadrim nie ucierpieli za bardzo, skończyło się na maści przeciw opuchliznie i bandażach.

Kullen sownie zapłacił uzdrowicielowi, by ten się nie wygadał, ale Tyrael wiedział, że Malachiasz długo sekretu nie utrzyma. Też pił, policzki miał rumiane, a oczy szkliste. Wkrótce po mieście zaczną krążyć opowieści o dziwnej grupie czarowników i wojowników, którzy wyglądają, jakby dopiero co stoczyli jakąś bitwę, i schronili się w gospodzie. Ludzie zaczną zadawać pytania. Drużyna nie mogła zostać tu długo, ale musiała wypocząć i nabrać sił przed dalszą wędrówką.

Kiedy jednak rozgościli się w swoich dwóch pokojach i najedli, żadnemu z nich nie było do snu, zebrali się więc razem, by porozmawiać. Tyrael tymczasem wymknął się, chcąc się rozejrzeć.

Pobliskie uliczki były ciche i puste, nic nie zwiastowało zagrożenia. Tyrael nie pozostawał na zewnątrz dłużej niż musiał, bał się tego, co mógłby zrobić, gdyby stanął oko w oko z pustką nocą poza zasięgiem światła latarni. Kiedy wrócił przez tylne wyjście, dźwięki liry zwabiły go do głównej sali. Przystanął, patrząc na zebranych tam gości; znów wspomniął czas, gdy był tu z Deckardem i Leą. Wtedy karczma była pusta, żeby zrobić miejsce dla rannych, teraz jednak na jej środku stały długie stoły, zajęte w większości przez miejscowych.

Przestronną izbę wypełniało migotliwe światło świec. Ściany i sklepienie wspierały grube belki, a szerokie deski podłogi były wytarte, zyskując dzięki temu barwę matowej szarości. Nad Tyraelem wisiał na drewnianej płycie łeb rogatej bestii, z kłami wyszczerzonymi w wiecznym grymasie wściekłości. Przypomniął archaniołowi trofea Imperiusa, zdobiące Sale Odwagi. Czy kiedykolwiek będzie Tyraelowi dane powrócić w pokoju do

Niebios, czy może ostatnią rzeczą, jaką zobaczy, będzie bitwa bez szans na zwycięstwo?

Lirnik siedział na drugim końcu sali, z metodyczną determinacją szarpiąc umęczone struny. Za kontuarem krzątał się jakiś mężczyzna, nalewając z beczki miodu gościom siedzącym na stołkach, Bron zaś przyjmował poczęstunki od tłumu.

Tyrael zauważył znajomą, zakapturzoną postać, siedzącą samotnie z kubkiem w rękach przy małym stoliku obok regału z książkami po prawej. Kilka osób zdążyło się na niego obejrzeć, lecz szybko odwróciło wzrok. W Nowym Tristram niezdrowo było przyglądać się zbyt natarczywie nieznanomym, zwłaszcza uzbrojonym.

– Nie powinieneś się pokazywać - upomniał go Tyrael. - Nie przybyliśmy tu, żeby zwracać na siebie uwagę.

Jacob upił łyk miodu i otarł usta wierzchem dłoni.

– Nikt nie zwraca na mnie uwagi - zapewnił archanioła. - Nauczyłem się wtapiać w tłum. Ty z kolei, z El'druinem przy boku...

Nie dokończył zdania, za to w końcu podniósł spojrzenie na swego rozmówcę. Wzrok miał nieostry, Tyrael dostrzegł w nim ból i coś jeszcze. Może gniew, może po prostu żal.

– Mogę usiąść?

Jacob machnięciem ręki wskazał wolne krzesło naprzeciwko.

– Skoro taka twoja wola...

– Dzielnie dziś walczyłeś - powiedział Tyrael.

– Ledwie uszedłem z życiem. Gynwir mnie uratowała, inaczej spotkałbym swój koniec, zanim jeszcze zaczęliśmy. - Jacob dopił miód i gestem poprosił przechodzącą karczmarkę o dolewkę. - Powiedz, poważnie myślisz o najeździe na Niebiosy z tą obdartą bandą złodziei?

Tyrael upewnił się, czy na pewno nikt ich nie podsłuchuje.

– Próbowałem odwoływać się do Rady, ale oni mnie nie słuchają - rzekł.  
- To jedyny sposób.

– Reszta naszej małej drużyny też nie jest najlepsza; żalosna zbieranina zagubionych dusz. Ale nie rozumiem, czemu wybrałeś mnie. Nie mogę ci wiele zaoferować, już nie.

– Takie uzalanie się nad sobą ci nie pasuje, Jacobie ze Staalgardu. Masz do odegrania kluczową rolę - Tyrael chciał mówić wprost, ale nie miał pewności, czy Jacob go wysłucha. - Musisz znów odnaleźć w sobie wewnętrzną siłę i wskazać innym drogę, jeśli mamy mieć jakiegokolwiek szanse powodzenia.

„Jesteś także przywódcą, jakiego ta grupa rozpaczliwie potrzebuje”, dodał w duchu. Tyrael jednak był ślepy w sprawach serca, a Jacob - zgoła niegotowy nikomu przewodzić. Widać było, że wciąż żywi głębokie uczucia do czarownicy Shanar. To i frustracja spowodowana utratą El'druina sprawiały, że był raczej balastem niż wsparciem. Balastem, na który Tyrael nie mógł sobie pozwolić.

– Ty i czarownica macie wspólną przeszłość - powiedział archanioł. - Nie wątpię, że skomplikowaną. Nie pozwól, żeby stanęła na przeszkodzie temu, co trzeba zrobić.

Jacob popatrzył na Tyraela tak, jakby dopiero teraz go zobaczył.

– Bardzo długo byliśmy ze sobą, walczyliśmy z niesprawiedliwością na tym świecie - powiedział. - Iwan też, choć on akurat przychodził i odchodził, kiedy chciał. Jednak gdy straciłem El'druina, straciłem też zainteresowanie Shannar. Zostawiła mnie. - Wzruszył ramionami. - Wciąż jest tak samo piękna, jak wówczas, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy. Jak to możliwe, skoro ja postarzałem się o dwadzieścia lat?

Tyrael przyjrzał się jego smutno zgarbionym ramionom.

– Sądzisz, że chodziło jej o miecz?

– Nie o miecz... - Jacob znów machnął ręką. - O to, co ze mną zrobił.

– A Gynwir? Czego ona chciała?

Jacob milczał tak długo, że Tyrael zaczął się zastanawiać, czy tamten nie zapomniał o jego pytaniu. Karczmarka przyniosła kolejny kubek miodu i Jacob upił spory łyk.

– Była wierną przyjaciółką - powiedział. - Być może istniały też jakieś uczucia, które wszystko skomplikowały. Skończyło się to źle dla nas wszystkich. I ona odeszła. A teraz to - ocaliła moją skórę, kiedy ja nie byłem w stanie poradzić sobie z jednym rannym berserkerem...

Nie musiał kończyć. Wszedł na słabego i bezbronnego w chwili, w której najbardziej chciał zaimponować swoim dawnym towarzyszkom. Ale tak naprawdę nie chodziło o imponowanie komukolwiek; chodziło o obowiązek walki po stronie sprawiedliwości, choćby oznaczało to wystąpienie przeciwko samym Niebiosom.

– Twoją siłą nigdy nie był El'druin, Jacobie - powiedział Tyrael. - Jesteś potomkiem Inariusza i Lilit i wymierzasz sprawiedliwość z nim albo bez niego.

Jacob pokręcił głową.

– Ten miecz był wszystkim. Nie wiesz, jak to jest... z człowieka stać się bogiem - rzekł, a w jego głosie słychać było rosnącą pasję. - A potem z powrotem człowiekiem!

– Być może wiem.

Jacob odchylił się na swym krześle i przez długą chwilę wpatrywał w Tyraela. Kiedy znów się odezwał, był już bardziej opanowany.

– Postanowiłeś stać się takim jak my, ale wciąż należysz do Niebios. Ciągłe archanioł, ale ze śmiertelną duszą?

– Po upadku Najwyższego Zła Sprawiedliwość nie był więcej potrzebny. Postanowiłem zasiadać jako Mądrość, śmiertelnik w Radzie Angiris. Ale

nie zdołałem przekonać ich, jak wielkie niebezpieczeństwo nad nimi wisi, ani wraz z nimi debatować nad zniszczeniem ludzkości.

Jacob zapatrzył się gdzieś w dal. Milczał przez dłuższą chwilę.

– Jak mogłeś się tego wyrzec? - spytał w końcu. - Tej mocy, piękna, wiecznego życia...

Tyraela ogarnął chłód. „Ludzkość pnie się ku gwiazdom - pomyślał - a my, w naszych złoconych komnatach, osądzamy ich, a w głębi serc pragniemy się z nimi zamienić, doświadczyć śmiertelnego ciała, puls krwi w żyłach”. A może nie; może dotyczyło to tylko jego. Nie przynależał już do żadnego ze światów, był śmiertelnikiem bez domu.

Zamiast odpowiedzieć, wskazał kubek z miodem.

– Uważasz, że tego by pragnął twój ojciec, Jacobie? Żebyś topił smutki w trunku, kiedy niewinni idą na rzeź?

– Co ty wiesz o moim ojcu?

– Wiem, że był dobrym człowiekiem, zanim zabrała go plaga szaleństwa. Wiem, że nauczył cię odróżniać dobro od zła, nauczył cię, jak ważna jest sprawiedliwość niesplamiona zemstą, wymierzana w słusznym osądzie. To rzeczy, o których musisz pamiętać, a nie to, co się stało, kiedy go straciłeś.

– Zamordował moją matkę za zbrodnię, której nie popełniła - rzekł Jacob. - A ja zabiłem jego. Musiałem, inaczej on zrobiłby to ze mną. Plaga szaleństwa czy nie, gdzie w tym sprawiedliwość?

Od kontuaru dobiegł wybuch śmiechu. Bron, pijany w sztok, zatoczył się mocno i trzeba było go sadzać z powrotem na stołku. Gdy blask świec zamigotał na udręczonej twarzy Jacoba, Tyrael rozejrzał się po sali. Wciąż nikt się im nie przyglądał. Wtedy rozpiął pas z El'druinem i położył miecz na stole przed Jacobem.

Tamten popatrzył na oręż szeroko otwartymi oczami. Tyrael przez chwilę myślał, że staalgardczyk sięgnie po klingę, ale tamten tylko powoli pokręcił

głową.

– Mylisz się - powiedział. - Nigdy nie byłem awatarem Sprawiedliwości. Byłem tylko zastępcą, dbającym o miecz do chwili twojego powrotu. - Nieoczekiwanie wstał. - Muszę się przespać - oznajmił. - Niedługo wstanie świt.

Tyrael przypiął El'druina z powrotem do boku. Jacob dał krok w kierunku tylnych drzwi i zatrzymał się.

– Nie spytałeś, czy godzimy się na to zadanie - powiedział. - Niektórzy z nas zginą. Może wszyscy. Naprawdę uważasz, że warto tak ryzykować?

To samo pytanie Tyrael sam sobie ostatnio zadawał. „Jeśli Kamień istotnie jest w stanie pokonać Niebiosa, to czy kilka istnień poświęconych, by ocalić tak wiele, nie jest dobrą wymianą?” Wiele wieków temu, podczas Polowania na Trzech, wierzył, że każde życie jest święte i nie do niego należy podejmowanie takich decyzji. Czy jednak szansa na ostateczne pokonanie ciemności nie usprawiedliwia próby?

Ci, którzy zginą, mogą mieć odmienne zdanie.

Jacob kiwnął głową, jakby usłyszał odpowiedź.

– Jeśli czegoś się dziś nauczyłem, to tego, że nie nadaję się już do takich rzeczy - rzekł.

A potem odwrócił się i wyszedł, zostawiając Tyraela samego przy stoliku.



Tyrael jeszcze przez jakiś czas siedział przy stoliku w „Zarżniętym Cielaku”. W którymś momencie karczmarka zabrała kubek Jacoba i zaproponowała Tyraelowi jadło i napitek. Odmówił. „Kolejna śmiertelna

słabość”. Na górze zjadł trochę baraniny i chleba, a choć żołądek skręcał mu się i burczał, nie zamierzał mu teraz ulegać.

Nie miał w zwyczaju poddawać w wątpliwość własnych poczynań, ale nie dało się zaprzeczyć, że popełnił błędy. W końcu przyjrzał się im po kolei. Przypomniawszy sobie Imperiusa i jego wściekłość na Tyraela za czyny, które Odwaga postrzegał jako braterską zdradę. Upór Imperiusa, że zniszczenie Sanktuarium to jedyna droga. Czy Tyrael postąpił słusznie, opuszczając Niebiosa i wyrzekając się miejsca w Radzie Angiris? Czy dobrze zrobił, zbierając drużynę? Jeśli nie zdołają znaleźć sposobu, by działać razem, stać się jednością, będą skazani na klęskę, zanim jeszcze wyprawa się zacznie. Luminarei wyróżną ich jak wieprzki.

Potrzebował mądrej rady.

„Użyj Kielicha”.

Jako Mądrość to w Kielichu powinien szukać rady. Maltael robił tak często i dzielił się uzyskaną w ten sposób wiedzą na posiedzeniach Rady, kiedy dyskutowano o sprawach najwyższej wagi. Ale Maltaela dawno nie było. Tyrael dotknął przedmiotu ukrytego za pazuchą, poczuł jego ciężar, mrowienie, jakie wywoływał w palcach. Kielich go wzywał, a on zarazem pragnął posłuchać tego wezwania i bał się tego, co może zobaczyć.

Raz zajrzał już w głębie Chalad’ara i to, co tam ujrzał, przejęło go wielką radością i zgrozą jednocześnie. Ale Kielich ukazał mu także inne rzeczy - rzeczy, których Tyrael wolałby nigdy nie widzieć.

Znów poczuł chłód śmierci. Zanim stał się śmiertelnikiem, posiadał rzadką umiejętność zachowywania bezstronności, spokoju pod presją, rozważania wszystkich za i przeciw oraz kierowania się swoim poczuciem sprawiedliwości. Teraz przepełniały go emocje - strach i pragnienie, wściekłość, smutek i poczucie beznadziei. Osłabiały go, nieważne jak mocno stawiał im opór.

Czy to, że rozpaczliwie pragnął poradzić się Kielicha, dowiedzieć się, jaką ma obrać drogę, było oznaką jego słabości?

Nie mógł wiedzieć, co to oznacza dla jego misji i przyszłości Sanktuarium oraz Niebios.





## ROZDZIAŁ 8



*Kielich, wiele tygodni wcześniej*

*Obudził go śmiech brata.*

*Tyrael stał na gołej skale wysoko nad ziemią. Ze wszystkich stron otaczał go ocean białej mgły, niekończąca się pustka. Nie miał swojej broni, nie miał siły zacisnąć dłoni w pięść. Był tylko niewyraźnym zarysem energii, z wszystkich sił starającym się utrzymać swój kształt, niczym cień na ziemi. Mgliście kojarzył, że to wspomnienie jego ponownego zaistnienia po tym, jak zniszczenie Kamienia Świata rozerwało na strzępy jego formę, a jednak sen różnił się od wspomnienia, bo tym razem nie był sam.*

*Nad sobą widział członków Rady Angiris, siedzących na swoich tronach. Przyglądali mu się nieporuszeni, osądzając, on zaś zaciekle usiłował przybrać na powrót jakąś formę, ale nie mógł stać się całością. Aura Nadziei delikatnie pulsowała, jakby Auriel była zawstydzona; zaczął zauważać smugi szarości w jej zazwyczaj ciepłym, kojącym blasku. Iterael siedział bez ruchu, zdawał się bić od niego smutek, spowodowany losem Tyraela.*

*– Teraz jest śmiertelnikiem - powiedziało któreś z nich. - Nie może wrócić. Spętała go krew.*

*Imperius wyciągnął Włócznie Odwagi i jaskrawa, paląca smuga światła przyszpiliła Tyraela w miejscu. Nagle przestał być wirem nieskupionej energii; stał się ciałem i krwią.*

*– Wyrzekłeś się nas - powiedział Imperius. - Jesteś niczym więcej jak tresowanym zwierzęciem i tak też będziesz traktowany.*

*– Pokażmy mu jego przewiny - rzekła Auriel.*

*W jej głosie pobrzmiewał smutek i żal.*

*Oślepiający rozbłysk zalał wszystko bielą. Kiedy Tyrael odzyskał wzrok, w Radzie zasiadał Deckard Cain, a Lea stała obok archanioła, z twarzą zalaną krwią. Zaczęła wrzeszczeć, z czoła wyrosły jej rogi. Jej ciało zaczęło się odkształcać i pękać.*

*Tyrael słyszał śmiech Imperiusa długo po tym, jak się obudził.*



*Siedział w domenie Mądrości, a sen przylgnął doń niczym pajęczyna. Przy Krynicy Mądrości na środku przestronnego głównego dziedzińca Tyrael w końcu uległ wyczerpaniu i rozpacz. Zasnął, sam nie wiedząc kiedy, a po swoim niepokojącym widzeniu czuł się jak intruz.*

*„Muszę stąd odejść”, powtarzał sobie w myślach. A mimo to nie potrafił.*

*Za atrium ciągnęły się wysokie sale z polerowanego kamienia i wspaniały odkryty dziedziniec. Ale wszędzie królowała pustka, brak życia, chłód; niekończące się korytarze i przejścia zostały opuszczone. Panowała tu cisza, nie słychać było muzyki rozbrzmiewającej zwykle w Wysokich Niebiosach. Nie było promienistego lśnienia, zabrakło złocistego światła; wszystko wyblakło i poszarzało. Nawet kroki nie czyniły dźwięków.*

*Tyrael powinien czuć się tu jak u siebie. Niegdyś piękne strumienie i wodospady zasilały studnie mądrości i przelewały się przez kamieniste*

ścieżki, teraz jednak wyschły, a majestatyczna Krynica stała martwa. Kiedy nieobecność Maltaela zaczęła się przedłużać ponad wszelką miarę, Rada wysłała jego anioły na poszukiwania. Kilka wróciło z niczym, większość jednak po prostu zniknęła. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało, nie było ich też kim zastąpić. Anielskie zastępy, którym Tyrael rozkazywał jako Sprawiedliwość, zostały wysłane przez Imperiusa śladem demonich niedobitków po upadku Najwyższego Zła, a jako Mądrość Tyrael nie zdążył jeszcze nikogo zwerbować.

Teraz być może już nigdy tego nie zrobi. Obawiał się, że zmiany, które zaszły w dziedzinie Mądrości, są nieodwracalne.

Być może Imperius miał mimo wszystko rację; może Tyrael bał się swojej nowej roli w Radzie. Ale dziś wieczorem przyszedł tu w jednym celu. Kielich stał na swoim miejscu, czekał na archanioła. Tyrael musiał zasięgnąć rady, jeśli miał zrozumieć wpływ Kamienia na Niebiosy i upewnić się, że sam obrał słuszną drogę.

Zatrzymał się. Strzykało mu w kolanach, obolałych po długim siedzeniu w jednej pozycji na twardym, kamiennym dziedzińcu. Chalad'ar stał we wnętrzu w samej Krynicy, dopasowany do niej idealnie niczym klucz do zamka. Miał cztery uchwyty i pokrywały go grawerunki przedstawiające wodę przepływającą z jednego miejsca do drugiego, na pierwszy rzut oka bez żadnego porządku. Jednak wrażenie to było mylne. Podobnie rzecz się miała ze studniami i strumieniami całej dziedziny; spacerując po jej ścieżkach gość mógł się poczuć zagubiony w labiryncie, ale gdyby spojrzeć z góry, prawidłowości ich układu natychmiast stawały się oczywiste. Mądrość była siecią łączącą wszystko, sumą wszystkich doświadczeń i uczuć istot myślących w każdym punkcie czasu; cała sztuka polegała na tym, by dostrzec te związki i wyciągnąć z nich właściwe wnioski, zrozumieć równowagę między ruchem i bezruchem, między światłem i mrokiem.

Maltael napełniał Kielich wodą z niezgłębianych studni; potrafił patrzeć weń całymi latami, zyskując wgląd w całość istnienia, którego nikt inny, nawet pozostali członkowie Rady Angiris, nie mogli ogarnąć rozumem.

„Zaglądnij w Kielich, udowodniłbym, że się go nie boję - pomyślał Tyrael - a może także poznałbym odpowiedzi, których tak rozpaczliwie szukam”.

Delikatnie przycisnął dłonią Chalad'ara, czując mrowienie w palcach, aż Kielich wysunął się z zagłębienia. Moc naczynia spowiła archanioła, przeszła mu ciarkami po plecach. Zapanowanie nad nią wymagało wyężenia wszystkich sił. Kiedy zaglądał w Kielich, myślał, że może na zawsze zatracić się w nieskończonych głębiach starożytnych studni sprawiła, iż zaczął wątpić, czy istotnie podjął właściwą decyzję.

Kielich nie był pusty. Na jego dnie migotała cienka błona światła, wirowała hipnotycznie tęczą barw niczym plama oleju na wodzie.

Z początku zdawało się, że nie ma tam nic więcej. Potem jednak coś wychynęło z głębin pod stopami Tyraela. Usłyszał bulgot i mokry chłupot, jakby ożyło dawno wyschnięte źródło. Całe jego ciało zmieniło się w lód, świat dookoła zalała czerń i domena Mądrości zniknęła; archanioł poczuł dookoła siebie pustkę, w którą zaglądał niczym w świat poza gwiazdami, gdzie ciemność była głębsza niż najczarniejszy mrok nocy.

W ciemności tej dojrzał iskry, tańczące niczym świetliki, skaczące po płynnej powierzchni, której krańce sięgały wciąż dalej i dalej. Brzeg Kielicha zaczął się odsuwać, aż zniknął, a Tyrael runął w otchłań; koziółkując, spadał z tego świata w głąb innego, ku zapomnieniu.

Kiedy zbliżył się do powierzchni, zrozumiał, że patrzy na zawiłą sieć splecioną z niekończących się pasm światła, falujących od przebiegających w tę i z powrotem impulsów, z niewiarygodną prędkością przemykających od jednego do drugiego. Tyrael uświadomił sobie niejasno, że jego ciało

wciąż stoi bez ruchu gdzieś wysoko ponad nim, a tylko świadomość wyrwała się na wolność. Ale nie potrafił zatrzymać upadku, a kiedy miał uderzyć w pierwsze pasma, odruchowo zasłonił się rękami, przygotowany na wstrząs.

*Którego nie było.*

Kiedy wrócił do siebie, wisiał nieruchomo w środku sieci. Widział bez oczu, wyczuwał to, co go otaczało trzeszczącą energią. Ze wszystkich stron oplatały go jasne, świetliste struny, przenikały go w sposób, który przyprawiał o drżenie; nie były ciepłe jak światło słońca, lecz nieprzyjemnie zimne.

Dopadło go dziwne uczucie, wrażenie niepoahamowanej euforii zmieszanej ze strachem. W nagłym rozbłysku wszystko stało się jasne; wszystkie nici, które zdawały się prowadzić donikąd, zespoliły się w jedną całość. Światło splatało się w olśniewający wzór, który Tyrael bez trudu obejmował świadomością; zobaczył w nim powiązania wszystkich tkwiących w nim aniołów i demonów.

*Pozostałe archanioły zmawiały się przeciwko niemu nawet w tej chwili.*

Zobaczył ich strach. Nie potrafiły poradzić sobie z jego decyzją zostania śmiertelnikiem. Nie rozumiały tego wyboru, szukały więc sposobu, by o nim nie myśleć. Tak jak Tyrael się obawiał, Czarny Kamień Dusz zaczął psuć życiodajne światło, tłumić je i wypaczać. Odwaga zmieniała się w gniew i Tyrael wiedział, że w końcu stanie się nienawiścią i zaowocuje masowym mordem. Imperius zacznie rządzić żelazną ręką i zniszczy przy tym Sanktuarium. Los coraz bardziej błędził w nieskończonych ilościach zwojów w bibliotece, nie mogąc doszukać się jakiegokolwiek porządku. Iterael stanie się bezradny, albo, co gorsza, zacznie podejmować decyzje, które zgubią ich wszystkich. A Auriel, która niedawno była więźniem Rozpaczy, przestawała już dostrzegać najmniejszą nawet nadzieję w tym, co

miało nadejść, i niebawem zacznie kierować się strachem zamiast poczuciem dobra.

Niebiosa wkrótce będą stracone. Trzeba było powstrzymać niszczący wpływ Kamienia. Wyssie z nich całe światło, odbierze wszystko, co dobre i święte, zastępując je mrokiem, okrucieństwem i śmiercią.

Chłód, który czuł Tyrael, nagle się wzmógł, przeniknął go do kości. Coś się zmieniło; wyczuł nową nić światła, potężną i sięgającą głęboko, ale w przeciwieństwie do innych jej tożsamość była przed nim w dziwny sposób ukryta. Próbował się obrócić, żeby ją wypatrzyć, ale pozostawała nieuchwytna; zdawała się wyczuwać jego obecność i uciekać przed nim, prawie jakby go obserwowała.

Nagle przestało to mieć znaczenie. Uczucia, które dotąd trzymał na wodzy, wezbrały niepowstrzymanie i dziwna świetlista struna zniknęła. Chalad'ar oddziaływał na Tyraela w sposób, którego ten do końca nie pojmował; archanioł zaczął jednak myśleć inaczej, kiedy zobaczył, dokąd prowadzą te świetlne nici. Nieuniknionym skutkiem wszystkiego była śmierć - powolna ruina, nieuchronny rozkład. Koniec. Rozumiał powiązania między wszystkimi istotami; nici, które spajały rzeczywistość. Czym było życie, jeśli miało się tę wiedzę? Po co troszczyć się o pojedyncze żywe istoty w dążeniu do pokoju i równowagi, skoro i tak po wszystkich przyjdzie śmierć?

Ludzie w Sanktuarium krzyczeli.



Tyrael ocknął się zlany potem. Zobaczył, że nie ruszył się z miejsca przed Krynicą i że ścisnął Chalad'ara w obu dłoniach, jakby Kielich zespolił się z jego ciałem. Palce pobielały mu z wysiłku.

*Czuł ogromny ból głowy, promieniujący przez szyję i ramiona w dół pleców. Zachwiał się pod natłokiem powracających falami uczuć, których przed chwilą doświadczył. Jego śmiertelne ciało nigdy jeszcze nie zdawało mu się takim więzieniem, tak ciężkim brzemieniem.*

*Pod koniec przeczuł różne rzeczy - straszne rzeczy. Czuł zbliżającą się śmierć niezliczonych dusz, wszystkich płonących w agonii. Wyczuł narastającą pośród nich ciemność, która położy kres wszelkiemu światłu. Ale mrok ten nie pochodził z Piekła.*

*Tak jak w jego snach zrodził się wśród aniołów.*

*Tyrael schował Kielich pod szaty. Ogarnęło go poczucie całkowitej beznadziei. Odwrócił się od Krynicy i ruszył ścieżką wychodzącą z krainy Mądrości. Użycie Kielicha wyczerpało go tak, że czuł się jak pusta skorupa; to nie były rzeczy przeznaczone dla śmiertelników, wiedział też, że nie sposób przewidzieć skutków jego czynu. Mógł się zagubić, dryfować w nieskończoność w pustce między światami, nie mogąc znaleźć drogi powrotnej przez nici, podczas gdy jego ciało umarłoby z wyczerpania. Perspektywa własnej śmierci rzucała na wszystko cień; pociągała go w niewytłumaczalny sposób. W wiecznym śnie był spokój, w rezygnacji - rodzaj pogodzenia z losem.*

*Hipnotyzowała go ta myśl.*

*„Nie wolno ci jej posłuchać”.*

*Archanioł Mądrości wrócił do bardziej znajomego otoczenia, czując się zagubiony i samotny.*

*Nie zauważył postaci, która wyśliznęła się z cienia i ruszyła za nim.*





## ROZDZIAŁ 9



### *Odkrycie*

Kiedy pozostali zebrali się w swoich pokojach „Pod Zarzniętym Cielakiem”, nekromanta wymknął się bezgłośnie tylnymi drzwiami w noc, żeby rozejrzeć się po okolicy. Nie był człowiekiem towarzyskim - szczerze mówiąc, wolał towarzystwo umarłych - i wiedział, że wielu członków drużyny mu nie ufa. Czuł się lepiej w samotności.

Nie był to jednak jedyny powód jego czujności. Pojawienie się demonów na cmentarzu wytrąciło go z równowagi.

Zayl nieczęsto bywał wstrząśnięty, ale teraz nieustannie odczuwał zakłócenie Równowagi. I to nie z powodu obecności Tyraela; tu działa się coś jeszcze.

Za niedawnym atakiem stała jakaś bardzo niebezpieczna siła, Zayl był tego pewien. A to przypominało mu o czymś, o czym wolałby nie pamiętać.

– Skoro zamierzasz się włóczyć po zimnie, mogłeś przynajmniej zawinąć mnie w koc - narzekał Humbart. Spoczywał w lewej dłoni Zayla, wpatrując się pustymi oczodołami w mrok.

Między karczmą a sąsiednim budynkiem znaleźli cichy kąt, gdzie nikt im nie powinien przeszkodzić. Zayl przykucnął, oparty plecami o ścianę.

– Dawno już nie czujesz zimna - przypomniał czerepowi.

Zacisnął prawą dłoń w rękawicy, czuł, jak kości przesunęły się pod wyprawioną skórą. Pozbawiona ciała ręka bolała przy takim chłodzie. Rękawica była wypchana, żeby ukryć fakt, że z dłoni pod nią zostały tylko kości, połączone paroma nitkami zmumifikowanych ścięgien. Zayl miał za sobą niefortunny incydent z grupą potępionych dusz w zaginionym mieście Ureh, ale udało mu się na powrót przymocować to, co zostało z jego dłoni przy użyciu pewnego wyjątkowo potężnego zaklęcia. Ręka nigdy już nie będzie taka sama, ale działała i to mu wystarczyło.

– Bądź czujny, Humbarcie - poprosił nekromanta. - Sprowadź mnie z powrotem, gdyby cokolwiek się działo.

– Dobrze - obiecał czerep. - Ale nie ociągaj się. Wiesz, że kiedy patrzę, jak to robisz, dostaję dreszczy. To niebezpieczne. Wtedy, w pokojach Salene, ten przeklęty nekromanta o czarnym sercu przejął władzę nad twoimi członkami i omal nie zadźgałeś się własnym nożem...

Czaszka mówiła dalej, ale nekromanta już jej nie słuchał. Zamknął oczy; ściana budynku przed nim odsunęła się w dal, a wszystko okryła szara mgła. Kapłani Rathmy, kiedy już osiągnęli biegłość w ciemnych sztukach, musieli wznosić ochronne mury wokół swego umysłu, inaczej bezustannie nawiedzałyby ich duchy umarłych.

Zayl począł ostrożnie likwidować kolejne warstwy zabezpieczeń, otwierając się na świat poza światem.

Prawie natychmiast wyczuł dusze, które trwały w Nowym Tristram, ofiary przemocy, które nie potrafiły zapomnieć o przeszłości - dla wielu z nich śmierć przyszła tak szybko, że nie wiedziały nawet, iż są martwe. Inne miały niedokończone sprawy i z bezradnym błaganiem nawoływały ukochanych.

Mimo tego jednak liczba tutejszych dusz była nikła w z tymi, które zgromadziły się nieco dalej. Tristram było miejscem naznaczonym niewysłowionym okrucieństwem i śmiercią; wciąż skażone przez obecność Diabła, opętanie króla Leoryka i zdradę arcybiskupa Lazarusa. Wielu tam zginęło. Zayl wyczuł ich wcześniej na cmentarzu, ale teraz, medytując, rejestrował ich obecność o wiele silniej, ich głosy były znacznie bardziej natarczywe.

Sięgnął jeszcze głębiej, wznosząc się ponad swoją cielesną powłokę, zostawiając Humbarta w ciemnym zaułku. Szybując nad dachami krytymi strzechą i ludźmi śpiącymi w swoich łóżkach, widział Nowe Tristram. Za wzgórzami wyczuł watahę piekielników, która napadła ich wcześniej, oddalając się od Tristram, przetrzebioną. Emanowały plugawą energią i nekromanta ucieszył się, widząc, że nie poszły za drużyną do karczmy.

Ale piekielniki nie były źródłem zakłócenia Równowagi.

Zayl nie wiedział, w którą stronę się obrócić. Zaczął go ogarniać chłód. Coś było w pobliżu, ale nekromanta nie potrafił określić dokładnie gdzie. Był pewien, że cokolwiek to jest, też go wyczuwa i nie jest mu przyjazne.

Spróbował delikatnie zbadać owo coś, wahając się po raz pierwszy tej nocy. Było ich więcej niż jedno. Wyczuł inne, unoszące się za kręgiem światła roztaczanym przez miasto. Istoty wymykały się jego sondującemu umysłowi, ale bynajmniej nie ze strachu. Chodziło im o coś innego, czekały, aż będą gotowe.

Zaiste dziwną mocą dysponowały. Nie wydawały się pochodzić z Niebios ani z Piekieł. Zayl nie miał wątpliwości, że jeden niewłaściwy ruch może oznaczać jego śmierć. Spotkać własny koniec w tej chwili byłoby czymś nienaturalnym, jego cykl istnienia zostałby zakłócony, pozostawiając go w stanie nieprzerwanej agonii, czego zdecydowanie wolałby uniknąć...

Wyczuł ruch, jakby tuż poza jego polem widzenia przemknęło widmo. Jedna z istot się zbliżyła. Chłód się wzmógł. Istota cuchnęła grobem, jej smród przesycił powietrze wokół i Zayl omal się nie odwrócił.

Nie zrobił tego jednak. Rozpoznał bowiem esencję tego plugawego, czarnego czegoś, nawet jeśli nie potrafił go nazwać i wyczuwał je tylko raz wcześniej.

Należało do tego samego rodzaju co stwory, które porwały Salene.



Shanar siedziała na małym łóżku, podwijając pod siebie bose stopy. Kullen zerkał na nią, kiedy zdawało mu się, że nikt nie patrzy, i myślał, że w takiej pozycji czarownica wygląda jak młoda dziewczyna. Domyślił się jej prawdziwego wieku, kiedy wcześniej razem z Gynwir wspominały bitwy sprzed dwudziestu lat; musiała mieć około czterdziestu, ale wyglądała, jakby dopiero niedawno przekroczyła trzydzistkę. Była bardzo piękna, lecz aż do tej pory Kullen nie dostrzegał w niej żadnej słabości. Jej umiejętności i prezencja budziły respekt, pomimo szczupłej sylwetki.

Mówiąc szczerze, trochę się jej bał. Teraz jednak jej wygląd sprawił, że to wrażenie osłabło; siedziała z rozpuszczonymi prostymi, czarnymi włosami, odłożywszy kostur na bok.

Nie mogąc zasnąć, Shanar i Gynwir przyłączyły się do Kullena, Thomasa i Mikułowa. Tyrael zszedł na dół, a Zayl gdzieś zniknął. Kullen wiedział, że lepiej nie wypytywać o poczynania nekromanty, pozostali najwyraźniej również, bo jak dotąd wszyscy starannie unikali tego tematu.

– To samobójstwo - oznajmiła stanowczo Shanar. - Jest nas ośmioro i gadająca czaszka przeciwko armii aniołów. Lubię przygody jak każdy, ale mówię wam, szanse są niewielkie, nawet jeśli kogoś nęci ryzyko.

Im dłużej rozmawiali o wyznaczonym im zadaniu, tym bardziej ponure stawały się ich nastroje. Choć Gynwir zdawała się akceptować słowa Tyraela, Shanar poczuła się zdradzona, odkrywszy, że pieśń, za którą szła, miała ją celowo zaprowadzić do Tristram. Zaczęła się nawet zastanawiać, co właściwie wydarzyło się przed laty, gdy pieśń zaprowadziła ją do El'druina. Czy wtedy też została zmanipulowana?

Kullen próbował (niezbyt skutecznie, sam to przyznawał, onieśmielony jej urodą) przekonać czarownicę, że sam fakt obecności pośród nich archanioła jest zdumiewający i należy go uczcić. Ale Shanar nie chciała tego słuchać.

– To renegat - ucięła, wodząc spojrzeniem po twarzach towarzyszy. - Jeśli to zrobimy, sprzeciwimy się woli Niebios. Skąd mamy wiedzieć, czy to słuszny wybór? A jeśli on... - z frustracją machnęła ręką. - Jeśli się myli, to my poniesiemy konsekwencje.

Kullen wyczuł, że jej powątpiewanie wynika z czegoś więcej. Czarownicy byli z zasady uparci i niezależni, ale jak uczyła przeszłość, można było ich przekonać, by przedłożyli wspólny cel ponad własne potrzeby. W innych okolicznościach żadne z nich nie śmiałyby podważać autorytetu archanioła. Ale Tyrael był teraz śmiertelny, nieważne, jak imponującą przybrał postać. Kullen nigdy wcześniej nie widział anioła na własne oczy, ale z tego, co czytał w starożytnych tekstach, ich majestat powalał na kolana. Rozłożenie skrzydeł z czystej energii... nie sposób było to sobie wyobrazić.

– Robił to już wcześniej - przypomniał zebranym. - Wiele wieków temu, podczas Polowania Na Trzech, na Najwyższych Złych - Diabło, Baala i Mefista - Tyrael zgromadził do pomocy pierwszych horadrimów. Zrobił to bez wiedzy Rady Angiris, która kategorycznie zabrania aniołom mieszania się w sprawy świata ludzi.

Zadaniem pierwszych horadrimów, magów o wielkiej mocy i mądrości, było uwięzić trzech Władców Płonących Piekieł w Kamieniach Dusz zrobionych z odłamków Kamienia Świata i zakopanie ich głęboko w ziemi - jednego pod Świątynią Światła Zakarum, jednego w piaskach Aranoch i ostatniego pod Katedrą w Tristram. Thomas i Mikułow słyszeli już tę historię, nawet Gynwir coś na ten temat wiedziała, choć więcej w jej informacjach było bająn niż prawdy. Teraz jednak wszyscy słuchali z uwagą, jakby traktując sprawę poważniej.

– Wtedy Tyraelowi się udało - zwrócił im uwagę Kullen. - Czemu teraz miałyby się nie udać?

Shanar tylko pokręciła głową.

– Wtedy było inaczej. On był inny. Sam powiedziałaś, że to wydarzyło się bardzo dawno temu.

Pozostali przez chwilę milczeli. Tyle wiedzieli o Sanktuarium, o Wysokich Niebiosach i odwiecznych zmaganiach światła z ciemnością, ile przekazywały klechdy. Legendy o bohaterskich czynach dawno martwych ludzi. Ale Kullen walczył ze sługami zła i był świadkiem upadku Mrocznego w Czarnej Wieży. Stawał tam ramię w ramię z Deckardem Cainem, pokochał starca jak ojca, zanim tamten odszedł, a Deckard sam widział, jak świetliste skrzydła Tyraela rozpościerają się w cieniach Twierdzy Pandemonium. Deckard pisał o niezachwianym oddaniu Tyraela sprawie ludzkości po ofierze Uldysjana. Pisał o bardzo wielu rzeczach i nigdy nie zdarzyło mu się koloryzować.

Mikułow milczał, teraz jednak wyprostował się w kącie, w którym dotąd kuczał na palcach, zachowując idealną równowagę. Pozostali wyglądali na zmęczonych po niedawnych przejściach, on jednak sprawiał wrażenie opanowanego i skupionego jak zawsze.

– Według wszystkich przekazów Tyrael występował w obronie Sanktuarium, kiedy nikt inny nie chciał - rzekł. - Deckard Cain, człowiek, którego darzyłem większym szacunkiem niż kogokolwiek innego w tych krainach, oddał życie w służbie Nieba. Bogowie przemówili do mnie i jasno powiedzieli, że wezwanie Tyraela jest wezwaniem godnym. Będę podążał za nim do ostatniego tchu. Kto pójdzie ze mną?

Kullen kiwnął głową. Gynwir obejrzała się na Shanar, która wzruszyła ramionami. Po jej ustach przemknął słaby uśmiech.

– Gdybym powiedziała, że wszyscy postradaliście rozum, zrobiliby to jakąś różnicę?

Przerwało im pukanie do drzwi. Horadrimowie popatrzyli po sobie. Gynwir dobytek topora z uprzęży na plecach.

Thomas ostrożnie uchylił drzwi i zobaczył Zayla, stojącego w migotliwym świetle lampy zawieszanej w korytarzu. Dziwnie hipnotyzujące rysy twarzy nekromanty zdawały się zmieniać w tańcu cieni.

– Na zewnątrz są istoty - oznajmił kapłan Rathmy. - Polują na nas. Musimy natychmiast stąd uciekać.



Wszyscy cofnęli się o krok, ale nikt nie zaprosił go do środka.

– Musimy iść - powtórzył Zayl. - Zbierzcie pozostałych, szybko i cicho...

– Kazałam ci się trzymać z dala, nekromanto - Gynwir mocniej ujęła stylisko topora. - Nie ufam tobie ani temu przekłętemu czemuś, co nosisz u pasa. Martwi powinni spoczywać w pokoju.

– Ej - odezwał się Humbart. - Uważaj, kogo nazywasz przekłętym, kobieto!



Shanar uspokajającym gestem położyła dłoń na ramieniu barbarzynki. Głos Gynwir był ochrypły z gniewu; Zayl przez moment zastanawiał się, czy nie miała jakichś przykrych doświadczeń z innym nekromantą, które mogłyby rzutować na ocenę jego osoby. Ale teraz nie było czasu na takie dociekania. Musieli zrozumieć.

– Działają tu siły ciemności - powiedział, zwracając się do Thomasa i Kullena. - Musicie mnie wysłuchać. Rzykujemy bezpieczeństwem całego miasta...

– Nie ma sensu kłapać jadaczką, skoro cię nie słuchają - przerwała mu czaszka. Nawet z sakwy słychać ją było na tyle głośno, że wszyscy zamilkli. - Daj sobie spokój, chłopcze!

– Co to ma znaczyć?

Tyrael stanął w korytarzu, wodząc wzrokiem od twarzy do twarzy.

– Mrok zbiera się szybko - wyjaśnił Zayl. - Na zewnątrz są bardzo niebezpieczne istoty. Moim zdaniem szukają kogoś z naszej grupy... może nas wszystkich.

– Ja też to poczułem - odezwał się Mikułow z głębi pokoju. - Bogowie są dziś wieczór zaniepokojeni. Coś zakłóca ich spokój.

– Gdzie Jacob? - spytała Shanar. - Nie był z tobą?

– Zostawił mnie w karczmie jakiś czas temu - odparł Tyrael. - Mówił, że idzie tutaj, położyć się spać.

Czarownica obejrzała się na Gynwir, która nic nie powiedziała, tylko jeszcze bardziej spochmurniała. Shanar przepchnęła się między pozostałymi na korytarz, wpadła do drugiego pokoju i wyłoniła się z niego po chwili, kręcąc głową.

– Tam też go nie ma - powiedziała. Nagła bladość zadawała kłam jej beztroskiemu tonowi. - Nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczona. Nie raz zdarzało mu się gdzieś zagubić w swoim małym własnym świecie...

Przerwał jej mrozący krew w żyłach wrzask, dobiegający gdzieś z zewnątrz.



Shanar pierwsza pobiegła korytarzem, wołając imię Jacoba. Poruszała się tak szybko, że zniknęła, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać. Nekromanta ruszył za nią, Tyrael i reszta także. Zbiegli po wąskich schodach.

Karczma była prawie pusta. Większość świętujących odsypiała już zabawę w domach. Bron siedział zgarbiony przy stole, głośno chrapiąc; barman zniknął, pozostawiając kałuże rozlanego miodu i walające się puste kubki.

Tyrael śladem Zayla i czarownicy wybiegł przez tylne drzwi. Natychmiast uderzył go lodowaty chłód; nie było wiatru, ale zrobiło się znacznie zimniej, odkąd archanioł był na zewnątrz po raz ostatni. Przeszedł go dreszcz, otulił się ściślej szatą.

Wszystkie pochodnie i latarnie zgasły, nie było już nawet widać księżyca ani gwiazd. Shanar wymruczała słowa zaklęcia i jej kostur rozjarzył się błękitną poświatą, ale to słabe światło zostało szybko pochłonięte przez ciemność i rzucało tylko niewyraźne cienie pod ich stopami.

Tyrael zacisnął zęby, ignorując uporczywie kęsający mróz, i wyciągnął z pochwy El'druina. Klinga zajaśniała, rozpraszając mrok. Archanioł wystąpił naprzód i wyczuł, że pozostali zbijają się w gromadę. Zayl dobył broni, wężowe ostrze nekromanty rozjarzyło się własnym upiornym blaskiem. Było związane ze smokiem Trag'Oulem, Prastarym, Strażnikiem Sanktuarium i istotą z gwiazd, a przynajmniej tak wierzyli kapłani Rathmy.

Stawiając powoli krok za krokiem, Tyrael wbijał wzrok w głębokie cienie, które zdawały się poruszać i zlewać. Szedł wąską ścieżką ku

frontowi karczmy, gdzie drewniany szyld wisiał pod zgaszoną latarnią, a brukowana droga prowadziła w nicość.

Głuchy stukot sprawił, że znów spojrzał w górę; szyld zaczął kołysać się na łańcuchach, uderzając o słupek, chociaż nie było wiatru.

– Tam! - Kullen wskazał coś po lewej.

Tyrael wyciągnął El'druina w tamtym kierunku. Serce łomotało mu w piersi, w żyłach krążył ogień. „Pokaż się”. Niewyraźny kształt, zaledwie plama głębszej ciemności w mroku, przemknął na skraju jego pola widzenia i znikł. Tyrael zatoczył mieczem ognisty łuk, wypatrując czegokolwiek, co mógłby zaatakować. Ale droga przed nimi była pusta.

W ciszy rozległy się odgłosy przypominające trzaskanie kości, przeciągłe, powolne i niesamowite. Pozostali obrócili się pospiesznie i znów mignął im przelotny, czarny kształt. Było ich więcej.

Gynwir uniosła topór, ale cokolwiek się na nich czaiło, natychmiast zniknęło.

Tyrael się odwrócił. Podniósł miecz w górę, przyświecając sobie jego blaskiem. Tam, gdzie widzieli ruch, kilka kroków od frontowych drzwi „Zarżniętego Cielaka”, na środku drogi leżała nieruchoma sylwetka.

Drużyna zebrała się wokół ciała, otaczając je ciasnym kręgiem, jakby chcąc się nawzajem chronić przed ciemnością. To był jeden z uczestników zabawy w oberży. Oczy miał szeroko otwarte i znieruchomiałe w śmiertelnym spojrzeniu, skórę i włosy zupełnie białe, dłoń jednej ręki wyciągniętą, a palce zakrzywione niczym szpony, jakby chciał czegoś sięgnąć. Zayl nachylił się nad nim i wyjął z sakwy fiolkę z czarnym płynem. Odkorkował ją i przesunął nad bladym czołem trupa, kreśląc kroplami runę, która zaśniła krótko i zgasła. Mężczyzna miał zapadnięte usta, jakby ktoś powyrywał mu zęby, i wyglądał na dwadzieścia lat starszego niż za życia.

Po chwili nekromanta się wyprostował.

– Nic nie mogę dla niego zrobić - stwierdził. - Jego dusza odeszła i z jakiegoś powodu nie mogę jej przywołać.

– Wyszedł pewnie się rozejrzeć - wysunął przypuszczenie Kullen - i coś go... zabiło.

– Wyciągnęło go tu nie bez przyczyny - stwierdził Thomas. Próbował przebić spojrzeniem napierającą zewsząd ciemność.

Wszyscy milczeli, trzymając broń w pogotowiu, i wtedy noc ponownie zabrzmiała typowymi dźwiękami, znów zapłonęły lampy, płomienie zamigotały i ożyły, dając ciepło i światło. Z pobliskich budynków wyszło parę osób. Nie chcąc, by ktoś ich zobaczył, Tyrael nakazał grupie oddalić się od ciała. Za drugim rogiem karczmy znaleźli Jacoba, siedzącego pod ścianą.

– Widziałem jednego - powiedział na ich widok. Czuć go było miodem, ale spojrzenie miał trzeźwe. Mówił z wyraźnym wysiłkiem, jakby z trudem dobywając każde słowo. - Jakaś widmowa istota z dziwnymi skrzydłami... poruszała się niczym owad i była czarna jak smoła. Na chwilę nade mną zawisła i poczułem, że coś ze mnie wysysa... Było mi tak zimno. Nie mogłem się poruszyć. A potem usłyszałem was... i zniknęła.

– Obawiam się, że uzdrowiciel nas wydał - rzekł Thomas. - Ta istota to zwiadowca, szpiegujący dla kogoś innego, jestem przekonany. Jeśli mam rację, wkrótce będzie ich tu więcej.

– Mogę rzucić zaklęcie, które na jakiś czas nas ukryje - powiedział Zayl - Nie będzie nas widać ani słyszać, przynajmniej na tyle długo, byśmy zdołali uciec.

Od wejścia do karczmy dobiegł ich krzyk i tupot stóp. Odkryto zabitego; nie minie wiele czasu, a ludzie z miasteczka oskarżą o zabójstwo któregoś z przybyszy. Wszyscy w grupie zebranej przez Tyraela czuli się znużeni,

mieli przed sobą długą drogę. Ale w Nowym Tristram nie było już bezpiecznie, a Tyrael nie mógł narażać misji na takie ryzyko, zanim się naprawdę rozpoczęła.

– Pora, by każde z was podjęło decyzję - oznajmił. - Powiedziałem wam, co i dlaczego musimy zrobić oraz jakie niebezpieczeństwa wiążą się z taką próbą. Dziś mogliście to zobaczyć na własne oczy, a to dopiero początek. Przygotowania będą kosztować nas wiele pracy, ale musimy trzymać się razem, by mieć jakąkolwiek szansę na powodzenie. Jeżeli coś budzi wasze wątpliwości, mówcie teraz. Każde z was jest wolne i może odejść.

Powiódł po nich spojrzeniem, a oni wszyscy pokiwali głowami. Tyrael poczuł ukłucie wstydu, że tak ich wykorzystuje; żadne z nich nie mogło w pełni pojąć, na co się porywają - jeszcze nie. Gynwir pomogła wcześniej wstać Jacobowi, który teraz chwiał się trochę, ale niewzruszenie odwzajemnił spojrzenie archanioła.

– Musimy to zrobić - powiedział. - Czy nam się to podoba, czy nie.

Odciągnął skraj szaty, ukazując ślad w zagłębieniu tuż pod obojczykiem. Znak był ciemnoczerwony jak blizna po starej ranie, miał kształt półksiężyca.

– Tu mnie dotknęła ta istota - wyjaśnił. - Czuję to, nawet teraz. One wrócą, chyba że wcześniej znajdziemy sposób, by je powstrzymać.

– Doskonale - rzekł Tyrael. - Wyruszamy do Bramwell. W tej chwili, przed świtem.



## ROZDZIAŁ 10



### *Niszczyciel*

Balzael był niespokojny.

Porucznik Luminarei chodził w tę i z powrotem pod wiszącymi rzędami trofeów. Sale Odwagi były pełne makabrycznych okazów - łbów upadłych z rogami i zaślinionymi pyskami obnażającymi wstrętne kły; rzygaczy o wyłupiastych, niewidzących ślepiach; mrocznych berserkerów, piekielników i wielu innych demonów, wszystkich zabitych w bitwie. Zostały rozmyślnie wypreparowane tak, jak zginęły - w męce, wykrzywione, rozwścieczone. Wyglądały, jakby miały nagle się uwolnić i ożyć.

Ta zewnętrzna sala była oczywiście przeznaczona dla mniej istotnych okazów. Archanioł Odwagi największe trofea trzymał w swoich prywatnych komnatach. Aż do niedawna Balzael zawsze uważał łby za pamiątki zwycięstw, mające inspirować nowe pokolenia aniołów do odwagi i prawości w walce. Teraz jednak gapiące się na niego zdobycze wisały nad nim jak zagrożenie, które w każdej chwili może stać się rzeczywiste.

Szturm Najwyższego Zła na Niebiosą zmienił je tak samo jak wszystko inne. Balzael stracił wielu braci i sióstr Luminarei, a jego wiara w świętość

tych sal została wstrząśnięta do głębi.

Był zdeterminowany nigdy więcej do czegoś takiego nie dopuścić.

Bez względu na cenę.

Cieszył się, że Imperius podziela to stanowisko, przynajmniej do pewnego stopnia. Po tym, jak omal nie doszło do zniszczenia Kryształowego Łuku, Imperius polecił Balzaelowi przyspieszyć szkolenie niewielkiej grupy anielskich niszczycieli, nazywanych Sicarai, których zadaniem było niedopuszczenie, by coś takiego kiedykolwiek się powtórzyło. Jednym z pierwszych kroków Balzaela była wysłanie Sicarai z sekretną misją likwidowania watah demonicznych niedobitków wszędzie, gdzie można było je znaleźć - na obrzeżach Płonących Piekieł, w Twierdzy Pandemonium, nawet na samym Sanktuarium. Choć większość tych istot, pozbawiona przywództwa, działała w sposób niezorganizowany, Imperius wciąż uważał je za niebezpieczne.

Anielskie ingerencje w Sanktuarium należało przeprowadzać bardzo ostrożnie. Z wielu przyczyn. Reszta Rady Angiris nie wiedziała o tych działaniach i z pewnością by ich nie zaakceptowała. Ale świat ludzi pozwalał Sicarai szlifować swoje umiejętności. Anielscy niszczyciele uderzali z zabójczą precyzją i znikali, nie przejmując się znanymi ludźmi, którzy stanęli im na drodze; śmiertelni świadkowie byli likwidowani bez namysłu.

Strażnik miał oczywiście inne zastosowania dla włączających się watah demonów. Ale to był ich sekret.

A potem Tyrael wszystkiemu temu zagroził.

Balzael, tak jak obiecał, obserwował go bacznie przez ostatnie kilka tygodni; widział, jak archanioł błąka się po Komnatach Sprawiedliwości, zagląda w Kielich Mądrości przy wyschniętej Krynicy, je, śpi, sika i robi to wszystko, co robią śmiertelnicy, przez co Luminarei miał Tyraela w jeszcze



większej pogardzie. Balzael robił, co mógł, by przekonać Imperiusa, że Tyraela należy uwięzić w Pięści i osądzić za jego zbrodnie. Dla śmiertelników nie było w Niebiosach miejsca, Tyrael był tego dowodem. Ludzie to ohyda i należy ich zniszczyć. Ale pomimo wszystkich tych dowodów Imperius nie chciał działać wbrew decyzjom Rady.

A potem ten głupiec zniknął. Oczywiście Balzael natychmiast się domyślił, dokąd tamten się udał, choć odnalezienie Tyraela zajęło mu trochę czasu. Teraz Strażnik musiał podjąć bardziej drastyczne kroki, ale wciąż była szansa, że Imperius dostrzeże zasadność wyeliminowania zagrożenia.

Balzael westchnął, jego zniecierpliwienie rosło z każdą mijającą chwilą. W końcu potężne drzwi się otworzyły i wyłonił się z nich Archanioł Odwagi, kroczący z ognistą determinacją.

– Znaleziono go - powiedział Imperius.

To nie było pytanie. Wiedział, że jeśli Balzael wezwał go na spotkanie, powód mógł być tylko jeden.

Anioł przytaknął.

– W miejscu o nazwie Tristram w Kanduras w Sanktuarium. Zebrał grupę ludzi w celu, który pozostaje niejasny.

– Ludzi... - Imperius urwał. - Ilu?

– Mniej niż tuzin.

– Zabij ich, jeśli będzie trzeba. Ale Tyraela weź żywcem i przyprowadź do mnie. Nie chcę, żeby stała mu się krzywda.

– Jesteś pewien? Czy nie pora zająć się jego występkami, podjąć drastyczne kroki, zanim zrobi coś, czego nie da się cofnąć?

Imperius odwrócił się w stronę Strażnika, a Balzael siłą woli powstrzymał chęć, by się skulić. Uważał się za dzielnego, nieznanego

strachu wojownika, zahartowanego w boju. Ale mało który spośród aniołów mógł z podniesionym czołem znieść gniew Archanioła Odwagi.

– Nie kwestionuj moich poleceń - rzekł Imperius tonem, który Balzael znał doskonale. - Chcę, żeby został osądzony w Kręgu, przed tymi, których nazywał braćmi i siostrami. Musi zostać symbolem słabości śmiertelników w Królestwie Niebios. To będzie jeszcze jeden argument przeciwko istnieniu Sanktuarium.

– Nie zamierzałem kwestionować twoich poleceń - odparł Balzael ostrożnie. - Ale jeśli Rada wciąż nie podejmie działań, nawet po tym wszystkim...

Imperius chwycił go i przygwoździł do ściany Uścisk archanioła był niewiarygodnie silny, Balzael czuł się zupełnie bezradny.

– Rada wciąż włada Wysokimi Niebiosami! - zagrzemiał Odwaga. - Nie tobie krytykować nasze metody czy postanowienia! Masz robić, co ci każę.

Balzael pokiwał głową, niezdolny wydusić głosu. Po chwili Imperius go puścił.

– Przyzwałem tu naszego najlepszego Sicarai, przekażę mu, co trzeba zrobić - powiedział anioł.

– Dobrze - Imperius nagle odwrócił się i ruszył do drzwi. - Nie zawieźdź mnie, Balzaelu - rzekł, przystając w progu, po czym zniknął.

„Nie zawiodę - pomyślał Balzael. Płonął w nim gniew. - Ale to nie twoich rozkazów będę służył”.



Na następne spotkanie wybrał bardziej odludne miejsce, z którego korzystał dość często - wymagało całkowitej prywatności. Miał do

przekazania rzecz najwyższej wagi; nikt nie mógł poznać rozkazów, które właśnie zamierzał wydać.

Szedł po wysypanych tłuczniem ścieżkach wśród studni mądrości i starał się uspokoić po konfrontacji z Imperiusem. Porzucone studnie dawno wyschły i zamilkły, zimne powietrze tłumilo dźwięki. Balzael nie usłyszał, jak zbliża się wojownik Sicarai. W jednej chwili był sam, w następnej już nie. Nie dał po sobie poznać zaskoczenia; za dobrze nad sobą panował. Jeśli niszczyciel cokolwiek zauważył, nie zareagował.

Sicarai w ogóle się nie odezwał, stanął tylko na baczność, doskonale nieruchomy. Balzael musiał przyznać, że to wspaniała machina bojowa, do tego lojalna wobec niego i nikogo innego. Zadbął o to. Sicarai wibrował czerwonym brzmieniem, które zawisło mu wokół naramienników złotej zbroi niczym krwawa mgiełka. Na napierśniku nosił znak Luminarei - rozchodzące się promienie, przypominające nieskończone, rozpostarte skrzydła w locie. Sicarai słynęli z braku litości i ślepej determinacji; Balzael wybrał do tego zadania najlepszego z nich - anioła, który zabił wiele demonów i miał reputację niezmordowanego myśliwego; wyszkolonego zabójcę, emanującego siłą, potężnego nawet jak na Sicarai i dysponującego bronią, która potrafiła zniszczyć wszystko na swojej drodze.

Z wyjątkiem, być może, El'druina.

„To się jeszcze okaże”.

– Zwiadowcy wytropili naszą ofiarę - powiedział Balzael bez wstępów. Uważnie przypatrywał się Sicarai, czekając na reakcję, ale anioł pozostał nieporuszony. - Podejrzywałem, że Tyrael ukrywa się w Sanktuarium. Zbiera drużynę ludzi do celu, którego nie potrafię jeszcze określić. Nieważne, co planuje, nie może tego ziścić. Rozumiesz mnie?

Sicarai po raz pierwszy się odezwał. Głos miał niski, mocny, chłodny.

– Tak, panie - rzekł spokojnie.

Balzael kiwnął głową.

– Zwiadowcy tropią Tyraela i jego grupę, a ty do nich dołączysz - powiedział. - Tyrael nie może wrócić do Niebios, by stanąć przed sądem za zdradę. Musimy działać. Zabij go i wyrznij wszystkich, którzy z nim podróżują.

Zauważył, że w Sicarai coś się zmieniło, być może zapłonęła w nim chęć działania. Czerwona aura niszczyciela zadrżała niczym zwierzę dygoczące w oczekiwaniu, aż zostanie poszczute. Balzaela dobiegł cichy, niemal niesłyszalny dźwięk, niskie buczenie. Prawie warkot. Broń o dwóch ostrzach jaśniała u boku Sicarai swoim własnym mocnym wewnętrznym blaskiem.

– Idź - rzekł Balzael. - Nie wspominaj o tym nikomu ani słowa. Pilnuj, żeby nikt cię nie widział. I nie spocznij, dopóki nie wykonasz zadania. Tyrael i wszyscy, którzy z nim będą, muszą paść pod twoim mieczem!

Sicarai wykonał salut Luminarei i odszedł, tak szybko i tak niepostrzeżenie, że Balzaelowi mignęło tylko w oczach przelotne wyładowanie energii i został znów sam.

„Tyrael nie może wrócić do Niebios, by stanąć przed sądem za zdradę... Zabij go i wyrznij wszystkich, którzy z nim podróżują”.

Osobiście Balzael wolał, żeby dokonać tego z jak największym okrucieństwem. Dzięki temu ich plany wobec Sanktuarium byłyby o wiele łatwiejsze do zrealizowania. Kamień Dusz musi mieć więcej czasu, żeby wpłynąć na Radę, a Tyrael był tu jedyną przeszkodą. Postanowił wziąć stronę ludzi. Takie wtrącanie się mogło pokrzyżować zamiary Strażnika. Choć Czarny Kamień Dusz został skażony esencją zła, pozostawał bardzo potężny i można było go wykorzystać do większych celów.

Do unicestwienia nefalemów i całego Sanktuarium raz na zawsze.



# CZĘŚĆ DRUGA



## DROGA DO ZACHODNIEJ MARCHII



## ROZDZIAŁ 11



### *Narodziny w Łuku*

*Minęło wiele ludzkich dni, odkąd Tyrael stanął przed Krynicą w studniach mądrości. Wspomnienie tego, co zobaczył w Kielichu, zbladło w nim na tyle, że odzyskał nieco spokoju ducha. Widział nici czasu i emocji, wyczuwał ich połączenia i dostrzegł możliwą przyszłość. Ale Chalad'ar nie przepowiadał tego, co ma nadejść - pozwalał tylko zrozumieć, co może się stać, w oparciu o to, co działo się tu i teraz.*

*To, co Tyrael zobaczył, nie musiało się ziścić. Śmierć przyjdzie po niego jak po wszystkich śmiertelników, ale niekoniecznie już wkrótce. A rozpełzających się macek Czarnego Kamienia Dusz - spaczenia Niebios - wciąż można było uniknąć, gdyby archaniołowi udało się jakoś zabrać artefakt z piedestału w Sali Rady.*

*Czasu było jednak coraz mniej.*

*Posłaniec Auriel przyniósł mu wiadomość, że Rada nie zdecydowała się wziąć pod rozwagę jego słów. Rola Tyraela jako Mądrości została zminimalizowana, a zaufanie w nim pokładane - nadszarpnięte. Przez eony celem archaniołów było pokonanie Płonących Piekieł i zaprowadzenie ostatecznego pokoju. Ostatnio jednak Tyrael wyczuwał u nich żądzę krwi,*



potężniejszą niż cokolwiek, co czuł wcześniej. Był przekonany, że spiskują przeciwko niemu i że jeśli pozostanie w Królestwie Niebios, dni jego wolności będą policzone.

Ale któregoś dnia obudziła go niezwykła nuta w Pieśni Łuku, rozbrzmiewająca echem w olbrzymich przestrzeniach Srebrnego Miasta, i o wszystkim tym na chwilę zapomniał.

Wiedział, co oznacza Pieśń Światłości - narodzić się miał nowy anioł.

Odkąd Tyrael został śmiertelnikiem, w Łuku urodziło się kilkoro aniołów, ale on mógł tylko z boku obserwować ceremonie narodzin, wiedząc, że nie ma tam dla niego miejsca. Teraz jednak ubrał się pospiesznie, szarpiąc się z ubraniami. Nie cierpiał śmiertelnego odzienia, czasu, którego wymagało jego założenie, dotyku materiału na skórze. Przypominało mu bardziej o tym, czego się wyrzekł, niż kim się stał.

Na zewnątrz dołączył do rosnącego strumienia aniołów, zdążających w stronę Srebrnej Iglicy. Jeśli wiedziały, kim jest, nie okazały tego; nikt nie zareagował na jego śmiertelną postać, wszyscy jak w transie skupiali się na iglicy. „A gdyby zauważyli?”, zastanowił się. Wciąż był członkiem Rady, nawet jeśli nie chciano już go słuchać. Czy upadł tak szybko i tak nisko, że resztki jego dumy wiatr rozwiewał niczym popioły?

Skarciwszy się w duchu, Tyrael wyprostował się dumnie. Dzień był piękny, niebo - jasnoblękitne, powietrze świeże i rześkie, a od pieśni wibrowały kamienie pod jego stopami, coraz mocniej, w miarę jak zbliżał się do iglicy. Anioły rezonowały w harmonii z Pieśnią Światłości, ale dźwięk ten nie dobywał się z ich nieśmiertelnych gardeł, był pulsującą energią ich doskonale zsynchronizowanych wibracji. Na dziedzińcu Tyrael zobaczył tłum aniołów zbierających się pod strzelistą wieżą. Choć widział ją już niezliczoną ilość razy, wciąż robiła na nim wrażenie; teraz, jako śmiertelnik, spoglądał na nią z nowym zachwytem. Wysokości iglicy nie

dawało się prawie objąć rozumem - wznosiła się niczym bliźniacze ostrza, połyskując kryształowymi fasetami. Szeroką podstawę otaczały okrągłe pierścienie platform, dookoła w niebo pięły się inne mniejsze wieże i iglice, wierzchołek zaś przechodził w olbrzymie anielskie skrzydła, podtrzymujące Kryształowy Łuk.

*Kręgosłup Anu.*

Anu był pierwszą istotą, Jedynym, z której powstały wszystkie inne, stworzoną ze światłości i mroku, dobra i zła. Jedyne wygnał zło, ale ono przeobraziło się w bestię-smoka Tathameta, pierwsze Najwyższe Zło. Obie istoty zawarły się w trwającej eony walce, aż ostateczne starcie zakończyło się olbrzymią eksplozją, która rozrzuciła ich esencje na wszystkie strony, tworząc przy tym wszechświat. Blizną po tym akcie stworzenia było Pandemonium, natomiast z siedmiu głów Tathameta zrodziło się siedmiu Wielkim Złych z Płonących Piekieł; jego ciało stało się fundamentem ich królestw. Kręgosłup Anu utworzył Kryształowy Łuk, wokół którego ożyło Królestwo Niebios.

Dla Tyraela to były dawne dzieje; z biegiem wieków wiedza ta stała się dlań czymś tak naturalnym, że rzadko o tym myślał. Teraz jednak, kiedy zbliżał się do kolosalnej iglicy, przypomniał sobie legendę, jakby dopiero co ją usłyszał, opowieść o stworzeniu wszechświata, zapierającą dech w piersiach, gdyby się nad tym zastanowić. Cały porządek, światło i pokój znalazły dom tu, w Królestwie Niebios, podczas gdy chaos, ciemność i zło zebrały się w Płonących Piekiłach. Obie strony nadal zmagają się ze sobą w Wiecznym Konflikcie, żadna nie mogła zdobyć przewagi. A gdzieś pomiędzy, zasobne w możliwości obu stron, zdolne do aktów zarówno zdumiewającej dobroci, jak i niszczącej przemocy, leżało Sanktuarium, dom rasy ludzkiej.

Tyraela fascynowała walka dobra ze złem, która toczyła się w duszy każdego człowieka. Zmagania Anu i Tathameta, powtarzane po wielokroć w

*pomniejszej skali. Dobro i zło, światło i ciemność, życie i śmierć. Co się działo z ludźmi po śmierci? Co się stanie z nim samym? Wiedział, że ludzkość ma wiele teorii na ten temat, ale prawdy nie znał nikt.*

*Nie wiedzieć czemu, przypomniał sobie o Kielichu, wciąż noszonym na piersi. Czuł potrzebę, by użyć go jeszcze raz, a zarazem wzdragał się przed tym. Bał się tego, co mógł zobaczyć.*



*Anioły, które zebrały się już pod iglicę, wypełniły niemal cały dziedziniec, ale jako członek Rady Tyrael miał prawo do miejsca pod samym Łukiem.*

*Teraz anioły już go zauważyły, gdy mijał je, zmierzając do miejsca narodzin.*

*Szedł z wysoko uniesioną głową, jakby rzucając im wyzwanie, by ktoś spróbował go zatrzymać. Nikt się nie odważył. Wejście na górę trwało dość długo. Smugi światła przelewały się w zawiłych wzorach i złobieniach kryształu niczym woda, a potem wybuchały widowiskowo z iglicy, pulsując w rytm pieśni, tak jasne, że aż oślepiające. Tyrael powstrzymał chęć, by osłonić oczy ręką, i wspiął się na platformę.*

*Anioły zebrane na szczycie Łuku pochodziły z Sal Odwagi - narodzony dziś anioł miał być jednym z nich i zwyczaj nakazywał, by bracia i siostry z tej dziedziny oddali mu cześć.*

*Anioł mógł się narodzić tylko wtedy, gdy światło i dźwięk zestrajały się w idealnej harmonii; taki rezonans wytwarzał olbrzymi przyływ mocy. Kręgosłup Anu rodził je jako skończone aspekty samego siebie. Mówiono, że nowy anioł mógł się narodzić tylko po śmierci innego.*

*Ze wszystkich stron wznosiły się w górę olbrzymie kryształy diamentu, śląc rozmigotane fale jasnego światła, które spotykały się ponad zebranymi*

aniołami. Falowanie przybierało na sile, pulsowało coraz szybciej, a harmonia osiągnęła wysokość prawie ogłuszającą dla śmiertelnych uszu Tyraela. Wraz z nią coraz silniej wibrowali widzowie. Pieśń Światła nie brzmiała już dla archanioła kojąco; przytłaczała zmysły. Wszystko, co Tyrael widział i słyszał, zmieniło się od tamtego brzemiennego w skutki dnia w sali Rady Angiris, kiedy odrzucił skrzydła. Miał wrażenie, że żył dwukrotnie - raz jako nieśmiertelny, ponownie jako śmiertelnik - i że oba te żywoty nie miały ze sobą nic wspólnego.

*Jak mógł pozostawać tutaj, między aniołami, choćby jeszcze jeden dzień?*

Nagle poczuł się jak skaza, wypaczenie wszystkiego, co dobre i święte. Odwrócił się, żeby odejść, ale tłum naparł do przodu, kiedy pieśń przybrała na sile. Tyrael miał wrażenie, że popękają mu uszy; zacisnął zęby i zawrócił. Fale światła łączyły się w jednym oślepiającym punkcie nad nim, gdzie z trzaskiem wyładowań wirowały cienkie jak nici włókna. Splotły się w skomplikowaną płaszczyznę, zwinęły w kulę, w niej zaś Tyrael dostrzegł wijący się kształt ze światła tak jasnego, że nie mógł patrzeć na nie bezpośrednio.

*Ale coś było nie w porządku.*

Wychwytał coraz wyraźniejszą, fałszywą nutę. Jedno ze świetlnych włókien poszarzało, tak cienkie, że wyglądało jak włosowate pęknięcie na powierzchni kuli narodzin. Ale bezsprzecznie je widział.

Z kręgosłupa Anu wciąż strzelały w górę wiązki światła, oplatały się wokół kształtu, powiększały go, współbrzmiąca pieśń narastała. Ale ta jedna nuta, tak cicha, że ledwie słyszalna, wybrzmiewała tuż poza harmonię. Tyrael skrzywił się i rozejrzał po rozedrganych aniołach, rozkładających w ekstazie skrzydła. Czy nikt oprócz niego tego nie zauważył?

*Może ten dźwięk pochodził od niego samego. Może to jego obecność, obecność śmiertelnika, dźwięczała fałszywą nutą. Kiedy jednak położył sobie rękę na piersi, nie wyczuł wibracji, w ogóle żadnego rezonansu; w środku był pusty, milczał.*

*Istota wewnątrz kuli szybko rosła. Zobaczył zarysy złożonych skrzydeł, blask anielski z każdą chwilą przybierał na sile. W kulminacyjnym momencie Pieśni Światłości kula nagle pękła, śląc z trzaskiem wiązki światła nad tłumem, a nowy anioł rozwinął skrzydła, unosząc się nad innymi w crescendo blasku i dźwięku, w olśniewającym rozbłysku mocy.*

*Pieśń pozostałych aniołów zapulsowała łagodnie na znak powitania i akceptacji. Anioł miał formę żeńską. To powinna być chwila wspaniała ponad wszelkie wyobrażenie, radosna, zapierająca dech w piersiach. Ale subtelna zmiana rzuciła cień tam, gdzie go być nie powinno, jakby szara nieć, która oplotła się wokół kuli narodzin na podobieństwo węża, wplotła się w esencję anioła; choć Pieśń Światłości powinna rozbrzmiewać w idealnej harmonii z pieśnią nowonarodzonej, to pieśń skrzydlatej różniła się nieznacznie, w uszach Tyraela brzmiała jak zgrzyt.*

*Anioły jakby tego nie słyszały, rozwibrowane podnieceniem. Tyrael miał nadzieję, że widok narodzin doda mu sił, zwiąże go na powrót z Niebiosami, ale nie mógł przyłączyć się do pieśni; jego śmiertelne zmysły nie mogły tego znieść, paliły go oczy i uszy. Znów poczuł się wśród nieśmiertelnych jak intruz.*

*Pieśń Światłości przejęła go trwogą.*

*„To Kamień - pomyślał. - Jego plugawe macki sięgnęły Łuku i skaziły akt narodzin”.*

*Myśl ta przejęła go chłodem lęku jak żadna inna dotąd. Wpływ Kamienia sięgał dalej i szybciej, niż Tyrael uważał wcześniej za możliwe.*

*Odwrócił się znów i odszedł chwiejnym krokiem. Bolało go całe ciało, w głowie kręciło się od okropnych przeczuć. Był sam. Sam przeciwko armii aniołów. Los całych Niebios spadł na jego barki. Jeśli zawiedzie...*

*Nie mógł. Nie było innego wyjścia, nie w tej chwili. Musiał znaleźć lekarstwo na czarną zarazę Kamienia, zanim będzie za późno.*

*Anioły rozstępowały się przed nim. Szedł na oślep, bo piekące oczy odmawiały mu posłuszeństwa, aż zatrzymał go czyjś głos.*

*– Ośmieliłeś się przyjść tu dzisiaj?*

*Tyrael zamrugał, usiłując zobaczyć cokolwiek przez mgłę bólu. Przed nim stał Balzael. Pozostałe anioły ucichły. Rozstąpiły się przed porucznikiem Luminarei, nie przed Tyraelem.*

*– Patrzcie, bracia i siostry, oto Mądrość przychodzi jako śmiertelnik stanąć przed Łukiem, ale jego oczy łzawią, a uszy krwawią! Czy to nie obraza Anu i wszystkiego, co święte?*

*Tyrael czuł, jak pali go gardło.*

*– Wciąż jestem twoim bratem.*

*– Jesteś nieśmiertelnym, który postanowił porzucić swój rodzaj i stanąć po stronie rasy ludzi! - Balzael odwrócił się do tłumu. - Wielki Tyrael, który służył jako Sprawiedliwość i walczył z naszymi wrogami na polu bitwy, zrezygnował ze swojego miejsca wśród archaniołów. A teraz przychodzi tu, w dzień radości, by zanieczyścić Łuk swoim plugastwem! - Balzael wycelował w niego palec. - Chwila twojego sądu zbliża się wielkimi krokami.*

*W Tyraelu wezbrał gniew, nagły i szarpiący; przestraszył się, że rzuci się na Balzaela z gołymi rękami. Ale aniołów było za dużo i Tyrael wiedział, że jeśli zaatakuje jednego z nich, strażnicy Luminarei go schwytają i ostatnia szansa uratowania Niebios przepadnie.*

*Potężnym wysiłkiem woli okiełznał gniew.*

– Przeszedłeś mnie aresztować, Balzaelu? Bo jeśli spróbujesz, nie skończy się to dla ciebie dobrze.

Balzael się zaśmiał.

– Zostaniesz osądzony, ale nie przeze mnie. Rada zbiera się jutro. Bez ciebie. To oni zadecydują o twoim losie.

Tyrael ukrył zaskoczenie. A więc tak się to odbędzie - upozorowana debata Rady, głosowanie, by postawić go przed sądem za zdradę. Pomyślał o swoim starym druhu Inariusie i jego ucieczce z Niebios, zakończonej stworzeniem Sanktuarium. Inarius został uznany za zdrajcę, ale był jednym z nielicznych aniołów, które ośmieliły się sprzeciwić i uciec od Wiecznego Konfliktu, porzucając Królestwo Niebios na zawsze.

Teraz Tyrael był zmuszony zrobić to samo.

„Jest pewne rozwiązanie”.

Uświadomił to sobie zupełnie nagle, a kiedy tylko plan ukształtował się w jego głowie, Tyrael był zdziwiony, że wcześniej na to nie wpadł - oczywiście, plan był desperacki, ale też podobny do innego, wypróbowanego wiele wieków temu. Po raz kolejny będzie musiał zawierzyć ludziom z Sanktuarium. Tym razem jednak przedsięwzięcie było jeszcze bardziej niebezpieczne, a szanse powodzenia mniejsze.

To dzięki Kielichowi.

Chalad'ar w jakiś sposób wyostrzył zmysły archanioła, obdarzył go przenikliwością, której Tyrael wcześniej nie posiadał. Czy to mu wyjdzie na dobre, czy wręcz przeciwnie - nie mógł wiedzieć i nie miał też czasu, by się nad tym zastanawiać. Czekало go dużo przygotowań. Niech więc tak będzie... rano już go tu nie znajdą.

Opuści Niebiosa natychmiast, zrywając więzi łączące go z braćmi i siostrami. Zbierze grupę utalentowanych ludzi (w myślach już sporządził listę imion tych, którzy mogli się nadawać) i rozpocznie ich szkolenie. A

*potem wkradną się do Niebios, zabiorą Kamień i schowają go gdzieś, gdzie nikt nigdy go nie znajdzie.*

*Z czasem anioły zrozumieją jego decyzję. Muszą - inaczej bowiem wszystko, o co walczył, pójdzie na marne.*

*– Przyjdź zatem po mnie, kiedy będziesz gotowy - rzekł. - O ile się ośmielisz.*

*Z tymi słowy Tyrael wyminął Luminarei. Tłum rozstąpił się, robiąc mu przejście.*





## ROZDZIAŁ 12



### *Straże Bramwell*

Tyrael ocknął się nagle. Wspomnienie narodzin skażonego anioła zakradło się w jego sny; serce biło mu mocno, ponownie czuł gniew wzbudzony tamtą konfrontacją z Balzaelem. Wtedy widział porucznika Luminarei po raz ostatni. Tyrael nie dał Radzie satysfakcji wywleczenia go z komnat. Otworzył portal i opuścił Niebiosa zaraz po spotkaniu pod Łukiem, zabierając ze sobą tylko swoje zapiski, zawartość plecaka i ubranie, które miał na sobie.

Kielich pozostawał ukryty pod szatami Archanioła Mądrości, odkąd ten zabrał go z Krynicy. Za każdym razem, kiedy Tyrael szukał odpowiedzi w Kielichu, przytłaczała go fala czystego uczucia. Nad wszystkim unosiła się śmierć - koniec wszechrzeczy. W wiecznym śnie, w poddaniu się i rezygnacji, był spokój. Ta myśl hipnotyzowała. Kiedy Tyrael przebywał wewnątrz Kielicha, znikwały wszystkie alternatywy i prawda stawała się jasna i oczywista. Musi ochronić Niebiosa przed Kamieniem. Zjawienie się watahy demonów i istot pod „Zarżniętym Cielakiem” nie było zbiegiem okoliczności. Już teraz gromadziły się przeciwko nim siły zamierzające powstrzymać nowych horadrimów i zniszczyć Sanktuarium raz na zawsze.

Kiedy jednak wracał do świata śmiertelników, pustka, jaką zostawiał w nim Kielich, była wręcz nie do zniesienia. Tyrael wiedział, jak słabi są członkowie jego nowej drużyny; przygotowanie ich na to, co ich czekało, wydawało się zadaniem niewykonalnym, a szanse powodzenia były prawie żadne.

Każde wejrzenie w Kielich wyczerpywało Tyraela bardziej, zarazem jednak wciąż łaknął więcej. Wiedza, którą czerpał z głębin Chalad'ara, dodawała archaniołowi dziwnej otuchy. Choć zdawał sobie sprawę z nikłych szans powodzenia, widział też, że przybywając w Sanktuarium, podjął właściwą decyzję. Jedyną możliwą.

Wykradną Kamień Dusz albo zginą.

W świetle poranka Tyrael przyglądał się pozostałym, wciąż jeszcze pogrążonym we śnie. Ogień dawno już zgasł, ziemię pobielił szron. Po wielu dniach podróży zbliżali się do Bramwell. Okrążyli Zatokę Zachodniej Marchii i wśród wzgórz rozbili obóz - nieopodal drogi, w lesie. Czar maskujący Zayla ukrywał ich przed wszystkimi napotkanymi podróżnymi. Nekromanta okazywał się jak dotąd bardzo przydatny, ale reszta grupy zachowywała wobec niego dystans, jakby roznosił jakąś zakaźną chorobę. Nawet teraz, gdy wszyscy położyli się blisko siebie dla zachowania ciepła, on spał osobno, za towarzysza mając tylko czaszkę.

Poprzedniego dnia w marszu Kullen zaczął Tyraela i zasypał go pytaniami, zafascynowany Niebiosami i przemianą anioła w śmiertelnika. Tyrael odpowiadał najlepiej jak umiał, ale wkrótce go to znużyło. Żądza wiedzy uczonego była nie do zaspokojenia, a do tego im dłużej szli, tym bardziej archanioł uświadamiał sobie, jak boli go całe ciało. Trudno było mu zachować cierpliwość. Od wielu dni mało jadł i spał, nie był przyzwyczajony do takich niewygód. A Kullen nie ustępował.

Tyrael uśmiechnął się słabo w półmroku świtu. Kullen chrapał cicho; bez swoich okrągłych okularów, z twarzą wygładzoną snem wyglądał o wiele młodziej. Pomimo frustracji Tyrael coraz bardziej go lubił. Wiedział, że nadejdzie chwila, w której wiedza Kullena okaże się bezcenna dla powodzenia ich zadania.

Spojrzał na miejsce, w którym wieczorem kładł się mnich, ale było puste. Nie pamiętał, żeby widział Mikułowa zamykającego oczy. Mnich rzadko sypiał. Ostatnimi dniami wyglądał i zachowywał się jak nawiedzony - wpatrywał się w dal nieobecny wzrokiem, jakby widział rzeczy niewidoczne dla pozostałych. Mnisi z Iwogrodu byli niezwykle uduchowieni, pozostawali zestrojeni z otoczeniem i swymi bogami znacznie bardziej, niż większość ludzi była w stanie pojąć. Mikułow codziennie szedł przodem na zwiad, prześlizgując się niby duch przez las wzdłuż drogi, wypatrując niebezpieczeństwa. Kiedy wracał, zawsze miał to nieobecne spojrzenie; Tyrael zachodził w głowę, co takiego tamten wie, czego nie mówi pozostałym.



Mikułow stał w cieniu drzew, tuż obok drogi wiodącej do Bramwell. Wieloletnie ćwiczenia i medytacje w Podniebnym Klasztorze wyostrzyły mu zmysły, wyczuwał więc to, co dla innych było nieosiągalne. W tej chwili czekał cierpliwie na następny znak zdradzający dokładne położenie ludzi przed nimi.

Było ich dwóch. Stali w milczeniu, ale wydało ich przestępowanie z nogi na nogę i szuranie. Zachowywali się tak, że Mikułow nie miał wątpliwości, że chcą pozostać w ukryciu, i to go niepokoiło. Gdyby tych dwóch nadeszło

środkiem drogi, poleciliby po prostu swojej małej grupie zostać w lesie, dopóki okolica znów nie będzie pusta. Jednak o tym nie było mowy.

Ci dwaj na coś czekali.

Cierpliwością bił ich na głowę. Stał lekko na palcach, w idealnej równowadze, mimo że od dwóch godzin trwał nieruchomo w tej pozycji. Pozwolił, by jego myśli błądziły wokół celu wyprawy. Był to stan zarazem medytacji i czujności, symbioza umysłu i ciała dobrze znana iwogrodzkim mnichom - w ten sposób Mikułow mógł trzymać wartę, jednocześnie zwracając świadomość do wewnątrz.

Mikułow usiłował rozwikłać nici osnowy i wizję, która nawiedziła go zeszłego wieczoru. Nijak nie umiał ich połączyć.

Od czasu bitwy z nieumarłymi i upadku Mrocznego z Czarnej Wieży dziesięć lat temu Mikułow wyczuwał w sobie zmianę, wzbieranie pierwotnej siły tak ogromnej, że trudno to było nawet pojąć. Przedtem zdawało mu się, że opanował wiele tajników, jak stać się jednością ze wszystkim, ale był głupcem. Ledwie liznął tej wiedzy... Tamta chwila na wieży, kiedy wyzwolił energię swojego wnętrza - gdy eksplodował niczym miniaturowe słońce, siejąc spustoszenie wśród wrogów, którzy go otoczyli - coś w nim uwolniła. Był szybszy, silniejszy i zdolny wpływać na otaczającą go naturę jak nigdy dotąd. Pierwszy raz w życiu rozumiał równowagę i harmonię, o której uczył go mistrz, kiedy Mikułow był małym chłopcem.

„Ale co to znaczy?”

Nie wiedział. Wiedział tylko, że bogowie mają co do niego plany. Ostrzeżono go o niebezpieczeństwach grożących Sanktuarium. Bogowie zesłali mu wizję zniszczenia i straszliwych cierpień - trzęsień ziemi, ognia z nieba, ludzi płonących żywcem, wijących się w męczarniach. Widział horadrimów rozdieranych na strzępy przez olbrzymie, czarnoskrzydłe istoty.

Najbardziej wstrząsnęła nim świadomość, że Dni Ostatnie nadejdą z samych Wysokich Niebios.

Wizja była tak potężna i straszna, że Mikułow nie mógł się zdobyć, by opisać ją Thomasowi i Kullenowi. Ale objawienie to nie zmieniło przeznaczenia mnicha. Został wezwany nie bez powodu. Sanktuarium było w strasliwym niebezpieczeństwie. Mnich wiedział, że musi odnaleźć właściwą drogę, a potem działać szybko.

Kiedy pozostali wieczorem poszli spać, Mikułow wymknął się pod osłoną ciemności, bez trudu odnajdując drogę do urwiska nad zatoką. Wiatr szarpał mu szaty, gdy stał i patrzył, jak czarna woda rozbija się o skały daleko w dole. Nasłuchiwał głosów bogów w tym wietrze, w zapachu ziemi, w wilgoci na skórze, w słonym posmaku na języku. Czuł mrowienie wzbierającej w nim energii. Był gotów.

Ciemne niebo nad nim otworzyło się i pojawiły się schody ze światła. Mikułow postawił stopę na pierwszym stopniu i odkrył, że może na nim stanąć. Ruszył w górę. Woda kotłowała się pod nim, gęste lasy i strome wzgórza malowały w dole. W końcu świat całkiem zniknął. Mnich piął się coraz wyżej, szybciej i szybciej, jego nogi poruszały się tak szybko, że stały się rozmazaną plamą, wiatr chłostał jego ciało, aż wreszcie Mikułow znalazł się na płaskowyżu i ujrzał przed sobą olbrzymią, lśniącą budowlę - kolumny otaczające kamienno-kryształową bramę, ryte w zawiłe wzory anielskich skrzydeł i jaśniejące surową mocą.

„Diamantowe Wrota Królestwa Niebios”. Przez chwilę mnich miał wrażenie, że te słowa zostały wypowiedziane na głos; odwrócił się i zobaczył, że pozostali stoją obok niego: czarownica, barbarzynka, Thomas, Kullen, Jacob i Tyrael, z bronią w gotowości. Z miasta o srebrzystych iglicach zagrzmiął wojenny okrzyk, wzbił się w górę ponad otaczające ich urwiska i spiczaste wieże.

Brama się otworzyła. „Nie wchodźcie”, rzekł inny głos. Nekromanta Zayl stał na uboczu, w urękawiczonej dłoni jaśniał kościany sztylet. „Równowaga została zburzona, za tymi murami czeka tylko śmierć”. Ale Tyrael ruszył naprzód, poprowadził ich na przecudny dziedziniec. Miasto rozpostarło się przed nimi niczym idealnie ukształtowany klejnot. Takie piękno powinno zapierać dech w piersiach, Mikułow poczuł jednak zimny dreszcz, a ogrom tego, co widział, wzbudził w nim uczucie pustki i beznadziei.

Stali zbici w gromadkę, niczym pyłek na tej olbrzymiej przestrzeni. Brama zatrzasnęła się za nimi z hukiem, nad nimi zaś niebo zasnuły niekończące się szeregi anielskiej hordy. Mnich przygotował się do bitwy. Ale anioły nie zaatakowały ich drużyny. Horda przemknęła nad nimi i runęła na Sanktuarium, by rozpocząć rzeź. Kilka chwil później potworne wrzaski umierających uderzyły w wojowników niczym wzburzone fale.

Krzyki nie milkły. Mikułow pobiegł do bramy, załomotał w nią pięściami, ale jego moce były tu bezużyteczne.

Wpadli w pułapkę, a Sanktuarium płonęło.

Mnich odwrócił się do Tyraela, szukając u niego pomocy. Archanioł stał przed nimi w milczeniu. Jego postać zaczęła się zmieniać, wydłużać i cienieć, członki wyciągnęły się w długie kości, a potem w puste rękawy, szaty pociemniały, kiedy urósł nad nimi. Chwilę później Tyrael zniknął. W jego miejscu stała straszliwa postać w czerni, dzierżąca w obu rękach długie, okrutnie zakrzywione ostrze. Zamiast twarzy w kapturze ziała pustka.

Mikułow krzyknął, ale było już za późno. Postać uniosła broń i cięła ze świstem po łuku, trafiając Thomasa pod brodę. W niebo trysnęła fontanna krwi, głowa Thomasa spadła z ramion, a ciało zadygotało i runęło martwe na ziemię.



Odgłos ruchu natychmiast wyrwał Mikułowa z transu. Mnich nie drgnął, ale kropla potu spłynęła z jego lśniącej czaszki na tatuaż na plecach, opowiadający historię jego życia. W stanie medytacji ponownie doświadczył wizji i było to doświadczenie równie potężne jak poprzednio. Rzeź była straszna, ale zdrada Tyraela jeszcze gorsza.

Archanioł zawiódł ich w pułapkę, a potem wyrznął jak zwierzęta.

Co to znaczyło? Mikułow nie wiedział. Jeszcze nie. Ale nie miał czasu dłużej się nad tym zastanawiać. Drogą ktoś nadchodził.

Nowoprzybyli nie usiłowali się maskować. Jeden z nich zakaszłał, stęknął, drugi, zanim się zatrzymał, wymamrotał jakieś przekleństwo.

Mnich opuścił swoją kryjówkę w zaroślach i ruszył bezgłośnie między drzewami, niczym smuga ruchu w porannym półmroku. Dwaj mężczyźni w srebrnych zbrojach stali i rozmawiali przyciszonymi głosami. Mieli miecze przy bokach, pasy przewiązane pomarańczowymi szarfami, głowy gołe. Wyglądali na rycerzy Zachodniej Marchii, choć kolor ich szarf różnił się od tego, który Mikułow widywał podczas swoich podróży przez te ziemie.

„Dziwne. Co tu robili rycerze?”

Jeden z nich cicho zagwizdał. Chwilę później dwaj następni w identycznych zbrojach wyłonili się z zarośli po drugiej stronie drogi. Cztery mężczyźni objęli się ramionami, jeden zaśmiał się serdecznie, po czym dwóch z lasu oddaliło się drogą, a nowo przybyli zajęli ich miejsce, znikając wśród drzew.





– Rycerze - powiedział mnich. - Przyszli zmienić dwóch innych, którzy stali na straży. Czego wypatrywali, nie umiem powiedzieć.

Kullen się zamyślił. Rycerze Zachodniej Marchii wywodzili się od paladynów przyprowadzonych na zachód przez Rakkisa, założyciela miasta i królestwa. Poświęcili się służbie Światłu i obronie niewinnych. Od lat bronili Zachodniej Marchii przed wrogami i nie odeszli od swojej wiary, nawet kiedy Kościół Zakarum wypadł z łask. Nie rozumiał jednak, co mogli tu robić.

– Nie słyszałem, żeby w Bramwell był silny garnizon rycerzy - powiedział. - Może są w drodze do Zachodniej Marchii? Ale po co pilnowaliby drogi?

– Tak czy inaczej, musimy być ostrożni - powiedział Tyrael. - Tych dwóch możemy wyminąć bez trudu, ale po drodze mogą czekać inni. Zwrócenie na siebie uwagi zbyt wcześnie może pokrzyżować nam plany. Jesteśmy kilka mil od miasta. Kiedy dojdziemy na miejsce, pozwólcie, że ja będę mówił, i róbcie, co powiem.



## ROZDZIAŁ 13



### *Warsztat kowala*

Bramwell zbudowano u podnóża góry wznoszącej się nad Zatoką Zachodniej Marchii. Niewielkie piętrowe i dwupiętrowe budynki o krytych strzechą dachach nosiły ślady wściekłości wichrów i ulew, które często nawiedzały te okolice. Kanał doprowadzony do rzeki Słodkiej pozwalał utrzymać port w mieście i przeżyć w ciężkich czasach. Rozkwitający niegdyś przemysł wielorybniczy dawno podupadł, a mieszkańcy żyli teraz głównie z upraw oraz handlu z Zachodnią Marchią i Królewskim Portem, śląc swoją świetnej jakości broń i zbroje do owych miast i dalej, aż do Kaldeum.

Kiedy drużyna stanęła na szczycie wzgórza, a na porannym niebie pokazało się słońce, ujrzeli przed sobą miasto, usadowione w objęciach gór. Minęły lata, odkąd Jacob był tu po raz ostatni, i choć urokliwe widoki pozostały takie, jak je pamiętał - rozmigotane wody zatoki i wyrazista linia przyboju, strome wzgórza i prostokąty pól uprawnych pod murami - samo miasto się zmieniło. Budynki wyglądały na odnowione, mury umocniono i podniesiono o co najmniej dziesięć stóp.

Pamiętał tętniące życiem obozowiska pod miastem, gdzie zbierali się kupcy, teraz jednak, porzucone, świeciły pustkami. Ciężka żelazna brama Bramwell pozostawała zamknięta, co wydawało się dziwne w wypadku miasta żyjącego z handlu.

Brama była także licznie obsadzona. Kiedy schodzili po ostatnim zboczu, z kamiennych strażnic zbudowanych po obu stronach drogi wyszło czterech mężczyzn w rycerskich zbrojach.

– Co was tu sprowadza? - spytał największy z nich, o rumianej cerze i gęstej brodzie.

Miał na głowie hełm, w rękach ciężki miecz i tarczę i stał na środku drogi przed bramą, jakby rzucał przybyłym wyzwanie.

– Jestem kupcem z Kaldeum - odparł Tyrael. - Musimy się rozmówić z kowalem Boradem.

Rycerze popatrzyli po sobie, ów największy jakby się rozluźnił.

– Oddajcie broń - powiedział. - Nikt nie przekracza bram Bramwell uzbrojony.

Jacob popatrzył na Tyraela. Oddać El'druina tym złodziejom? Na samą myśl przeszły go ciarki. Ale Tyrael pokręcił głową.

– Droga jest zdradliwa - powiedział. - Wieziemy zbyt dużo złota od pałacowej gwardii, żeby oddać nasze miecze. - Popatrzył rycerzowi prosto w oczy. - Zapytajcie Borada, jeśli musicie.

– Nie wyglądacie mi na kupców... - zaczął jeden z wartowników.

Ale dowódca podniósł rękę, uciszając go, jakby podjął ostateczną decyzję.

– Dobrze - powiedział. - Chodźcie za mną.



Strażnik poprowadził ich ulicami, a mijani ludzie odwracali się za nimi i gapili się otwarcie. „Coś wystraszyło mieszkańców”, pomyślał Jacob; tyle było dla niego jasne. Wiedział oczywiście, że jego towarzysze nijak nie wyglądają na kupców, ale od tych ludzi biło coś więcej niż zwykła podejrzliwość wobec obcych.

To był strach.

Co dziwne, Jacob z zadowoleniem przywitał coś, co zaprzętało jego uwagę choćby na chwilę. Po tym, jak zachował się w „Zarżniętym Cielaku”, wstyd i zażenowanie były nieustannie obecne gdzieś w tle wszystkich jego myśli, a w chwilach bezczynności powracały z całą mocą, by go dręczyć. Tyraelowi i reszcie - w tym Shannar - zaprezentował się jako bełkoczący pijany dureń. Na samo wspomnienie odmowy przyjęcia obowiązków, o które prosił go archanioł, na myśl o swoich małosłownych argumentach i uzalaniu się nad sobą Jacob aż się kulił w sobie. Zawsze był dumny ze swojego oddania idei wymierzania sprawiedliwości i obrony niewinnych. Poświęcił temu całe swoje życie. Teraz przyszedł moment, by pokazać, co znaczy dlań to oddanie, i nie próbował uchylić się od obowiązku.

Jakim cudem zszedł tak daleko z obranej drogi? Utrata El'druina stała się pretekstem do pobłażania własnym wątpliwościom i słabościom, a zniknięcie Shannar z jego życia tylko te wątpliwości wzmocniło. Teraz jednak czarownica znów znalazła się obok niego, niezależnie od przyczyny, a Jacob musiał jej pokazać - pokazać im wszystkim - że można mu zaufać. Stawka była o wiele za wysoka, by w ogóle rozważać porażkę.

Jedno było pewne - stworzenie, które widział pod karczmą, przeraziło go tak, że wytrzeźwiało, jego dotyk był jak szpikulec do lodu wbity w jego duszę. Nawet teraz czuł go głęboko w piersi. Coś mu mówiło, że miał wielkie szczęście, że w ogóle żyje i że większość ludzi nie wyszłaby cało z

takiego spotkania. Dlaczego został oszczędzony, tego nie wiedział. Ale to coś przekazało mu wiadomość, którą nieustannie powtarzał w myślach, sam nie wiedząc dlaczego. Swego rodzaju ostrzeżenie.

„Prędzej czy później po ciebie przyjdziemy, tak jak przyszliśmy po twoją matkę i ojca, i innych twoich krewnych przed nimi. Zawsze przychodzimy”.

W miarę jak drużyna podążała ulicami miasta, rosła liczba towarzyszących im gapiów, toteż gdy dotarli na jego przeciwległy skraj, ciągnęła się za nimi ponura procesja. Strażnicy zaprowadzili ich do stosunkowo skromnego domostwa niedaleko murów, z widokiem na dolinę i zatokę. Za nim wznosił się dwa razy większy budynek otoczony splechciem wyschniętej trawy, do którego prowadziła wydeptana ścieżka. Z dwóch kominów bił gęsty, czarny dym, ze środka zaś dobiegało głośne sapanie miechów.

Strażnicy wsparli ręce na mieczach, rozkazali ludziom się rozejść i tłum niechętnie zaczął rzednąć. Dowódca mocno załomotał do drzwi.

Przenikliwy brzęk metalu o metal ustał na chwilę. Strażnik załomotał jeszcze dwa razy, ale uderzenia młota rozległy się na nowo. Dowódca obejrzał się na towarzyszy, po czym odsunął zapadkę i wszedł do środka. Pozostali podążyli za nim.

Wewnątrz było gorąco jak w piekle. Jacob poczuł krople potu na czole i plecach, żar palił mu płuca. Powietrze drgało, przez co wszystkie przedmioty zdawały się falować i odkształcać. Szczotki druciane, babki i kowalskie młotki leżały na stołach albo wisiały na hakach obok kamieni szlifierskich. W palenisku na drugim końcu kuźni buchał ogień; olbrzymi mężczyzna w grubym skórzanym fartuchu, z gołymi ramionami lśnącymi od potu kuł na kowadle rozgrzany do białości kawałek metalu.

Strażnicy zaczekali, aż skończy. Kowal pracował szybko i z imponującą wprawą. Zanim na nich spojrział, wykuł ze stalowego pręta cienkie ostrze. Odłożywszy miecz do wiadra z wodą otarł pot z czoła kawałkiem szmaty i podszedł do dowódcy straży.

Kiedy się zbliżył, Jacob usłyszał, że nekromanta nagle sapnął; pomyślał, że może Zayl rozpoznał kowala.

Nastąpiło krótkie wyjaśnienie, ale zanim strażnik zdołał skończyć, kowal przerwał mu machnięciem ręki.

– Jestem Borad Nahr - powiedział, ściskając dłoń Tyraela i przytrzymując ją chwilę dłużej, niżby należało, patrząc mu jednocześnie w oczy. Cokolwiek tam zobaczył, chyba go usatysfakcjonowało. - Spodziewałem się was. Garandzie, zabierz swoich ludzi z powrotem na dół i pilnujcie lasów.

Strażnik zawahał się krótko, a potem kiwnął głową i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Kowal jeszcze raz wytarł czoło, zdjął fartuch i niespiesznie odwiesił go na haczyk. Stał odwrócony do nich plecami. Pozostali czekali.

– Przynosicie wieści z Zachodniej Marchii? - spytał Nahr, odwracając się bokiem. Cień padał na znaczną część jego twarzy. W jego głosie słychać było mieszaninę wyczekiwania i trwogi.

– Przybywamy drogą z Tristram - odpowiedział Tyrael. - Wasi strażnicy są czujni. Natknęliśmy się na czterech w lesie. Ale teraz odsyłasz ich, zanim zaczniemy rozmawiać otwarcie. Spodziewacie się jakichś kłopotów?

– Są lojalni. Ale w dzisiejszych czasach ostrożności nigdy dość - wyjaśnił Borad Nahr. - W końcu stanął przodem do nich, jego oczy załśniły w blasku ognia. - A teraz mówcie, co macie do przekazania od mojego syna, byle szybko.

„Od jego syna?”

– Nie jesteś kowalem - domyślił się Jacob.

Olbrzym zmrużył oczy, zmierzył go wzrokiem, po czym przyjrzał się pozostałym, dłużej zatrzymując spojrzenie na Zaylu. I jakby się uspokoił, bo nieco się rozluźnił.

– Mój ojciec był najlepszy w tym kraju - odpowiedział - i dobrze mnie wyuczył, zanim jeszcze wstąpiłem do królewskiej służby. Moja wprawa w wojaczce była wtedy bardziej potrzebna, tak samo, jak jest teraz. - Wskazał palenisko i narzędzia. - Zajmuję się tym, kiedy muszę się zastanowić. Pomaga mi to zebrać myśli. Ale nie przyszłście tu rozmawiać o kowalstwie, a ja źle oceniłem wasz cel. Być może niepotrzebnie tak łatwo was wpuściłem.

– Nie mamy złych zamiarów - zapewnił go Tyrael. - Jeśli poświęcisz nam kilka chwil, może zdołamy wyjaśnić...

– Gdybyście byli zabójcami, już byście spróbowali mnie zabić - uciszył go gestem Nahr. - Nie jesteście też sprzymierzeni z Norlunem, to akurat jasne. Nigdy nie zadałby się z kimś takim. Wszystko inne może poczekać, dopóki się nie najecie. Wyglądacie, jakbyście byli gotowi zjeść szczura, żeby przeżyć.

Jakby w odpowiedzi Jacobowi zaburczało w brzuchu. Rozejrzał się po pozostałych. Przez ostatnie kilka dni jedli tylko suszone mięso i czerstwy chleb z zapasów. Dochodziło południe. Żadne z nich nie pogardziłoby solidnym posiłkiem.

Tyrael z wdzięcznością kiwnął głową.

– Chodźcie więc - rzekł Nahr. - Poszukamy czegoś ciepłego.



Zabrał ich do skromnego domu, gdzie nad ogniem w palenisku w kociołku dochodził gulasz. Pachniał cudownie.



– Często jedzą ze mną moi ludzie - powiedział Nahr - ale dziś wy zajmiecie ich miejsce. Jest za wcześnie na dziczyznę, ale założę się, że nie odmówicie.

Nałożył chochlą duże porcje do drewnianych misek i postawił je na stole w niewielkiej izbie z oknem wychodzącym na kuźnię, z której przyszli. Drużyna łakomie rzuciła się na jedzenie, a Nahr przyglądał się im z wytartego fotela pod oknem.

– Myślałem, że przynosicie wiadomość od Lorata - powiedział, patrząc, jak błyskawicznie znika jedzenie. Zapalił cygaro i zaciągnął się; jego spojrzenie zrobiło się nieobecne. - Zmartwiło mnie, że potrzeba było was ośmioro, żeby ją dostarczyć. Przestraszyłem się... - Pokręcił głową do swych myśli i ponownie skupił uwagę na gościach. - Ale nie macie żadnej wiadomości i jest też jasne, że nie jesteście kupcami z Kaldeum ani w ogóle znikąd.

Wstał i odwrócił się do okna. W jego szerokich barkach znać było napięcie.

– Możecie spytać, czemu zaprosiłem was na posiłek, po tym, jak nabraliście nas wszystkich na tę bajeczkę o Kaldeum. Jednego z was rozpoznałem z dawnych czasów. Do tego sny... - Wzruszył ramionami. - Można powiedzieć, że spodziewałem się waszego przybycia.

– Jesteś dawnym komturem Rycerzy Zachodniej Marchii - powiedział Zayl. - Pamiętam cię. Służyłeś pod generałem Torionem, jeśli mnie pamięć nie myli.

Wielkolud się odwrócił.

– Tak. Komtur Nahr, do usług. Wiele lat temu jeden z jego najbliższych doradców. Wciąż ściśle z nim współpracuję, wraz z diukiem Bramwell. A ty pomogłeś nam wtedy uwolnić miasto od plagi demonów. - Nahr kiwnął

głową. - Rycerze zazwyczaj nie ufają takim jak ty. Ale lady Salene miała do ciebie słabość, prawda? Co u niej? Czy ród Nesardo wciąż popiera króla?

Po twarzy Zayla przemknął cień.

- Odeszła - powiedział. - Porwały ją czarnoskrzydłe potwory, bestie z jakiegoś innego świata. Próbowałem ją ratować, ale się spóźniłem. Przesłała mi wiadomość, że mam szukać w Bramwell człowieka odpowiadającego twojemu opisowi i że posiadasz informacje kluczowe dla bezpieczeństwa tych krain. Ale nie wiedziałem, że chodzi o ciebie.

Komtur się przygarbił, a potem ciężko usiadł w fotelu.

- Z każdym dniem jest coraz gorzej - rzekł, nieomal szepcząc. - W Bramwell działają złe siły, widzieliśmy je. Widzieliśmy je, te czarnoskrzydłe diabły, o których mówisz. Porywają mieszkańców w nocy. Diuk zapadł na jakąś chorobę, której nie potrafią wyleczyć żadni uzdrowiciele. A jakby tego było mało, Norlun śmie próbować to wykorzystać... Nie sposób się nie zastanawiać, jak to się wszystko łączy. - Nahr zobaczył, że jego cygaro całkiem się wypaliło i zgasił je, po czym spojrzał na Tyraela. - Powiedzcie, czego chcecie - rzekł. - Może będziemy mogli sobie nawzajem pomóc.



## ROZDZIAŁ 14



### *Komtur Nahr*

Tyrael wyjaśnił wszystko najlepiej, jak umiał, unikając przy tym wszelkich wzmianek o Królestwie Niebios i Kamieniu Dusz. Byli drużyną wojowników i czarowników, zjednoczonych wspólną misją oczyszczenia Sanktuarium z czarnoskrzydłych potworów, o których wspominał nekromanta, i przywrócenia tym ziemiom spokoju. Szukali także miejsca o wielkiej mocy, w którym mógł się znajdować klucz do powstrzymania zła nękającego mieszkańców Bramwell.

Wyjaśnienie to miało się nieco z prawdą, ale zamiast okazania sceptycyzmu na wieść o tych wszystkich demonach Nahr zareagował zrozumieniem i dołożył swoje opowieści o tych istotach. Były nieuchwytnie, rzadko pozostawały w polu widzenia dłużej niż przez chwilę, niczym zjawy w ciemności. Na ludzi padł strach. Najpierw przychodziły sny, koszmary pełne beznadziei oraz wizji okrutnej śmierci i zniszczenia, potem zaś ktoś bliski zniknął i więcej go nie widziano. Nahr wysłał patrole na mury i drogi pod miastem, ale to nic nie dało, tylko kilku żołnierzy przepadło bez śladu.

– Jestem tu, w Bramwell, od ponad pięciu lat i nigdy nie widziałem mieszkańców tak przerażonych - mówił. - Przybyłem tu ze specjalnym

zadaniem, powierzonym mi przez generała Toriona. Miałem uczynić z miasta rycerską twierdzą, by Bramwell służyło królowi Justynianowi, na wypadek chaosu w Zachodniej Marchii. Już wtedy generał przewidywał, co czeka Marchię... I co, obawiam się, spadło teraz na nas.

– Tamto miasto jest nawiedzone tak samo jak to? - spytał Tyrael.

– Być może - odparł Nahr. - Ale generała Toriona bardziej martwią templariusze, i to nie bez powodu.

– Templariusze?

– Owszem. To tajemniczy zakon. Mało kto w ogóle słyszał tę nazwę, ale wkrótce się to zmieni. Wywodzą się z Kościoła Zakarum i stanu rycerskiego. Ale stworzyli własne obyczaje, rekrutują żołnierzy niegodziwymi sposobami. Z tego, co wiem, nawróceni to często odrodzeni przestępcy, złodzieje i mordercy, o umysłach wypranych torturami i głodówkami.

– Słyszałem o nich - odezwał się Kullen. - Ale wiadomo bardzo niewiele. Templariusze poświęcili się teraz przemocy i rozlewowi krwi, twierdzą, że wyznaczono im święte zadanie oczyszczenia Sanktuarium ze zła. Kiedyś byli może bardziej honorowi, ale o ile dobrze zrozumiałem, dziś sami czynią o wiele więcej zła, niż zwalczają.

– Przywódcą zakonu templariuszy jest człowiek, którego nazywają wielkim mistrzem. Nie wiem, gdzie ma swoją siedzibę. Ale sekta, która niczym chwast rozplenila się w Zachodniej Marchii, jest chyba jeszcze bardziej skrajna niż reszta. Przewodzi jej niejaki Norlun, wąż, który dla korzyści zabiłby własną matkę. Sekta niezauważenie zapanowała nad katedrą w Zachodniej Marchii i wykorzystuje ją jako bazę dla swych ponurych przedsięwzięć. Generał Torion uważa, że przygotowują się do ataku na rycerzy i spróbują zawładnąć pałacem. Mój syn Lorat - moim zdaniem ma jakiś talent do czarów - jest członkiem gwardii Toriona. - Nahr

zawahał się. - Ostatnio dochodziły do nas bardziej niepokojące pogłoski o tym, skąd tak naprawdę templariusze biorą nowicjuszy. Kilku rekrutów zwerbowali pośród samych rycerzy, dobrych ludzi, bynajmniej nie żebraków ani złodziei. Większość, obawiam się, wciągają siłą, przez tortury. Codziennie czekam na wiadomość, że Lorat został zmuszony, by do nich dołączyć.

– Słyszałem opowieści o podróżnych, którzy udawali się do Zachodniej Marchii i znikali bez śladu - wtrącił Kullen.

– Templariusze porywają zwykłych ludzi i żołnierzy, siłą wcielając ich do służby. Generał Torion uważa, że są odpowiedzialni także za zniknięcia tutejszych mieszkańców. Ja nie mam tej pewności. Ale ludzie nie mogą spać, a diuk nie jest już w stanie dowodzić strażą. Przygotowuję ich na wiadomość z Zachodniej Marchii - ruszymy im z pomocą przeciwko templariuszom. Mam tylko nadzieję, że czekając, nie wytracimy połowy sił.

„Stwory, które widzieli, mogły w istocie być powiązane z takim zakonem”, pomyślał Tyrael. Jeśli templariusze istotnie werbowali przemocą, ciemnoskrzydłe bestie mogły być ich upiornymi wysłannikami.

Czy jednak templariusze dysponowali mocą konieczną, by przyzywać i panować nad takimi istotami? To już było o wiele mniej prawdopodobne. Tyraelowi przyszła do głowy inna, bardziej niepokojąca myśl; zastanawiał się, czy to możliwe, że Imperius już rozpoczął w Sanktuarium swoje rządy terroru, a czarne zjawy były wysłannikami Królestwa Niebios, pierwszą falą, zwiastująca o wiele bardziej potworny atak?

Chociaż jednak Rada odsuwała go powoli, na długo zanim opuścił Niebiosa, Tyrael był prawie pewien, że usłyszałby o czymś takim. A te stwory nie przypominały członków Luminarei czy jakiegokolwiek innej niebiańskiej straży.

Nie, były czymś zupełnie innym. Tyrael przypomniał sobie narodziny, których był świadkiem, szare pędy, które wiły się wokół jaśniejącej anielskiej kuli i wplotły się w esencję nowonarodzonej. Jedno z drugim jakoś się łączyło. Przeszedł go zimny dreszcz. Archanioł lękał się, że kończy im się czas.

– Ja też miałem sny. - Nahr patrzył przed siebie nieobecny spojrzeniem.  
- Teraz nawiedzają mnie prawie co noc. Śni mi się Lorat w zbroi templariusza, zakrwawiony i pobity, a kiedy podnosi na mnie miecz, w jego oczach dostrzegam tylko pustkę. Nie poznaje mnie. Śni mi się śmierć moich ludzi, całe miasto pełne trupów. A ostatnio śniliście mi się wy. - Popatrzył po twarzach swych gości. - Postać spowita w ciemność pokazała mi was i powiedziała, że muszę wam pomóc. Nie wiem, co to dokładnie znaczy, ale umiem oceniać ludzi i wierzę w to, co mi opowiedzieliście. Może to po mnie Lorat odziedziczył swój talent do czarów. Powiedzcie, co mogę zrobić.

– Uważamy, że gdzieś w pobliżu leży sekretna kryjówka zakarumitów - odrzekł Tyrael. - Mogą w niej być wskazówki dotyczące tego, czego szukamy.

Spodziewał się, że Nahr będzie zaskoczony, może nawet okaże sceptycyzm. Ale wielkolud tylko skinął głową.

– Od lat krążą słuchy o takim miejscu ukrytym gdzieś na wzgórzach. Zakarumici i rycerze szukali go bezskutecznie, znajduje się tam bowiem rzekomo autentyczny zwój napisany ręką samego Akarata, zaginiona część pierwszej wersji *Wizji Akarata*, opisująca jego widzenie, które doprowadziło do powstania religii Zakarum.

Niespodziewanie wstał, wyszedł z pokoju i wrócił po chwili, ostrożnie niosąc kruszącą się ze starości księgę.

– W zeszłym roku moi ludzie odkryli tajemną komnatę w szczątkach budynku, który popadł w ruinę i był uważany za przeklęty. Znaleźli tam wiele tekstów Zakarum, z których kilka zatrzymałem. Ludzie mówią, że wiele lat temu korzystał z nich mistrz Sayes.

– Droga snów - odezwał się Kullen. - Mistrz Sayes naprawdę nazywał się Buyard Cholik, był kapłanem Zakarum, który dostał się pod wpływ Piekła i założył nową religię. Czczył Kabraxisa, demona, który rzekomo potrafił obdarzać wiecznym życiem. Cholik zdobył wielką moc, niektórzy mówią, że nawet nieśmiertelność, zanim zginął z ręki niejakiego Langa, dzierżącego święty miecz o imieniu Gniew Burzy.

– Brzmi to prawdopodobnie - odparł Nahr. - Nie było mnie tu wtedy, ale tutejsi wciąż pamiętają Sayesa i jego kościół. Niektórzy twierdzą, że był uzdrowicielem, inni, że wcielonym demonem. Kościół, który zbudował, spłonął kilka lat temu, ale pozostała przybudówka, w której Sayes - czy Cholik, jak mówicie - podobno mieszkał.

Kullen sięgnął po księgę.

– Mogę?

Nahr podał mu tomiszczę. Uczony ujął dzieło bardzo ostrożnie, prawie nabożnie, i delikatnie otworzył.

– To dzieje rodu Rakkisa - poinformował po chwili - oraz jego związków z wiarą Zakarum. Potomkowie Rakkisa sami byli prorokami, ponieśli tę wiarę na zachód. - Podniósł wzrok. - Mówisz, że ksiąg jest więcej?

– Mam kilka - rzekł Nahr. - Nie jestem uczonym, ale niektóre przeczytałem. Zatrzymałem te, które wydawały mi się wartościowe. Być może w tamtych przeklętych ruinach wciąż pleśnią inne.

– Musisz mnie tam zaprowadzić - powiedział Kullen. Oczy świeciły mu niczym dwie lampy w ciemności. - Proszę.





## ROZDZIAŁ 15



### *Leże Cholika*

– Nie podoba mi się to.

Shanar stała na rogu ulicy w towarzystwie Gynwir, która zupełnie tu nie pasowała ze swoimi szerokimi barami, obfitym biustem i skąpym przyodziewkiem. Czarownica mówiła półgłosem. Jacob rozglądał się, obserwując mieszkańców Bramwell, którzy przemykali pospiesznie ulicami, ze spuszczoneymi głowami i wzrokiem wbitym w ziemię. Wyglądali na zaszczutych, twarze mieli pobladłe i ściągnięte, ubrania jakby wyblakłe.

Ale mimo to się oglądali.

W oknie na piętrze poruszył się jakiś kształt. Grubas, przyłapany na wlepianiu w nich wzroku, odwrócił się szybko i zniknął za rogiem. Młoda chuda dziewczyna o skórze pokrytej wrzodami, przyglądała im się wielkimi, okrągłymi oczami, ledwie widoczna w cieniu zaułka.

Część drużyny zeszła do niżej położonej wschodniej części miasta po zapasy, podczas gdy pozostali udali się do ruin domu Cholika. Jacob miał nadzieję, że porozmawia z ludźmi, dowie się czegoś więcej o tym, co widzieli i co się śniło Nahrowi. Czuł z nimi dziwne pokrewieństwo. Od

paru nocy śnił mu się ojciec, pokryty wyciętymi w ciele krwawymi runami, zmieniony w potwora przez plagę szaleństwa, a także wyniosłe, pozbawione twarzy istoty, które wyciągały po Jacoba skrzydła o czarnych szponach i wlekły go w ciemność.

Jednak kiedy tylko wyszli na ulice, mieszkańcy Bramwell ich unikali, a gdy zbliżyli się do sklepu rzeźnika, ktoś zaciągnął zasłony i zamknął drzwi na klucz. Karczma była zamknięta na cztery spusty i ciemna, jedyny wózek handlarza stał pusty, zaprzężony do kościstego muła, który drzemał ze spuszczonym łbem. Właściciela nigdzie nie było widać. To było miasto, które żyło z handlu, drużyna znajdowała się w tej jego części, którą kupcy powinni często odwiedzać. Ale niczego tu nie sprzedawano, nie ubijano żadnych interesów. Czuć było dymem, błotem i zgnilizną.

„Bramwell umarło”.

– Chodźmy stąd - powiedział Jacob.

Mrowiły go plecy. Stali tu na widoku, byli łatwymi celami, a choć nie sądził, by ludzie posunęli się do napaści, nie zamierzał ryzykować życiem, by tę teorię udowodnić.

Jakby w odpowiedzi dobiegł ich głos przypominający zew wendigo, niosący się echem między budynkami. Chwilę później zza rogu wyłoniła się kobieta, szurając bosymi, zniszczonymi stopami. Włosy opadały jej na twarz siwymi kosmykami, spod skóry przezierały sine żyły, wykrzywiła się w grymasie szaleństwa. Zapadnięte usta poruszały się nieustannie, bełkotała i wyła. Wyciągała przed siebie ręce, macając nimi na oślep, trzymała się ścian i wszystkiego innego, czego mogła dotknąć.

– Boję się z ciemnością nadciąga... conie przyniesie ukojenia... - wymamrotała, przewracając pokrytymi bielmem oczami; podniosła głos, tak że ostatnie słowa zabrzmiały jak krzyk męki i szloch jednocześnie. - Żeby wiedzieli, co ja widzę, co ja wiem!

Zatrzymała się raptownie kilka kroków od Shanar, Gynwir i Jacoba, przekrzywiła głowę jak pies i zaczęła węszyć. Obejrzała się ku nim, szukając ich niewidzącymi oczami.

– Ty - powiedziała, wyciągając długi, kościsty palec w kierunku Jacoba. - Mam dla ciebie wiadomość. Sprowadzasz mrok, sny, krew i krzyki. Sprowadzasz czarne ptaki, które siedzą ci na ramionach i wydziobują oczy. Zjawy, które porywają nasze dzieci i usypują z nich stosy, niczym z przegniłych kłód, pod drzwiami ku wolności! Sprowadzasz... jego.

Shanar zerknęła na Jacoba.

– Chyba cię nie lubi - zauważyła.

Starucha odrzuciła głowę w tył i wydała z siebie przeciągły rechot, który ucichł nagle, kiedy z za rogu wyszła pospiesznie inna kobieta. Gdy zobaczyła wariatkę, natychmiast do niej podbiegła.

– Molly - powiedziała, ujmując chude ramię i zerkając pospiesznie na Jacoba. - Nie powinnaś tu przychodzić. Zostaw ich, chodź...

Stara pokręciła głową.

– Oni muszą wiedzieć - szepnęła. - Widzieli czarne bestie i czuli ich dotyk.

Znów zaczęła mamrotać coś pod nosem.

– Boi się obcych - wyjaśniła młodsza kobieta, poklepując kojąco starą. Sama była dobrze ubrana, ale pod oczami miała ciemne kręgi. - Molly była wyznawczynią Proroka Światła i odbiło się to na jej umyśle. Nie jest sobą, odkąd zginął. Czasami udaje się jej wyjść, kiedy pracuję w sklepie. Chociaż i tak nie ma za dużo klientów.

– Chcemy tylko zgromadzić zapasy - rzekł Jacob. - Nie przyszliśmy tu nikomu przysparzać kłopotów.

Kobieta nie chciała mu spojrzeć w oczy. Pociągnęła Molly za ramię, ale starucha ani drgnęła.

– Niepotrzebnie tu przyszlście - powiedziała młodsza. - Nie wiem, kim jesteście, ale tu nie jest bezpiecznie. Odkąd pojawił się tu ten przekłety kościół i jego ponure obrzędy, staliśmy się celem dla czegoś, co lepiej zostawić w spokoju.

– Znikają ludzie - odezwała się Shanar. - Straciłaś kogoś. Kobieta kiwnęła głową.

– Żona Eliego. Trzech strażników na patrolu. Mój... ojciec. Mój brat. Wielu innych; zniknęli w nocy albo kiedy byli sami. Po prostu... zniknęli. Czasem komuś się wydaje, że coś widział, jakiś kształt poruszający się za kręgiem światła, usłyszał jakiś szept, ale potem nic. Czymkolwiek one są... - pokręciła głową. - Nie chcę o tym rozmawiać. Chodź, Molly.

Ale stara kobieta znów się jej wyrwała.

– Oni... na nas polują - syknęła. Pokryte bielmem oczy wyglądały jak dwa małe księżycy w pomarszczonych kieszeniach powiek. - Widziałam ich. - Wskazała oczy. - To bez znaczenia. Bez nich widzę lepiej. Widma! Paraliżują spojrzeniem, zabijają dotykiem. Latają jak ptaki i chodzą na swoich skrzydłach niczym na pajęczych nogach. Kradną dusze.

Jacob wrócił myślą do nocy w „Zarżniętym Cielaku”. Istota, która się nad nim nachylała, jawiła mu się we wspomnieniach niewyraźnym kształtem, zamglonym przez płynący w żyłach miód. Ale pamiętał, jak się poruszała - niczym owad biegnący po lodzie, trzepocząc dziwacznie na obrzeżach jego pola widzenia. Przypomniawszy sobie, jak wyciągnęła do niego coś w rodzaju czarnej macki i dotknęła jego skóry.

Starucha podeszła bliżej, kierując ślepe spojrzenie prosto w twarz Jacoba.

– Im chodzi o ciebie - powiedziała. - To ty ich na nas ściągnąłeś. - Nagle chwyciła go za szatę i szarpnęła, odsłaniając zabliźnioną ranę na jego ramieniu. Przeciągnęła po niej sękatym palcem. - Zostałeś naznaczony -

oznajmiła. Odwróciła się i zawyła do pustej ulicy w obłąkanej panice: - Ten jest naznaczony, a teraz nadejdzie on! Niszczyciel światów!

- Nie mów tak! - młoda kobieta próbowała ją uspokoić. - Oni nie mają złych zamiarów...

- Czemu mam nie mówić?! - krzyknęła stara. - Niech wszyscy wiedzą, że idzie po nich śmierć! Śmierć z nieba, od widm, które na nas spadną, śmierć od niszczyciela! Śmierć wszędzie! Widziałam ich, widziałam ich tu... - wskazała swoją głowę... - i że naznaczą tych, którzy będą dla nich drogowskazami, przyzywającymi ich kradnących dusze braci i tego, który zstąpi w ślad za nimi! Wszyscy jesteśmy zgubieni!

Na szyi kobiety ukazały się nabrzmiałe żyły; z wysiłkiem zarzuciła suknię na głowę, ukazując pomarszczone, obwisłe ciało i dziwną bliznę w kształcie półksiężyca na piersi, tuż nad sercem.



Kullen cały aż drżał z przejęcia. Stał wysoko ponad obrzeżami miasta u stóp walącego się kamiennego budynku, który przypominał jedną ze starożytnych twierdz nad rzeką Słodką. Otaczały ich ruiny kościoła Drogi Snów, wypalone i zapadnięte, ale zostało kilka olbrzymich wapiennych bloków, lśniących bielą w słońcu. Gigantyczna rzeźba wężowego łba stała przekrzywiona pod dziwnym kątem, jego paciorkowate ślepia wpatrywały się martwo w dal. Parę kroków dalej widniał samotny posąg proroka, z rękami odłupanymi na wysokości barków, i twarzą pokrytą warstwą ptasich odchodów i solnym osadem.

Od złowrogich rządów Cholika nie minęło znów tak dużo czasu, a jednak ruiny wyglądały, jakby miały ze sto lat albo więcej. Prawdopodobnie wynikało to po części z działania czarnej magii, która pchnęła Cholika w

otchłań szaleństwa i upadku; czary Kabraxisa obróciły się w proch wraz z kamiennymi murami.

Mniejszy budynek, niemal nienaruszony, stał oddzielnie. Głęboko wmurowane wąskie okna były czarne jak smoła, ściany i fundamenty niknęły w gęstwinie jeżyn.

„Tu mieszkał Cholik”. Kullen czytał o nim w dziejach zachodnich królestw, spisanych przez uczonego, który studiował z kuzynem króla w Zachodniej Marchii. Cholik miał obsesję, najpierw na punkcie wiary Zakarum, potem mrocznych rytuałów, gdy zaczął osuwać się czarną ścieżką zepsucia, najpewniej zgromadził więc okazałą bibliotekę rzadkich tekstów, także tych demonicznej natury.

Ktoś taki na pewno był nieopisanie skryty. Na pewno zabezpieczył swoje najcenniejsze skarby. Kullen zadrżał. Istniała możliwość, że znalezisko Nahra było tylko ułamkiem skarbu ukrytego w tych murach - a to, co zostało, mogło być zaiste bardzo niebezpieczne.

– Mieszkańcy uważają, że to nawiedzone miejsce - ostrzegł ich Nahr. - Boją się przestąpić progę. Nawet moi ludzie unikają tej okolicy jak zarazy.

Podszedł bliżej i szarpnął grube deski, którymi zabito wejście. Odpadły z łomotem. Pchnął drzwi, za którymi rozwarła się ciemność.

– Na parterze jest biblioteka - rzekł. - Tam znaleźliśmy księgi. Ale od tamtej pory prawie wszystko wyniesiono.

– Nie idziesz? - spytał Thomas.

– Zaczekam na zewnątrz - odparł Nahr. - Nie lubię tego miejsca. Na waszym miejscu nie ociągałbym się zbyt długo. W fundamentach i belkach tego domu mieszka zło, daje się we znaki.

– To uczciwe ostrzeżenie - odezwała się czaszka z sakwy. - On ma rację, ale pewnie i tak nie posłuchacie. Jest tu magia i to raczej nie z tych przyjaznych.,

Pozostali popatrzyli po sobie, ale Tyrael ruszył naprzód bez wahania. Zniknął w ciemności, Mikułow zaraz za nim.

– Oczy, Humbarcie, jeśli łaska - powiedział Zayl i wyjął czaszkę z sakwy. Biała kość zaślniła w jego ręku, kiedy poszedł za Tyraelem w mrok. Kullen słyszał, jak Humbart mamrocze bez ustanku.

– Chodźmy więc - rzekł do Thomasa, który wyglądał, jakby było mu trochę niedobrze. Przystąpili próg, Kullen pierwszy. Serce tłukło mu się w piersi. Nic nie mogło go teraz powstrzymać.

Ściany korytarza kruszyły się, smród pleśni i zgnilizny pozbawiał tchu. Kullen zamrugał, przyzwyczajając oczy do ciemności. Po obu stronach zobaczył wejścia do kolejnych pomieszczeń, ale nigdzie nie widział Tyraela, Mikułowa ani nekromanty.

Nagle ogarnęło go przemożne wrażenie, że jest obserwowany. Zrobił kilka kroków, czując mrowienie na karku. Zjeżyły mu się włoski na przedramionach. „Wydarzyło się tu coś bardzo złego”. Postąpił jeszcze krok. Z pokoju po lewej wyskoczył szczur rozmiarów małego psa i przebiegł Kullenowi koło stóp, omal go nie przewracając. Thomas krzyknął z odrazą i kopnął gryzonia, który zapiszczał i zniknął w dziurze w ścianie.

– Wstrętne plugastwo - mruknął Thomas.

Przed nimi coś zajaśniało i z komnaty w głębi domu na korytarz wyszedł Mikułow.

– Biblioteka jest pusta - oznajmił mnich. Kullen pospieszył do niego, zajrzał przez drzwi i w zakurzonej pomieszczeniu dostrzegł Tyraela z Zaylem. Nekromanta trzymał w uniesionej dłoni mały płomyk, który słał na ściany roztańczone cienie. Półki na ścianach były puste, nie licząc paru strzępów pergaminu.

Kullen poczuł, że uchodzi z niego nadzieja. Byli bardzo blisko - czuł to. Poszli chwiejnymi schodami na piętro. Było tam ciemno, małe okna



pozabijano deskami. Z podłogi wzbily się duszące kłęby kurzu, skrzywienie desek sprawiło, że uczony miał chęć zawrócić. Nie wątpił, że mieszkały tu duchy, czaiły się po kątach i za zamkniętymi drzwiami, czekając na ofiary. W komnacie, która musiała być sypialnią Cholika, znalazł na ścianach znaki, które wyglądały na demoniczne. Ale nie było tu nic więcej, nie licząc butwiejącego łoża i stołu.

Zeszli z powrotem na dół i przetrząsnęli resztę domu. W końcu stanęli przed wejściem do piwnicy.

– Ty pierwszy - powiedział Thomas.

Kullen pokręcił głową. Zayl poszedł przodem, schodząc w mrok z wysoko uniesionym płomieniem, omijając gęste pajęczyny i szcurze odchody. Wytarte, butwiejące deski skrzypiały i jęczały pod ich ciężarem, ale wytrzymały.

W piwnicy panował mrok tak gęsty, że niemal zdusił światło płomienia. Szli powoli, wyciągając przed siebie ręce jakby dla ochrony przed czymś, co mogło czaić się w ciemnościach. Pod stopami mieli klepisko, na kamiennych ścianach skraplała się wilgoć. Kullen spodziewał się, że w każdej chwili coś może na nich wyskoczyć, coś tak strasznego i zacieklego, że nie ujdą stąd z życiem. Serce tłukło mu się w piersi, jakby miało zaraz wyrwać się na wolność.

Ale piwnica nie zdradziła swoich tajemnic. Była pusta. W końcu Kullen stracił wszelką nadzieję.

Wyszli po schodach z powrotem na główny korytarz. Kiedy wszyscy się tam zebrali, Thomas położył przyjacielowi rękę na ramieniu, jakby wyczuwając jego rozczarowanie.

– Szanse, że coś tu znajdziemy, były marne - powiedział pocieszająco. - Szukajmy więc dalej, przejrzyjmy księgi, które Nahr ma w domu. Może jest w nich coś, co przeoczyliśmy.

Kullen kiwnął głową, starając się, by w jego tonie nie było słycać zniechęcenia.

– Coś czułem - rzekł. - Jakąś... energię. Coś tu jest, czy może echo czegoś.

– Tak jest - powiedziała czaszka, którą Zayl wciąż trzymał w dłoni. - Taki demon, jakie ten człowiek przywoływał, zostawia po sobie ślad, jak brzydki zapach. Potrafi wśliznąć się człowiekowi do głowy, aż prędzej czy później wszyscy skończycie jak ja.

Pozostali zaczęli wychodzić na zewnątrz. Kullen już miał wyjść jako ostatni, kiedy do głowy wpadła mu pewna myśl.

„Szczur”. Gdzie się podział?

Wrócił do dziury w ścianie i zaczął ją badać w poszukiwaniu spojeń, lekko postukując w mur. Odpowiedział mu głuchy odgłos. Czując rosnące podniecenie, uczony ukląkł i obejrzał otwór. Wyglądał trochę zbyt regularnie, bardziej na dzieło człowieka niż zwierzęcia. Kullen wsadził do środka rękę i zaczął macać, spodziewając się ukłucia ostrych zębów gryzonia.

Wysoko, prawie na skraju zasięgu, sterczała jakaś zapadka. Pociągnął ją mocno, puścił, a fragment ściany się odsunął, ukazując zarys drzwi.

Kullen je pchnął, otwierając przed sobą czarną czeluść.

– Chodźcie szybko! - wezwał towarzyszy. - Znalazłem coś!

Tyrael w mgnieniu oka znalazł się obok niego, zaraz też nadbiegli pozostali.

– Światło - rozkazał archanioł, a nekromanta podszedł bliżej ze swoimi płomieniem. Migotliwe światełko ukazało małe, pozbawione okien pomieszczenie o ścianach z kamiennych bloków. Podłogę i ściany pokrywały stare plamy i rozbryzgi. „Krew”, pomyślał Kullen. Myśl ta

jednak zaraz poszła w niepamięć, ujrzał bowiem księgi na półkach za drewnianym biurkiem w głębi.

Dał krok do przodu, ale Mikułow złapał go za ramię.

– To leże szaleńca - przypomniał uczonemu. - Mogą tu wciąż być jakieś zabezpieczenia.

Przykucnął w progu, przyglądając się podłodze. Przez chwilę przesuwając palcami po kamieniu, potem nacisnął. Kwadratowy fragment posadzki zapadł się o pół cala, a zakrzywione ostrze na żelaznym pręcie zatoczyło łuk w poprzek wejścia i wbiło się w drewnianą framugę o cale od nosa Kullena.

Uczony przełknął głośno ślinę i skinął głową mnichowi. Mikułow prześliznął się pod wciąż dygoczącym ostrzem, stąpając lekko i ostrożnie, nie natknął się jednak na żadne inne pułapki. Po kilku chwilach badania wszystkich powierzchni oznajmił, że w komnacie jest bezpiecznie.

A Kullen, z drżącymi z podniecenia dłońmi, mógł wreszcie podejść do starożytnych ksiąg i zwojów i obejrzeć swoje znalezisko.



## ROZDZIAŁ 16



### *Kościany demon*

Tyrael podniósł rękę, dając pozostałym znak, by na chwilę przystanęli. Szło się im ciężko, teren był stromy i gęsto zadrzewiony. Znajdowali się gdzieś na północny wschód od Bramwell, głęboko wśród wzgórz i daleko od wszystkich ubitych ścieżek.

Poprzedniego wieczora zebrali się w domu Nahra. Jacob, Shanar i Gynwir wrócili w ponurych nastrojach. Opowiedzieli o swoim spotkaniu ze starą wariatką, która rozpoznała zabliznioną ranę Jacoba, a potem pokazała im swoją. „Niszczyciel światów!”, skrzeczała. Tyrael znał tylko jeden rodzaj istot, które określano tym mianem - Sicarai. Jeśli ich tropem szedł Sicarai, mieli poważne kłopoty i coraz mniej czasu.

Ale co z tą czarnoskrzydłą istotą, która zostawiła Jacobowi znamię na ramieniu? Co łączyło ją z Niebem; jaką rolę odgrywały w tym zniknięcia mieszkańców Bramwell?

Choć zmartwiony niszczycielem i tak zwanymi widmami, Tyrael, rozglądając się po nieprzystępnej okolicy, pomyślał z odrobiną otuchy, że być może zbliżają się do celu. Tajemna komnata Cholika zdradziła swoje sekrety jeden po drugim. Stare księgi i zwoje notatek zanieśli do Nahra,

gdzie Kullen mógł je dokładnie przestudiować. Wiele z nich było demonicznej natury. W jednym z tomów zakładka wiła się jak wąż, kiedy ktokolwiek jej dotykał; wyglądała na skórzaną, ale Kullenowi w końcu udało się ustalić, że upleciono ją z ludzkich języków, i nekromanta zniszczył ją na podwórzu za domem Nahra.

Za to zapiski Cholika okazały się niezwykle przydatne. Kullenowi udało się na ich podstawie określić położenie Przystani Tauruka, opuszczonego miasta portowego w pewnej odległości od Bramwell, wzniesionego na ruinach jeszcze starszej metropolii, zamieszkaney przez czarowników Vizjerei, którzy przyzywali tam demony. Cholik szukał rozległych jaskiń, ciągnących się pod górami i łączących ze starymi ruinami; najwyraźniej je znalazł i tam otworzył przejście dla Kabraxisa. W zapiskach były także wzmianki o skarbnicy zakarumitów u wylotu innego wejścia do grot, wysoko w górach nad zatoką, gdzie ponoć złożono pisma samego Akarata.

Nahr poszedł z nimi, żeby przeprowadzić ich przez zdrażliwą dzicz, ale jego znajomość okolicy kończyła się na wiedzy o bezpośrednim otoczeniu miasta. Po kilku godzinach wędrówki przez coraz bardziej stromy i niebezpieczny teren znaleźli się na płaskowyżu, z którego zbocze góry opadało nad zatokę.

Thomas i Kullen stali obok siebie w kępie drzew, przyglądając się rysunkom punktów charakterystycznych, które naszkicowali pospiesznie w oparciu o informacje znalezione w księgach Cholika. Ich oddechy parowały w powietrzu; chłodny wiatr wiał od Jastrzębich Dziobów, naganiając gęste chmury i mgłę, która spowijała im stopy.

– Moim zdaniem powinniśmy iść na zachód - oświadczył Kullen, wskazując kierunek, gdzie teren opadał stromo ku wodzie daleko w dole. - Jeśli obejdziemy ten szczyt, to tak jak tu napisano, zobaczymy w skale kształt pająka...

Thomas pokręcił głową.

– Uważam, że jesteśmy na niewłaściwym zboczu - sprzeciwił się. - Spójrz tutaj... - wskazał punkt na szkicach Kullena. - Gdyby te zapiski były prawdziwe, powinniśmy już znaleźć ruiny.

Spierali się tak dalej, coraz bardziej podnosząc głos. Tyrael stanął na krawędzi urwiska. Powiódł wzrokiem ponad szczytami drzew, które rosły przyginane do ziemi przez wiatr, deszcz i śnieg, a jednak wciąż wyciągały przerzedzone konary na podobieństwo znużonych żołnierzy zdeterminowanych nie poddać się nieustępliwemu wrogowi. Pustka w duszy archanioła rosła z każdą chwilą, szybko pochłaniając nowo zdobytą pewność. Czasu było coraz mniej. Zostało im tyle do zrobienia, a każdy krok planu musiał pójść idealnie. Tyrael zaczął obmyślać, jak niepostrzeżenie dostać się do Niebios; to akurat było proste... Ale jak zmienić tę grupę kłótliwych nieznanomych w drużynę nefalemów, dość silną, by pokonać to, co spotkają za bramami? Jak przeprowadzić ich bezpiecznie z dala od zdradzieckich łap Luminarei? Zakładając, że w ogóle znajdą tę kryjówkę, jak mają ukraść Kamień Dusz, strzeżony przez armię aniołów, i wrócić z nim do świata nefalemów?

„Nie masz szans tego przeżyć - odezwał się głos, bardzo podobny do głosu Deckarda Caina. - „Jesteś sam, zadanie cię przerasta. Skończ to teraz, zanim będzie za późno”.

– Jesteśmy blisko źródła mocy - obwieścił nekromanta, stając obok Tyraela. - Czuję to.

Od wyruszenia z miasta czaszka spoczywała w jego sakwie, pozostając zaskakująco cicha. Poprzedniego wieczora drużyna położyła się spać w kuźni Nahra i niezbyt wygodnie spędziła tam noc; Gynwir mamrotała, że „demoni pomiot”, nekromanta, jest za blisko, by mogła spokojnie zasnąć. W pewnym momencie Humbart postraszył ją, że przyzwie duchy swoich

dawno nieżyjących towarzyszy, żeby ją uciszyły, i niewiele brakowało, żeby skończył przerębany na pół toporem, zanim Tyrael położył kres sporowi niczym rodzic rozdzielający kłócące się dzieci.

Podczas wspinaczki na górę Zayl szedł kilka jardów za resztą, ale archanioł zauważył, że jest wyprostowany i czujny, a jego dziwne szare oczy bezustannie przepatrują okolicę. Nekromanta nie był głupcem. Mieli szczęście, że z nimi został.

– Gynwir nie ufa w szczerłość moich zamiarów - powiedział Zayl.

– Należy do szczepu Sowy, który bronił góry Arreat i Kamienia Świata przed najeźdźcami z Ponurych Ziem, zanim przybyli Nosiciele i przywlekli do barbarzyńców plagę szaleństwa - odparł Tyrael. - Jej plemię wymarło. Ona sama ocalała tylko dzięki temu, że eksplozja góry wypaliła zarazę z jej ciała. - Zerknął na nekromantę, który wpatrywał się w bezkres puszczy. - Jeden z Nosicieli był kapłanem Rathmy, przemienionym przez zarazę i demona Maluusa w coś innego, coś ohydneho. Wyrządził wiele szkód pobratymcom Gynwir.

Wyraz twarzy Zayla nie zmienił się ani trochę.

– Nekromanci rzadko ulegają skażeniu - powiedział. - Ale kiedy już tak się staje... - Wzruszył ramionami. - Skutki bywają groźne.

Odwrócił się i popatrzył na Tyraela.

– To, co znajdziemy w tych górach, zaprowadzi nas dalej drogą, która będzie wymagała pracy zespołowej. Gynwir będzie musiała poradzić sobie ze swoim gniewem, jeśli mamy mieć jakieś szanse powodzenia.

– Żyjmy nadzieję, że stanie się to szybko.

Zayl kiwnął głową, po czym zamilkł na długą chwilę.

– Kiedy znajdziemy to siedlisko nefalemów, co dalej?

– Zmienimy was w wojowników i złodziei - odparł Tyrael. - Wykorzystamy każdą umiejętność. Oszustwo i kamuflaż, fałszywe tropy,



zaskoczenie. Nie pokonamy Luminarei twarzą w twarz. Musimy wykorzystać dumę aniołów przeciwko nim samym, przeniknąć do środka i uciec, zanim się zorientują, co się dzieje.

– A jeśli nas wykryją?

– Zginiemy, walcząc.

Zapatrzyli się obaj na ciemne chmury, które zebrały się na horyzoncie; błyskawice podświetlały ich brzuchy fioletowymi rozbłyskami. Nadchodziła ulewa - ułożona z niezliczonych kropli linia zbliżała się nieubłaganie i zwiastowała przemoczenie do suchej nitki.

– To, czego tu szukasz, jest chronione czarem śmierci - powiedział Zayl.

- Starożytnym i dobrze skonstruowanym i trzeba będzie wielkiej zręczności, żeby go złamać.

Tyrael klepnął go w ramię.

– W takim razie powinieneś zacząć jak najszybciej.



Nekromanta poprowadził ich w dół stromej pochyłości. Szli zygzakiem, żeby nie stracić oparcia dla stóp, chwytając się przy tym pni drzew. Mikułow kilka razy zniknął i wracał. Z coraz bardziej posępną miną mówił coś cicho do Thomasa i Kullena. Cokolwiek go niepokoiło, nie podzielił się tym z resztą, a Tyrael nie pytał. Gdyby to było coś ważnego, mnich sam by do niego przyszedł.

Zarośla miejscami gęstniały, spowalniając marsz; drużyna musiała też wyminąć gigantyczną skałę, zakończoną urwiskiem wysokim na co najmniej sto stóp. Zmuszeni byli skręcić prawie prostopadle w bok i iść niemal godzinę, zanim znów znaleźli ścieżkę prowadzącą w dół. Nahr był coraz bardziej niespokojny, nie znał tej okolicy. Zewsząd otaczały ich

niosące się echem odgłosy. Raz czy dwa Tyraelowi zdawało się, że widzi jakiś ruch we mgle, ale cokolwiek to było, znikало, nim zdążył obrócić głowę.

Kiedy dotarli do podnóża urwiska, powietrze było ciężkie od wilgoci, a mgła spowijała drzewa. Zebrali się na małej polanie. Starożytne bruzdy i pęknięcia w skale ociekały wodą; układały się w kształt gigantycznego pająka.

– Oto miejsce opisane w księgach - powiedział Kullen. - Jesteśmy u celu, tu powinny być ruiny.

W oddali zawyło jakieś zwierzę, jego zew poniósł się przez las jak krzyk potępionej duszy. Tyrael poczuł mrowienie na karku, zjeżyły mu się włoski na rękach. Zayl podszedł do skały. Ukłękł, wyjął z sakwy krótką, czerwoną świecę i zapalił ją od małego krzesiwa, mruczając przy tym słowa zaklęcia.

Niebo nad nimi pociemniało jeszcze bardziej, chłodny powiew skręcał mgłę w wirujące kształty, tańczące drużynie wokół kostek. Dławił też maleńki płomyk. Dłonią w rękawicy Zayl osłonił świecę i wcisnął ją mocno w piach. Narysował na ziemi ciąg symboli, łącząc je rozwidlonymi znakami. Potem nakapał czerwonego płynu z wyjętej z sakwy fiołki, mruknął coś pod nosem i pomachał ręką nad płomieniem.

Nie wiadomo skąd znów powiał wiatr. Kurz z ziemi utworzył miniaturowe trąby powietrzne, a potem uniósł się i ułożył w niewyraźny kształt. Bezcielesne usta, w których można było dostrzec jakby ślad zębów, wydały z siebie szept.

Gynwir zakłęła, ściskając w rękach topór.

– *Mów szybko, czarowniku - zasyczał przyzwany demon - zanim się uwolnię. Twoje zaklęcie więzące prawie się już wyczerpało.*

– *Rozbij górę, X'y'Laqu. Bar'qual d'al amentis.*

– *Nie chcesz tego* - odparł demon śpiewnie. - *To czar śmierci. Nie wiesz, co zastaniesz w środku.*

– Do tego czar rzucony przez bardzo potężnego śmiertelnika, sprzymierzonego z demonami - rzekł Zayl. - Sam go nie sprawdzę.

– *Ale to dla mnie niebezpieczne!* - zajęczał demon. - *A gdyby Il'qual'Amoul rozciągnął mnie kołem...*

– Nie mamy czasu na gierki - uciął Zayl.

Objął dłonią płomień świecy i zacisnął pięść. Demon zapiszczał z bólu.

– *Przestań... Zrobię, co każesz!* - zaskrzeczał X'y'Laq. Kiedy Zayl puścił płomyk, istota znów zasyczała i zaskomlała. - *Zapłacisz za to* - mruknęła po chwili. - *Poczekaj tylko...*

– Już, X'y'Laqu.

– *Dobrze.*

Demon wziął głęboki oddech; wciągał wirujący kurz i puchł coraz bardziej. Rósł tak, aż jego rozdziawiona paszcza zawisła nad nekromantą.

A potem dmuchnął, śląc chmurę pyłu w urwisko.

Pochwycone podmuchem kamyki odbiły się z grzechotem od skały, ziemia zadrżała, wiatr zawył jak zmora. Tyrael nie ugiął się przed nawałnicą, zmrużył tylko oczy, podczas gdy pozostali odwrócili się, osłaniając twarze. Z ziemi przed urwiskiem eksplodował demon, człekokształtna sylwetka z kurzu i kości umarłych, poskładanych w zawodzące i trzeszczące kończyny. Nad szerokimi barami, przypominającymi białe głazy, widniała upiorna twarz, która spojrzała na nich z góry.

– *Przestań, X'y'Laqu!* - krzyknął Zayl, ale demon tylko się śmiał.

– *Trzeba było myśleć o konsekwencjach!* - zapiszczał radośnie. - *Il'qual'Amoul zedrze ciało z waszych kości! Będziecie...*

Z rykiem, od którego zadygotała ziemia, olbrzymi kościany demon sięgnął w dół szponiastą łapą z ludzkich kości udowych, z czaszkami w miejscu stawów, i zacisnął palce na ulotnej postaci X'y'Laqa.

Mniejszy demon znów zaskrzeczał, szarpiąc się w uścisku, unoszony w górę, dalej od płomyka świecy. Jego esencja rozciągała się i stawała coraz cieńsza. Zębami jak szpilki demon bezskutecznie usiłował kąsać.

Kiedy krzyknął po raz ostatni, nic esencji pękła, a Zayl coś mruknął i w jego dłoni pojawił się zaklęty kościany sztylet. Ostrze rozjarzyło się jasno, nekromanta skoczył do przodu i wbił je w brzuch olbrzymia.

Gigant zaryczał z bólu. Zayl przekręcił sztylet i szarpnął w dół. Z rozprutego brzucha wysypały się niczym wnętrzości drobniejsze gnaty. Demon zamachnął się na nekromantę, ten jednak odskoczył, odcinając czubki dwóch kościanych palców. Ale drugi cios spadł za szybko, by Zayl zdążył zareagować. Olbrzymia łapa trafiła go w ramię i obróciła jak szmacianą lalkę, a sztylet wylądował dwadzieścia stóp dalej.

Kiedy Il'qual'Amoul uniósł gigantyczną stopę, by zmiażdżyć leżącego nekromantę, trafił go błysk jasnej energii. Mikułow pchnął dłonią, uwalniając ładunek mocy, który strzaskał nogę demona, i powstrzymał zabójczy atak. Suche kości poleciały na wszystkie strony, odbijając się od skały. Pozbawiony nogi Il'qual'Amoul zachwiał się, a potem runął z powrotem do dziury, z której wylazł. I utknął tam; ze środka wystawał my tylko łeb i barki.

Tyrael dobył El'druina, zamachnął się z całych sił i odrąbał demonowi głowę.

Piaskowa burza ucichła niemal natychmiast, z kości uszła ożywiająca je energia i posypały się na błotnistą ziemię. Przestało wiać, wszyscy stali w ciszy, oddychając ciężko.

Zayl wstał i wyciągnął dłoń w rękawicy. Kościany sztylet wskoczył mu do ręki; nekromanta schował go do pochwy. Choć wydawało się, że całe zajście trwało wieki, w rzeczywistości upłynęło ledwie kilka sekund.

Czerwona świeczka znikła. W jej miejscu ziała teraz w ziemi dziura pełna ludzkich kości, spod których wyzierały kamienne schody, wiodące w mrok pod ścianę urwiska.



Tyrael poszedł pierwszy.

El'druin świecił jasno, oświetlając drogę wśród szczątków Il'qala'Amoula. Kości były bardzo stare, zupełnie białe tam, gdzie nie plamiło ich brunatne błoto; należały do członków ludu, który dawno już nie mieszkał w tych lasach.

Ale to, co znaleźli w komnacie pod urwiskiem, było zupełnie świeże.

Schody kończyły się łukowato sklepionym przejściem. Powietrze było suche i stęchłe, wisiał w nim ciężki smród zgnilizny. Shanar rzuciła czar, który rozjarzył czubek jej kostura i oświetlił kamienną podłogę komnaty za progiem. Tyrael schował El'druina - tu nic już im nie groziło.

Pod ścianą w głębi, ułożone jak drewno na opał, spoczywały zwłoki ludzi porwanych z Bramwell. Posplatane ręce i nogi sterczały na wszystkie strony; blade, martwe twarze gapiły się pustym wejrzeniem na horadrimów, którzy powoli weszli do komnaty. Komtur Nahr wydał cichy okrzyk, zrobił kilka kroków i padł na kolana w modlitwie. Rozpoznał jedno z najbliższych leżących ciał - młodego mężczyznę wciąż odzianego w zbroję miejskiego strażnika. Nahr dotknął jego ręki.

- To dobry przyjaciel Lorata, Robert - powiedział. - Wychowywali się razem w Zachodniej Marchii. W zeszłym roku Robert przyjechał do

Bramwell ze swoim ojcem, żeby wzmocnić patrole na murach, zostawił w domu młodą żonę. Planował wrócić do niej w tym miesiącu.

Komtur wstał i odwrócił się. Tyrael chciałby jakoś pomóc, ale to było niemożliwe; tych ludzi nie można już było uratować.

Rozejrzał się. Grota miała średnicę może stu stóp i wyglądała na twór natury. Była też w większej części pusta. Tyrael poczuł, że gaśnie w nim nadzieja. Wymacał Kielich na piersi. Jego członki ogarnęła drętwota, objęła go żelaznym uściskiem. Przepęłniło go bolesne pragnienie, by zajrzeć znów w wirujące głębie Chalad'ara, tak, jak to zrobił poprzedniej nocy, gdy wszyscy spali. Kielich dawał mu ukojenie, którego Tyrael nie umiał znaleźć wśród żywych. Tęsknił za uczuciem, jakie towarzyszyło uwalnianiu umysłu, łaknął euforii, która go zalewała, kiedy wnikał między świetlne nici...

– Rozbicie skały ściągnie tu inne stworzenia - powiedział Mikułow, przerywając jego trans. Mnich mówił na tyle cicho, by inni go nie usłyszeli.  
- Możemy nie mieć dużo czasu, zanim zostaniemy odkryci.

Tyrael przytaknął. To nie była pora na pogrążanie się w wizji. Jednak w grocie nie znaleźli niczego prócz śmierci - żadnych ruin nefalemów, żadnych dalszych wskazówek.

– Księgi się myliły - powiedział.

– Jest jedno miejsce, w które nie zajrzeliśmy - rzekł mnich.

Wskazał makabryczny stos trupów.

„Nie”. Smród śmierci zwał z nóg; nienaturalnie suche powietrze podziemi i zapieczętowane wejście zakonserwowały zwłoki tylko do pewnego stopnia. Tyrael widział śluz na trupiej skórze, obrzmiałe ciała, zgniliznę, która rozgościła się na dobre w tych leżących głębiej.

Kiedy tak stał, poczuł na twarzy przeciąg. Stos ciał był usypany tak wysoko, że zasłaniał przejście.



Nahr, choć przepelniony żalem, zacisnął zęby i wraz z innymi zabrał się do odciągania trupów, z początku ostrożnie, potem coraz prędej. Łapali oślizgłe, zimne kończyny i odrzucali zwłoki najszybciej, jak umieli, determinacją wzmacniając żołądki i umysły.

Kiedy dotarli do najbardziej dotkniętych rozkładem trupów, mocniej powiało chłodem i przejście stało się widoczne. Było tak niskie, że Tyrael musiałby przykucnąć, by się w nim zmieścić, ale wyglądało na dzieło rąk ludzkich.

– Więcej światła - polecił archanioł, kiedy odciągnięto ostatnie ciało.

Shanar przyświeciła kosturem. Weszli do następnej groty wykutej w skale. „Sądząc po śladach, zrobili to magowie, być może Vizjerei - pomyślał Tyrael - albo jeszcze starsi”.

Ściany pokryte były płaskorzeźbami - dostrzegli olbrzymia zbudowanego z gór, wielogłową bestię, gigantycznego smoka zwiniętego wśród gwiazd, człowieka eksplodującego promieniami czystego światła i energii. Pod największą z rzeźb umiejscowiono płaski kamienny blok przypominający ołtarz, na nim zaś leżały szczątki tkanin, klejnoty i zwoje.

„To nie żaden skarbiec”, pomyślał Tyrael. Do tego grota była stara, o wiele starsza niż Kościół Zakarum. Thomas i Kullen, rozmawiając ze sobą z podnieceniem, zaczęli oglądać przedmioty na ołtarzu i wkładać je ostrożnie do plecaków. Dzięki suchemu, zimnemu powietrzu zwoje zachowały się zdumiewająco dobrze, ale i tak potrzeba było delikatności w obchodzeniu się z nimi.

Kullen wziął w rękę mały, dziwnego kształtu sztylet o płaskim, szerokim ostrzu. Broń miała wysadzaną klejnotami rękojeść i kwadratowo

zakończoną klingę zamiast sztychu.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego... - powiedział i odwrócił się. -  
Mikułow, czy podczas swoich podróży napotkałeś. ..

Ale mnicha z nimi nie było.





## ROZDZIAŁ 17



### *Atak*

Z kryjówki między drzewami Mikułow obserwował krąg zakapturzonych mężczyzn.

Opuścił grootę, kiedy wiatr przyniósł mu wiadomość od Ytara, ostrzegającą o niebezpieczeństwie. Kościany demon był tylko zapowiedzią kolejnych wydarzeń. Jego pojawienie się zakłóciło równowagę żywiołów, a to zawsze przyciągało rozmaite twory mroku niczym ćmy do światła. Pozostali potrzebowali czasu, by zbadać zawartość podziemi, i Mikułow zamierzał im go dać.

Spodziewał się kłopotów. Ale nawet jego zaskoczyło to, co zastał.

Na małej polanie pod urwiskiem stali mężczyźni w ozdobionych runami płaszczach, wsparci na długich kosturach, z twarzami ukrytymi w głębokich kapturach. Mikułow słyszał, jak recytują nieprzerwanie.

Z ich ciał sterczały kolce - makabryczny dowód religijnego zapamiętania, za nimi zaś majaczyli potworni berserkerzy; ich zielonkawa skóra i nabrzmiące mięśnie zdawały się jarzyć w cieniu drzew i nisko płynących chmur.

Jeden z potworów odrzucił w tył łeb w masce i ryknął w niebo, a potem chwycił kolec i wbił go jednemu z zakapturzonych w szyję.

Krwi popłynęło bardzo niewiele. Człowiek w długiej szacie w pierwszej chwili w ogóle nie zareagował. Ale inkantacja przybrała na sile i wtedy zadygotał w konwulsjach, a pod jego stopami rozjarzyło się czerwone światło. Szata pękła pod naporem puchnącego, rosnącego ciała, rany otworzyły się niczym głodne usta. Przemieniał się, w mokrej dziurze w brzuchu połyskiwały wnętrzności, z mięśni i ścięgien sterczały zakrwawione kości.

Mroczny nosiciel. Przebudzenie. To właśnie kultyści próbowali zrobić w Tristram. Demon uniósł się nad ziemię, sznury jelit zwisały nad potrzaskanymi resztkami jego nóg, mdląca, krwawoczerwona poświata rozlała się po polanie niczym ognie Piekieł.

Następny berserker wbił kolec w drugą ofiarę, potem w trzecią. Mężczyźni zaczęli się przemieniać, zaśpiew nabrał histerycznych tonów. Mikułow rozważał, czy nie zaatakować, ale to były potężne demony i mierzenie się z nimi w pojedynkę było ryzykowne. Poza tym dalej, za polaną, coś się poruszyło; nie miał pojęcia, ile jeszcze potworów może się zbliżać.

Lepiej ostrzec innych i uciekać, zanim będzie za późno.

W górze zahuczał grom, rozpadało się na dobre. Mnich zaczął się szybko wspinać. Pokryta igliwem i liśćmi ziemia zrobiła się śliska i zdradliwa, ale Mikułow się nie potykał. Słyszał bogów w szeleście spadających kropli, czuł ich w narastającym mrowieniu energii, w zapachu mokrej kory i liści na ziemi. Ostrzegali go. Wszystko ostatecznie wracało do stwórcy, ale szafarze śmierci, którzy nadchodzili, nie byli naturalną częścią tego świata. Byli pogwałceniem porządku i światła, a to bogów gniewało.

Przypomniął sobie fragment swojej wizji sprzed kilku dni, Tyraela zmieniającego się w postać w ciemnych szatach, pozbawioną twarzy. Co to znaczyło? Wiedział, że musi nad tym pomyśleć, ale teraz zamierzał wrócić pod urwisko i szybko zebrać pozostałych. Razem zadecydują, czy zostać i walczyć, czy raczej wycofać się i poczekać na lepszą sposobność.

W tym właśnie momencie coś wielkiego i czarnego przemknęło przez las na skraju jego pola widzenia.



Horadrimowie i Nahr wyłonili się z groty z bronią w gotowości. Niebo pociemniało, chmury wisiały nisko, deszcz chłostał im twarze i w kilka chwil przemoczył ubrania.

Tyrael szedł przodem, reszta tuż za nim. Archanioł zamrugnął, by pozbyć się z powiek natrętnych kropli, i rozejrzał w poszukiwaniu niebezpieczeństwa. Co nim zawładnęło w grocie? Nie mógł zapominać o tym, jak ważne jest ludzkie życie; ochrona Sanktuarium i jego mieszkańców musiała pozostać równie ważna jak ocalenie Królestwa Niebios. Kluczem do wszystkiego byli horadrimowie. Jego zadaniem było dopilnować, żeby uszli stąd z życiem i wykonali swoją misję.

„Nie zawieź - nakazał sam sobie. - Deckard i Lea zginęli, by ratować Sanktuarium, oddali życie w służbie światła. Nie zmarnuj ich ofiary ani nie zapominaj o swoim celu”.

Z mroku wyłoniła się jakaś postać. Tyrael sięgnął po El'druina, zanim rozpoznał smukłą sylwetkę mnicha.

– Potwory, które porywały ludzi z Bramwell, są tutaj - powiadomił ich Mikułow. - Widziałem jednego, jak sunął między drzewami, słyszałem inne. Ale są szybkie i niełatwo je wytropić.

– Widma... - szepnął Nahr. Poblądł. Jego miecz był cudnej roboty bronią z symbolami wiary Zakarum wygrawerowanymi wzdłuż długiej, ostrej jak brzytwa klingi. - Upuszczę ich krwi, zanim to się skończy!

Mikułow wskazał miejsce, gdzie las opadał w dół.

– Tam są inni. Mroczni nosiciele, berserkerzy i coś jeszcze głębiej w lesie.

Jakby w odpowiedzi rozległ się ogłuszający trzask, ziemia zadrżała i spomiędzy drzew wypadł na polanę olbrzymi berserker. Tak wielkiego Tyrael jeszcze nigdy nie widział.

Za nim wyłonił się następny i jeszcze jeden, oba równie ogromne. Ten na przedzie zaryczał i z ogromną siłą huknął w ziemię wekierą. Wstrząs tak potężny, że ludziom aż zadzwoniły zęby, dla istot mroku był niczym wezwanie. Spomiędzy drzew wypłynęli mroczni nosiciele, wlokąc węże jelit pod rozrąbanymi torsami.

Kilka podobnych do pajaków bestii wielkości dorosłego mężczyzny pomykało na długich, włochatych odnóżach przez poszycie, kłapiąc zębami; fasetowane oczy odbiły blask El'druina, potwory przystanąły, badając powietrze przed sobą przednimi nogami. Po drugiej stronie polany brnęły w błocie groteskowo opasłe makabryny pozszywane z ludzkiej skóry; ich ramiona kończyły się krwawiącymi, ropiejącymi kikutami w nadgarstkach. Wokół nich skradały się piekielniki, przemykały im pod nogami i warczały na horadrimów, którzy ścieśnili szyki przy wejściu do świątyni.

Tyrael patrzył na zbierające się potwory z narastającą grozą. Skąd się wzięły? Takie bestie rzadko przemieszczały się razem. Do tego zdawały się działać z pewną koordynacją, prawie jakby je tu zapędzono.

Jak znalazły to miejsce i jaki był ich cel?

Nie zdążył się nad tym zastanowić. Pierwszy berserker już szarżował z rykiem, unosząc wekiere, by zmiażdżyć czaszkę Gynwir. Barbarzynka zwinnie uskoczyła w bok i zamachnęła się toporem. Ostrze wbiło się głęboko w bark bestii. Berserker zawył i uwolnił się szarpnięciem, czarna krew trysnęła na pierś Gynwir, która z półobrotu sparowała cios wekiery. Sypnęły się iskry.

– Trzymajcie dystans! - krzyknął Jacob.

Brzuchaci nieumarli sunęli, kołyszając się z boku na bok, zaskakująco szybko jak na swoją masę. Zayl rzucił kilka cichych słów i ze schodów uniosła się płatanina kości. Jeden gest zamienił je w mknące włócznie, które poprzebijały dwa toczące się grubasy. Makabryny zaczęły niekontrolowanie dygotać, a potem rozpękły się, siejąc deszczem trupich czerwi. Jacob zaczął rozdeptywać te, które pełzły mu pod nogi, ciął i rąbał mieczem ich bezokie łby. Zielona maź i deszczówka zmieszały się w śliską, lepka kałużę.

Pająki ruszyły przez polanę, przebierając odnóżami i sycząc. Jad kapał z ich paszcz, skwiercząc jak kwas. Jednemu, który nań uderzył, Tyrael odrąbał przednie kończyny. Potwór zakwiczał i zaczął machać kikutami, z których bryzgał lepki płyn. Archanioł umknął przed palącymi kroplami, po czym wbił El'druina w brzuch potwora, wypruwając mu wnętrzności na leśną ściółkę.

Z lasu wyłaniały się kolejne ohydne stwory. Tyrael czuł, jak serce mu zamiera na ten widok. Sytuacja była o wiele poważniejsza niż w Tristram. Ale horadrimowie bronili się zaciekle. Shanar ciskała ładunkami fioletowej energii, wypalając dziury w ohydnych ciałach piekielników, a mnich osłaniał flanki Thomasa i Kullena, walczących z grupą gigantycznych pajaków; musieli uważać na ich zabójczy jad i na atakującego ich od tyłu

berserkera. Nahr dzielnie walczył mieczem, potężnymi cięciami rozrąbując piekielniki na pół.

Tyrael poczuł falę dumy. Zaczynali działać jak drużyna. Może mimo wszystko mieli jakieś szanse.

Coś mignęło wśród drzew, bardzo szybko: ciemny kształt, który zniknął, zanim Tyrael zdążył się obejrzeć. Archanioł odwrócił się i zobaczył następnego, unoszącego się nad urwiskiem na podobieństwo wielkiego nietoperza, ale i ten zginął mu z oczu niemal natychmiast. Na obrzeżach pola widzenia Tyraela poruszało się ich więcej, ale za każdym razem, gdy się ku nim zwracał, znikwały.

– Pokażcie się! - wrzasnął Nahr udreńczonym głosem.

Wielkolud rozglądał się gorączkowo, szukając celu. Ulewny deszcz dodatkowo utrudniał śledzenie ruchów przeciwnika, wzmagając zmieszanie i panikę; Nahr omal nie odrąbał ręki Tyraelowi, kręcąc się ze swoim zakrwawionym mieczem, a potem upadł na kolana w błoto.

Kiedy archanioł odwrócił się znów w stronę nadciągających mrocznych nosicieli, nad polaną strzeliła błyskawica, zaczerniając kontury drzew i pogrążając wszystko w białej pustce, która utrzymywała się o wiele za długo. Tyrael zasłonił ręką twarz, mrugał w strugach deszczu, żeby coś zobaczyć.

Przed oczami latały mu czarne plamy.

Za linią drzew otworzył się portal.

Z lasu wyszedł Sicarai. Anielski niszczyciel rozejrzał się po polanie, a potem runął na Tyraela, unosząc broń do zabójczego ciosu.





## ROZDZIAŁ 18



### *Sicarai*

Olbrzymi złoty miecz o dwóch ostrzach zaśpiewał, gdy potężny anioł mknął przez polanę. Aura Sicarai jarzyła się czerwienią niczym mgiełka kropelek krwi, skrzydła jak wijące się jęzory energii strzelały w deszczu niczym błyskawice. Zbroja okrywała gigantyczne, nierzeczywiste ciało, spowite wyładowaniami energii. Sicarai skupiał się bez reszty na swoim celu, pędząc precyzyjnie wprost na Tyraela.

Czyżby Imperius wysłał niszczyciela za Tyraelem, nie zważając, co to oznacza dla Sanktuarium, świata, który nigdy czegoś takiego nie doświadczył? Czy Rada zgodziłaby się udawać, że nic nie wie, i pozwolić na to?

Jeśli nie uda mu się powstrzymać Sicarai, wszyscy zostaną wyrżnięci w pień i znajdą swój ostateczny koniec w tym odludnym miejscu w górach, a ich misja skończy się, zanim tak naprawdę się zaczęła.

Tyrael dobrze znał większość Sicarai. Wielu z nich sam szkolił jako Archanioł Sprawiedliwości. Ale ten był mu obcy. Ta świadomość niepokoiła Tyraela. Nie miał pojęcia, jakie niszczyciel mógł mieć skłonności czy nawyki; jakie słabości, które można by wykorzystać. Sicarai

byli praktycznie nie do pokonania - jeśli Tyrael nie znajdzie jakiejś przewagi, bitwa była już skończona.

„Był czas, kiedy stawiałbym czoła takiemu wojownikowi i dał mu nauczkę - pomyślał. - Ale teraz jestem śmiertelnikiem. Moje ciało nie może się mierzyć z czymś takim”.

Wciąż jednak był znakomitym szermierzem i mógł wspomagać się rozumem.

Rozejrzał się po polanie. Kiedy zerknął za siebie, zobaczył, że jeden z czarnych stworów pnie się jak pająk po gładkim urwisku, pomagając sobie skrzydłami niczym dodatkową parą nóg, a potem rzuca się w ulewę i wysoko wzbija. Archanioła przeszedł zimny dreszcz; stworzenie było zbezczeszczeniem światła, bezimienną grozą, która przybyła jakby znikąd, a mimo to miała w sobie coś znajomego. Za polaną pojawiały się i znikwały następne, przemykały w cieniu drzew. Trzymały się jednak na dystans i nie atakowały. „Być może robią miejsce Sicarai”, pomyślał ze zgrozą Tyrael.

Shanar uderzyła niszczyciela wyładowaniami jasnej energii, ale fioletowe pociski odbiły się od jego zbroi, nie czyniąc żadnych zniszczeń. Skrzydła Sicarai wiły się i iskrzyły, gdy runął na Tyraela. Gynwir stanęła mu na drodze; jeden potężny cios odrzucił ją w bok jak szmacianą lalkę, przeleciała przez pół polany i z ciężkim łomotem wylądowała bezwładnie w błocie.

Shanar krzyknęła i rzuciła się na pomoc przyjaciółce. Uklękła przy niej, odpędzając piekielniki rozbłyskami energii. Tyrael stracił je obie z oczu - zewsząd napierało coraz więcej potworów, a potem Sicarai go dopadł.

Wojownik zamachnął się mieczem, wyprowadzając cios, który miał zdjąć Tyraelowi głowę z ramion. Archanioł zasłonił się El'druinem i oba ostrza zderzyły się w oślepiającej eksplozji światła. Siła uderzenia omal nie obaliła Tyraela, jego mięśnie drżały w wysiłku. Miał wrażenie, że cios

wyrwał mu rękę ze stawów. Zatoczył się w bok, jakimś cudem utrzymując się na nogach, ale Sicarai znów uderzył pod takim kątem, by przełamać jego zastawę i przerąbać miecz na pół.

El'druin wytrzymał, jaśniał nieustająco, kiedy Tyrael sparował cios w taki sposób, że miecz niszczyciela ześliznął się nieszkodliwie po jego klindze. Ale siła uderzenia omal nie wyrwała mu broni z ręki. Niszczyciel był niewiarygodnie szybki i silny. Już szykował się do następnego ciosu. Tyraelowi udało się uskoczyć, skontrował szybkim cięciem, które nie doszło nawet w pobliże celu. „W ten sposób go nie pokonam”. Potrzebował czasu, żeby pomyśleć.

Deszcz siekł jeszcze mocniej, ziemia zrobiła się śliska i miękka. Tyrael obejrzał się szybko w prawo, szukając odpowiedzi. Jeden z makabryków zbliżał się rozkołysanym krokiem. Po jego pozszywanej skórze pełzały owady i pasożyty, brzuch wydymał się i pulsował od kłębiących się w środku trupich czerwi. Tyrael zamachnął się szeroko, uderzył i odskoczył. Makabryn zadygotał, zacharczał lepko, a potem eksplodował, rozbryzgując na wszystkie strony maź i czerwie.

Czarna jucha obryzgała pierś Sicarai. Robaki wily się w błocie, czepiały zbroi niszczyciela, pełzały mu po hełmie. Chłoneły jego energię i szybko rosły. Sicarai je strącił, ale chwilowe odwrócenie uwagi go spowolniło.

Mroczni nosiciele sunęli nad polaną, kiwając rogatymi głowami. Ich podobne szponom ręce drżały niekontrolowanie, wnętrzności wlekły się po błocie. Tyrael przemknął za nimi, zyskując kolejne cenne chwile. Sicarai poległ na brutalnej sile, chciał go pokonać impetem i strachem. Ale w szermierce liczyła się też obrona, szybkość i umiejętności. Tyrael mógł mieć tylko nadzieję, że te cechy pozwolą mu przeżyć dość długo, by drużyna ruszyła mu na pomoc. Ich jedyną szansą było walczyć razem.

Potężnym ciosem niszczyciel przerwał najbliższego mrocznego nosiciela na pół. Rozcięte części zadygotały gwałtownie i rozbłysły krwawoczerwonym światłem; tkwiący w ciele demon wy dostał się, wyjął do wtóru z wiatrem. Wśród drzew Tyrael dostrzegł kolejne czarnoskrzydłe widma. Kilka piekielników próbowało umknąć z pola walki, ale czarne potwory odcięły im drogę i zepchnęły z powrotem. Przyszła mu wtedy do głowy myśl - a może to widma zapędziły to stado demonów na polanę? Jeśli tak, sugerowało to jakiś podły i pokrętny zamysł, którego Tyrael nie potrafił odgadnąć.

Musiał skoncentrować się na Sicarai. Niszczyciel znowu atakował. Archanioł parował, nie pozwalając Sicarai skrócić dystansu i zadać zabójczego ciosu; szybkimi krótkimi ruchami odbijał uderzenia niszczyciela. Ale taka szermierka była wyczerpująca, a Sicarai nie ustępował. Tyrael uchylał się przed każdym cięciem, zasłaniał się potworami na polanie i atakował za każdym razem, kiedy dostrzegał okazję. W końcu trafił - El'druin przejechał po zbroi niszczyciela, krzesząc iskry, ale czyniąc niewiele szkód.

Archanioł odszukał wzrokiem pozostałych. Mikułow przyskoczył, zamachnął się pięściami i zadał cios, który wywołał potężne wyładowanie energii. Ale Sicarai machnął tylko ręką, jakby odganiał natrętnego owada.

Mnich odskoczył. Thomas i Kullen pokonali właśnie wielkiego arachnida i krzyknęli do nekromanty. Zayl mruknął coś i uniósł stertę kości, które opadły wokół Sicarai i natychmiast splotły się w mur. Cały czas spadały następne, aż niszczyciel całkiem pod nimi zniknął. Chwilę później potężny cios anielskiego miecza strzaskał zaporę i kości posypały się na ziemię.

Tyrael tracił już nadzieję.

Ale to Gynwir ostatecznie przechyliła szalę zwycięstwa na stronę drużyny.



Barbarzynka mimo wszystko dźwignęła się po upadku. Otoczona jaśniejącą łagodnie aurą popędziła w kierunku Tyraela i Sicarai. Sprawiedliwa furia dodawała jej sił i pchała naprzód. Niszczyciel, skupiony na swoim celu, nie zwrócił uwagi na nadbiegającego człowieka. Gynwir z tryumfalnym okrzykiem uniosła i opuściła swój bojowy topór.

Ostrze, rozświetlone słabą poświatą, przecięło czysto trzy wiązki światła tworzące anielskie skrzydło, odrąbując je przy ramieniu.

Sicarai wrzasnął - to był nieludzki dźwięk, pełen bólu i zaskoczenia. Obrócił się w stronę Gynwir, dając Tyraelowi sposobność do ataku.

Archanioł skoczył i ciął El'druinem prosto w łączenie zbroi chroniącej ramię Sicarai. Ostrze wbiło się głęboko - nie w ciało i krew, ale w świetlistą energię, z której spleciony był anioł. Niszczyciel zaryczał ponownie. El'druin rozbłysnął jasno, miecz o dwóch ostrzach upadł w błoto. Dłoń Tyraela płonęła żywym ogniem, ale nie puścił El'druina. Cofnął się, pilnując, by utrzymać bezpieczny dystans, pozostając poza zasięgiem rozwścieczonego Sicarai. Anielski niszczyciel obracał się, próbując stawić czoła wrogom, którzy nagle zaatakowali go ze wszystkich stron. Nawet pozbawiony broni był bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem.

Czerwonawe światło sączyło się przez szczeliny zbroi niczym krew. Wtedy Jacob przyskoczył do Sicarai i porwał z ziemi miecz niszczyciela.

Tyrael dostrzegł, że Jacob konwulsyjnie zaciskał zęby, nie puścił jednak broni, wyprostował się i uniósł ją w powietrze. Woda syczała na rozgrzanym ostrzu.

- Stawaj! - krzyknął. Wysiłek naprężył mu ścięgna na szyi, ciało dymiło, włosy zaczynały się podnosić, ale wytrzymał. - Chodź, jeśli się odważysz!

Sicarai znów zaryczał, a potem wycofał się między drzewa. Reszta demonów ruszyła jego śladem. Dźwięk podobny do jęku odbił się echem od ściany urwiska i poniósł przez dolinę. Czarnoskrzydłe widma zniknęły w stalowoszarych chmurach w górze, jakby nigdy ich tu nie było.

Tyrael był wyczerpany tak bardzo, że z trudem trzymał się na nogach. Patrzył w błoto pod stopami. Światło zgasło już w odciętych wstęgach skrzydeł i wyraźnie było w nich widać cienkie, szare nici, wplecione w strukturę skrzydeł na podobieństwo żył. Po chwili szczątki szerniały, stopiły w szkło, które roztrzaskawszy się na maleńkie okruchy, zniknęło.



## ROZDZIAŁ 19



### *Uświęcony niszczyciel*

– Boli?

Jacob zaciskał mocno zęby, pot perlił mu się na skórze, która nabrała barwy starego pergaminu. W spojrzeniu staalgardczyka była jednak siła; patrzył Tyraelowi w oczy z opanowaniem i spokojem, których archanioł przedtem nie widział.

– Bywało gorzej - powiedział. - Przeżyję.

Uzdrowicielka z Bramwell, kobieta o imieniu Idalki, właśnie skończyła owijać jego dłonie nasączonymi maścią bandażami, zrobionymi z pajęczego jedwabiu i kory okrysu. Recytowała coś cicho, ale Tyrael nie był w stanie stwierdzić, czy to pomagało. Dłonie Jacoba pokryły się paskudnymi bąblami, skóra obłaziła z nich krwawymi pasmami. Nekromanta zaproponował, że spróbuje zaklęcia leczącego, ale Gynwir nie chciała go dopuścić do Jacoba.

„Miecz Sicarai nie jest przeznaczony dla ludzkich rąk”, pomyślał Tyrael. A jednak, mimo cierpienia, Jacob podniósł oręż na anielskiego niszczyciela w akcie odwagi, który być może ocalił ich wszystkich.

– Czeka na ciebie komtur Nahr - oznajmił Zayl.



Nekromanta stał w progu skromnego domostwa, z rękami splecionymi na wysokości pasa. Tyrael przez chwilę patrzył mu w oczy. Zayl kiwnął nieznacznie głową. „Zrobione”.

– Czułem go - powiedział Jacob w przestrzeń. - Miecz... to, jak przeze mnie przepływał... znów czułem się żywy.

Tyrael położył mu dłoń na ramieniu, po czym wstał z klęczek. Wciąż miał jeszcze nadzieję, że Jacob zostanie przywódcą, o jakiego archaniołowi chodziło; nadzieję, że ich misja się powiedzie.

– Niedługo wrócę - obiecał. - Spróbuj odpocząć.



W kuźni na palenisku huczał ogień. Nahr obsługiwał miech, jednocześnie z wielką wprawą i szybkością manipulując narzędziami i trzymanym przed sobą przedmiotem. Strzelały iskry, energia skupiała się i wyzwałała. Czerwony i pomarańczowy blask tańczył na twarzach Thomasa i Kullena, którzy stali nad stołem przy drzwiach, oglądając artefakty przyniesione z ukrytej świątyni.

Kiedy Tyrael wszedł, Kullen podniósł wzrok. Jego twarz lśniła od potu i podniecenia.

– To oryginalny manuskrypt, napisany ręką Akarata! - zawołał.

– Krzyżowcy byliby nim bardzo zainteresowani - uznał Tyrael. - Kilku poznałem, ich celem jest rehabilitacja Zakarum. Oryginalny zwój zapisany przez Akarata byłby jedną z ich najbardziej cennych relikwii.

– Opisał w nim swoją wizję, która leżała u podstaw religii Zakarum - ciągnął Kullen. - Było tak, jak podejrzewał Deckard Cain. Po lekturze tego zwoju jestem przekonany, że jego wizja była w rzeczywistości kosmicznym echem ofiary Uldysjana, a nie przesłaniem od anioła. Ale to nie wszystko. -

Ujął w dłonie nowszą księgę. - W oparciu o teksty zawarte w tym tomie uważam, że te artefakty zostały złożone w grocie na przechowanie przez Korsika, a potem zaginęły, kiedy porwali go barbarzyńcy.

- Syna Rakkisa?

Tyrael wziął księgę z rąk Kullena. Tom był gęsto zapisany odręcznym pismem, uwagami skreślonymi w poprzek kart. Archanioł miał pewne doświadczenie dzięki porządkowaniu pism pozostawionych przez Caina i Leę, ale te zapiski były o wiele mniej przejrzyste. Nie wiedział, jakim cudem Kullenowi udało się tyle odczytać.

Uczony kiwnął głową.

- Według tego, co pisał Korsik, jego ojciec miał obsesję na punkcie znalezienia pierwszego siedliska nefalemów, rzekomo ukrytego miasta. Korsik przyłączył się do poszukiwań - relacjonował. - Odkrył miejsce, które znaleźliśmy w górach. Uważał, że pierwotnie używano go jako osłoniętego posterunku, kryjówki dla nefalemów, którzy znaleźli się w niebezpieczeństwie. Vizjerei, na polecenie Korsika, miał schwytać kościanego demona, żeby jej strzegł. Syn Rakkisa zamierzał tam powrócić. Uważał, że takie kryjówki istnieją w całym Sanktuarium. Sądził jednak, że miasto nefalemów - ich baza wypadowa - zostało wzniesione w odległej przeszłości przez nefalema imieniem Daedessa i mieściło się na zachodzie. Niedaleko miejsca, gdzie dużo później zbudowano Zachodnią Marchię i gdzie złożono po śmierci Rakkisa.

- Zaginiony grobowiec Rakkisa.

- Zgadza się. - Zerkając na Thomasa, Kullen kiwnął głową. Jego podniecenie było wręcz namacalne. - Uważamy, że miasto może leżeć niedaleko zewnętrznych murów Zachodniej Marchii, ale prowadzący do niego tunel biegnie pod nią samą. Wejście znajduje się prawdopodobnie pod Kościołem Świętego Zakonu. Są tu odręcznie narysowane mapy. Ale

wejście będzie chronione czarami rzuconymi wiele wieków temu i tylko prawdziwy nefalem będzie miał klucz zdolny je otworzyć.

– Jeśli udacie się do Zachodniej Marchii, wpakujecie się prosto w gniazdo szerszeni - ostrzegł ich Nahr. Cały lśniący od potu, przysłuchiwał się ich rozmowie. - Kościół Świętego Zakonu jest we władaniu templariuszy, ale rycerze nie będą dłużej czekać z założonymi rękami. Król zażąda czystki. Mieszkańcy miasta nie mają pojęcia, w jakim są niebezpieczeństwie.

– Wyruszamy jutro - zdecydował Tyrael. - Komturze Nahr, byłbyś dla nas wielką pomocą.

Nahr pokręcił głową.

– Nie mogę odejść - powiedział. - Obowiązek trzyma mnie w Bramwell, dopóki generał Torion nie wezwie mnie, bym znów objął komendę nad Rycerzami Zachodniej Marchii. Dam wam coś, by rycerze wiedzieli, że można wam ufać.

Podszedł z powrotem do stołu, wytarł ręce i wrócił z jakiś zawiniątkiem. Poruszał się powoli, jakby praca wyzwała go z sił.

– Gotowe, tak jak chcieliście - powiedział. - Śmiertelnik o ogromnych umiejętnościach może dać radę nim władać, choć będzie to wymagało wielkiej siły, nawet po moich ulepszeniach.

Tyrael wziął pakunek. Był ciepły. Pod grubą tkaniną czuł ostre, mordercze krawędzie broni. Rozwinął materiał na tyle, by dostrzec rękojeść Uświęconego Niszczyciela, miecza Sicarai. Nahr oprawił ją w drut i skórę, którą oznaczył wypaloną pieczęcią, w jakiś sposób ochłodził też ostrze, umożliwiając wzięcie go do ręki. Ale miecz wciąż wibrował energią.

– Dobrze się spisałeś - rzekł Tyrael. - Dziękujemy ci za wszystko, komturze.

– Pokażcie ten znak mojemu synowi w Zachodniej Marchii - powiedział Nahr, wskazując pieczęć. - To znak rodu Nahrów, będzie wiedział, że to moja robota i że macie moje błogosławieństwo. - Na moment w jego oczach zagościł ból. Nagle zdał się o wiele starszy, zapadnięte policzki powlekły się szarością. - Tylu ludzi zginęło. Cokolwiek musicie zrobić, by to powstrzymać... nie uda wam się dość szybko.

A potem odwrócił się i wyszedł z kuźni, utykając jak starzec, garbiąc szerokie ramiona, jakby dźwigał ciężkie brzemię.



Tyrael zostawił Kullena i Thomasa spierających się o dziennik oraz artefakty i wyszedł cicho na zewnątrz. Nahra nie było widać; archanioł poczuł przelotny wyrzut sumienia za to, o co go poprosił. Przekucie anielskiej broni wymagało ogromnych umiejętności i sił, bywało też bardzo niebezpieczne.

Ale jeśli Tyrael miał rację, rezultat będzie wart poświęcenia.

Ciemność była głębsza niż przedtem, chłodny powiew znad zatoki sprawił, że Tyrael ciaśniej otulił się szatą. Broń przekuta przez Nahra wciąż była ciepła. Archanioł poprosił komtura o zmiany przez wzgląd na Jacoba; miecz miał się dla niego stać punktem zaczepienia, drogą do zapanowania nad wewnętrzną siłą. Ale do pokonania czekających ich wyzwań potrzebowali czegoś więcej. Byli już blisko znalezienia twierdzy nefalemów, ale co potem? Kiedy dotrą do zaginionego miasta, nadejdzie czas prawdziwej próby. Będą musieli stawić czoła samym Niebiosom - ósemka śmiertelników przeciwko armii aniołów.

O ile dotrą tak daleko. Żadne z nich nie wspominało o tym, co się wydarzyło w górach, ale Tyrael wiedział, że Imperius i Sicarai nie ustąpią.

Niszczyciel wróci i nie da się znów wziąć z zaskoczenia. „Prawdziwe pytanie - pomyślał Tyrael, idąc w ciche miejsce za kuźnią - brzmi, jak Sicarai i demoniczna horda w ogóle ich znaleźli? Czyżby drużyna była śledzona, odkąd opuściła Tristram? Czy stały za tym te tak zwane widma? I co łączyło je z Kamieniem?”

Przypomniał sobie bliznę Jacoba w miejscu, w którym dotknęła go skrzydlata istota. „Został naznaczony...”

Wiatr zaszumiał w drzewach rosnących na granicy posiadłości Nahra. Dalej rozciągał się gęstszy las, pnący się w góry, za nim zaś Zachodnia Marchia, oddalona o kilka dni ciężkiej wędrówki. W tym lesie mogło czyhać wszystko. Lekko drżącymi rękami Tyrael odłożył broń na ziemię i wyjął z wewnętrznej kieszeni szaty Chalad'ara. Stał z dala od pozostałych, poza polem widzenia każdego, kto wyszedłby z domu Nahra. Później zdąży się przespać. Ożyło w nim dziwne, a zarazem znajome pragnienie. Kielich da mu satysfakcję i zrozumienie, ułatwi dźwiganie brzemienia, które spadło na jego barki.

Kiedy jednak zajrzał w głębię Chalad'ara, spodziewana ulga nie nadeszła. Zamiast tego Tyraela zalała fala rozpacz, potężniejsza niż kiedykolwiek. Splot świetlnych nici otulił go, przeniknął jego ciało i ukazał, co naprawdę czeka drużynę. Tyrael wyraźnie ujrzał kres ich życia, ujrzał, jak giną jeden po drugim, pokonywani przez grozę, cierpienie, przemoc i rozpacz. Jego gniew zwrócił się do wewnątrz i archanioł zobaczył własne słabości, własne obnażone niedoskonałości. Nie był ani aniołem, ani człowiekiem, posiadał jednak atrybuty obydwu - dumę i beztroskę, żądzę i smutek, kruchość płynącą z posiadania bijącego serca. Miłość była fatalną wadą, troska o innych - przeszkodą, która ściągnie na niego śmierć.

Zobaczył Deckarda Caina konającego na deskach swojego domu w Tristram, widział, jak starzec daremnie szuka ukojenia; widział, jak Leę

pochłania Najwyższe Zło, jak jej ciało zmienia się, pęka, skręca, a dziewczyna krzyczy w agonii. Zobaczył komtura Nahra wycieńczonego i nieruchomo leżącego na ziemi; Jacoba piezzonego żywcem, jego gotujące się ciało obłazące z kości. Ujrzał bezgłowe ciało Kullena, upadające w kałużę krwi.

A najgorsza była świadomość, że na końcu drogi, gdy ich śmiertelne powłoki obrócą się w pył, nie czeka ich nic prócz pustki i zapomnienia.

Tyrael krzyknął bezgłośnie, jego ciałem targnęły konwulsje; męka trwała nieskończenie, czas przestał istnieć. Niejasno zdał sobie sprawę z obecności jakiejś innej jaźni, która obserwowała go zimno i beznamiętnie, jakby rozważała, co uczynić.



Jakiś czas później ocknął się, przestraszony. Był w lesie, w środku nocy, dookoła majaczyły drzewa niczym olbrzymy bez twarzy, słaby księżycowy blask przesączał się przez gęstwą konarów. Zimne powietrze kłuło skórę.

Każdy oddech odzywał się bólem w całym ciele. W obu rękach Tyrael ścisnął Kielich, nie mógł rozprostować palców, ramiona miał jak dwie bryły lodu. Rozejrzał się dookoła, zdezorientowany. Jak długo go nie było? Nie pamiętał niczego prócz jaźni, obserwującej go przez Chalad'ara.

Coś poruszyło się w ciemności nieopodal.

Tyrael schował Kielich i położył dłoń na rękojeści miecza. Spomiędzy drzew doszedł go ledwie słyszalny szept, odgłos gałęzi potraconej przez ciało w ruchu. Odwrócił się, dostrzegł przelotnie czarny kształt, który zaraz znikł.

„Widma?” Czekał nieruchomo, uciszając oddech, ale nic się nie stało. Księżyc wyłonił się zza chmury i Tyrael zobaczył otaczające go zarośla

oraz własne ślady. Może się mylił i miał zwidy, może niczego tam nie było - odczuwał jedynie skutki zagładania w Kielich. W miarę jak archanioł schodził, chłód nieco odpuszczał. Wkrótce Mądrość zobaczył tylną ścianę kuźni Nahra. Zawinięty w płótno miecz Sicarai wciąż leżał tam, gdzie Tyrael go zostawił.

Kiedy wyszedł z lasu i pochylił się nad tobołkiem, z ciemności wyłonił się Mikułow.

- Nie powinienes sam się oddalać - powiedział. - W takiej puszczy każdy może zniknąć bez śladu. - Przez chwilę wpatrywał się w twarz Tyraela. - Coś cię dręczy. Zmagasz się z czymś w duszy i szukasz odpowiedzi. Ale tam ich nie wypatrzysz.

Tyrael poczuł, jak wzbiera w nim nad wyraz silna potrzeba ochrony Kielicha. Czy mnich wiedział o artefakcie? Czy zobaczył coś w lesie tego wieczora? Czy to sylwetka Mikułowa mignęła Tyraelowi w cieniu drzew?

- Nie osądzaj tak pochopnie - rzekł. - Nie masz pojęcia, z czym się borykam.

- Nie osądzam - odparł mnich. - Nie udaję nawet, że rozumiem, co to znaczy z anioła stać się śmiertelnikiem, ani jak to jest dźwigać brzemię decyzji, co jest słuszne dla przyszłości Sanktuarium i Niebios. Ale cokolwiek postanowisz, to musi być twój własny wybór, jeśli szukasz prawdy. Bogowie mi to pokazali.

- Twoi bogowie - wypomniał mu Tyrael. - Nie moi.

Mikułow tylko kiwnął głową.

- Może inaczej ich nazywamy - zgodził się. - Ale rada jest taka sama. Uważam, że twoje serce jest czyste, a zamiary uczciwe. Nie byłoby mnie tu, gdybym w to nie wierzył. Ale wokół nas działają niebezpieczne dla nas wszystkich groźne siły, które użyją wszelkich koniecznych środków, by

pokrzyżować nam plany. Niektóre umiemy rozpoznać. Inne... - Wzruszył ramionami. - Inne możemy dostrzec dopiero, kiedy będzie już za późno.

Tyrael na zewnątrz zachował spokój, ale w duchu kipiał wściekłością. Mnich nie powinien był go szpiegować ani dzielić się jakimiś bezpodstawnymi obawami. Chalad'ar po prostu pokazał archaniołowi to, co już istniało, żeby pomóc mu zrozumieć, co należy zrobić. Taka była jego rola - przygotować Tyraela na trudne decyzje, które musiał podejmować jako przywódca.

„Być może stracisz tych, na których ci zależy, żeby ocalić miliony”. Tak działał świat i nikt nie mógł tego zmienić.

– Rankiem ruszamy do Zachodniej Marchii - oznajmił Tyrael. - Nie sądzę, by niszczyciel zdołał szybko wyleczyć się z ran, lecz prędzej czy później do tego dojdzie, zresztą Imperius może przysłać następnych. Stań na warcie, dopóki nie przyślę kogoś na zmianę.

Nie czekając na odpowiedź mnicha, wyminął go i ruszył do domu Nahra, wypędzając z serca wszelkie wątpliwości. Wszystko pójdzie zgodnie z planem. Gynwir po raz pierwszy zaczerpnęła swoich mocy nefalema, pozostali też mogli to zrobić. Jeszcze dziś wieczorem Jacob otrzyma miecz Sicarai, a o brzasku opuszczą Bramwell i ruszą do Zachodniej Marchii, zanim wrogowie znów zbiorą siły.

W tym momencie istotne było zlokalizowanie zaginionej twierdzy nefalemów i przygotowanie się do ataku na Srebrne Miasto. Najważniejsze, by Imperius i Rada Angiris się ich nie spodziewali.



Mikułow odprowadził archanioła wzrokiem. W sercu zaległ mu ciężar, w myślach zagościł chaos. Wcześniej widział, jak Tyrael niczym w transie



zagłębia się w las, niosąc ze sobą coś bardzo pięknego i potężnego, ale nie wiedział, do czego ów przedmiot służy. Mikułow zgadywał, że artefakt pochodził z Niebios, nie z Sanktuarium - a mimo to wyczuwał, że bije odeń straszliwe niebezpieczeństwo. W archaniele wrzał konflikt dwóch odrębnych światów, a Mikułow wiedział, że może to oznaczać zagładę dla nich wszystkich.

„Wysłuchajcie mnie - poprosił bezgłośnie bogów. - Pomóżcie mi znaleźć drogę do światła i pokoju”.

Zamknął oczy. Czuł na twarzy pieszczotę powietrza, słyszał pomruk sosnowych konarów w lesie, smakował sól na języku. A potem wszystko ucichło. Wyczuwał, że bogowie próbują mu coś przekazać, ale coś ich powstrzymywało, jakaś bariera tłumiąca dźwięki, zmieniająca światło w ciemność i ogień w lód, sprowadzająca wieczny sen.

Mnich otworzył oczy, szukając jej źródła. Jego umysł popędził naprzód przez wizje. Księżyc zgasł; drzewa zniknęły w czarnej pustce, która pochłonęła świat. Mikułow wznosił się samotny i wolny, dusza oderwała się od jego fizycznej postaci. Wiatr niósł ją wyżej i wyżej. Usłyszał jęk, dobiegający od postaci stojących niczym posągi wokół jego skulonego na ziemi bezwładnego ciała. Ujrzał widma, które w końcu poniosły go bezgłośnie na czarnych skrzydłach w mrok nocy, kiedy na świat runęły anielskie zastępy, niosąc śmierć.



## ROZDZIAŁ 20



### *Królestwo Niebios*

Sicarai stał na baczność, niczym nie zdradzając cierpienia, jakie musiało go trawić. Ramię niszczyciela zwisało bezwładnie wzdłuż jego boku, skrzydło było częściowo odcięte u nasady. Duma i wyszkolenie nie pozwalały wojownikowi okazać bólu, ale Balzael wiedział, że te rany nieprędko się zagoją.

Wysłuchał już relacji z bitwy. Drużynie Tyraela udało się jakimś cudem znaleźć starożytną grotę nefalemów, od tysiącleci ukrytą przed Piekłem i Niebem. Co gorsza, zwiadowcy donieśli Sicarai, że ludzie szukają większej, sekretnej twierdzy nefalemów, choć po co - to pozostawało niejasne.

Jak mała banda obszarpańców mogła odeprzeć armię demonów i anielskiego niszczyciela, nie tylko wychodząc cało, ale do tego zadając takie straty? I jaki był ich ostateczny cel? Czarny Kamień Dusz?

Nie myśleli chyba, że im się uda. Balzael popatrzył na skrzydło Sicarai. „Kobieta barbarzyńców zrobiła to swoim toporem”. Żadna ludzka broń nie powinna być w stanie naruszyć energii przepływającej przez anielskie skrzydła; nawet najdrobniejszy z nią kontakt powinien był spalić człowieka i jego oręż na popiół.

Balzael był zdumiony, zastanawiał się, jak to rozumieć. Pojedynczy nefalem zdołał odeprzeć Najwyższe Zło spod Kryształowego Łuku, gdy zawiedli nawet Luminarei, ale Balzael zawsze zakładał, że był to cud dokonany przez człowieka, który jako jedyny pokonał ograniczenia swojej rasy i wyrósł ponad marność mieszanej krwi. W pewnych okolicznościach ludzie potrafili być groźni jak zapędzone w kąt zwierzę, ale nic ponad to.

Teraz jednak musiał skorygować swe poglądy. Zbierając nowych horadrimów, Tyrael okazał się bystrzejszy, niż Balzael mógł przypuszczać. Robił to samo co wieki temu. Jego ludzie wymagali bardziej agresywnego i przemyślanego podejścia.

– Zawiodłeś mnie - Balzael zwrócił się do niszczyciela. - I straciłeś swoją broń. Sicarai nigdy nie wypuszcza miecza z ręki.

– Wybacz, panie - odparł tamten, a jego głos był głęboki i mocny, pozbawiony echa cierpienia, którego Sicarai musiał doświadczać. - To się nie powtórzy.

– Oczywiście, że nie.

Balzael usiłował zapanować nad swoją wściekłością. Niszczyciel został wzięty z zaskoczenia - to było jedyne wytłumaczenie. Przeszło mu przez myśl, by nie zwlekając dłużej, zesłać na ludzi furię Luminarei. Ale sam nie mógł wydać takiego rozkazu, a Rada, mimo dotychczasowych wysiłków Balzaela, nie była jeszcze gotowa się na to zgodzić. Imperius nie wyśle armii do świata ludzi, dopóki nie zapadnie ostateczna decyzja co do losu Sanktuarium.

Kamień musi mieć czas zrobić swoje.

Nie, Sicarai i ich sprzymierzeńcy na ziemi musieli wystarczyć. Balzael mógł wykorzystać tę katastrofę, o ile tylko dobrze wszystko przemyśli. Drużyna Tyraela szukała czegoś ważnego. Udowodniła już, że

przebiegłością i zaradnością przewyższa sojuszników Balzaela w Sanktuarium.

Musi dowiedzieć się więcej na temat tej warowni nefalemów i zapytać o nią Strażnika. Może było tam coś, co mogliby wykorzystać - i może ludzie zaprowadziliby go prosto na miejsce, jeśli wykazałby się cierpliwością i przebiegłością.

Balzael zanadto pewien był łatwego zwycięstwa i zadziałał na oślep. Teraz musi znaleźć słabe punkty drużyny Tyraela. Wiedział, że ludzie za bardzo troszczą się o siebie nawzajem - i to mogło ich zgubić. By rozbić drużynę, najpierw musi się dowiedzieć o nich czegoś więcej i zrozumieć panujące wśród nich stosunki.

Balzael przyjrzał się wojownikowi, który wciąż stał na baczność. Sicarai był najlepszym z żołnierzy Balzaela, a do tego teraz miał coś do udowodnienia.

– Opowiedz mi dokładnie jeszcze raz, co oni robili na tej górze - zażądał Balzael. - Niczego nie pomijaj; chcę poznać każdy ich krok i oddech, wiedzieć o najmniejszej rzeczy, którą zabrali z groty nefalemów. Potem wyleczysz swoje rany i przygotujesz się, by stawić im czoła ponownie, i tym razem nie zawiedziesz.

Aura mocy Sicarai rozbłysła przelotnie - to jego gniew na moment okazał się silniejszy niż dyscyplina.

– Pożaluję tego, co zrobili, obiecuję.

Balzael kiwnął głową. Miał dużo do zrobienia; Imperius czekał, innych też trzeba było poinformować o rozwoju sytuacji. Zwłaszcza jednego, który nie będzie zadowolony. Ale Balzael wciąż żywił pewność, że żadni ludzie, nieważne jak wyjątkowi, nie mogą długo opierać się aniołom. Gdyby zaś Tyrael okazał się jeszcze bardziej przedsiębiorczy, niż Balzael przewidywał,

były inne sposoby, by mu dopiec, sposoby, których tamten nawet się nie domyślał.

Balzael przygotował się w duchu na rozmowę ze swoim przełożonym i na chłostę, która bez wątpienia go czeka. Już niedługo będzie miał do zameldowania o wiele pomyślniejsze wiadomości.

„A potem całe Sanktuarium spłonie”.



## ROZDZIAŁ 21



### *Kościół Świętego Zakonu*

Przez następne kilka dni horadrimowie trzymali się rzadziej uczęszczanych szlaków, spali krótko i zawsze wystawiali warty. Zayl rzucał czar maskujący, który czynił ich kroki bezdźwięcznymi, a sylwetki niewidzialnymi. Nękające ich widmo nie pojawiło się więcej, podobnie jak Sicarai.

Jacob szedł obok Shanar, cały czas niosąc u boku miecz niszczyciela. Tyrael podarował mu oręż, zanim opuścili dom komtura Nahra; broń dodawała Jacobowi siły i odwagi, których od tak dawna mu brakowało. Znow zaczął czuć się sobą, usiłował nawet poprawić relację Gynwir z nekromantą, między którymi wciąż ziała otchłań przepastna i zdradziecka jak Zatoka Zachodniej Marchii. Po bitwie w górach barbarzynka wydawała się Jacobowi jakby inna; coś się w niej przebudziło. Teraz biła od niej jakaś moc.

Wreszcie dotarli na obrzeża Zachodniej Marchii. Dołączyli do rosnącego strumienia ludzi, usiłując wtopić się w tłum. Olbrzymie kamienne mury spinała imponująca, silnie umocniona brama, obsadzona wartownikami i łucznikami. Tętniąca życiem Zachodnia Marchia bardzo różniła się od



ponurego, cichego Bramwell, była też o wiele większa - mury, baszty i kamienne gmachy zdawały się ciągnąć się przez wzgórza w nieskończoność.

Ciemnoczerwone proporce ze znajomym symbolem wyszczerzonego wilka łopotały na wietrze, kiedy horadrimowie przechodzili przez bramę wśród wyładowanych wozów, objuczonych zwierząt i tłumu pieszych. Jacob poczuł zapach miasta - oszołamiające połączenie przypalonego mięsa i przypraw, potu, gnijących odpadków, łąjna i błota. Przypomniały mu się namioty handlowe pod Kaldeum. Ludzie przepychali się, krzycząc, zachwalali swoje towary, targowali się. Wigor i podniecenie mieszały się z wiszącą w powietrzu groźbą.

Droga była wyłożona dużymi brukowcami, rozrzucona słoma chłoneła odchody mułów. Całą dostępną przestrzeń na otwartym targu zajmowały prowizoryczne stragany. Kupcy korzenni i sprzedawcy drogich tkanin wabili klientów. Jakaś starucha uparła się, by wywróżyć im przyszłość; palcami powykręcany przez artretyzm uczepiła się płaszcz Jacoba, a kiedy ją odepchnął, splunęła za nim i przeklęła go.

Miasto było gwarne i tłumne. Drużyna nie spostrzegła mężczyzny w zbroi, dopóki nie stanął wprost przed nimi.

Nagle tłum rozstał się jak za sprawą czarów. Mężczyzna podszedł, pobrękując o bruk stalowym okuciem włóczni. Ludzie dookoła cofnęli się i gapili, jakby czekając na rozpoczęcie widowiska. Nieznajomy nosił napierśnik i miecz, a jego oczy błyskały nad gęstą brodą.

– Mówcie, co tu robicie - powiedział.

– Chcemy porozmawiać z Loratem Nahrem - odparł Tyrael. - Mamy wieści z Bramwell, od jego ojca.

Mężczyzna zmrużył oczy i popatrzył po pozostałych.

– Nie znam żadnego Lorata - rzekł. - Ale tacy jak wy nie są tu mile widziani. - Włóczyńską wskazał Shanar i Zayla. - Dla czarowników i nekromantów nie ma miejsca w Mieście Światła.

– Może mógłbyś nam wskazać drogę do Kościoła Świętego Zakonu? - zapytał Tyrael. - Tam też mamy sprawę do załatwienia.

– Jakie sprawy?

– Szukamy Norluna.

– A czemu miałby z wami rozmawiać?

– Jesteśmy świętymi wojownikami, którzy pragną wspomóc jego sprawę w każdy możliwy sposób.

Na te słowa nieznajomy jakby złagodniał i nieco się rozluźnił. Potoczył wzrokiem po gapiach. Nikt nie odwzajemnił jego spojrzenia.

– A więc szukacie oświecenia - powiedział. - Mogę was tam zaprowadzić. Módlcie się, żebyście zasłużyli na jego względy.

„Templariusz”. Dłoń Jacoba popęzła w kierunku broni u pasa.

– Moi towarzysze muszą znaleźć nam jakąś kwaterę - powiedział Tyrael. - Jest tu w pobliżu jakaś gospoda?

– „Kąsający Pies” - odparł mężczyzna. Zerknął na Jacoba i z powrotem na Tyraela. - Tuż za rogiem. Mają tam chyba łóżka, chociaż pluskwy są pewnie tak wielkie jak złodzieje, którzy w nich sypiają.

Archanioł odwrócił się do Jacoba.

– Idź tam i zabierz ze sobą pozostałych. Kullen, Thomas i ja później do was dołączymy.



Brodacz powoli poprowadził ich ulicami miasta. Mijali wielkie kamienne gmachy, łuki i uliczki, rynsztoki pełne gęstej ciemnej wody i odpadków.

Powietrze wciąż było gęste od woni bijących z otwartych sklepów i ciemnych zaułków, gdzie kulili się żebracy.

W miarę jak Tyrael i jego towarzysze wspinali się po łagodnej pochyłości w stronę centrum miasta, budynki stawały się coraz większe i bogatsze; widzieli wieżyczki, wąskie okna, żebrowe sklepienia i przypory, a z dachów na ludzi w dole patrzyły gargulce. Tłum na rynku rozstępował się pospiesznie przed templariuszem.

Tyrael dostrzegł w oddali starą katedrę na długo, zanim do niej dotarli. Budowla górowała nad okolicznymi dachami niczym jakaś potworna, kamienna bestia. Jej spiczasta wieża i witrażowe okna zdawały się jarzyć wewnętrznym blaskiem. Kullen natychmiast im wyłożył, że katedra stoi tu od wieków, zbudowana dla zakarumitów, a później wykorzystywana przez Rycerzy Zachodniej Marchii, zanim ci zmienili się w zakon o bardziej świeckim charakterze, zajmujący się głównie ochroną króla oraz granic.

– Z tego, co słyszałem, rycerze wciąż uważają ją za swoją własność - powiedział cicho, zerkając na plecy idącego przed nimi mężczyzny. - Jeśli teraz siedzą tam templariusze, na pewno dochodzi między nimi do spięć.

Kiedy zbliżyli się do katedry, na spotkanie wyszło im kilku następnych ponurych zbrojnych. Byli wyraźnie niespokojni. Pierwszy templariusz rozmawiał z nimi przez kilka chwil, żywo gestykulując, potem skrzywiony wrócił do Tyraela.

– Norlun jest zajęty - rzekł. - Możecie zaczekać w środku.

Wprowadzono ich kruchtą do olbrzymiej nawy, całej w kamieniu, o podłodze zdobionej wzorem linii układających się w sieć. Po lewej wznosiła się olbrzymia płaskorzeźba, za nią dostrzegli kilka stopni oświetlonych płomieniami świec. Stało tam paru mężczyzn pogrążonych w rozmowie; umilkli, kiedy przez środek, obok drewnianych ław do korytarza, przeprowadzono horadrimów.

Zanim przewodnik zawiódł ich do niewielkiego pomieszczenia, Tyrael zauważył inne drzwi na drugim końcu korytarza, zakratowane i strzeżone przez dwóch zbrojnych. Potem templariusz wyszedł i zamknąwszy za sobą drzwi, zostawił ich samych.

Na ścianie wisiał gobelin z niebieskiego jedwabiu. Kullen podniósł go, odsłaniając symbol Zakarum wyryty w kamiennej ścianie. W wysokich, srebrnych świecznikach płonęły świece, wypełniając komnatę światłem.

Thomas zaczął chodzić w tę i z powrotem.

– Za łatwo poszło - stwierdził. - Nie podoba mi się to. Dlaczego nas tu wpuścili, nie zabierając nam broni?

Tyraelowi to samo przyszło do głowy. Być może wpadli w pułapkę. Ale jeśli zaginione miasto nefalemów znajdowało się pod katedrą, a oni mieli doń wejść, musieli przebić się przez szeregi templariuszy, niech i tak będzie.

„Mieszkańcy tego miasta nie mają pojęcia, w jakim są niebezpieczeństwie - mówił Nahr. - Król zażąda czystki”.

To żądanie mogło zostać wysunięte o wiele prędzej, niż ktokolwiek się spodziewał.

Rozmyślenia Tyraela przerwał odgłos zbliżających się kroków. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wkroczył nieco zdyszany mężczyzna. Chudy, niewysoki, nie sprawiał wrażenia przywódcy. Choć przewiązał się w pasie niebieską szarfą, nie nosił zbroi templariusza. W spojrzeniu miał chłód i widać było, że podwładni darzą go respektem - po chwili skłonili się i wyszli.

– Jestem Norlun - powiedział. - Przywódca Zakonu Templariuszy Zachodniej Marchii. Czego chcecie?

– Przybywamy z Kaldeum - odparł Tyrael.

Uścisnął wyciągniętą dłoń Norluna; templariusz miał mocny uścisk.

– Być może słyszałeś o niedawnych tamtejszych kłopotach, ale najpewniej nie znasz całej prawdy. Bunt cesarskiej straży przeciwko mieszkańcom był dziełem demonów, nie ludzi. Walczyliśmy z ciemnością; niewielu widziało tak straszne rzeczy jak my. Obawiamy się, że to samo może się dziać w Zachodniej Marchii.

– Co to ma wspólnego z nami?

– Chcemy przyłączyć się do tych, którzy mają siłę i dyscyplinę, by zrobić to, co konieczne, kiedy przyjdzie czas. Nawet gdyby oznaczało to zdradę króla.

Norlun zmrużył oczy.

– Jesteśmy pokojowym zakonem, chcemy tylko przegnać ciemność i służyć Światłu.

– Tak jak i my - zapewnił go Tyrael. - Ale czasami... czasami trzeba podejmować trudne decyzje.

Norlun przyglądał mu się przez długą chwilę. Drzwi się otworzyły i do środka wszedł krzepki mężczyzna.

– Panie - powiedział. - Kazales się zawiadomić, kiedy...

– Nie teraz - uciął Norlun. - Powiedz Stefanowi i Kamirowi, żeby poczekali na zewnątrz.

Młody człowiek skinął głową i pospiesznie zamknął za sobą drzwi.

– Zaiste, trudny wybór - podjął templariusz. - Jeśli się nie mylę, wkrótce sami przed takim staniem. Ale templariuszom powierzono święty obowiązek i zamierzamy zanieść to przesłanie ludziom. Oczyszczamy grzeszników, którzy oddali się ciemności. Dzięki nam odradzają się jako dzieci Światła, czyste i bez skazy. Nie chcemy żadnych waśni z zakarunitami, rycerzami czy królem Justynianem, o ile oni ich nie wywołają.

– Być może więc źle trafiliśmy.

– Oto, co ja myślę - rzekł Norlun. - Myślę, że król przysłał was na przespiegi, żebyście wywieźli się jak najwięcej o naszym zakonie, może nawet do niego przeniknęli. Myślę, że rycerze czują się zagrożeni naszą obecnością i pragną tylko tego, by się nas pozbyć.

– Jeśli tak - odparł Tyrael, patrząc mu w oczy - to nam nic o tym nie wiadomo.

– A może stoją za tym Zakarumici, którzy wciąż pociągają za sznurki - ciągnął Norlun. - Cały czas mają w tym mieście więcej do powiedzenia, niż się większości wydaje. - Wzruszył ramionami. - Nieważne. Odpowiadam tylko przed wielkim mistrzem zakonu templariuszy, a czasami, jeśli mam być szczery, nawet i to nie. Moi ludzie rozumieją, na czym polega nasza misja, i zginą dla mnie, jeśli będzie trzeba. Oto dwaj z nich. - Otworzył drzwi i wskazał stojących za nimi na baczność zbrojnych. - Czekają na moje rozkazy. Możecie być pewni, że zrobimy wszystko, co będzie konieczne, by wypłenić zło z Zachodniej Marchii oraz okolicznych krain i sprowadzić ludzi na drogę Światłości.

Zapadła przeciągła cisza. Tyrael czekał, czy templariusze dobędą broni. Ale tamci nie drgnęli. W końcu Norlun się uśmiechnął.

– A teraz zróbcie coś dla mnie - rzekł. - Zanieście te słowa królowi. Chcemy pełnić swoją służbę w pokoju, nieść nasze posłannictwo mieszkańcom Zachodniej Marchii, jednemu po drugim. Ale nie damy się zastraszyć, a jeśli rycerze spróbują nas wygnać, zaskoczy ich, co zastaną. Kościół Świętego Zakonu może i został wzniesiony przez zakarumitów, ale teraz jest kościołem templariuszy i tak już zostanie.

– Zrobilibyśmy to, gdybyśmy znali króla - odparł Tyrael.

Norlun uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Śliska z ciebie sztuka, prawda? Ale czegoś szukasz. Tu tego nie znajdziesz. - Kiwnął krótko głową swoim ludziom, którzy odsunęli się w

bok. - Możecie odejść i zanieść moje słowa Justynianowi. Na waszym miejscu bym nie zwlekał.

Tyrael uczynił krok do przodu. Dwaj strażnicy ścisnęli mocniej włócznie. Norlun cofnął się nieznacznie, a siła jego stalowego spojrzenia na krótką chwilę osłabła.

– Być może jeszcze się spotkamy - rzekł archanioł.

Wyminął niższego mężczyznę bez pożegnania. Thomas i Kullen pospieszyli za nim. Drzwi na końcu korytarza wciąż były zamknięte i strzeżone przez dwóch wartowników.

Kiedy szli przez starą katedrę Zakarum, Tyraelowi wydawało się, że gdzieś spod posadzki dobiega go słabe echo krzyku, ale nie miał pewności.



Wynajawszy trzy zapluskwione pokoiki w gospodzie „Pod Kąsającym Psem”, Jacob zajął się szukaniem Lorata Nahra. Nie było to trudne; jeden ze strażników na ulicy znał to nazwisko i kiedy tylko się dowiedział, że drużyna ma wiadomość z Bramwell, obiecał, że wnet przyprowdzi młodego rycerza.

Strażnik nakazał im czekać w głównej sali w gospodzie. Mnich i nekromanta zniknęli gdzieś we własnych sprawach, ku wyraźnej uldze Gynwir, która nadal ledwie tolerowała kapłana Rathmy. Między tą dwójką zapanowało chwiejne zawieszenie broni, ale nawet wysiłki Zayla w świątyni nefalemów nie zmieniły zdania barbarzynki. Jacob wolał tego tematu nie poruszać. Zayl był cennym członkiem drużyny, ale niechęć Gynwir do takich jak on wypływała ze zdradliwych głębin przeszłości, których Jacob nie zamierzał penetrować.

W gospodzie zajęli narożny stół. Zamówili baraninę z chlebem oraz miód i przysłuchiwali się rozmowom mieszkańców Zachodniej Marchii. Choć klienci gospody pozornie zdawali się weselić, było od nich pewne napięcie; co rusz ktoś powtarzał pogłoski o dziwnych zniknięciach. Człowiek przy sąsiednim stoliku mówił o szansach powstania przeciwko królewskiej straży, inni zaś twierdzili, że to głupie wymysły, rozpuszczane przez tych, którym nie podobała się godzina policyjna, wprowadzona po tym, jak trzech rycerzy znaleziono z gardłami poderżniętymi przez nieznanych sprawców.

– Komtur Nahr miał rację - stwierdziła Shanar. - W Zachodniej Marchii zagościł mrok.

Popatrzyła na Jacoba, a w jej oczach błysnęło zainteresowanie.

– Odzyskałeś po drodze trochę animuszu, co? - Zerknęła na Gynwir, uśmiechając się pod nosem. - Pilnij się, bo nasza barbarzynka zawlecze cię do swojej jaskini.

Gynwir zarumieniała się lekko i odwróciła wzrok.

– Nie mam żadnej jaskini - zaprotestowała. - I to ciebie coś z nim łączyło w przeszłości, nie mnie.

„Shanar ma rację”, pomyślał Jacob. Istotnie czuł się inaczej. Tak jak wtedy, gdy El'druin dawał mu siłę i odwagę czynić to, co słuszne. A jednak nie tylko to zmieniło się dlań w Tristram. Dotknął blizny na ramieniu. Czy widma mogły pójść za nimi do miasta? A może już tu były?

Jego rozmyślenia przerwało pojawienie się strażnika; zbliżył się do nich, prowadząc młodego mężczyznę w rycerskiej zbroi, który przedstawił się jak Lorat Nahr. Młodzieniec był jasnowłosy, niebieskooki i niezbyt podobny do komtura, może poza linią szczęki i szerokim czołem.

– Macie wieści od mojego ojca? Skąd mam wiedzieć, że mówicie prawdę? W dzisiejszych czasach niebezpiecznie jest ufać obcym.



Jacob wysunął miecz z pochwy - na tyle, by pokazać wypaloną w skórze pieczęć, pilnując, by inni nie zobaczyli dziwnej klingi.

- Zrobił to dla mnie - powiedział. - Jeśli przysiądziesz się do nas, porozmawiamy o tym, jak możemy sobie nawzajem pomóc.

- Kim jesteście?

- Jesteśmy horadrimami - odparł Jacob. - Z misją najwyższej wagi. Może od niej zależeć los całego Sanktuarium. A czasu jest coraz mniej.

Po chwili wahania Lorat odesłał strażnika i usiadł. Jacob zaczekał, aż ludzie przy sąsiednich stołach wrócą do swoich rozmów, a młody rycerz zamówił kubek miodu. Kiedy szynkarka przyniosła zamówiony trunek, Jacob powiedział, że ojciec Lorata w pewnym sensie uprzedził ich o sytuacji, jaką mogą zastać w Zachodniej Marchii.

- W ciągu ostatnich kilku tygodni wysłałem do Bramwell kilku ludzi, prosząc, by wsparł ich swoimi siłami - poinformował go Lorat. - Ale żaden z posłańców nie wrócił.

- Mogli zginąć w drodze.

- Templariusze działają coraz śmielej. Ale zabijanie ludzi króla... - Lorat pokręcił głową. - Taka zuchwałość nie pasuje nawet do nich. - Zawahał się. - Krążą pogłoski o innych zniknięciach, podobno ludzie widują rzeczy, o których lepiej głośno nie mówić.

Ściszone głosem Jacob zrelacjonował mu, co zastali w Bramwell. Lorat słuchał i coraz szerzej otwierał oczy; jego zdumienie przeszło we wściekłość, gdy usłyszał o trupach usypanych w zapomnianych jaskiniach pod górą.

- Tutaj doniesienia brzmiały podobnie - odpowiedział jeszcze ciszej, upewniwszy się najpierw, że nikt nie zwraca na nich uwagi. - Wielu rycerzy z wewnętrznego kręgu uważa, że pojawianie się tych dziwnych stworzeń wiąże się z templariuszami, chociaż istoty, które opisywali ludzie, nie

wydają się pochodzić z tego świata. Król jest wściekły, generał Torion ma już dość. Muszę przesłać ojcu wiadomość, żeby wrócił ze swoimi ludźmi do Zachodniej Marchii. Już może być za późno.

– Może my pomożemy. Paru członków naszej drużyny jest właśnie w Kościele Świętego Zakonu i...

– Jest was więcej? - Spojrzenie i ton głosu Lorata nabrały ostrości. - Ilu? I co oni robią w katedrze?

– Badają sytuację i szukają słabych punktów w pancerzu templariuszy, że tak się wyrażę - odparła Shanar. - Wewnątrz jest być może coś, czego potrzebujemy, a nie mamy czasu, by grzecznie o to prosić.

Jacob spodziewał się, że młody rycerz potraktuje całą sprawę sceptycznie, ale Lorat z uwagą wysłuchał ich opowieści, przerywając tylko z rzadka pytaniami. Można było u niego dostrzec rosnący entuzjazm. Jak powiedział, brał lekcje u najlepszych nauczycieli Zachodniej Marchii i dzięki jednemu z nich poznał historię horadrimów oraz starożytne legendy o tym zakonie. Zawsze go to fascynowało.

– Kiedy byłem mały, bawiłem się w horadrimskiego bohatera - zwierzył się. - Walczyłem z potworami drewnianym mieczykiem. Teraz wydaje się, że to było bardzo dawno temu.

– Może dostaniesz swoją szansę - odezwał się ktoś. Jacob podniósł wzrok i zobaczył, że nad nim stoją Tyrael z Thomasem i Kullenem. - W katedrze są zamknięte i strzeżone drzwi, które prowadzą na niższe poziomy - powiedział archanioł. - Musimy się dowiedzieć, co jest za nimi.

– Może będę mógł wam w tym pomóc - oznajmił Lorat.



Żeby mieć trochę więcej prywatności, przeszli do jednego z wynajętych pokoików. Usiedli na zsuniętych łózkach. Nad miastem zapadał mrok, zza ściany dobiegały pokrzykiwania i nawoływania pijanych i rozochoconych gości karczmy. „Jeśli templariusze werbowali złodziei i łotrów - pomyślał Jacob - mogli zacząć tu, w »Kąsającym Psie«”. Ale dzięki temu horadrimom łatwiej było się wtopić w tłum; nikt nie zadawał zbyt wielu pytań i nikt ich nie zaczepiał.

Jacob tęsknił za walką. Świerzbiły go palce, miecz przy boku grzał ciało. Shanar siedziała tak blisko, że mógł jej dotknąć. Zauważył jej rzucane z ukosa spojrzenia, a myśl o jej ciele przyciśniętym do jego ciała przypomniła mu dawne czasy. Można było pomyśleć, że tamte dni wrócą - dni, kiedy walczyli z demonami zarazy i hordami Płonących Piekieł oraz dzielili łoże.

Lorat mógł teraz dokładniej przedstawić im sytuację w Zachodniej Marchii. Choć templariusze byli bliskimi kuzynami zakarumitów, wzrost ich potęgi zagroził Rycerzom Zachodniej Marchii.

– Część rycerzy przyłączyła się do nich, większość jednak nie popiera tego, co templariusze robią w Marchii - wyjaśniał - zwłaszcza od kiedy przewodzi im Norlun. Ostatnio przechwyciliśmy wiadomość, z której wynikało, że przygotowują bunt przeciwko królowi. Generał Torion postanowił uderzyć w templariuszy i zlikwidować to zagrożenie teraz, nim straci kontrolę nad biegiem wydarzeń.

– Musimy wrócić do katedry - powiedział Kullen.

– Podziemia kościoła ciągną się bardzo głęboko, podejrzewamy, że templariusze dokonują tam swoich najbardziej zdradzieckich poczynań - odparł Lorat. - Jesteście potężnymi magami i wojownikami. Wy chcecie dowiedzieć się, co jest za tymi zaryglowanymi drzwiami, a nam przydałaby się pomoc.

– Norlun wziął nas za szpiegów, przysłanych przez rycerzy, żeby przeniknąć do jego organizacji - powiedział Tyrael. - Być może wcale się bardzo nie pomylił. Udało się nam wypatrzeć kilka słabych punktów ich zabezpieczeń kościoła. Główna nawa jest wielka, ale widok na zewnątrz jest stamtąd ograniczony. Chociaż mają do obrony tylko jedno wejście i tam mogą zgromadzić większość sił, to gdyby udało się nam potajemnie dostać do środka, szybko byśmy się z nimi uporali.

Drzwi się otworzyły i do grupy dołączył Mikułow z nekromantą.

– W Zachodniej Marchii istotnie grasuje ciemność - powiedział Zayl bez wstępów. - Obaj ją wyczuliśmy. Widma wciąż są blisko.

Jacob spostrzegł, że dziwnie mrowi go skóra. Blizna na jego barku lekko zapulsowała.

– Ja też je wyczuwam - wyrwało mu się. Masował pulsujący bólem bark, świadom, że pozostali mu się przyglądają. - Chyba lepiej, żebyśmy nie tracili tu dużo czasu.

– Generał wyznaczył na dziś wieczór spotkanie z komturem Barnardem i jego oficerami, by ustalić plan działania - poinformował ich Lorat. - Ufa mi całkowicie. Mogę go namówić, żeby przyjął waszą pomoc.

– Powinienem pójść z tobą - rzekł Zayl.

Lorat zrobił sceptyczną minę.

– Wybacz, że tak mówię, ale generał, właściwie rycerze w ogóle, nie przepadają za takimi...

– Być może, ale tym razem generał Torion posłucha - przerwał mu Humbart z sakwy. Kiedy nekromanta wyjął czaszkę, Gynwir mruknęła coś pod nosem, a młody rycerz sapnął i mimowolnie skrzywił się z obrzydzeniem. Humbart zaśmiał się krótko: - Nie udawaj takiego zaskoczonego, chłopcze, to tylko kawałek kości. Torion, Zayl i ja znamy się z dawnych czasów. A ocalali służący domu Nesardo też za nas poświadczą.

Zayl kiwnął głową.

– Humbart ma rację. Generał może nie ufać nekromantom, ale wie, że moje zamiary są uczciwe.

– Dobrze - ustąpił Lorat. Czujnie zerkał na czaszkę. - Słyszałem o czymś takim, czytałem nawet relacje z przeszłości, ale nigdy nie widziałem...

– Nie jestem eksponatem do oglądania dla rozrywki - obruszył się Humbart. - Przestań się tak gapić, chłopcze! Może i jestem martwy, ale mam jeszcze jakieś poczucie przyzwoitości.

– Wybacz - zmieszał się Lorat. - Chyba powinienem już iść. Nie zostało wiele czasu.

– Proponuję, żebyś wysłał do Bramwell gońca po pomoc, i koniecznie drugiego z wezwaniem dla reszty naszych braci horadrimów w Gea Kul, prosząc, żeby przybyli do Zachodniej Marchii - podsunął Thomas. - To nie rycerze, ale ludzie, którzy potrafią się wtopić w tłum, i jest mniejsza szansa, że ktoś się na nich zasadzi po drodze. Jeśli twierdza nefalemów znajduje się tutaj, a widma są blisko, podejrzewam, że będziemy potrzebowali tylu walczących, ilu się tylko da zgromadzić, i to bardzo szybko.



## ROZDZIAŁ 22



### *Atak na templariuszy*

Tyraela przedstawiono generałowi i jego zastępcy w prywatnej komnacie poza murami królewskiego pałacu dwie godziny przed planowanym atakiem na Kościół Świętego Zakonu. Torion, choć już posunięty w latach, nadal był dość potężnym mężczyzną, dbającym o kondycję. Zaczesane do tyłu włosy odsłaniały przystojną twarz, której rysy z wiekiem nabrały szorstkości. Miał bystre, błękitne jak lód oczy, poznaczone bliznami policzki, orli nos oraz schludnie przystrzyżoną siwą brodę.

Komtur Barnard, dla odmiany, był niewysoki i wyglądał o wiele mniej imponująco. Wszystkie decyzje pozostawiał Torionowi. Tyrael podejrzewał, że ludzie pod jego komendą woleliby, żeby Nahr wrócił z Bramwell i z powrotem objął dowodzenie nad nimi.

Zayl zdążył już wyjaśnić oficerom, co sprowadziło jego grupę do Zachodniej Marchii, a Tyrael opisał, co widział w Kościele Świętego Zakonu. Torion najwyraźniej ufał nekromancie, bo zezwolił horadrimom wziąć udział w ataku. Widział, co potrafi Zayl, kiedy ten wiele lat temu pokonał pajęczego demona Astrogha. Jeden taki mag był cennym sprzymierzeńcem, a kilku wystarczyło, by odwrócić bieg bitwy.

Siły Rycerzy Zachodniej Marchii zebrały się w pobliżu katedry przed świtem. Księżyc chował się za chmurami, ulice były prawie puste, ale generał Torion i komtur Barnard nie chcieli ryzykować i zachowywali ścisłą dyscyplinę; ich ludzie trwali w bezwzględnej ciszy, a obserwatorzy rozstawieni w strategicznych miejscach wypatrywali szpiegów templariuszy.

W pełnej zbroi Torion wyglądał jeszcze bardziej imponująco, jego hełm w kształcie wilczego łba połyskiwał w słabym świetle. Słodko-kwaśny smród odpadów z rynsztoków spowijał ich niczym zjadliwa chmura. O tej porze latarnie były pogaszone, świece w oknach także, mieszkańcy spali opatuleni w swoich łózkach. Torion rozkazał Barnardowi powieść ludzi na tył katedry, zamierzając samemu poprowadzić atak od frontu.

– Zaatakujemy zdecydowanie, przeważającymi siłami - rzekł. - Chcę ograniczyć walkę do minimum. Mieszkańcy Zachodniej Marchii nie mogą się dowiedzieć, że cokolwiek się wydarzyło podczas ich snu. Ale powiedzmy jasno, żaden z tych templariuszy nie jest niewinny i nie zawahają się odebrać wam życia, jeśli będą mieli szansę. Kilka twarzy być może rozpoznacie. Jeśli jednak kiedyś byli waszymi braćmi albo sąsiadami, już nimi nie są. Przynależono ich do zabijania, a to, co uknuli przeciwko temu miastu, jest gorsze, niż potraficie sobie wyobrazić. To uderzenie wyprzedzające...

Gdzieś w pobliżu katedry ciszę rozdarł krzyk i szcęk mieczy. Ktoś został odkryty, podniesiono alarm.

Torion zaklął głośno i dał znak Barnardowi.

– Ruszajcie, już!

Komtur pobiegł, ale Lorat przystanął na moment obok Tyraela.

– Zróbcie, co możecie, żeby dostać się do środka... - powiedział cicho. - Teraz macie szansę.



Lorat zawołał na swoich podkomendnych i odbiegł. Po opustoszałych ulicach znów poniósł się szcęk mieczy, nawoływania walczących i krzyk kogoś ciężko ranionego.

– Mogę wprowadzić nas do środka - powiedział Zayl, stojący obok Tyraela. - Prostym czarem.

Archanioł kiwnął głową.

– Zrób tak, byle szybko.



Zayl rzucił czar tłumiący dźwięki i światło na templariuszy będących w pobliżu, otaczając ich sferą ciszy i ciemności. Drużyna przebiegła obok trzech wartowników stojących przy wejściu do katedry. Nikt ich nie zobaczył ani nie usłyszał. Inni templariusze stali w otworach strzelniczych, gotowi wypuścić strzały do pierwszych rycerzy, którzy podejną pod mury. „Ktoś ich uprzedził”, zrozumiał Tyrael. Ale wróg został oślepiiony - czar nekromanty pozwolił horadrimom przebyć pusty plac przed wejściem do katedry bez żadnych trudności.

Problemem było dostanie się do środka. Drzwi na pewno zaryglowano. Być może udałoby się im je wyważyć, ale walka byłaby zacięta, a łucznicy z góry mogliby się okazać niebezpieczni, gdy już odzyskają wzrok.

Tyrael podniósł rękę i wszyscy zatrzymali się tuż przed schodami.

– Specjalna klątwa powinna załatwić sprawę - odezwał się Humbart z sakwy. - Pamiętasz tę z Czarnego Barana, chłopcze?

Zayl kiwnął głową. Skupiał się przez długą chwilę, mrużąc coś pod nosem, a potem zza drzwi dobiegł przestraszony krzyk i odgłosy szamotaniny. Kilka sekund później coś runęło na ziemię, drzwi otworzyły się z rozmachem i wytoczył się z nich mężczyzna. Wrzeszczał i darł

paznokciami własną twarz. Po policzkach płynęła mu krew. Krzyknął jeszcze, jak szaleniec bełkocząc coś o demonach, odwrócił się, opędzając od niewidzialnych napastników, i stoczył po szerokich, kamiennych schodach, lądując bezwładnie u stóp Tyraela.

Horadrimowie nie tracili czasu - natychmiast popędzili na górę. Droge zastawił im zwalisty człowiek w zbroi, jeden z tych, którzy stali na baczność podczas ich wcześniejszego spotkania z Norlunem; na oślep brnął przed siebie. Tyrael ciął go w szyję El'druinem. Gdy odepchnął konającego na bok, poczuł ukłucie wyrzutów sumienia. Torion powiedział, że tym ludziom torturami wpojono wiarę, iż stoją po właściwej stronie sprawiedliwości. Jednak Norlun nie był typem człowieka, który zawahałby się ściąć horadrimów. Gdyby teraz nie podjęli działania, skończyłoby się to znacznie większym rozlewem krwi. „Myśl o konsekwencjach bezczynności. Dwa życia w zamian za wiele innych...”

A potem minęli próg i znaleźli się w kruchcie. Tyrael pospiesznie schował broń. Czar Zayla wciąż działał - minęli kolejnych templariuszy, najwyraźniej nieświadomych obecności grupy napastników. Bardzo dobrze. Drużyna mogła się z nimi zmierzyć, ale ich prawdziwym celem były zaryglowane drzwi w korytarzu.

Tyrael poprowadził ich przez nawę, trzymając się blisko ściany i unikając środka pełnego templariuszy. Norluna nigdzie nie było widać. Archanioł skręcił w korytarz za komnatą, w której wcześniej rozmawiali z przywódcą templariuszy. Drzwi na końcu nadal były strzeżone przez dwóch zbrojnych. Czar Zayla słabł; Tyrael zobaczył, że tamci szeroko otwierają oczy. Jeden ruszył do ataku.

Jacob kontratakował Uświęconym Niszczycielem.

Broń rozbłysła oślepiająco, zderzyła się z włócznią templariusza, strzaskała ją i rozrąbała pierś mężczyzny. Z makabrycznej rany trysnęła

krew, trup padł na ziemię w dwóch częściach. Drugi strażnik krzyknął na alarm, zanim Jacob uciszył go następnym potężnym ciosem, odrabując mu głowę.

Z nawy dobiegły kolejne krzyki i tupot stóp. Shanar i Gynwir zawróciły, żeby zatrzymać templariuszy, a Thomas zabrał jednemu z zabitych pęk kluczy i otworzył ciężką kłódkę na żelaznej sztabie. Magia Shanar ożyła, z palców czarownicy spłynęła fala energii.

Drzwi otworzyły się, ukazując schody oświetlone lampami wiszącymi na ścianach z chropowatego kamienia. Z dołu dobiegł niosący się echem wrzask. Tyrael zawiódł resztę horadrimów w przepastne lochy pod katedrą.

Schody prowadziły do długiego pomieszczenia o ceglany kolebkowym sklepieniu. Grube kolumny podtrzymywały olbrzymi ciężar budowli nad ich głowami. W metalowych obejmach płonęły pochodnie. Po obu stronach pomieszczenia ciągnęły się zakratowane cele. Siedzieli w nich ludzie. Niektórzy podeszli do krat i krzyczeli, żeby ich uwolnić, inni pozostawali nieruchomi w ciemności. Ci, którzy pokazali twarze, byli posiniaczeni i poranieni, część z nich - trupio chuda.

Kilku obecnych tu templariuszy poderwało się na widok horadrimów, ale nie byli dla nich zagrożeniem. Mikułow szybko rozprawił się z trzema najbliższymi, z łatwością uchylając się przed pchnięciami włóczni i ogłuszając zbrojnych potężnymi ciosami pięści i stóp. Dwaj ostatni rzucili broń i padli na kolana, błagając o litość. Thomas znalazł pustą celę, zachlapaną zaschlą krwią, z żelaznymi kajdanami na ścianach. Zapędził strażników do środka i zatrzasnął drzwi.

Znajdowali się w sali tortur.

Tyrael popatrzył na ławę do wyciągania, na haki poplamione krwią; na żelazną dziewicę najeżoną kolcami niczym kłami, na śruby do miażdżenia

kciuków i noże. To nie było miejsce światłości i sprawiedliwości, to nie był pokojowo nastawiony zakon walczący z ciemnością. Norlun za to zapłaci.

Od strony schodów dobiegł jakiś hałas. Zaraz potem pojawiły się Shanar i Gynwir. Zbiegały szybko, ustępując przed falą templariuszy, którzy spychali je samą przewagą liczebną.

– Zatrzymamy ich! - Tyrael gestem wezwał Thomasa i Mikułowa, a potem spojrział na Kullena. - Idź zobaczyć, co się znajduje za tą salą!



Kullenowi oddech huczał w uszach, a serce waliło mocno i szybko. Przed oczami wciąż miał rozbryzgi krwi; ścigały go krzyki ranionych.

Chociaż nie stronił od walki, kiedy to było konieczne, nie był wojownikiem. Przemoc go przerażała; nie był do niej stworzony, jak mawiała jego matka, kiedy zbierał cięgi od jakiegoś innego chłopca albo stał na uboczu, gdy koledzy bawili się drewnianymi mieczami i marzyli o pójściu na wojnę. Ojciec nie mógł tego pojąć, ale matka była bardziej wyrozumiała. „Jesteś wrażliwcem, mój mały - mawiała, głaszcząc go po głowie. - Twój świat wypełniają książki, łakniesz wiedzy. Nie rezygnuj z tego. Któregoś dnia wszystkich nas w ten sposób uratujesz”.

Obiecał jej, że nie zrezygnuje. Kiedy miał dwanaście lat, matka umarła, rodząc drugie dziecko, a on poprzysiągł uszanować daną jej obietnicę. Tamtego dnia widział krew między jej nogami i widok ten prześladował go przez wiele lat. Obietnica i intelektualna ciekawość przyciągnęły go do horadrimów; w tym, myślał, przypominał Deckarda Caina na tyle, na ile miał nadzieję.

Przebiegł przez wielką salę, starając się nie zwracać uwagi na błagalne prośby uwięzionych. Myślał o znalezionych artefaktach, o dzienniku

Korsika, o wszystkich znakach, które ich tu kierowały. Wejście do twierdzy nefalemów znajdowało się gdzieś pod katedrą - był o tym przekonany.

Sklepiona sala kończyła się kamiennym łukiem, prowadzącym do następnej. Blask ostatniej pochodni nie sięgał za próg; Kullen wyjął ją z uchwytu i zabrał ze sobą.

Przyległe pomieszczenie było o wiele starsze, sklepienie znajdowało się niżej i kruszyło pod ciężarem ulic. Poprzednie przeznaczenie sali było zagadką, ale leżąca na wszystkim warstwa kurzu wydawała się nienaruszona. Nikt nie przychodził tu już od dłuższego czasu.

Kullen poświecił dookoła. Na drugim końcu pomieszczenia zobaczył starą żelazną kratę. Dobiegał zza niej odgłos kapiącej wody. Może ta droga prowadziła do kanałów - smród był tak mocny, że łzawiły mu oczy. Ale nie to przykuło jego uwagę. W ścianie po prawej dostrzegł niewielką płytcinę czy może drzwi wprawione w kamień. Wyglądało to raczej jak otwór rewizyjny niż regularnie używane przejście. Było tak niskie, że musiałby się schylić, żeby przez nie przejść.

Zbliżył pochodnię. Drzwi zrobiono z jakiegoś metalu, ale nie wyglądały na dzieło ludzkich rąk. Ich powierzchnia była idealnie gładka, bez żadnych skaz. Nie miały klamki, nic też nie zdradzało, jak je otworzyć. Kullen zastukał w nie i niczego nie usłyszał - metal tłumił dźwięki, a drzwi były solidne i niewzruszone jak góra. Przesunął dłoń po ich powierzchni i ku swojemu zaskoczeniu wyczuł jakiś wypukły wzór. Kiedy cofnął rękę, po drzwiach przeszła fala i pojawił się na nich okrąg z dziwnym otworem na środku.

Wyglądał znajomo.

Kullen wetknął pochodnię w dużą szparę w podłodze i przetrząsnął plecak, szukając dziennika Korsika. Przekartkował go z mocno bijącym sercem. „Jest”. Blisko końca, na kartce pełnej notatek nabazgranych na

marginesach, syn Rakkisa niewprawnie narysował koło ze szczeliną pośrodku.

Kullen spojrzał na kartę książki i zsunął nieco okulary, żeby lepiej widzieć. Odręczne pismo było prawie nieczytelne, ale jeden wpis wyraźnie rzucał się w oczy.

„Daoril nie żyje, wypalony od środka. Ale jesteśmy już po drugiej stronie wrót. Liczne nieudane podejścia nauczyły mnie jednego - tylko prawdziwy nefalem posiadzie klucz, by je otworzyć”.

Kullen wyprostował się, w jego głowie myśli goniły jedna drugą. Drzwi były w jakiś sposób zabezpieczone; to nie ulegało wątpliwości. Było także jasne, że Korsikowi udało przez nie przejść i że wiązało się to jakoś z mocami, którymi dysponowali nefalemowie. Może Shanar albo Zayl mogliby znaleźć drogę do środka. Ale Kullen nie był wojownikiem nefalemów i nie liczył na to, że złamie ochronny czar.

Zza łuku przez pustą salę niosły się echem krzyki i szcęk oręża. Bitwa toczyła się coraz bliżej. Kullen znów przekartkował dziennik, gorączkowo przepatrując pismo pełne zawijasów. „Musi tu być coś więcej - pomyślał - jakieś kluczowe słowa, jakieś zaklęcie...” Ale nic nie znalazł. Ostatnie karty za rysunkiem były puste.

Musiał wszystko przemyśleć raz jeszcze. Może kluczem do drzwi nie była jakaś wyjątkowa umiejętność ani zaklęcie.

Może klucz był przedmiotem.

Myśl ta uderzyła go jak piorun. Drżącymi rękami jeszcze raz przetrząsnął plecak i znalazł starożytny sztylet ze świątyni nefalemów pod górą. Sztylet o niewątpliwie dziwnym kształcie - szerokim, krótkim, tępym ostrzu i spłaszczonym sztychu. Właściwie w ogóle nie przypominał broni.

Klucz.

Kullen chwycił go za wysadzaną klejnotami rękojeść. Poczłł moc drgającą w głębi dziwnego przedmiotu, rozgrzewającą mu dłoń i sunącą w górę po ramieniu, jakby jakaś żywa istota chwyciła go łagodnie zębami. Drzwi odpowiedziały własnym wibrującym pomrukiem. Dotyk rękojeści zdawał się Kullenowi znajomy w niewyjaśniony sposób. Przez głowę zaczęły przelatywać mu obrazy - ojciec, harujący od świtu do zmierzchu w polu, daleki i obojętny, rozczarowany synem, książkowym molem; twarz matki przepełniona miłością; biblioteka, w której spędził tyle godzin w latach młodości. Wspomnienia rozplęnęły się w kolejnych, których nigdy nie przeżył, a mimo to rozpoznawał jak własne, niezliczone tysiące wspólnych momentów, oglądanych oczami innych ludzi, którzy żyli i kochali, zmagali się i umierali. Obrazy przemykały coraz szybciej, zlewały się w pędzie, aż Kullen zaczął przeżywać życie starożytnych, o których czytał w horadrimskich księgach - nefalemów przemierzających ten świat krótko po jego powstaniu. Pamiętał ich jednak nie tak, jakby o nich czytał, ale jakby uczestniczył w tamtych wydarzeniach.

Wsunął płaskie ostrze w szparę w drzwiach. Zaskoczyła z trzaskiem. Przekręcił klucz w prawo, obracając wraz z nim cały krąg.

Przeszła po nim fala ogromnej mocy, omal nie przewracając go na ziemię. Trzymał się kurczowo klucza w miarę jak energia narastała; miał wrażenie, że zaczyna go trawić oczyszczający płomień, który za chwilę przemieni jego ciało w popiół. A potem na spotkanie tej mocy popłynęła ta drzemiąca w nim samym - pochodząca z bardzo głęboka, z każdą chwilą coraz silniejsza, aż odepchnęła tamtą, promieniując na zewnątrz, dodając sił jego członkom. Wydawało mu się, że krzyknął, ale nie był pewny; świat poszarzał, a potem rozbłysnął oślepiającą, wszechogarniającą bielą. Blask powoli zbladł do łagodnej, nieustającej wibracji, która pozostała w Kullenie, napełniając jego duszę światłem.

Wrócił do siebie z poczuciem spokoju i siły, jakich wcześniej nie znał. Wciąż trzymał klucz w szczelinie, ale drzwi były już uchylone.

Pociągnął lekko, a one rozwarły się bezgłośnie, ukazując opadające w dół kamienne stopnie.





## ROZDZIAŁ 23



### *Zaginione miasto*

Templariusze schodzili w pośpiechu za Shanar i Gynwir, ale to, co zdawało się ruchem ofensywnym, w istocie było odwrotem - uciekali, ratując życie przed siłami na górze. Rycerze zdołali wdrzeć się przez frontowe drzwi i zająć katedrę; walka była zacięta. Naciskani z tyłu przez horadrimów, od frontu oblegani przez rycerzy, templariusze nie mieli szans.

Horadrimowie nie dali im się długo bronić. Kostur Shanar błyskał jasno, ciskając w szeregi templariuszy ogniste pociski, topór Gynwir toczył krew.

Norlun wykrzykiwał rozkazy do swoich ludzi, chowając się za ich plecami.

– Nie pozwólcie, żeby dalej osłaniali tę zmiję! - krzyknął Tyrael i wskazał Norluna skrytego za najroślejszym templariuszem.

Mikułow przemknął przez gęstwinę włóczni, rozbijając tyłu przeciwników, ilu mógł, nie robiąc im przy tym krzywdy. Ale większość z nich nie chciała się poddać i walczyła nadal gołymi rękami. Na schodach padł jeszcze tuzin, zanim Norlun rzucił broń i rozkazał swoim ludziom się poddać.

Rycerze otoczyli niedobitków i szybko ich rozbroili. Koniec końców przywódca templariuszy okazał się tchórzem. Kiedy Tyrael podszedł do niego, runął na kolana, szlochając. Gynwir związała mu ręce za plecami.

– Tak sądziłem, że jeszcze się spotkamy - rzekł Tyrael. - W innych okolicznościach.

– Proszę - błagał Norlun. - Oszczędź moją duszę...

Tyrael chwycił go za koszulę i dźwignął z ziemi. Spojrzał na wiszące na ścianach narzędzia tortur. Zalała go fala gniewu; zapragnął urwać Norlunowi głowę za jego czyny.

– Puść go - odezwał się ktoś. Do archanioła podszedł generał Torion. - Sam skróciłbym mu życie - rzekł - ale zasłużył, żeby zawisnąć na placu, tak żeby mieszkańcy Zachodniej Marchii mogli się temu przyjrzeć.

Tyrael upuścił przywódcę templariuszy na podłogę.

– Zamknijcie go razem z innymi - rozkazał Torion.

Rycerze zaprowadzili Norluna do celi, w której siedzieli strażnicy. Przed generałem tymczasem stanął na baczność Lorat Nahr, ze skaleczeniem na twarzy i krwią na zbroi.

– Panie, mam złe wieści - powiedział. - Komtur Barnard poległ w bitwie.

Pozostali rycerze zaczęli przestępować z nogi na nogę i mrużyć coś pod nosem. Torion rzucił im ostre spojrzenie.

– Zginął więc szlachetną śmiercią - oznajmił stanowczo. - Urządzimy mu pogrzeb godny bohatera. Jakie straty poza tym?

– Ogółem jedenastu rycerzy.

Torion westchnął, potarł twarz. Nagle jakby się postarzał.

– Wysłałeś wiadomość do ojca?

– Pchnąłem kilku gońców, przynajmniej jeden się przedostanie.

– Dobrze. Jest nam tu potrzebny, teraz bardziej niż kiedykolwiek, na dawnym stanowisku. - Generał odwrócił się z powrotem do horadrimów. -

Kościół Świętego Zakonu jest znów w rękach ludu. Nie wiem, jak dostaliście się do katedry, bez wątpienia za pomocą jakiegoś mrocznego zaklęcia, ale gdyby nie wy, po obu stronach polałoby się więcej krwi. - Wskazał Zayla. - Nekromanta pomógł ocalić to miasto więcej niż raz. Jesteśmy twoimi dłużnikami.

- Czy mogę mówić wprost, panie? - spytał Lorat. Torion kiwnął głową. - Horadrimowie szukają artefaktów ważnych dla ich zakonu, które mogą być ukryte pod tymi salami. Zważywszy na okoliczności, może damy im trochę czasu na poszukiwania?

Generał popatrzył na nich z powątpiewaniem.

- Wszystko, co tu się może znajdować, należy do ludu - rzekł. - Moja wdzięczność nie sięga tak daleko, by pozwalać obcym czarodziejom włóczyć się po świętej budowli bez przewodnika, z archaniołem czy bez.

- Ja z nimi zostanę, panie - zaoferował się Lorat i obejrzał się na Tyraela. - Jeśli się zgodzą.

Tyrael pokiwał głową.

- Nie jesteśmy twoimi wrogami, generale - zapewnił. - Jeśli uspokoi cię fakt, że młody Lorat pójdzie z nami, chętnie na to przystaniemy.

- Doskonale - odparł Torion. - Zabezpieczymy teren i wystawimy warty na zewnątrz. Norlun nie cieszy się wśród mieszkańców Zachodniej Marchii takim poważaniem, jak mu się zdaje, ale lepiej zachować czujność. Daję wam czas do rana na szukanie waszych tajemnic.



Podczas gdy resztę templariuszy zapędzano do cel lub wyprowadzano na górę, horadrimowie zapuścili się głębiej w podziemia pod katedrą.

Kullen stał bez ruchu przed otworem w ścianie, pogrążony w myślach. Kiedy Thomas dotknął jego ramienia, uczony drgnął gwałtownie i zamrugał.

– Znalazłem nasze ukryte wejście - oznajmił po prostu. - Oto ono.

Pozostali zajrzeli w otwór. Wykute w litej skale schody wiodły w atramentową ciemność przesyconą charakterystycznym zapachem kurzu i zapomnienia. Poczuli wionący stamtąd chłód.

Tyrael posłał Jacoba i Mikułowa po więcej pochodni, a potem ruszyli w dół gęsiego, archanioł na czele, Lorat na końcu.

Ogień z pochodni w ręku Tyraela drżał, chociaż powietrze było nieruchome. Schody biegły dość głęboko łagodnym łukiem. W końcu archanioł zaczął dostrzegać prawidłowości - wąskie pęknięcie po prawej pojawiło się ponownie kilka chwil później, podobnie głębokie i nachylone pod tym samym kątem, ukruszony kawałek stopnia powtórzył się w tym samym miejscu kilkanaście kroków dalej.

Tyrael przystanął, przyświecił sobie pochodnią. W kurzu widział wyraźnie odcisnięte ślady stóp, ale był pewien, że nie widział żadnych na górze, skąd ruszyli, nie mijali też po drodze żadnego rozgałęzienia, z którego ktoś mógłby wejść. Jakim cudem więc teraz się pojawiły?

Poczuł czyjś dotyk na ramieniu.

– Chodzimy w kółko - Kullen potwierdził podejrzenia Tyraela. - To nasze własne ślady. Widzisz? - Przystawił sandał do jednego z nich, pasował idealnie. - Jesteś śmiertelnikiem, ale nie człowiekiem, a wejście jest chronione. Może ja powinienem pójść przodem.

Tyrael podał mu pochodnię. Kullen ruszył w dół, za następny zakręt. Prawie natychmiast schody się wyprostowały, zrobiły mniej strome i szersze. Parę chwil później znaleźli się na dole, u wylotu tunelu.

„Mogliśmy tak iść przez wieczność - pomyślał Tyrael - gdyby nie Kullen”. Tylko dotkliwiej podkreślało to fakt, że archanioł nie był jednym z nich. Zajął miejsce Lorata na końcu pochodu. Horadrimowie szli pustą i milczącą ścieżką, która tłumiała odgłos ich kroków, i dalej, przez podziemną grootę wyglądającą na dzieło natury. Światło pochodni ukazało zbliżające się do siebie ściany, wkrótce jednak sklepienie groty wystrzeliło wysoko nad ich głowy. I choć ścieżka została wygładzona niezliczonymi krokami, nie było widać żadnych śladów ludzkiej obecności od co najmniej paru wieków. Raz czy dwa dobiegł ich odległy dźwięk, który mógł być kapaniem wody, ale nie dostrzegli nic, co potwierdziłoby ich domysły. Grota ciągnęła się bez końca w mrok.



Z początku odzywali się przyciszonymi głosami, potem zamilkli. Rozmiary jaskini zmuszały do cichego szacunku, jakby ludzki głos obrażał zebrane tu bóstwa. Nawet powietrze wokół zdawało się mieć swoją wagę, wzbijany stopami kurz pachniał historią.

„Nie tego się spodziewałem”, uznał w duchu Kullen. Nigdzie nie widzieli żadnych śladów pierwotnych nefalemów; sądząc po kształcie ścian i podłoża, wieki temu jaskinię wydrążyły wzburzone wody podziemnej rzeki. Jednocześnie jednak grota wydawała mu się dziwnie znajoma, jakby był w niej jako małe dziecko. Pod ziemią znajdował się drugi świat, czekający w zawieszeniu na ich powrót. „Mój powrót”, pomyślał Kullen. To, co się stało po włożeniu klucza w szczelinę, owa moc, która go przeniknęła, dokonała w nim jakiejś fundamentalnej zmiany. Miał wrażenie, że nagle przypomniał sobie przeżyte już wcześniej całe długie życie.

W pewnym momencie doszli do naturalnego kamiennego mostu nad przepaścią zbyt głęboką, by blask pochodni sięgnął dna. Echo ich kroków wracało, jakby ich śladem szły jakieś niewidzialne istoty. Nekromanta i jego czaszka zamienili cicho kilka słów; Zayl poprosił Kullena o pochodnię i poszedł przodem, uczony i Thomas tuż za nim, potem Mikułow. Most był wąski, musieli przechodzić przezeń gęsiego; po obu stronach ziała bezdenna czeluść, kamyki spod ich nóg spadały w nią z grzechotem niczym czmychające zwierzątka.

Kiedy ostatni horadrim pokonał most, rozległ się niski, groźny jęk i skała pod ich nogami zadygotała. Kamienny pomost pękał z trzaskiem, w połowie jego długości pojawiła się szczelina, potem kamień osiadł i znieruchomiał. Szczelina miała prawie cztery stopy szerokości.

Shanar stanęła na krawędzi przepaści i wysunęła przed siebie pochodnię.

– Nie ma wyjścia, musimy iść dalej - mruknęła; cała grupa wpatrywała się w krąg rozchybotanego światła. - Mam nadzieję, że jest stąd jakieś inne wyjście, inaczej sami zostaniemy częścią zaginionego miasta.

– Możemy spróbować zawrócić - zaproponował Kullen.

Kiedy jednak Shanar weszła na most, kamień znów jęknął i poruszył się, odskoczyła więc szybko z powrotem. Nie mieli wyboru, musieli iść przed siebie.

Szli tak długo, że czas zdawał się zwalniać bieg, a potem wręcz się zatrzymał. Minęła godzina albo dziesięć, Kullen poczuł, że popada znów w ten przypominający sen stan, który ogarnął go, kiedy wsunął klucz w zamek. Nawiedziły go duchy zmarłych; nekromanta też musiał coś poczuć, bo kilka razy obejrzał się na niego uważnie, a czaszka mruczała coś zbyt cicho, by dało się rozróżnić słowa.

Wreszcie ścieżka zaczęła opadać, z początku delikatnie, potem bardziej gwałtownie. W końcu dotarli do miejsca, w którym grota znów się

powiększała, a tunel rozwidłał - na prawo droga pięła się lekko w górę i znikła w atramentowej ciemności, po lewej ujrzeni płytka niszę, a jej zawartość odebrała Kullenowi dech w piersi.

Ze skały wykuto posąg mężczyzny - wyglądał, jakby w pełni ukształtowany wyszedł z kamiennej ściany. Rzeźba była niewiarygodnie szczegółowa, dwa razy wyższa od Tyraela. Powłóczyście szaty mężczyzny zdawały się falować w chybotliwym świetle pochodni, długie włosy opadały mu na ramiona. Jego mocno zarysowana szczęka i gładkie czoło czyniłyby go przystojnym, gdyby nie oczy, spoglądające w górę, jakby wypatrując stamtąd zagrożenia.

- Na Światłość... - sapnął cicho Lorat. - Nigdy nie widziałem. .. Nie pomyślałbym, że takie coś może tu istnieć.

W kamiennej ścianie obok ramienia posągu wyryte było koło ze szczeliną na środku.

Nekromanta przyświecił pochodnią, a Kullen dotknął kręgu palcami. „To znak dla mnie - pomyślał - dla nas wszystkich, symbol naszego dziedzictwa i przeznaczenia, koło, które rozpoczęło swój bieg u zarania czasu w Sanktuarium i zamknęło się wraz z naszą obecnością tutaj”.

Wyjął z plecaka klucz i wsunął go na miejsce.

Znów przepłynęła przezeń fala mocy - tym razem jednak był na nią gotowy. Prawie natychmiast poczuł, że jego ciało odpowiada na ten starożytny, tajemniczy zew.

W grocie rozległ się dźwięk przypominający niski, żałobny ton bestii z oceanu. Posąg odwrócił głowę, spoglądając na przybyłych. Jego spojrzenie zawisło na Tyraelu, kamienne oczy wpatrywały się w twarz archanioła.

Krąg zaczął migotać i znikać, migotanie rozeszło się ze środka na zewnątrz, aż cały fragment ściany stał się przezroczysty jak szkło. Po drugiej stronie widać było dwie grube kolumny i kolejne posągi,



przedstawiające kobiety z wyciągniętymi jakby w wezwaniu ramionami. Kullen przestąpił przez falującą ścianę niczym przez lustro wody; poczuł tylko przelotny dreszcz i znalazł się, sam, po drugiej stronie.

Obejrzał się za siebie. Thomas ruszył za nim, a potem, jedno po drugim, reszta horadrimów niczym duchy pokonała zasłonę, która zdawała się oddzielać świat żywych od świata umarłych.

Gdy wszyscy przeszli, ściana na powrót się zestaliła. Krąg się zamknął. Kullen odwrócił się, żeby zobaczyć, co leży przed nimi.



Przestrzeń, w której znaleźli się teraz, zdecydowanie była dziełem rąk ludzkich. Tyrael podniósł pochodnię. Byli w przestronnej komorze. Podłogę tworzyły kamienie różnej wielkości, ściany ułożono z kamiennych bloków w symetryczne linie, z płycinami i niszami. Po drugiej stronie wysokie kolumny stały w rzędach po obu stronach szerokich schodów prowadzących dalej w ciemność.

Zaginione miasto nefalemów? Chyba w końcu je znaleźli. Ale jeśli tak, to wyglądało zupełnie inaczej, niż się spodziewał. Kiedy migotanie zgasło, posągi zdawały się znów pogrążone w naturalnym dla nich kamiennym bezruchu. „Przejście było zabezpieczone jakimś czarem - pomyślał Tyrael - a Kullen go złamał, umożliwiając nam wejście”.

Archanioł ruszył przez pogrążoną w ciszy salę. Czy fakt, że on, śmiertelny anioł, mógł postawić tu stopę, oznaczał, iż czar chroniący to miejsce przestał działać?

Podszedł na skraj schodów. Poniżej była chyba kolejna komnata - pomieszczenie pozostawało tak samo zakurzone i opuszczone jak pozostałe. Po obu stronach stopni stały niższe kolumny zwieńczone kamiennymi

misami. Tyrael dotknął jednej pochodnią i z misy wystrzeliły błękitne płomienie. Zapalił drugą i salę wypełnił dziwny, nieziemski blask. „Musiała tu działać jakaś magia - pomyślał - skoro paliwo przez tak długi czas nie wywietrzało”.

Zeszli po schodach i zbadali niższy poziom, zapalając po drodze następne misy. Z sali odchodziły korytarze, prowadzące do komnat i większych pomieszczeń. Znajdowali miejsca, których ściany i podłogi ozdobione były zawiłymi wzorami, odkrywali kolejne nisze i platformy; dziwne, łukowato sklepione okna prowadziły donikąd, kamienne filary podpierały niknące wysoko w górze sklepienia. Wszystkie te konstrukcje zdawały się posiadać jakieś przeznaczenie, teraz zapomniane.

Korytarze i sale ciągnęły się bez końca, ale wszystko pokrywał kurz nagromadzony przez wieki. Nie znaleźli tu żadnego wybawienia, żadnej wielkiej magii, która wspomogłaby ich w misji. Zaginione miasto okazało się nie tym, co mieli nadzieję znaleźć. „Kiedyś być może było to miejsce o wielkiej potędze, ale dawno już zostało porzucone przez swoich stwórców. Miasto bez przeznaczenia”. Przekonanie, które pchało Tyraela aż do teraz, zaczęło słabnąć. Przez cały ten czas, pomimo własnych wątpliwości, pokładał wiarę w znalezienie zaginionego miasta, licząc, że znajdą tu ochronę przed anielskimi legionami. Teraz myślał już tylko, jak niewielkie szanse ma ta wyprawa. Horadrimowie nabrali sił, mała drużyna zaczynała działać wspólnie, ale nie byli w żadnym razie gotowi. Tyrael wciąż miał dużo do zrobienia, by przygotować towarzyszy na to, co czeka ich w Srebrnym Mieście. Ale na cóż im się przygotowywać, skoro po powrocie do Sanktuarium nie będą mieli gdzie się ukryć?

To daremny trud, samobójcza misja bez nadziei powodzenia.

Tyrael odwrócił się do zebranych horadrimów. Byli zmęczeni i czekali na jego słowa. Wiedział, że musi znaleźć w sobie siłę, by dodać im otuchy. Nie

może okazać rozczarowania ani słabości.

„Zajrzyj w Kielich i wszystko znów stanie się jasne”.

Głos zahuczał mu w głowie jak grom. Tyrael sięgnął do kieszeni pod szatą. Chalad'ar był tam, wzywał go. Potrzeba, by zostawić pozostałych i odpowiedzieć na to wołanie, paliła archanioła niczym śmiertelne pragnienie. Kimże dla niego byli? Śmierć przyjdzie po nich prędzej czy później, jak po wszystkich śmiertelników. Ich życie było niczym w obliczu wszechrzeczy, szybko zostaną zapomniani, tak samo jak ci, którzy żyli i umierali w tych katakumbach, teraz przysypani kurzem wieków.

Ten trans przerwał Mikułow i stojący tuż za nim Lorat. Podeszli do Tyraela, kiedy pozostali cicho się naradzali. Mikułow wskazał na Lorata, który stał ze splecionymi przed sobą rękami i nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Młody Lorat zwrócił na coś moją uwagę - rzekł. - Zasugerowałem, żeby pomówił o tym z tobą.

Rycerz wzruszył ramionami.

– Posąg przy wejściu przyglądał ci się, kiedy przechodziłeś przez ścianę... - powiedział z wahaniem. - Nie patrzył na nikogo innego.

– I co jeszcze? - ponaglił Mikułow. - Mów wprost, to ważne.

– Kiedy wszedłeś, dwa posągi kobiet też śledziły twoje ruchy. Pomyślałem, że być może dlatego, że jesteś... inny.

– Ma na myśli „śmiertelny”. Nie jesteś aniołem ani demonem - powiedział mnich. - Ale i nie człowiekiem. Może to miasto nie wie, co o tobie sądzić.

Zbliżył się.

– To oznacza, że magia wciąż jest tu żywa. Ochronny czar nie osłabł, a strażnicy oceniają, co z tobą zrobić. Przynajmniej na razie uznali, że nie jesteś zagrożeniem.

Szepty w głowie Tyraela ucichły. Przypomniwał sobie Imperiusa w Niebiosach, ich konfrontację w Sali Rady, odrzucenie skrzydeł i wszystko, co wydarzyło się potem - gniew brata, smutek i rozczarowanie Auriel. Przypomniwał sobie narodziny anioła w Łuku, zbrukane, szare pasma oplatające skrzydła nowonarodzonej, kiedy on sam stał bezradnie z boku i patrzył. Czarny Kamień Dusz spoczywał cały czas na swoim postumencie, plugawił wszystko, czego tylko tknął jego rosnący nieustannie cień, zarażający ciemnością i zniszczeniem, i nikt w Niebiosach nie mógł temu zapobiec.

Tyrael był śmiertelnikiem.

Jego życie zmieniło się na zawsze, niedomagania i choroby dokuczać mu będą coraz bardziej w miarę zbliżania się nieuniknionej śmierci. Prędzej czy później odejdzie z tego świata i dokona tego odcięty od Niebios i aniołów, które znał od chwili własnych narodzin w Łuku, wiele tysięcy lat temu. Odejdzie także bez pocieszającej świadomości, że był człowiekiem. Ci, którzy umrą przed nim, nie byli jego braćmi, lecz obcymi.

Ale to nie znaczy, że ma odrzucić swój obowiązek. Imperius podjął decyzję; uznał rasę ludzką za istoty niższe, niezdolne zapanować nad swoimi prymitywnymi popędami. Według niego ludzie są słabi i niebezpieczni, toteż należy ich zniszczyć. I nie spocznie, dopóki Rada Angiris - całe Niebiosy - nie zgodzą się, że tak właśnie trzeba postąpić.

Nie sprzeciwić się temu było zbrodnią o wiele gorszą od niewypełnienia woli Rady.

– Iwogrodzcy mnisi mają takie powiedzenie - nieoczekiwanie odezwał się Mikułow - „Nie ma końca bez początku”. Musimy od czegoś zacząć, a to miejsce... - wskazał ciągnące się przed nimi puste sale - ...nadaje się do tego równie dobrze jak każde inne. Wyczuwam w tobie konflikt i być może

jest ku temu dobry powód. Ale przedmiot, który nosisz, nie jest rozwiązaniem. Zaprowadziłeś nas tak daleko. Nie możemy teraz zawrócić.

Tyrael chciał coś odpowiedzieć, ale nie wydobył z siebie głosu. Uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, co mógłby rzec. Stali w odległości kilku kroków, przypatrując się sobie wzajemnie. W nieruchomym, spokojnym wzroku mnicha zdawało się kryć pytanie.

„Co wybierzesz?”

– Ależ to zapuszczona nora - stwierdziła w końcu Shanar, przerywając milczenie. - Powinni zwolnić pokojówkę.

Ta próba rozluźnienia atmosfery wywołała jedynie słaby śmiech Jacoba, reszta horadrimów milczała. Thomas przysiadł na niskim murku, skrył twarz w dłoniach. Gynwir chodziła w tę i z powrotem w sporej odległości od nekromanty, który wciąż trzymał jedną z pochodni. Nawet Humbart milczał, co było u niego niezwykle.

– To miejsce opuszczono dawno temu - powiedział Kullen. Pulchna twarz uczonego była ponura, zgarbił się w poczuciu klęski; energia, która dotąd zdawała się dodawać mu siłę, teraz uchodziła w mrok. - Wygląda na to, że nic tu dla nas nie zostało. I co teraz?

– To była długa podróż - rzekł Tyrael. Wziął głęboki oddech, odnajdując w sobie siłę, by powiedzieć to, co musiał. - Ale miasto nigdy nie było naszym ostatecznym celem.

Wyminął Lorata oraz mnicha, stanął w środku małego kręgu pozostałych i skinął na Kullena.

– Przypomnij, co wiemy o tych katakumbach.

Kullen zamrugał raptownie i przełknął ślinę.

– Stare teksty niewiele o nich mówią - zaczął powoli, wodząc wzrokiem po twarzach towarzyszy. - Tyle tylko, że wedle legend zaginione miasto nefalemów było przede wszystkim schronieniem, kryjówką osłanianą przez

bardzo potężne czary lub jakiegoś rodzaju energię. Skonstruował je Daedessa Budowniczy. Dziennik Korsika potwierdza, że Rakkis natknął się na te same opowieści podczas swoich badań i uznał, że są prawdziwe. To dlatego Rakkis kazał się tu pogrzebać. Zależało mu na bezpieczeństwie i mocy, które według niego zapewniały katakumby.

Tyrael pokiwał głową.

– Mogę dodać, że anioły nie mają pojęcia o ich istnieniu, wygląda też na to, że śludzy Płonących Piekieł również nigdy ich nie odnaleźli. Jaki z tego wniosek?

– Podejrzewam, że moc, która osłania to miejsce, jest powiązana z samym aktem stworzenia Sanktuarium - odpowiedział Kullen - oraz z wzajemnym oddziaływaniem świata fizycznego i niematerialnego. I zniszczenie Kamienia Świata chyba jej nie osłabiło. Możliwe nawet, że to miasto istnieje we własnej rzeczywistości, a my przekroczyliśmy most pomiędzy światami.

– Czy uważasz, że wchodząc tu, zmieniliśmy je w jakiś sposób, otworzyliśmy dla innych? - spytał Tyrael.

Kullen powoli pokręcił głową.

– Moc jest związana z nefalemami. Jeden z nich może otworzyć przejście, ale ono zaraz znów się zamyka. - Popatrzył po horadrimach. - Jedno z nas - podkreślił. - Ja je otworzyłem, tym kluczem. Sięgnąłem jakichś rezerw mocy ukrytych we mnie, czułem ich siłę w kościach.

– Każde z was sięgnęło kiedyś do tych rezerw - przypomniał mu Tyrael. - Wszyscy jesteście nefalemami. To wasze dziedzictwo, wasza esencja, przekazana wam razem z krwią, która płynie w waszych żyłach. Sam układ tych pomieszczeń może skupiać tę energię, ułatwia wam panowanie nad nią, wybrzmiewa dźwiękiem o wysokości akurat takiej, by wzmocnić wasze zdolności tak samo jak Kryształowy Łuk w Niebiosach. Ale musimy

znaleźć grobowiec. Rakkis wybrałby sam środek miasta, gdzie moc jest najsilniejsza. Grobowiec będzie naszą bazą wypadową i miejscem wiecznego ukrycia Kamienia, kiedy już go zdobędziemy.

– Jeśli go zdobędziemy... - mruknęła Shanar. - To jeszcze nic pewnego.

W rzuconej niby mimochodem uwadze czarownicy niebezpiecznie pobrzmiwała prawda.

– Nie znam was zbyt dobrze - odezwał się nagle Lorat, z niepokojem wodząc spojrzeniem od twarzy do twarzy. - Ale słyszałem o horadrimach. Podobno mój ród wywodzi się od rycerzy, którzy walczyli ramię w ramię z potężnymi magami Tal Rashą i Jeredem Cainem w bitwach z Najwyższymi Złymi. Mój własny wuj Adleryk jako młody człowiek należał do sił Zachodniej Marchii, które walczyły z armią króla Leoryka, gdy ten oszalał. Adleryk spotkał nawet w Tristram Deckarda Caina i na własne oczy widział demony - Lorat przerwał, jakby zbierał się w sobie. - Wierzę w waszą misję - oznajmił z determinacją. - Chcę zapisać się na kartach historii, walczyć razem z wami, zostać horadrimem.

– To świetna opowieść, chłopcze, i bardzo wzruszająca deklaracja - rzekła Shanar. - Ale brać udział w walce z potęgą Płonących Piekieł czy z niebiańskimi Luminarei, skoro o tym mowa, i to bez prawdziwego wyszkolenia, to nie zaszczytny cel, tylko wyrok śmierci.

– Nie jestem chłopcem - zaprotestował Lorat. - Jestem porucznikiem rycerzy pod dowództwem... mojego ojca, skoro komtur Barnard nie żyje. Do tego mówiono mi, że mam talent do magii. Być może...

– Sporo już zawdzięczamy temu młodemu człowiekowi - wtrącił Thomas. - Przydałaby się nam jego pomoc we współpracy z rycerzami.

Tyrael nie miał pewności, czy w takiej chwili rozsądnie jest brać odpowiedzialność za kogoś, kto może się okazać ciężarem. Lorat nie miał pojęcia, na co się pisze, i nie było wiadomo, jak zachowa się pod presją.

Ale kilku innych członków drużyny przytakiwało słowom Thomasa i wydawało się skłonnych przyjąć młodzieńca, przynajmniej na razie.

Jeśli chcieli mieć jakiegokolwiek szanse powodzenia, czekało ich wiele pracy i przydałoby się im poparcie rycerzy. Przyszła pora rozpocząć właściwe planowanie i przygotowania. W Królestwie Niebios na śmiertelników czyhało wiele niebezpieczeństw prawie niemożliwych do pokonania. Zostaną poddani bezlitosnym próbom. Żeby ująć z życiem, żeby nie stracić zmysłów, musieli nauczyć się kontrolować swoje moce nefalemów i opierać cudom oraz okropnościom, które napotkają.

Dla Tyraela najstraszniejsze w tym wszystkim było, że cały plan opierał się na Shanar, która musiała nauczyć się używać swoich wyjątkowych umiejętności w sposób, jakiego nikt nigdy dotąd nie próbował, a niepowodzenie oznaczało pewną zagładę dla nich wszystkich. Tymczasem on nie wiedział jeszcze, czy może jej zaufać.

Tyrael znów poczuł pokusę sięgnięcia po Kielich, ale nie chciał się z tym zdradzić przed horadrimami.

– Dobrze - powiedział. - Młody Lorat będzie traktowany jako nowicjusz zakonu i będzie pracował nad nawiązaniem sojuszu z Rycerzami Zachodniej Marchii.

Przerwał, patrząc każdemu z nich po kolei w oczy. To, co tam ujrzał, przywróciło mu siłę i pewność.

– Znajdziemy grobowiec Rakkisa. Jest tutaj, gdzieś pod naszymi stopami. Jestem tego pewien.



Jak się szybko okazało, miał rację.



Z początku archanioł zapalał błękitne płomienie w kamiennych misach, powiększając zasięg dziwnej poświaty w ruinach, ale w kolejnych pomieszczeniach ognie płonęły, zanim horadrimowie tam weszli.

„Jednak nasza obecność obudziła tu coś bardzo starego”, pomyślał Kullen. Wydawało mu się, że powietrze ciąży brzemieniem na jego ramionach, ściska płuca, jakby miało ożyć i zgnieść go w olbrzymich dłoniach.

Zeszli już głęboko, gdy dotarli do łukowatego przejścia prowadzącego do okrągłej komnaty. Przed sobą ujrzeli kamienny most nad głęboką rozpadliną. Prowadził na platformę, na której stał jakiś ołtarz, i dalej, do kolejnego sklepionego wejścia po drugiej stronie. Ów przeciwny korytarz tonął w ciemności.

– Grobowiec Rakkisa... - szepnął Kullen. - Nie do wiary.

Istotnie grota wyglądała jak miejsce ostatniego spoczynku dawnego króla Zachodniej Marchii. Wszystko pasowało do szkiców, które znalazł w dzienniku Korsika. Ołtarz miał kształt sarkofagu. Myśl o zakarumitach przechodzących przez te sale i niosących swoich zmarłych w ponurych procesjach pogrzebowych, o kościach Rakkisa spoczywających w ciszy tej groty od wielu pokoleń sprawiła, że uczonego przeszedł zimny dreszcz, choć dzisiejszego wieczora widzieli już przecież niemało kości.

Mimo że poszukiwania trwały już dość długo, drużynę ogarnęła nowa energia. Podekscytowani znaleziskiem zapomnieli o zmęczeniu. Shanar dotknęła brzegu ołtarza.

– Nie tak sobie wyobrażam miejsce wiecznego spoczynku - stwierdziła.

Ale oczy jej lśniły i przysunęła się blisko Jacoba; wydawało mu się, że poczuł na dłoni dotyk jej miękkiej skóry.

Tej nocy nie mogli już zrobić nic więcej, a podniecenie, które dodało im sił, szybko ustąpiło wyczerpaniu. Przez puste i ciche korytarze wrócili na

powierzchnię i wyszli przez rozmigotaną ścianę. Kiedy tylko ostatnia osoba znalazła się po drugiej stronie, migotanie ustało i ściana jaskini zrobiła się gładka. Kiedy odchodzili, kamienny posąg znów odprowadził Tyraela wzrokiem.

„A więc to prawda - pomyślał Kullen. - Tak jak się spodziewałem, osłona jest nienaruszona”. Nie dodało mu to wiele otuchy, skoro wiedział, z czym teraz przyjdzie im się zmierzyć.

Poszli drugim odgałęzieniem tunelu, chcąc sprawdzić, dokąd prowadzi. Korytarz szybko wznosił się ku powierzchni i wyłonili się przez przemyślnie skonstruowane wyjście w naturalnej formacji skalnej na skraju wielkiego mokradła, w pewnej odległości od miasta. Wyglądało to jak zwykłe ruiny starożytnej i dawno zapomnianej świątyni. Szczęście im dopisało, nie musieli wracać przez skalny most.

Wysokie wieże Zachodniej Marchii błyskały w oddali w promieniach wschodzącego słońca. W powietrzu unosił się przenikliwy smród siarki i błota, odgłosy bagiennych stworzeń przerywały ciszę poranka.

– Idealna kryjówka - powiedział Thomas. - Nikt by się nie spodziewał, co leży pod tymi wodami.

Rzeczywiście, kiedy Kullen odwrócił się i spojrzał na miejsce, z którego wyszli, zobaczył tylko stertę pokruszonych kamieni wśród chwastów i pałek wodnych. Nawet gdyby ktoś zabłąkał się do katakumb, nigdy nie znalazłby ukrytego zamka ani chronionej czarem ściany, prowadzącej do sanktuarium nefalemów. Tak bowiem Kullen zaczął o nim myśleć. Nie jak o mieście, lecz o drugim sanktuarium wewnątrz pierwszego, miejscu chronionym tak samo jak Sanktuarium - ukrytym przed sługami Niebios i Piekieł przez Kamień Świata.

Tylko że zabezpieczenia pierwszego Sanktuarium nie przetrwały, Kullen wiedział to doskonale. Demony znalazły drogę do środka tak samo jak

anioly. Sanktuarium zostało zbezczeszczone, straciło niewinność dawno temu. Czy z tym miejscem stanie się to samo?

Smutny zew, nieprzyjemny odgłos przypominający krzyk umarłych, poniósł się nad mętными wodami i po lesie. Mogło to być jakieś zwierzę. Dźwięk podkreślił nastroje drużyny, która omijając najtrudniejsze rejony bagniska, zmierzała ku Zachodniej Marchii.

„Choć wszyscy są wyczerpani, nikt dziś nie pośpi - pomyślał Kullen - z obawy przed snami, jakie mogą nas nawiedzić”.



## ROZDZIAŁ 24



### *Cisza przed burzą*

Lorat poprowadził ich z powrotem do „Kąsającego Psa”, gdzie wbrew obawom Kullena przespali cały dzień jak zabici. Wieczorem, kiedy się obudzili, na dole, w karczmie, trwało w najlepsze świętowanie zwycięstwa rycerzy. Bawiący się przyjęli horadrimów z otwartymi ramionami, rozochoceni jadłem i napitkiem. Wieści o roli, jaką w szturmie na katedrę odegrała drużyna, rozeszły się już wśród rycerzy, toteż byli ciekawi jej członków. Zayl jak zawsze stał się celem kilku niechętnych spojrzeń i uwag ze strony tych, którzy mniej gościnnie traktowali praktykujących mroczne sztuki.

Pomimo złych przeczuć dręczących horadrimów, członkowie drużyny zjedli coś i wypili. Tylko nekromanta nie siadł do posiłku, wciąż zaniepokojony możliwością, że w okolicy znajdują się tak zwane widma. Zwierzył się z tych obaw Mikułowowi, rozmawiając z nim w pewnej odległości od świętujących. Zayl mówił o zakłóceniu Równowagi oraz niepokoju tych, którzy dawno odeszli z tego świata; niepokoju będącego dlań niczym pomruk tłumu w tle.

Niedługo potem wymknął się na ulicę. Mnich poszedłby z nim, ale zaprzątnęło go coś innego. Jacob i Shanar usiedli razem przy stoliku i nachyleni do siebie pogrążyli się w intymnej rozmowie. Gynwir stała nieco dalej, sprawiała wrażenie trawionej gorączką i bólem; Mikułow miał mało doświadczenia w sprawach sercowych, ale po tym, jak barbarzynka patrzyła na dwójkę przyjaciół, domyślił się, że darzyła Jacoba silnym uczuciem, które teraz szarpało jej wnętrzności jak nóż.

W normalnych okolicznościach mnich uznaliby, że to nie jego sprawa, ale w tym wypadku tarcia między nimi mogły mieć bezpośredni wpływ na misję. Uznał, że najlepiej będzie bacznie obserwować całą trójkę. Po namyśle skonstatował, że należy o tym powiadomić Tyraela.

Kiedy jednak poszedł szukać archanioła, nie zdołał go znaleźć.



Tyrael wymknął się chyłkiem z „Kąsającego Psa”, zostawiając za sobą ciepłe światło latarni i gwarne głosy, i zanurzył się w ciemność ulic miasta.

Przyszedł czas zasięgnąć rady Kielicha. Czekał już wystarczająco długo. Nieważne, że pozostali marnowali cenne godziny w tawernie, zamiast przygotowywać się do szturmu na Niebiosa. To on był odpowiedzialny za plan. A teraz potrzebował mądrości Chalad'ara - przede wszystkim musiał poradzić się odnośnie wszystkiego, co dotyczyło roli Shanar w podstępie oraz tego, czy ma on jakiegokolwiek szanse powodzenia.

Tego wieczora Tyrael obudził się, czując ogień w mięśniach. Każdy krok, każdy oddech był niczym cios rozżarzonego żelaza. Pragnienie zajrzenia w Kielich było tak silne, że cała skóra Tyraela mrowiała irytująco, palce aż drżały na myśl o dotknięciu artefaktu. Kiedy zanurzał się w jego głębinach,

czuł się znów jak anioł. A mimo to pamiętał, co Chalad'ar przyniósł mu poprzednim razem - grozę, beznadzieję i poczucie straty.

Co Kielich z nim robił? Czy tak wpływał na istoty z krwi i kości? Nie stworzono go dla śmiertelników.

Ale pragnienie było zbyt silne, by z nim walczyć.

Na ulicach w pobliżu karczmy było zbyt dużo ludzi. Miasto było dla Tyraela za głośnie. Archanioł poszedł dalej, w nieznaną mu część Zachodniej Marchii. Znalazł na uboczu placyk z wyschniętą i spękaną fontanną obok ciemnego, walącego się budynku. Siedział tam jakiś skulony człowiek w łachmanach, mamrocząc do siebie; kiedy Tyrael wszedł na dziedziniec, tamten podźwignął się i odszedł, zostawiając za sobą smród skwaśniałego miodu.

Archanioł wyjął Chalad'ara i zajrzał do środka Kielicha - natychmiast poczuł falę ulgi w zbolałych kościach. Umysł opuścił jego ciało, zostawił je leżące bezwładnie na spękanych kamiennych płytach i wzbił się przez rozśpiewane nici światła i emocji. Niemal natychmiast Tyrael wyczuł obserwującą go obecność, ale tym razem wydawała się kojąco znajoma. „Tu jest twoje miejsce”. Zarazem jednak nie potrafił uciszyć innego głosu, dochodzącego z jego wnętrza i ostrzegającego, że to, co tu robi, może przynieść mu zgubę.

Jakby w odpowiedzi studnie, z którymi był połączony, zaczęły się zmieniać, a światło oplótło go duszącą, splątaną siecią. Ze wszystkich stron dobiegały go szepty, pełne szaleństwa, strachu i wściekłości.

Ciemność wokół Tyraela gęstniała; miał wrażenie, że mrok wypełnia zepsucie. Archanioły spiskowały przeciw niemu. Imperius wysłał Sicarai, rozkazał zgładzić Tyraela oraz drużynę, i pozostawało tylko kwestią czasu, zanim anioł znów spróbuje. Rada znalazła go zbyt łatwo. Czy wśród nich

był zdrajca? A jeśli tak, czy jego obecność miała zaprzepaścić wszelkie szanse przeprowadzenia śmiałego planu, który obmyślił Tyrael?

Mnich go obserwował, szpiegował w lesie i wydawał się nie spuszczać z oczu. Może to istotnie był Mikułow, może to on naprowadzał na nich widma od samego początku? A może naznaczony piętnem Jacob? Czy też nekromanta, który zdawał się wiedzieć tak dużo o Równowadze między światłem a ciemnością i zawsze był blisko, czał się w ciemności jak jedno z widm?

Ale ostatecznie nie miało to wszystko większego znaczenia, o ile tylko Tyrael sprowadziłby Kamień z powrotem do Sanktuarium. Marnował czas. Wielu poległo w walce, tak jak wielu już zginęło w imię większego dobra. Niszczący wpływ Kamienia na Królestwo Niebios rósł z każdą chwilą, a Tyrael poprzysiągł sobie zrobić wszystko, co będzie trzeba, by jego misja zakończyła się powodzeniem.



Jakiś czas później ocknął się, siedząc krzywo oparty o popękana fontannę. Po pustym dziedzińcu tańczyły cienie rzucane przez chmury pląsające na tle brzemienego księżyca.

Usta miał spękane, gardło suche. Kiedy z trudem wstawał, członki dygotały mu z wyczerpania.

Chalad'ar leżał na boku kawałek dalej. Archanioł poczuł ukłucie paniki na myśl, że kiedy spał, ktoś mógł ukraść Kielich. Artefakt należał do Tyraela, tylko do niego. Tylko on mógł weń zaglądać i wracać z nietkniętym umysłem. Mądrości Kielicha musiały pozostać jego tajemnicą.

Podniósł artefakt i z westchnieniem ulgi schował go do kieszeni. Rozejrzał się po dziedzińcu, chcąc sprawdzić, czy ktoś mu się nie



przygląda. Ale nikogo nie dostrzegł, więc po chwili ruszył powoli w kierunku „Kąsającego Psa”, przepełniony wirującą, chciwą ciemnością, która należała do niego i tylko do niego.



# CZEŚĆ TRZECIA



# TRYUMF NEFALEMÓW



## ROZDZIAŁ 25



### *Pustkowie*

*Archanioł Mądrości stał na bezkresnej kamiennej równinie, pylistej i spękanej. Ręce miał spętane ciernistymi pędami - przebijały mu skórę i toczyły krew, która spływała po jego bokach gorącymi strużkami. Był nagi, jego śmiertelne ciało było pomarszczone i obwisłe, białe z marmurowym wzorem sinych pręg.*

*Anioły otaczały jego i ołtarz, na którym leżało dziecko.*

*To był chłopiec, tyle Tyrael widział, choć trudno było archaniołowi określić wiek dziecka. Wbite w nadgarstki i kostki kolce przyszpilały chłopca do czarnego kamienia, jego pozbawiona krwi skóra nadawała mu wygląd alabastrowego posągu. Był człowiekiem, wyglądał znajomo, lecz dlaczego się tu znalazł - Tyrael nie miał pojęcia.*

*Archanioł rozejrzał się, usiłując przebić wzrokiem gęstwę aniołów, nieruchomych, milczących i zimnych, niczym kaci, którzy mieli być świadkami śmierci chłopca. Za nimi Tyrael dostrzegł szczątki studni mądrości, rozpadających się w proch. To były Niebiosa, ale nie do końca; znajomy kiedyś świat widziany oczyma nieznanego.*

*Coś pchnęło go do przodu. Potknął się, omal nie upadł na kolana. Obejrzał się za siebie, zdążył zobaczyć Imperiusa. Archanioł Odwagi był zlany krwią. Dał znak bronią. Chcieli, żeby Tyrael patrzył na chłopca, widział, co się z nim dzieje.*

*Ze spękanej ziemi wokół ołtarza wychynęły ciemne pędy. Wspięły się po czarnym kamieniu, czepiając się jego połyskujących powierzchni, wyzwalając rozbłyśki krwawego światła. Oplotły chłopca, a wtedy on otworzył oczy.*

*Miał w sobie coś dziwnie znajomego. Tyrael podszedł bliżej, niezgrabnie przestawiając spętane cierniami nogi, świadom swej nagości i spojrzeń aniołów. Ujrzał twarz Jacoba. Oczy wytrzeszczone w bólu, usta rozwarte jak w krzyku i czarną, wijącą się mackę, która wdzierала się do gardła. Jacob wygiął się w łuk, a z Tyraela opadły więzy, zniknęły w kamieniu. Archanioł spojrział w dół; w zakrwawionych dłoniach trzymał młot i szpikulec, który podniósł i przystawił do piersi Jacoba.*

*Kiedy znów spojrział na jego twarz, jej rysy się zmieniły i Tyrael patrzył teraz w swoje oczy.*



Tyrael usiadł na sienniku, zlany potem. Do izby wpadało słabe, szare światło, nad Zachodnią Marchią wstawał świt. Sen przylepił się do archanioła niczym pajęczyna, na ból głowy nakładały się obrazy Jacoba-dziecka rozciągniętego na czarnym ołtarzu i jego własnej twarzy na tle kamiennej płyty.

„Śmierć przychodzi po was wszystkich i przybywa na czarnych skrzydłach”.

W ciszy wczesnego ranka Tyrael bał się, że umysł go zawodzi. Bał się, że nie starczy mu sił, by przeprowadzić tych ludzi przez oślepiające światło. W tym tygodniu mieli kontynuować przygotowania, zwieńczone próbą wyprawą poza granice Sanktuarium. Tyrael opisał niebezpieczeństwa, z którymi będą musieli się zmierzyć, ale musiał dać im przedsmak tego, co ich czeka. To był jedyny sposób, a czas uciekał.

Zaszli już za daleko, żeby zawrócić.

Spojrzał na horadrimów, z którymi dzielił pokój. Kullen i Thomas spali spokojnie, ale posłanie mnicha było puste jak każdego ranka, odkąd wynajęli kwaterę w Kąsającym Psie. Mikułow najwyraźniej nie potrzebował zbyt wiele snu. Dokądkolwiek się udawał, zawsze wracał spokojny i wypoczęty, jakby odświeżony.

Tyrael wyprostował się i odegnał od siebie mroczne myśli. Ubrał się po cichu, a potem obudził pozostałych. Słońce wychynęło znad horyzontu, malując miasto ostrymi, czarno-białymi konturami.



Mikułow stał na blankach miejskich murów, kiedy wzeszło słońce, zalewając Zachodnią Marchię światłem. Świt przyniósł ze sobą odnowienie, energię, życie. W podmuchu wiatru pieszczącego skórę mnicha był oddech bogów, promienie słońca niosły ich ciepło. Tego ranka Mikułow nie doświadczył wizji. Zastanawiał się nad znaczeniem tego milczenia, ale go nie kwestionował. Kiedy nadejdzie właściwy czas, bogowie będą przy nim.

Zszedł w dół wprost po murze, zsuwając się po prawie gładkim kamieniu od jednego uchwytu do drugiego. Wartownicy go nie dostrzegli, podobnie

ludzie na ulicach. Mikułow pilnował się, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń.

Podzielił się z Tyraelem niepokojem, jaki budziły w nim uczucia między Jacobem, Shanar i Gynwir. Archanioł wydawał się słuchać, ale mnich czuł, że Tyraela zaprzęta zupełnie coś innego i bynajmniej nie była to zbliżająca się godzina inwazji na Królestwo Niebios. Plan wykradzenia Czarnego Kamienia Dusz był zaskakujący i choć szanse powodzenia były niewielkie, Mikułow nie potrafił znaleźć w nim żadnych elementów, które mogłyby poprawić.

Zarysy planu Tyrael przedstawił im kilka dni wcześniej, kiedy ponownie zeszli do katakumb. Archanioł kreślił w kurzu wykresy. Najważniejsze było zgranie wszystkiego w czasie. Musieli zrozumieć krainy Niebios i ich wzajemne oddziaływanie, żeby przetrwać. W każdej krainie czaiły się inne niebezpieczeństwa, a jeśli chcieli przeżyć, musieli pojąć, że za pięknem często kryły się szpetota i zgroza. Anioły nie były ich przyjaciółmi i nie zapewniały ochrony; w tym wypadku były równie niebezpieczne co mieszkańcy Płonących Piekieł, może nawet bardziej, bo one uderzą zza zasłony oślepiającej światłości i majestatu.

Mikułow biegł ulicami budzącego się miasta, mijając mieszkańców zdążających do swych warsztatów i sklepów, nieświadomych dramatu rozgrywającego się tuż obok. Największym zmartwieniem mnicha był stan umysłu Tyraela. Archanioła rozdzierał wewnętrzny konflikt, w jakiś sposób związany z niesionym przezeń przedmiotem. Mnich czuł, że to artefakt o wielkiej mocy, ale niosący ze sobą ciemność, która mroziła mu krew w żyłach. I to właśnie, wraz z rosnącym napięciem w uczuciowym trójkącie, a także niezmienną nieufnością Gynwir wobec nekromanty, niosło największe zagrożenie dla ich misji.



Dzięki intuicji Mikułow wiedział też, że w szalonym planie inwazji jest coś jeszcze, co niepokoi Tyraela; coś jeszcze poza niewielkimi szansami na zwycięstwo - ale to archanioł zachowywał dla siebie. Mnich jednego był pewien - razem mieli szansę. Ale bez całkowitego skupienia się na zadaniu, bez wzajemnego zaufania, bez przywódcy wierzącego w powodzenie misji wyprawa po Czarny Kamień Dusz skończy się zaiste bardzo szybko.



Tyrael prowadził ich przez mokradło z powrotem do grobowca. Przechodzili przez rozbrzmiewające echem sale o ścianach pokrytych gigantycznymi i tajemniczymi płaskorzeźbami, przedstawiającymi ogromne oblicza; mijali jamy pełne kości, jakby nefalemowie z dawnych czasów po prostu porzucali swoich zmarłych i pozwalali im gnić. Podłogi wyłożono pięknymi kamiennymi blokami, tu i ówdzie ułożonymi we wzory, których znaczenie przepadło w otchłani czasu. W innych miejscach posadzki się pozapadały, a przez poszarpane dziury widać było niższe poziomy.

Jacob szedł blisko Shanar. Pachniała delikatnie i czysto, a on czuł, że wzbiera w nim pożądanie, tak mocne, że aż się rumienił. Wszystkie zmysły nagle mu się wyostrzyły. Czarownica wysyłała ostatnio niejasne sygnały, raz była serdeczna, zaraz potem oziębła, a jemu kręciło się w głowie od natłoku uczuć. Był świadom zazdrości Gynwir, choć nie potrafił stwierdzić, czy barbarzynka jest zazdrosna, bo żywi do niego uczucia, czy też dlatego, iż czuje się pozostawiona na uboczu.

– Dziś wieczorem przeprowadzimy pierwszą prawdziwą próbę - zapowiedział im Tyrael, kiedy znów zebrali się wokół grobowca. - Ale zanim do tego dojdzie, ustalmy kilka podstawowych zasad. Podczas naszej misji będziecie musieli zmierzyć się z wyzwaniem natury duchowej, z

silnymi emocjami, a szanse powodzenia będą niewielkie. Niektórzy z nas, być może wszyscy, stracą życie. - Powiódł po nich spojrzeniem. - Daję wam jeszcze jedną szansę, by się wycofać, zanim będzie za późno. Potem nie będzie już odwrotu.

Jacob zerknął na pozostałych. Nikt się nie poruszył, choć wyczuwał niepewność w Shanar, a Thomas pobladł i na jego czole perlił się pot.

Tyrael przyglądał się im przez długą chwilę.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Razem zaszliśmy tak daleko, jesteście silniejsi, potyczki, z których wyszliśmy zwycięsko, dały wam pewność siebie. Ale musicie wiedzieć jedno: Królestwo Niebios nie przypomina niczego, co do tej pory znaliście. Dziś wieczorem dwójka z was pozna przedsmak tego, co nas czeka.

Tyrael przydzielił zadania. Thomas, Kullen, Gynwir i Mikułow mieli pozostać w sali i doszlifować plan dostania się do Kamienia Dusz; zapoznać się ze sposobami dotarcia do celu oraz zastanowić nad możliwościami przewyciężenia przeszkód, na jakie mogą się natknąć - wszystko to najszybciej i najskuteczniej, jak to możliwe. Kullen posiadał szczegółowe szkice rozkładu sal w dziedzinie aniołów, które dopracował pod kierunkiem Tyraela. Zamierzali wykorzystać wiedzę i inteligencję uczonego, taktyczne doświadczenie Thomasa oraz siłę i zwinność Gynwir oraz Mikułowa, by przeprowadzić pozostałych do celu.

Zayl miał skupić się na przeniesieniu samego Kamienia. W ciszy sąsiedniej sali rozpoczął tworzenie sakwy, która mogłaby okiełznać wielką moc artefaktu, przynajmniej na jakiś czas. Kraina umarłych mogła wchłonąć część niszczycielskiej potęgi Kamienia i nekromanta zamierzał użyć wszystkich swoich umiejętności, żeby zapewnić bezpieczeństwo pozostałym.

– Jacobie i Shanar - zdecydował Tyrael. - Chodźcie ze mną. Wy pierwsi poznacie Pustkowiec.



Zaprowadził ich w odludne miejsce z dala od pozostałych, do komnaty wypełnionej niebieskim blaskiem ognia nefalemów. W dawnych wiekach słudzy Piekiła i Nieba korzystali z Twierdzy Pandemonium, którą sam Tyrael pomagał wznieść wokół Kamienia Świata, by stamtąd prowadzić ataki na Sanktuarium. Teraz Twierdza trwała opuszczona i nie można było się do niej dostać przez portal.

Za to Pustkowiec, mroczny świat na obrzeżach Pandemonium, pozostawały dostępne.

– To kraina, której nie da się opisać - uprzedził archanioł parę horadrimów. - Pustkowiec są niczym centrum samego Stworzenia. Bezustannie się zmieniają. To, co zobaczycie i z czym się zmierzycie jednego dnia, następnego może zmienić się w coś zupełnie innego. Wyobraźcie sobie, że zostaliście ciśnięci w głąbie oceanu, gdzie nie dochodzi światło, gdzie zdani jesteście na podwodne prądy. To niebezpieczne miejsce i nawet anioły nie do końca pojmują, jakimi prawami się rządzi.

Shanar zerknęła na Jacoba i przestąpiła z nogi na nogę. Wyraźnie czuła się nieswojo. Tyrael wyjął spod szat mały przedmiot. Postawił go na ziemi, narysował wokół niego jakiś symbol i wymówił kilka słów, których Jacob nie zrozumiał. Przed nimi ożył portal, jasny blask szybko uformował migotliwą płaszczyznę światła.

– Pójdę pierwszy - powiedział Jacob, ale Tyrael go powstrzymał.

– Pójdziemy razem.

Shanar złapała dłoń Jacoba. Kiedy wstąpili w portal, porwał ich prąd iskrzącej energii. Jacob natychmiast stracił orientację, unosił się niezakotwiczony w ciele, wszystkie pięć zmysłów odmówiło mu współpracy, a każdy skrawek umysłu wrzeszczał: „Niebezpieczeństwo!”. Zalała go fala mdłości, przerażenia i paniki, tak potężna, że niemal nie do zniesienia; dryfował w próżni, niczym śmierć na wietrze, w wirze czystej, bezgłośnej furii, która groziła pochłonięciem jego esencji.

„Rób, co musisz, i rób to szybko”.

Usłyszał głos ojca, głośny i wyraźny, jakby rodzic żywy stał tuż obok, potężny jak cały świat w oczach małego chłopca, który dopiero ten świat poznawał.

„Odsuń od siebie wszelką radość czy żądę chwały. Myśl tylko o wypełnianym obowiązku”.

Ogromnym wysiłkiem woli Jacob przypomniał sobie, czego uczył go ojciec - wagi sprawiedliwości wymierzonej bez gniewu oraz rozsądnych argumentów i osądów; jak istotnym jest, by rozlewać krew jedynie w ostateczności. Walczył z miotającymi nim falami. Znów czuł swą fizyczną postać - obolałe i zmarznięte ciało, w uszach głuchy huk, niby pędzącej wody, uścisk dłoni Shanar we własnej.

Usłyszał wołanie czarownicy. Poszedł za tym głosem, nagle pociągnięty w dół przez lodowatą ścianę mgły do jakiejś namiastki rzeczywistości. Stali na bezkresnej kamiennej równinie, ciągnącej się we wszystkich kierunkach. Horyzont był nieprzerwaną linią szarości. Shanar przyglądała się Jacobowi. Jej sylwetka znikwała i pojawiała się, zarys postaci rozmywał się i wyostrzał, niczym halucynacja w oparach dymu.

– Po rubieżach Pandemonium trudniej się poruszać nefalemom, którzy przeszli już przemianę - powiedział Tyrael, wychodząc z nicości. Głos miał stłumiony, jakby mówił pod wodą. - Wasza moc polega na kontrolowaniu

swoich emocji, a klucz do uwolnienia tej mocy jest zarazem waszą największą słabością.

Shanar przemówiła, jakby wprost w umyśle Jacoba.

– Uczucia to bagno. Dałam sobie z nimi spokój.

– Kryjesz się za żartami - wytknął jej Tyrael. - Posiadasz wielkie zdolności, ale mogłabyś być kimś więcej. Musisz zaprzestać oporu i nauczyć się kontrolować to, co czujesz, pokonać strach, by zwielokrotnić wrodzoną siłę. Shanar, odegrasz jedną z najważniejszych ról w naszych planach. I jedną z najtrudniejszych... Muszę cię prosić o coś, czego dotąd nie zrobił żaden człowiek.

Tyrael dobył miecza. El'druin zapłonął w słabym świetle jak pochodnia, zaśpiewał, przekładany z ręki do ręki. Shanar głośno wciągnęła powietrze, a Jacob poczuł, że ścisnęła go mocniej za rękę.

Brzmienie miecza była boleśnie piękne.

– Rozpoznajesz jego pieśń - odgadł bez trudu Tyrael. - Słyszałaś ją już wcześniej.

– Przyzwała mnie do tamtej jaskini, lata temu - odparła Shanar. - Poszłam za jej zewem... i spotkałam ciebie.

Zerknęła na Jacoba, ścisnęła jego dłoń i rozwarła palce.

– A teraz musisz na nią odpowiedzieć.

Archanioł znów machnął mieczem; pieśń zawibrowała w Pustkowiach, wyciskając Jacobowi łzy z oczu. Nie zdołałby jej opisać, nie brzmiała jak nic stworzonego w Sanktuarium, ale znał ją aż nadto dobrze. To była broń, którą nosił przez te wszystkie lata, która stała się wręcz jego częścią. Pragnął wciąż słyszeć tę pieśń.

– Odpowiedz mieczowi, Shanar - powiedział Tyrael rozkazująco. - Niech to z ciebie wypłynie. Anielskie brzmienie Łuku przepływa przez wszystkie rzeczy i potrafi kształtować ścieżki zarówno ludzi, jak i aniołów. Wiesz o

tym. ze wszystkich śmiertelników ty akurat ją rozumiesz. Teraz musisz ją odbić.

Shanar zamknęła oczy. Z jej ust wyrwał się cichy jęk. W palcach, które trzymały dłoń czarownicy, Jacob poczuł mrowienie - a potem wibrację, początkowo słabą, potem głośniejszą. Wkrótce zaczęła sprawiać mu ból i Jacob puścił rękę czarownicy, zatoczył się we mgłę, stracił kontakt z tą namiastką rzeczywistości. Walczył, żeby wrócić do źródła dźwięku, ale teraz słyhać było dwie pieśni, dobiegające z dwóch różnych miejsc. We mgle pojawiły się kształty, Jacob próbował je pochwycić, ale rozwiewały się, gdy tylko ich dotykał; jakaś anielska istota z rozłożonymi skrzydłami, wibrująca do wtóru miecza. Nie, to nie był anioł.

Shanar.

Czarownica szeroko rozłożyła ręce, odrzuciła głowę w tył. Z czubków jej palców strzelała energia podobna anielskim skrzydłom, a dobywająca się z niej pieśń była identyczna jak brzmienie miecza.

Jacob zobaczył kroczącego przez mgłę Tyraela z uniesionym nad głową El'druinem.

– Niebiosa ukażą rzeczy, których nie chcesz zobaczyć. Jeśli chcesz przeżyć, nie możesz wątpić ani się wahać.

Bez ostrzeżenia miecz zatoczył świszczący łuk w kierunku gardła Shanar.

Jacob miał w ręku Uświęconego Niszczyciela, zanim zdał sobie sprawę, że po niego sięga; odbił cios archanioła w ułamku sekundy. W dziwnej, jarzącej się mgle strzeliły iskry, a Tyrael zafalował niczym roztopione szkło i zniknął, zostawiając ich samych na bezkresnej równinie.

Stali we dwójkę słuchając wycia wichru. Shanar dygotała. Jacob cofnął się w czasie, poczuł, jak jego miecz wbija się w gorące ciało ojca. El'druin przekuł Jacoba w narzędzie Sprawiedliwości, zabrał cierpienie i poczucie

winy spowodowane tym, czego staalgardczyk się dopuścił. Ale przez ten ostatni rok jedno i drugie wróciło, niczym podstępna choroba, a Jacob zapomniał to, co wiedział.

„Koniec z tym”, pomyślał. Broń, którą dla niego przekuto, przywróciła mu siłę i pewność siebie, sprawiła, że znów mógł stać się narzędziem Sprawiedliwości tak jak jego ojciec dawno temu, zanim plaga zmieniła go złem i szaleństwem.

Ale nie dawało mu spokoju coś jeszcze, coś, czegoś na razie nie rozumiał.

Myśl pojawiła się i zniknęła w jednej chwili. Ktoś ich obserwował, to wrażenie wwiercało się w tył głowy Jacoba niczym świder. Rozejrzył się, jednak w kłębiącej się mgle niczego nie dostrzegł, a kiedy postać Shanar znów się wyostrzyła, zobaczył za nią jaśniejący całun portalu i nieprzyjemne uczucie zniknęło niczym koszmarny sen w obliczu porannego słońca.

Kiedy przechodzili na drugą stronę, blizna na jego ramieniu zapulsowała bólem niczym wypalony w skórze znak zapytania.





## ROZDZIAŁ 26



### *Atak na bagnisku*

Jakiś czas po bitwie o Kościół Świętego Zakonu przybyli z Gea Kul ich bracia, dwunastka sprowadzona przez posłańca, którego wyprawił Lorat. Liczyli na większą grupę. Jak wyjaśnili nowoprzybyli, horadrimowie zaczęli znikać w dziwnych okolicznościach i ich szeregi stopniały. Niektórzy z ocalałych opowiadali o istotach czających się w cieniu - stwory te jednak znikwały za każdym razem, gdy ktoś próbował się do nich zbliżyć. Horadrimowie nie znaleźli żadnych śladów po zaginionych; nie licząc garstki, która została na straży biblioteki i artefaktów, tych dwunastu było ostatnimi żywymi członkami zakonu.

Thomas, Kullen i Mikułow przyjęli te wieści z ciężkim sercem. Dobrze znali swych braci. Zniknięcia przywodziły na myśl wydarzenia z Bramwell. Z takiego oddalenia jednak nie mogli nic zrobić, a bracia z Gea Kul, choć wypytywani, nie potrafili powiedzieć nic więcej.

Mimo wszystko członkowie Zakonu z Gea Kul zwiększyli liczebność ich szeregów. Nie mieli pojęcia, przeciwko jakim siłom przyjdzie im wystąpić. „Każde wsparcie byłoby niezwykle cenne w konfrontacji z anielską armią”, pomyślał Jacob. Ale ich przeznaczeniem nie było przechodzić przez portal;

mieli zostać w Sanktuarium i strzec go przed atakiem pod nieobecność pozostałych.

A wrogowie czaili się w pobliżu, Jacob nie miał co do tego wątpliwości. Wyczuwał ich w pulsowaniu blizny, w dotyku czarnoskrzydłej istoty, której ślad nosił. Pulsowanie to przybrało na sile, odkąd Jacob wrócił z Pustkowi. Tamta noc w Tristram wydawała się być odległą przeszłością, on sam bardzo się zmienił, ale czarna pieczęć dotyku na ciele wciąż z nim była.

Widma były blisko, czekały. Na co? Tego Jacob nie wiedział.



Wzmogli wysiłki.

Tyrael zabrał na Pustkowie pozostałych, testując ich opanowanie i umiejętności, zmuszając do rozprawiania się z najbardziej osobistymi duchami. Kiedy opowiadali o tym przeżyciu, każde z nich inaczej opisywało Pustkowie. Niektórzy unosili się w ciemności, prześladowani przez krzyki, jęki i dziwne odgłosy, inni widzieli barwy i kształty, ale nie słyszeli niczego.

Mikułow stał na pustej równinie, która powoli wybrzuszała się w góry i dżungle. Iwogrodzcy zabójcy czaili się na niego w gąszczu, ich spojrzenia przewiercały mu duszę. Pełzł naprzód bez żadnej osłony, a dżungla zmieniła się w najeżone kolcami ściany groty w Piekło, gdzie demony czekały, by go pożreć. Kullen ponownie przeżył upadek Czarnej Wieży, nieumarłych, którzy wyłazili spod ziemi i łapali go za nogi, by zabrać do swoich grobów. Gynwir mierzyła się z hordą ogarniętą plagą szaleństwa, topiąc w morzu krwi własnych braci i siostry.

Każde z nich z całych sił walczyło z tymi wizjami, uzbrajali się przeciwko emocjom, jakie w nich budziły.

– Wszystkie wasze zdolności biorą się z tego samego źródła - powiedział im Tyrael. - Ci z was, którzy wykazali się siłą zdolną kierować żywiołami, używać magii, rzucać czary i zabijać demony w Sanktuarium, nauczyli się już panować nad częścią swoich mocy nefalemów i są w stanie osiągnąć o wiele więcej, mając po temu szansę. Czuliście, jak wasze emocje przerywają wewnętrzne tamy, czuliście przebudzenie krwi, które pozwoli wam wzbić się na nowe wyżyny. Zapanujcie nad nimi, okiełznajcie je, bo zostaną użyte przeciwko wam w Królestwie Niebios.

Pracował jeszcze ciężiej z Shanar, pomagał jej koncentrować moc i naśladować jak najudatniej anielską pieśń. Czarownica nie wybaczyła mu jeszcze w pełni nagłego ataku podczas pierwszej wyprawy na Pustkowie, ale Tyrael wyjaśnił, że nie była w żadnym niebezpieczeństwie, że zrobił to dla dobra Jacoba, nie dla niej; Jacob musiał nauczyć się znów ufać instynktowi i od tego należało zacząć.

Lorat Nahr przyglądał się temu wszystkiemu ze zdumieniem i służył jako łącznik między horadrimami a rycerzami. Dostarczał posiłki i relacjonował rozwój wydarzeń. Chętnie się też uczył i zdradzał pewne umiejętności w manipulowaniu żywiołami; Mikułow ćwiczył to z nim w wolnych chwilach po zakończeniu oficjalnej części treningu. Młody rycerz i mnich szybko nawiązali nić porozumienia, cierpliwość Mikułowa wobec pytań i zapału Lorata zdawała się niewyczerpana.

Komtur Nahr przybył z Bramwell i teraz pracował w miejscowej kuźni od rana do wieczora, przerywając tylko wtedy, kiedy dosłownie padał z nóg. Zayl zaś ukończył sakwę. Wyjaśnił, że wystawiona na działanie Kamienia, powiększy się, by go pomieścić, ale zapewni ochronę tylko na kilka minut, zanim czar zacznie słabnąć.

W końcu przyszła pora wcielić plany w życie.



W noc przed wyruszeniem Tyrael leżał na sienniku, nie mogąc zasnąć. Myśli w jego głowie goniły jedna drugą. Wyobrażał sobie kolejne scenariusze, wszystkie możliwe niebezpieczeństwa, wszystkie możliwe wersje porażki oraz sposoby, by im zaradzić. Cały ten długi czas - bolesne oddzielenie od braci i sióstr, niedoskonałości śmiertelnego ciała - wszystko to prowadziło do tej chwili.

Archanioł Mądrości przypomniał sobie słowa, które usłyszał od swego brata dzień po posiedzeniu Rady: „I po raz kolejny postanowiłeś stanąć po stronie Sanktuarium. Czy jeśli Rada zagłosuje za zniszczeniem go i wyeliminowaniem raz na zawsze zagrożenia, jakie ten świat stanowi dla Królestwa Niebios, ty nadal będziesz stał po stronie ludzi i zginiesz razem z nimi?”.

„Imperius się mylił”, pomyślał Tyrael. Tu nie chodziło o wybieranie stron. Poprowadzi horadrimów i spróbuje ocalić oba światy, które pokochał. Przypomniał sobie ofiarę Uldysjana sprzed wieków. Tego wspomnienia nie skalał upływ czasu. To wtedy właśnie Tyrael zaczął w pełni rozumieć, jak wielki jest w ludziach potencjał zbawienia. W ludziach dobro mogło przewyciężyć zło, bez względu na to, jak małe były na to szanse.

Na to liczył teraz. Jego drużyna była gotowa, musiała wznieść się ponad pokusy i grozę tego, co ich czekało. Rodzaj ludzki był przecież zdolny do wielkich rzeczy. A mimo to gdzieś wśród jego myśli błąkało się nieustannie wspomnienie o Zoltunie Kullu, jednym z założycieli Zakonu Horadrimów, tym, który pozwolił, by skaziła go ciemność. Czarny Kamień Dusz był jego dziełem.

Kull też był człowiekiem.

Tyrael miał własne pokusy. Zanim nad Zachodnią Marchią wstało słońce, nie mógł już dłużej czekać. Z poczuciem porażki wyjął Kielich i zatonął w jego głębiach.



Wyruszyli przed świtem, oddalając się od miasta. Rycerzy uprzedzono o ich wymarszu, żeby wartownicy nie podnieśli alarmu na widok ludzi w grubych płaszczach spieszących ulicami. Generał Torion wyraził na to zgodę. Horadrimowie nie chcieli być widziani przez sklepikarzy i chłopców na posyłki, którzy o świcie rozpoczynali dzień pracy. Nie kierowali się więc w stronę Kościoła Świętego Zakonu i pękniętego podziemnego mostu. Do katakumb planowali wejść od strony bagna.

Obszerne szaty skrywały zwaliste sylwetki. Komtur Nahr świetnie się spisał, biorąc pod uwagę ograniczone możliwości, choć wysiłek i tempo, z jakim odprawiał swoje czary w kuźni, omal go nie zabiły. Ale Mikułow czuł się w tym chytrym przebraniu niezręcznie i dziwnie. Jako mnich przywykł do lżejszego odzienia i niczym nieskrępowanej swobody ruchów; zastanawiał się, jak obecny strój sprawdzi się w walce, gdyby do niej doszło.

– Naprawdę nie pozwolicie mi iść ze sobą po tym, jak przez tydzień udowadniałem swoją przydatność? - spytał przyciszonym głosem Lorat Nahr.

Szli gęsiego po zdrażliwym gruncie. Było ich trzydzieścioro, z Tyraelem na przedzie. Lorat zwerbował kilku rycerzy do eskorty i pilnowania wejścia do katakumb. Mikułow szedł kawałek przed nim; ledwo słuchał próśb młodzieńca. Lorat nie był gotowy, a poza tym mnich miał inne zmartwienia.

Nie podobała mu się ciemność, która się do nich podkradała. Szli bez pochodni, w nadziei, że światło księżyca pozwoli im ominąć gęste kępy bagiennej trawy i grząskie miejsca wśród trzcin. Bogowie mieszkali We wszystkim, a tej nocy ich głosy przepowiadały niebezpieczeństwo.

Napięcie wśród horadrimów rosło, w miarę jak posuwali się skrajem bagna.

– Cicho - rzekł Mikułow, kiedy Lorat znów zaczął mówić. - Posłuchaj...

Bez ostrzeżenia z lewej spadł na nich wielki, czarny kształt.

Istota poruszała się tak szybko, że nikt nie zdążył zareagować. Podbiegła w ich stronę niczym pająk, ze skrzydłami wyciągniętymi jak włócznie, i okrutnym, zabójczym ciosem powaliła jednego z nowoprzybyłych z Gea Kul.

Przebiła mu gardło.

Mężczyzna wydał cichy charkot, z rany polał się strumień krwi. Potwór porwał go w objęcia i umknął niczym myśliwy ze swą zdobyczą.

Atak trwał zaledwie kilka sekund i większość horadrimów nawet go nie zauważyła. Ale Mikułow szedł kilka kroków z tyłu i zanim przebrzmiał jego ostrzegawczy okrzyk, on sam pędził już w kierunku atakującego potwora.

Gdy omijał miejsce, w którym grunt zmienił się w sadzawkę błotnistej wody, usłyszał kolejny krzyk bólu i głos Tyraela, wydającego rozkazy. Następny czarny kształt wychynął z ciemności i pochwycił w szpony rycerza, patrosząc go płynnym cięciem, które przeszło przez płaszcz, zbroję i ciało jak przez masło. Jelita wylały się gorącą masą na bagienną trawę, a potwór zniknął, unosząc ofiarę między drzewa.

Zasadzka. Mikułow przystanął, przepatrując ciemność, ale nie widział nic prócz łagodnie falujących, niewyraźnych zarysów drzew i traw dookoła.

Bogowie milczeli. Nigdzie nie było ani śladu stworów czy porwanych ludzi.

Zawrócił ku pozostałym, kiedy z dłoni Shanar strzeliła trzeszcząca energią kula światła i uniosła się wysoko nad ich głowy. Na kilka chwil ujrzeli całą okolicę; dookoła nich coś się poruszało - przyprawiający o zawrót głowy wir umykających kształtów zbyt szybkich, by je śledzić wzrokiem, uciekających przed światłem. Widma. „Nie sposób się doliczyć, ale jest ich dużo”, pomyślał mnich. Za dużo.

Ludzie krzyczeli.

Następny z nich został wciągnięty między drzewa. Potem jeszcze jeden. Żaden nie zdążył zadać ciosu. Rzeź była bezlitosna, widma poruszały się zbyt szybko. Ośmioro horadrimów zebranych przez Tyraela było o wiele lepiej przygotowanych do takiego starcia i zdołali oni opędzić się od potworów - ale nowoprzybyli i Rycerze Zachodniej Marchii byli bezradni wobec potwornego ataku.

Kiedy Mikułow wpadł w kotłowaną, nieopodal rozblęskło oślepiające światło i z portalu wystąpił Sicarai w pełnej chwale swojej zbroi, naprawionej i wspaniałej. Niszczyciel przez chwilę rozglądał się po bagnisku, a potem, ujrzawszy Tyraela stojącego z dobytym El'druinem, zawył z wściekłością i runął do bitwy.



Tyrael przeklął się w myślach, widząc, jak ciemnoskrzydłe stwory porywają jego ludzi. Coś trzymało go jak w potrzasku i nie potrafił się wyrwać z tego uścisku. Głowę miał ciężką, ruszał się jak we śnie. Powinien być gotów, a zamiast tego pozwolił błędzić myślom. Oczywiście widma

czekały w zasadzce, zapewne już od jakiegoś czasu, a horadrimowie, zaledwie o kilka kroków od celu, wpadli w kłopoty.

– Pokażcie się! - krzyknął archanioł.

W blasku flary Shanar horadrimowie zrzucili płaszcze. Pod nimi nosili repliki zbroi Luminarei, które wykuł dla nich komtur Nahr w oparciu o szczegółowe rysunki Tyraela. Zbroje były tak dobre, że nawet on sam z trudem odróżniał je od prawdziwych, przynajmniej na odległość. Nie wytrzymałyby dokładnych oględzin aniołów w Niebiosach, ale teraz mogły kupić drużynie trochę czasu.

Nie chciał przedwcześnie zdradzać, co ma w zanadrzu, zamierzał trzymać to w tajemnicy do samego portalu. Ale musieli mieć swobodę ruchu, bo zostaliby wyrżnięci.

– Biegiem! - krzyknął do pozostałych. - Jacobie, zaprowadź ich do wejścia! Tylko my musimy przejść przez ścianę!

Rycerze wypuszczali strzały w przemykające w mroku ciemne kształty. Jacob poprowadził horadrimów i Lorata Nahra przez wysokie chwasty. Thomas i Kullen zamykali pochód. Mikułow krążył dookoła, żeby osłaniać ich przed potworami. Iskrzące pociski Shanar przeganiały widma z nieba ponad ich głowami.

Tyrael zaczekał, aż dobiegną do wejścia do katakumb, zanim odwrócił się i stawił czoła Sicarai.

Niełatwo było wzbudzić w bitwie trwogę w archaniele. Ale niszczyciel wyglądał przerażająco - był jeszcze większy niż przedtem, jarzył się wściekłą czerwienią i dzierżył nowy miecz o podwójnej klindze, śpiewający niczym puls krwi w uszach.

Spadł na Tyraela bez wahania, a archanioł ledwie zdążył zasłonić się El'druinem przed druzgocącym ciosem.



Zatoczył się, świadom zagrożenia, które czyhało tam, w ciemności. Spadło na niego następne uderzenie i jeszcze jedno; niszczyciel atakował raz za razem, a Tyraelowi udawało się zbijać ciosy, nim sięgały jego ciała. Ale szybko opadał z sił, a tym razem nie miał żadnych wrogów, za którymi mógł się schować, żadnych sztuczek, żeby odwrócić uwagę przeciwnika. Był sam.

Sicarai rozłożył skrzydła i wrzasnął, a rozbłysk czerwieni świetlistych wstęg omal nie oślepił Tyraela. Archanioł zamrugał wściekle, próbując pozbyć się plam tańczących przed oczami i starając się dostrzec, skąd spadnie nań kolejny cios, zanim będzie zbyt późno. Zrobił krok w tył i noga zapadła mu się w zdradzieckim, miękkim gruncie. Tyrael upadł na plecy w błoto, a miecz niszczyciela zostawił mu ślad na piersi. Potężny cios przeciął zbroję i ciało, zanim odbił się od czegoś twardszego niż żelazo. Od Kielicha.

Ból rozkwitł wilgocią. Tyrael przetoczył się w bok, o włos unikając cięcia Sicarai, ale następnego uderzenia nie był już w stanie uniknąć. Niebo rozjarzyło się słabą poświatą świtu, a niszczyciel podniósł broń, nieruchomiejąc w krótkiej chwili tryumfu nad leżącym Tyraelem.

„A więc tak to się skończy? - pomyślał archanioł z rezygnacją. Krew wypływała z rany z każdym uderzeniem serca. - Skonam tu, w błocie zapomnianej krainy, zanim jeszcze na dobre zaczęliśmy?”

Kiedy Sicarai uderzył, nad Tyraelem przemknęła smukła, ciemna sylwetka z bladą jak księżyc twarzą. Nekromanta odbił śmiertelny cios w rozbłysku jaskrawopomarańczowych iskier, które obsypały Tyraela. Miecz odbił się, nie czyniąc nikomu krzywdy, a Sicarai znów wrzasnął, tym razem z wściekłości.

Zayl uskoczył, a rozjuszony niszczyciel ruszył za nim w pościg. Tyrael zdołał wstać. Zataczając się, ruszył do wejścia katakumb, choć pierś szarpał

mu palący ból. Słyszał, że Sicarai go ściga, ale był już prawie na miejscu, jeszcze kilka kroków...

Świat zaczął blaknąć. Z obu stron nadciągały widma, czarne kształty były ledwie widoczne w słabym świetle przedświt. Tyrael czuł, że ręce ma jak z ołowiu, każdy ruch wymagał gigantycznego wysiłku. Poczł, że pada, a potem podmuch wiatru dźwignął go i poniósł w mrok tunelu ciągnącego się daleko w głąb ziemi.



## ROZDZIAŁ 27



### *Katakumby*

Jacob zostawił Lorata Nahra na straży przy wejściu, a resztę poprowadził słabo oświetlonym tunelem. Nikt się nie odzywał, twarze wszystkich zastygły w ponurym grymasie. Ten nagły atak był dla horadrimów szokiem. Nie wiedzieli, ilu stracili. Cudem było, że nie zginęli wszyscy.

Tyrael wciąż był na zewnątrz, sam na sam z niszczycielem. Jacob chciał zawrócić, ale wiedział, że jego obowiązkiem jest zaprowadzić resztę drużyny w bezpieczne miejsce. Lorat ich ostrzeże, gdyby zbliżało się niebezpieczeństwo. Jacob poczuł, jak wzbiera w nim gniew, lecz szybko stłumił to uczucie. Ojciec by tego nie pochwalił. „Nie myśl nigdy, że gniew czyni cię niezwyciężonym”.

– Gdzie nekromanta? - Głos Gynwir rozbrzmiał echem.

Jacob obejrzał się, ale nigdzie nie zobaczył Zayla. Kullen już pochylał się nad zamkiem, otwierał przejście i przepuszczał pozostałych.

– Narzekasz na niego od samego Tristram, a teraz się martwisz? - wytknęła jej Shanar.

– Ma sakwę - odparła barbarzynka. - Bez niej nie przyniesiemy Kamienia.

Chwilę później zza zakrętu tunelu wyłoniły się dwie postaci. Zayl obejmował Tyraela w pasie, a archanioł zwisał bezwładnie. Zbroję miał rozłupaną, pierś śliską od krwi.

Mikułow skoczył mu na pomoc. W tej samej chwili gdzieś za nimi rozległ się bojowy okrzyk. Sicarai był blisko; nie wiedzieli, czy niszczyciel może wejść do tunelu, ale jeśli tak, musieli mieć nadzieję, że Lorat go odciągnie. Jacob musiał przeprowadzić wszystkich przez ścianę i zamknąć przejście, zanim będzie za późno.

Zayl i Mikułow już do nich dotarli, niosąc całkiem pozbawionego sił archanioła. Przeszli przez rozmigotaną płaszczyznę. Jacob czekał, aż Gynwir i Shanar pójdą w ich ślady, spojrział jeszcze raz w ciemność i ruszył za towarzyszami.

W przestronnej sali po drugiej stronie złożyli Tyraela na kamiennej podłodze. Błękitne światło pochodni pełgało po ich zmartwionych twarzach. Nekromanta pochylił się nad archaniołem, delikatnie rozsunął przeciętą zbroję i odsłonił paskudną ranę długości dłoni.

Z rany płynęła krew.

Zayl pospiesznie wybrał kilka fiolek i zawiniątek ze swojej sakwy, zaczął pryskać i sypać ich zawartością na pierś Tyraela, cicho przy tym nucąc. Po kilku chwilach powoli przesunął obleczoną w rękawicę dłoń nad raną i zamknął oczy. Jego twarz zrobiła się szara jak popiół. Kiedy zabrał rękę, rozcięcie było zamknięte alabastrową blizną, wyglądającą jak robak pełznący przez pierś archanioła.

W końcu nekromanta pokręcił głową; wyglądał na wyczerpanego i ledwie miał siłę mówić.

– Coś uchroniło go przed śmiertelnym ciosem - oznajmił. - Coś mocniejszego niż zbroja.

Dotknął przedmiotu lśniącego dziwnym, metalicznym blaskiem.

– Ale stracił wiele krwi. Moja magia potrafi leczyć rany i przywróciła mu nieco sił, ale na upływ krwi niewiele mogę poradzić.

– Pomóżcie mi wstać... - stęknął Tyrael.

Otworzył oczy, głos miał ochrypy z bólu, ale mocny. Odepchnął rękę Zayla i schował metalowy przedmiot głębiej pod zbroję, a potem wstał, wsparłszy się na horadrimach. Skrzywił się, ale zapanował nad bólem i powiódł spojrzeniem po zaciętych twarzach towarzyszy.

– Sicarai podniesie alarm, bo uciekliśmy z jego pułapki, a nasz plan zakłada, że do Królestwa Niebios wejdziemy niepostrzeżenie - rzekł. - W Salach Odwagi właśnie zaczyna się ceremonia Wstąpienia, przyjęcia nowego anioła. Mamy niewiele czasu.

– Jesteś za słaby - zaprotestowała Shanar. - Nie będziesz w stanie walczyć.

– Przeżyję - odparł Tyrael. - Musimy iść dalej. To nasza jedyna szansa.

Pozostali popatrzyli po sobie niepewnie.

– Mistrzu Zaylu - odezwał się nieoczekiwanie Humbart - powinni się dowiedzieć o naszym małym problemie, prawda?

– Sakwa została uszkodzona - oznajmił Zayl, którego twarz powoli odzyskiwała kolory. - Odbiłem nią ostateczny cios niszczyciela. Na tyle wystarczyło zawartej w sakwie magii, ale teraz jej moc gaśnie. Nie wiem, na jak długo wystarczy, ale nie zdołamy dostarczyć Kamienia z powrotem do Sanktuarium, zanim wyczerpie się całkowicie.

– A więc niosąc go, ponosisz wielkie ryzyko - powiedział Tyrael. - Niszczycielska siła Kamienia wpłynie na ciebie w sposób, którego nie jesteś w stanie przewidzieć.

– Przyjąłem to zadanie w Nowym Tristram - odparł Zayl - wiedząc, jakie niebezpieczeństwa się z nim wiążą.

Archanioł popatrzył mu w oczy, a potem kiwnął głową.

– Dobrze.

– Nie wiemy, jakie mogą być rezultaty użycia magii w krainie Nieba - powiedział Kullen. - Krew i twoje rany zostaną zauważone, a skoro sakwa została uszkodzona, może powinniśmy. ..

– Nie zaczepią mnie, dopóki nie będzie już za późno - przerwał Tyrael. - Wciąż jestem archaniołem i lepiej niech mieszkańcy Królestwa Niebios o tym pamiętają. Musimy iść. Nie ma innego wyjścia. - Znów się skrzywił i zacisnął usta. - Za mną.





## ROZDZIAŁ 28



### *Sala Odwagi*

W Niebiosach anioły zaczęły gromadzić się na Wstąpienie.

Główna sala w dziedzinie Odwagi pełna była ruchomych, szemrzących kształtów. Auriel i Iterael przebywali z Imperiusem w jego prywatnych komnatach. Wkrótce mieli się pojawić, a nowa anioł zostanie przyjęta w poczet członków Luminarei jako Obrończyni Łuku.

Balzael obserwował wszystko z platformy, z której miał dobry widok na rozległą aulę. Zazwyczaj, kiedy umierał anioł, w Łuku prędzej czy później rodził się nowy na jego miejsce. Taki anioł nie był dokładną kopią utraconego, ale wstępował do tego samego Aspektu Niebios. Taki był niebiański obyczaj, nie licząc jednego wyjątku, kiedy zabity anioł się odrodził - Tyrael po zniszczeniu Kamienia Świata. To było zdarzenie bez precedensu.

Ślepa wierność braci i sióstr wobec dawnych tradycji brzydziła Balzaela. On sam kierował się tradycją i honorem, kiedy odpowiadało to jego celom, jednak uważał, że zdecydowanie zbyt często stają one na drodze postępu.

Na przykład los Sanktuarium. Rada Angiris mogła debatować nad tą sprawą przez czas, który śmiertelnicy mierzyliby tygodniami, miesiącami,

nawet dziesięcioleciami, a tymczasem ludzka zaraza rozpełzałaby się jak plaga, grożąc przechyleniem szal Wiecznego Konfliktu na stronę Piekieł. Balzael nie mógł dłużej czekać, podobnie jak Strażnik. Mieli nadzieję, że Czarny Kamień Dusz wystarczy, ale przyszła pora na bardziej zdecydowane działanie. Zrobią wszystko, co będzie trzeba, by osiągnąć cel.

Kamień Dusz został stworzony przez ludzi i będzie ich zgubą, niezależnie od mącenia Tyraela.

Była w tym swoista poetycka sprawiedliwość.

Pomruk tłumu przybierał na sile. Anioły wpatrywały się w sklepione przejście prowadzące do Sali. Czekwały na pojawienie się Imperiusa. Ale Archanioł Odwagi miał skłonność do dramaturgii i kazał im czekać do ostatniej chwili.

Dla Balzaela czekanie nie było problemem. Wyczuwał coś innego. Coś wisiało w powietrzu - wrażenie, że zaraz wydarzy się coś ważnego, i nie chodziło tu o związanie nowego anioła z Aspektem Odwagi.

Gdzie był Sicarai?

Balzael odwrócił się od widowiska, czując narastający niepokój. Wysłał niszczyciela z powrotem do Sanktuarium już jakiś czas temu. Rozprawienie się z Tyraelem i jego śmiertelną bandą nie powinno zajmować tyle czasu. Jego szpiedzy dużo czasu spędzili, obserwując ludzi z daleka, poznając ich siły i słabości, ich sprzeczki i śmieszne relacje. Naznaczyli nawet jednego z nich, dzięki czemu uzyskali więź z jego śmiertelną duszą.

A ludzie zaprowadzili ich prosto do twierdzy nefalemów, tak jak Balzael przypuszczał. Strażnik uznał, że w razie zmiany planów mogą użyć tej twierdzy. Choć na razie pozostawała niedostępna dla wszystkich oprócz śmiertelników. Nie na długo jednak, bowiem Strażnik już pracował nad tym problemem.

Reszta była błahostką. Szpiedzy Balzaela cały czas wiedzieli dokładnie, gdzie jest drużyna Tyraela, a zasadzka niewątpliwie skończy się rzezią. Wprawdzie Sicarai nie powinien mieć żadnych kłopotów z tak małą grupą niezależnie od okoliczności, lecz Balzael wolał zagwarantować sobie zwycięstwo. Teraz już tylko oczekiwał szczegółowego raportu o masakrze.

Jakby na dany znak coś poruszyło się w półmroku za jego prywatną lożą. Chwilę później wyszedł stamtąd Sicarai. Przy boku miał miecz; na ostrzu widać było matowy ślad krwi.

Balzael poczuł, jak wzbiera w nim duma ze swojego ucznia. Dobrze wyszkolił niszczyciela, nauczył go wszystkich tajników sztuki wojennej. Teraz również uznał w duchu, że Sicarai to broń doskonała.

Ale słowa niszczyciela wszystko zmieniły.

– On uciekł, panie. Czekaliśmy na niego i jego towarzyszy na mokradłach, jak rozkazałeś, ale weszli do podziemi, zanim zdołaliśmy ich zabić.

W jednej chwili tryumf Balzaela zmienił się we wściekłość. Powstrzymał się przed przeszyciem Sicarai jego własnym mieczem jedynie z ciekawości. Jakim cudem tamci po raz drugi pokonali jego najlepszego żołnierza?

Aura anioła błysnęła gwałtownie i przygasła.

– Mów - warknął, świadom, jak groźnie brzmi.

– Ciężko go zraniłem. Śmiertelna krew połała się gęsto. Ale jeden z ludzi użył przeciwko mnie magicznego przedmiotu, odbierając mi siłę na dość długo, żeby zdążyli uciec do katakumb.

– Jakiego przedmiotu?

– Nie wiem. Ale odbił mój zabójczy cios z siłą, której się nie spodziewałem. - Sicarai się zawahał, w jego głosie pojawił się nowy ton. Czyżby to była niepewność? Niemożliwe. – Przez krótki czas trzymały

mnie niewidzialne ręce, a kiedy zdołałem się wreszcie wyrwać, tamci zniknęli. Ścigaliśmy śmiertelników tunelem, ale nie znaleźliśmy ich.

– Weszli do miasta - domyślił się Balzael. - Zaginiona twierdza nefalemów ukryła ich przed wami.

Okiełznał swój gniew, skierował go w bardziej pożytecznym kierunku. Śmiertelnicy byli uwięzieni w podziemnej twierdzy, prędzej czy później musieli wyjść. Wiedział o drugim wyjściu z katakumb, a jego szpiedzy czaili się zarówno tam, jak i na bagnie.

Cokolwiek Tyrael planował, nie mogło się udać. Co do tego Balzael miał pewność...

– To nie wszystko, panie. Twoi żołnierze potajemnie podsłuchiwali ich rozmowy i bardzo dużo się dowiedzieli dzięki swojej więzi z jednym z ludzi, Jacobem.

– Czego się dowiedzieliście, Sicarai? Mów, bo zabiję.

Następne słowa niszczyciela wprawiły go w osłupienie.

– Mamy powody sądzić, że on wybiera się tu, do Niebios. Planują wykraść Kamień.



Droga do studni mądrości była pusta i pogrążona w ciszy. Balzael wyszedł z cienia kolumnady, wciąż wrząc gniewem. Jak mógł być tak ślepy? Spodziewał się, że Tyrael wystąpi przeciwko Niebiosom, ale nie tak szybko - zresztą sądził, że Sicarai wyrznie całą drużynę, zanim to nastąpi.

Upewniwszy się, że jest sam, pospieszył ścieżką do Krynicy. Otwór po Chalad'arze przypominał aniołowi pusty oczodół. Balzael nie miał wiele czasu; Imperius i pozostałe archanioły będą się spodziewać, że Luminarei

pojawi się na ceremonii Wstąpienia. Ale musiał się szybko zobaczyć ze Strażnikiem.

Od czasu ataku Najwyższego Zła Królestwo Niebios nie było już takie same - to był niepodważalny fakt - ale zmiany zaczęły się tak naprawdę dużo wcześniej. Ich ofiarą padły studnie mądrości. Niegdyś ciepła, błoga kraina stała się zimna i martwa.

Jednak trzeba było tylko wiedzieć, jak je obudzić.

Balzael przystanął przy Krynicy i zajrzał w wyschnięty zbiornik. Tu światło było ostrzejsze, wydobywało wszystkie kontury, malowało krajobraz czernią i bielą. Anioł czekał cierpliwie przez długą chwilę, a potem uniósł ręce nad zbiornikiem i przemówił. Nieruchome powietrze niemal całkowicie pochłonęło jego głos. Z początku nic się nie działo, potem gdzieś w dole rozległ się chłopot, który stawał się coraz głośniejszy. Od dołu zbiornik zaczęło zalewać wirujące, migotliwe światło; aż po brzegi wypełnił się kolorami splecionymi w sieć niezliczonych linii, falujących niczym rozkołysana ciecz.

Balzaela przeszedł dreszcz. Patrząc w ten hipnotyzujący wzór, poczuł trwogę zmieszaną z wyczekiwaniem. Robił to już wcześniej i zawsze czuł się jak w chwili narodzin w Łuku, miał wrażenie rozciągających się przed nim możliwości, zarazem był niepewny i wypełniony pulsującą energią, która dawała poczucie niezwyciężoności. Mądrość polegała na dostrzeganiu zależności, których nie widzieli inni. Osnową rzeczywistości była sieć połączeń, ukryty świat, którego trzeba było pilnie strzec. W końcu wiedza to potęga, a taka potęga potrafiła być zaiste bardzo niebezpieczna.

W rozmigotanym świetle pojawił się kształt.

Z początku była to tylko kula ciemności wśród jasnych nici, jakby zawiązany z nich węzeł. Rósł jednak, aż wypełnił prawie cały zbiornik. W przeciwieństwie do bezustannie falującej światłości był nieruchomy, biła od

niego chłodna ciemność, rzucająca na Krynicę pełgające cienie. Zakapturzona postać z pustką ziejącą w miejscu twarzy.

Strażnik.

Rozległ się dźwięk przypominający powolny syk.

– On zmierza tutaj, panie - powiedział Balzael, tonem tak służalczym, że anioł sam się zawstydził. Ale nie potrafił się opanować. - Sicarai i nasi szpiedzy w Sanktuarium to potwierdzili...

– Tak - odparł Strażnik.

– Oczywiście - przytaknął Balzael, nagle niepewny. Czyżby popełnił jakiś straszny błąd? Strażnik nigdy nie mówił wprost, a do tego dziwnie i cicho, przez co jeszcze trudniej było odczytać jego intencje. - Tyrael jest coraz bardziej zdesperowany. Zabijemy go, jak tylko pokaże swoją śmiertelną twarz...

– Nasze plany się zmieniły.

Strażnik milczał przez chwilę. Balzael czekał, wiedząc, że jego pan wkrótce znów się odezwie. W końcu Strażnik poruszył się i archanioł znów usłyszał powolny syk:

– Wysiłki Tyraela tworzą dla nas okazję.

– Nie... nie rozumiem.

– Kamień działa zbyt wolno - wyjaśnił Strażnik. - Nie można dłużej zwlekać z atakiem na Sanktuarium. Trzeba pozwolić horadrimom Tyraela ukraść Kamień. Zobacz, ile na tym skorzystamy.

Jego zakapturzone oblicze zafalowało i znikło, a Balzael runął do przodu, koziółkując w sieć koszmarów i obrazów rodem z najstraszniejszych snów. Zobaczył, jak Tyrael i horadrimowie zabierają Kamień, a on zostaje im natychmiast odebrany. Zanurzył się w bezbrzeżnym lęku, we krwi i płomieniach, a chóralny wrzask ludzkości rozlegał się wokół niego niby symfonia - Strażnik dyrygował nią z wprawą, rwąc ciała i bębniąc kośćmi.

Sanktuarium pękało i zapadało się w sobie, aż została tylko martwa cisza pustej przestrzeni.

Balzael dryfował w niej przez chwilę, pojmując, co musi się wydarzyć. Łączył nici, jedna po drugiej, z pomocą Strażnika. Kiedy wrócił, w studniach mądrości znów panowała cisza. Krynica opustoszała, wszelkie ślady czarnej istoty znikły. Ale Strażnik pokazał Balzaelowi koniec Sanktuarium - i nie tylko to. Anioł jasno ujrzał drogę do zwycięstwa. Choć Tyraelowi udawało się dotąd wychodzić cało z każdego starcia, nie wszystko było stracone. Przeciwnie, Balzael wiedział dobrze, co musi zrobić, by uratować sytuację.

Ale do tego potrzebny był starannie zaplanowany ciąg zdarzeń, a czasu było coraz mniej.





## ROZDZIAŁ 29



### *Królestwo Niebios*

Jacob przeszedł przez portal pierwszy.

Wydawało mu się, że jest gotów; że przewidział wszystkie swoje możliwe reakcje. Ale już pierwsze odczucia go zaskoczyły. Fizyczny ból, pulsujący w kościach niczym gwałtowny, basowy huk wodospadu gdzieś w pobliżu.

Zdał sobie sprawę, że zaciska powieki, nie chcąc widzieć świata, który rozpadał się na kawałki pod jego stopami. Wytrąciło go to z równowagi, ale było niczym w porównaniu z tym, co zobaczył, kiedy otworzył oczy i rozejrzał się dookoła.

Stał na skraju rozległej równiny światła i dźwięku. Blask raził jego oczy, skrzył się niczym odbity od szlifowanego kryształu. Ale nie było to światło ciepłe i przyjazne. Jacob odetchnął suchym, nieruchomym i lodowatym powietrzem. Myślał, że Pustkowia przygotowują go na to, czego tu doświadczy, ale mylił się. Miał watę w uszach, nagle zaschło mu w ustach. Przesunął językiem po wargach, czując każde pęknięcie. Pot płynął mu po karku, przyprowadzając o dreszcze. Piekło go pod powiekami, jak gdyby dostały się tam niezliczone ilości metalowych odprysków.

Załawionymi oczami patrzył, jak przez portal przechodzą następni. Wzdrygali się przed intensywnością światła, zanim jeszcze zdążyli uchylić powieki. Jacob chciał się odezwać, ale nie mógł. Wszystko było większe i bardziej przytłaczające, każde wrażenie po stokroć silniejsze, aż nie do zniesienia.

Wtedy rozległy się szepty.

Z początku Jacobowi wydawało się, że to szelest czegoś wleczonego po kamieniach, może odgłos pełzającego gada. Zmrużył oczy, starając się dokładniej rozejrzeć. Po płaskiej równinie ciągnęły się ścieżki wysypane tłuczniem, prowadzące od jednej płataniny do drugiej. Przypominały łożyska wyschniętych strumieni. Kiedyś coś nimi płynęło, ale dawno już zniknęło.

Znów rozległ się syk. Jacob rozglądał się na wszystkie strony, usiłując zlokalizować źródło dźwięku, ale bez powodzenia. Syczenie zaczynało przypominać słowa w jakimś nieznanym języku. Pomyślał, że może to szum osypującego się piasku albo drobin kryształu osuwającego się wyschniętymi kanałami. Szepty wkradały się w głąb jego umysłu, wydawało mu się, że przez nie traci panowanie nad sobą.

Wezbrały w nim uczucia - strach i żal, smutek i poczucie straty. Głosy się cofnęły, światło rozbłyskiwało w nagłych wybuchach w rytm uderzeń jego serca.

Nieopodal zabłysła jakaś lustrzana powierzchnia. Jacob podszedł bliżej, przyciągany czymś, czego nie umiał nazwać, pragnieniem pozyskania odpowiedzi. Powierzchnią okazała się rtęć w zbiorniku z polerowanego marmuru. Jacob znów poczuł nieprzyjemny dreszcz. Szepty nasiliły się. Słyszał głosy z przeszłości, głosy dawno umarłych ludzi, którzy go nawiedzali. Strata każdego z nich była dla Jacoba niczym mała, krwawiąca rana, a głodny kamień spijał strumienie czerwonej krwi.

Kiedy zajrzał w tę lustrzaną powierzchnię, ujrzał w niej śmierć.

Jego twarz była masą fioletowo-szarych chrząstek i kości. W miejscu oczu ziały dziury. Szczęka zwisała luźno na podobnych rzemieniach ścięgnach.

Odskoczył zdjęty zgrozą, rozejrzał się i wszędzie zobaczył czaszki, połyskujące bielą kości, martwe, ciemne oczodoły, na zawsze wpatrzone przed siebie, żuchwy na wpół zasypane kryształowym piaskiem. Szczątki przyjaciół i bliskich, zimne, puste skorupy.

„Tylko nie to...”

Shanar sunęła ku niemu przez mroźne powietrze, zdała mu się mirażem. Nie rozumiał, co mówi, jakby jej głos dochodził z bardzo daleka. Ujęła twarz Jacoba w dłonie, zbliżyła się.

Dotyk jej ust przeszył go prądem. Jacob został ściągnięty przez samego siebie do tego jednego punktu, wszystko inne zniknęło. Kiedy pocałunek dobiegł końca i Shanar się odsunęła, znów czuł ziemię pod stopami, a dziwny, nowy świat nabrał ostrości.

– Nie zgub się - szepnęła czarownica, patrząc mu w oczy z bardzo bliska.  
- Pieśń potrafi wyciągnąć duszę z ciała.

Jacob pokiwał głową, próbując coś odpowiedzieć. Shanar opuściła dłonie, jeszcze przez chwilę mu się przyglądała.

– Ja żyję - wykrztusił.

Wargi wciąż paliły go od pocałunku. Gardło drapało, jakby nałykał się piachu. Ale Shanar coś z nim zrobiła, przywróciła mu jego środek ciężkości. Światło stało się znośne, szepty ucichły. Ziemia pod stopami znieruchomiła.

Stali w wielkiej sali pełnej krętych koryt połyskującego, kryształowego pyłu, wijących się i opadających niczym wodospady do okrągłych zbiorników. To, co Jacob brał za czaszki, było w rzeczywistości bryłami

marmuru, zaokrąglonymi przez wieki. Wspaniałe, misternie rzeźbione kolumny podtrzymywały łukowe sklepienie wysoko w górze. Powietrze było zupełnie nieruchome; Jacob czuł, że pozostawało takie już od dawna. To było martwe, opuszczone miejsce.

Stojącą nieopodal fontannę wyrzeźbiono z jakiegoś materiału, którego Jacob nie umiał nazwać. Jak pięknie musiała kiedyś wyglądać, gdy z strzelała z niej w górę rozmigotana woda! Jednak i ona od dawna była martwa. Wgłębienie w kamieniu sugerowało, że kiedyś stał w nim jakiś przedmiot, wsuwany jak klucz do zamka.

Jacob odwrócił się do pozostałych. Gynwir wpatrywała się w coś za jego plecami, na jej twarzy lśniły łzy. Zerknęła przelotnie na jego twarz, ich spojrzenia się spotkały i Gynwir odwróciła wzrok. Jacob nie wiedział, czy zajrzała w rtęciowe lustro, nie potrafił nic wyczytać z jej miny. To przez pocałunek? A może też zobaczyła w odbiciu własną śmierć?

Shanar cicho coś do niej powiedziała, kiedy pozostali zebrali się, odzyskując równowagę. Tyrael przeszedł przez portal ostatni. Był blady, zbroję miał rozciętą, na jego opanowanej zazwyczaj twarzy widać było grymas cierpienia. Co mogli osiągnąć bez jego siły? Jacob czuł się nieskończenie mały wobec ogromu świata rozciągającego się za tymi martwymi murami, wobec armii aniołów, która mogła zmiażdżyć ich w jednej chwili.

„Pora, żebyś poprowadził pozostałych”.

Miał wrażenie, że słowa Tyraela rozległy się w jego głowie. W Jacobie zagościło na nowo powątpiewanie.

Nie był gotowy, jeszcze nie.

Nie na coś takiego.



Tyrael dostrzegł niepewność na twarzy Jacoba. Wiedział, że to nie koniec. Studnie mądrości mogły przytłoczyć, ale były niczym w porównaniu z zapierającym dech w piersiach pięknem Ogrodów Nadziei, majestatem Dworu Sprawiedliwości czy potęgą i rozmachem Sal Odwagi. Każdy z tych Aspektów miał też swoje mroczne strony. Ciemność nadejdzie, czy Tyrael tego chce, czy nie, i to będzie ostateczna próba sił.

Czuł znużenie w kościach. Bolało go całe ciało. Rana na piersi tępo pulsowała. Kolana słały ostre ukłucia po nogach i plecach. Każdy krok był męką, każdy oddech - dotkliwym przypomnieniem o własnej śmiertelności. Czuł się odcięty od swoich braci i siostr, sam w świecie, który odtrącił go zarówno jako nieśmiertelną istotę utkaną ze światła, jak i śmiertelnika z ciałem z krwi i kości. Niczego bardziej nie pragnął, niż położyć się i zasnąć, a gdyby nie mógł, chciał poradzić się Kielicha. „Mądrość, zrozumienie, odpowiedzi...”

Mnich dotknął jego ramienia. On jeden zdawał się nieporuszony widowiskowym otoczeniem.

– Powinniśmy szybko ruszyć - przypomniał.

Pozostali przyglądali się im. Tyrael uświadomił sobie, że jego dłoń sięgnęła do ukrytej kieszeni pod zbroją; nieświadomie zamierzał wyjąć Chalad'ara na oczach ich wszystkich.

Opuścił rękę. Kielich był jak bezdenne dziura, w którą spadał, zatracając się, kiedy Królestwo Niebios płonęło. A mimo to Tyrael wciąż go pożądał, pragnął tego, co Chalad'ar mu dawał - ciemności i zapomnienia.

– Nadszedł czas, byśmy udowodnili swoją wartość - zwrócił się do pozostałych. - Jeśli się nie mylę, przybyliśmy w chwili, gdy Luminarei biorą udział w ceremonii Wstąpienia. Magia Shanar nas osłoni, ruszymy najszybciej, jak się da, i wtopimy się w tłum. Musimy ufać, że nie będą

podejrzewali podstęp w naszym świecie. Jacobie, poprowadzisz nas do Ogrodów Nadziei, a stamtąd przez Dwór Sprawiedliwości. Spotkamy tam bardzo niewiele aniołów - tylko te, które zostały na warcie. Archanioły z Imperium będą przygotowywać się do ceremonii w Salach Odwagi. To powinno dać nam przewagę, o ile nikt nie będzie się dokładnie przyglądał żadnemu z nas. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dotrzemy do sali Rady, zanim się zorientują, że coś jest nie tak.

Jacob pokiwał głową. Był blady, mokre włosy lepiły mu się do czoła. W jego spojrzeniu nie było odpowiedzi, nawet cienia odnalezionej w duszy siły. Tyrael odwrócił się do czarownicy. Przyszła pora, by poddać próbie jej umiejętności; zależało od nich powodzenie całej wyprawy.

Shanar wzięła głęboki oddech, jakby się uspokajając. Kiedy uniosła ramiona, energia, która z niej wystrzeliła, zapierała dech w piersiach; skoczyła na spotkanie niebiańskiej światłości, rzuciła jej wyzwanie i wchłonęła ją, zamykając ich wszystkich w sferze trzaskającego żaru, magii, która płynęła z głębi duszy czarownicy i strzelała z jej palców wyładowaniami jaskrawych kolorów.

Zbroje komtura Nahra zaczęły świecić, ich blask ukrył śmiertelne oblicza horadrimów. Urosli, nabrali wyniosłej postawy, zabrzmieli anielską pieśnią, pasującą do majestatu Niebios.

A kiedy Shanar skończyła i sfera zniknęła, wszyscy mieli skrzydła.



## ROZDZIAŁ 30



### *Straż*

Prowadzeni przez Jacoba horadrimowie jeden za drugim opuścili studnie mądrości. Dziedziniec, na który wyszli, był pusty. Kamienny bulwar, o wiele szerszy niż największa droga, jaką Jacob w życiu widział. Idealnie wypolerowane kamienie lśniły. Po obu stronach ciągnęły się szpalery drzew ze światła, których konary się kołysały, mimo iż powietrze ani drgnęło. Przy każdym ruchu gałęzie grały delikatnie, a ich muzyka doprowadziła Jacoba niemal do łez. Tyrael nazywał to Pieśnią Łuku. Była przejmująca.

Zza najwyższych gałęzi widać było majestatyczne, strzeliste iglice Srebrnego Miasta, których wysokość przyprawiała o zawrót głowy. Wyglądały jak ze snu, a zarazem każdy ich szczegół był niesamowicie wyraźny, widoczny z ostrością, która świadczyła o zupełnie innym poziomie rzeczywistości. Jacob miał wrażenie, że jego zmysły działają teraz wielokrotnie sprawniej i intensywniej. Poczuł, że drżą mu nogi; siłą woli zapanował nad sobą, zmusił się, żeby głęboko oddychać, nie myśleć o niczym z wyjątkiem stawiania kroku za krokiem.

„Nie zgub się. Pieśń potrafi wyciągnąć duszę z ciała”. Na ustach wciąż czuł ślad pocałunku Shanar, a mgliste wspomnienie dotyku pomogło mu



pamiętać.

Obejrzał się za siebie i zdumiał go jej talent. Zobaczył oddział maszerujących w szyku Luminarei, falujące skrzydła i cudownie brzmiące anielskie pieśni, ciała z czystego światła pod złocistymi zbrojami i kapturami. Tyrael jasno stwierdził, że niezależnie od zdolności Shanar iluzja mogła zmylić anioły z daleka, ale nigdy z bliska. Powodzenie planu opierało się na tym, czy uda się im dotrzeć do sali Rady, omijając mieszkańców tej dziedziny. Mimo to widok był imponujący. Żaden człowiek nie zdołał nigdy odtworzyć anielskiego brzmienia; żaden człowiek nigdy go nawet nie zrozumiał.

Jacob czuł się jak sarna stąpająca między śpiącymi wilkami. Tylu rzeczy nie przemyśleli, tyle rzeczy mogło pójść źle. Nawet gdyby udało się im dotrzeć do Kamienia, czy mogli liczyć, że wrócą z nim do portalu?

Skupił się na bezpośrednim otoczeniu. Coś było nie w porządku z jednym z drzew - cienka, szara nić oplatała je na całej wysokości, splatała się z innymi nićmi i biegła przez najgrubszą gałąź na sam czubek. Po lewej zobaczył następne, na którym świetlne pędy przeplatała szarość. Przeszył go zimny dreszcz. Czarny Kamień Dusz sączył swój skażony jad w Królestwo Niebios.

Jacob modlił się, żeby nie przybyli za późno.

W pewnej odległości przed nimi na bulwar wyszedł samotny Luminarei. Nie zwrócił uwagi na maszerujący oddział, ale Jacob skręcił szybko w lewo, prowadząc horadrimów między drzewa, gdzie pozostawali nieco osłonięci.

Słyszał, że z tyłu zbliża się ktoś jeszcze.

Znajdowali się na małym skrawku przestrzeni, osłonięci z obu stron drzewami. Przystanęli. Nie mogli ryzykować dalszego marszu, dopóki Luminarei ich nie miną. Usłyszeli, jak jeden z aniołów woła do drugiego:

– Spóźniłeś się! Balzael będzie wściekły, jeśli cię złapie.

Drugi odpowiedział coś, czego Jacob nie usłyszał.

– Mam lepszy pomysł - powiedział na to pierwszy. - Chodź ze mną! Kazali mi znaleźć kogoś do pary, żeby odprowadzić Gealit do Sal Odwagi. Minęła dwór oraz ogrody i jest w bibliotece, kończy zwiedzanie.

Drugi znów coś powiedział. Jacob usłyszał wyraźnie, kiedy anioł podszedł bliżej:

– ...skróttem przez ogrody, szybciej dotrzemy do Sal Odwagi.

– Wtedy cię zobaczy - odparł pierwszy. - Chodź. Będiesz moim pomocnikiem, Balzael się nie zorientuje.

Strażnicy się oddalili, a Jacob odetchnął z ulgą. Jeśli mapa była dokładna, ogrody powinny rozciągać się za tymi drzewami. Gdyby strażnicy wybrali tę drogę...

Ale nie wybrali. Jak dotąd szczęście horadrimom sprzyjało.

Migotliwe konary światła i dźwięku kołysały się im nad głowami, muzyka pieściła umysły niczym łagodna, ciepła dłoń, każde uderzenie serca zgrywało się z omywającymi ich dźwiękami. Zanim ruszyli do ogrodów, Jacob odruchowo przeliczył członków drużyny. Jednego zabrakło. Przeliczył ponownie, tym razem wolniej. Siedmioro, razem z nim.

Kogoś brakowało.

Z przestraczem uświadomił sobie kogo.

„Nie ma nekromanty”.

A sakwa, jedyny sposób, żeby wynieść Czarny Kamień Dusz z Królestwa Niebios, zniknęła razem z nim.



## ROZDZIAŁ 31



### *Biblioteka Losu*

Zayl krył się po drugiej stronie drogi. Drugi strażnik pojawił się po prawej stronie, tak nieoczekiwanie i tak blisko, że nekromanta nie miał wyboru. Musiał oddzielić się od pozostałych i schować w znacznie rzadszym szpalerze drzew po lewej. Starał się nie poruszać i czujnie obserwował rozmawiających strażników. Nie mógł ryzykować przejścia na drugą stronę, bo znalazłby się na widoku. Luminarei w końcu odeszli bulwarem, ale trwało to dobrą chwilę, zanim Zayl mógł bezpiecznie przebiec na drugą stronę w kierunku pozostałych. Wtedy już nie było.

Miał dwa wyjścia - spróbować pójść za drużyną, nie wiedząc, którą dokładnie weszli do ogrodów ani jak daleko zaszli, i zaryzykować zwrócenie na siebie uwagi i zdradzenie swojej drużyny, albo pójść bulwarem samotnie. W ten sposób mógłby się trzymać drzew i swobodniej obejść skraj ogrodów. Gdyby pozostałych horadrimów złapano, on miałby jeszcze jakąś szansę.

Zawsze lepiej sobie radził w pojedynkę.

Czuł, że Humbart dąsa się pod zbroją, ale przynajmniej ten jeden raz czaszka milczała. Poczynania Zayla mogły szybko skończyć jego czas

spędzony wśród żywych, ale nie miał innego wyjścia; jeśli takie było jego przeznaczenie, musiał się z nim pogodzić.

„Tyle że sakwa musi dotrzeć do sali Rady, żeby można było wynieść Kamień”.

Zayl nie bał się śmierci, ale nie mógł się narażać; powodzenie misji było najważniejsze. Równowaga między światłem a ciemnością musiała zostać zachowana. Wrócił pamięcią do innej konfrontacji, kiedy stanął twarzą w twarz z nekromantą imieniem Karybdus, wierzącym, że światło zyskało zbyt wielką potęgę i że trzeba zwiększyć wpływy ciemności, przyzywając demona Astrogha. Karybdus wybrał niewłaściwą drogę, ale sama koncepcja była słuszna i zgodna z podstawą wiary kapłanów Rathmy: „Utrzymuj Równowagę”.

Zayl zawsze walczył po stronie światła, ale zastanawiał się w duchu, co by zrobił, gdyby doszedł do wniosku, że anioły robią się zbyt potężne.

Czy zwróciłyby się przeciwko nim?

Teraz miał odpowiedź. Sanktuarium również było kluczowym elementem równowagi. Gdyby zostało zniszczone i Królestwo Niebios zdobyło przewagę nad Płonącymi Pieklami, Równowaga rozplynęłaby się w chaosie. Gwałtowna śmierć miliona dusz zmieniłaby ją na zawsze.

Nie mógł na to pozwolić.

Ruszył między drzewami wzdłuż szerokiego bulwaru w kierunku Srebrnego Miasta. Niepokoiło go jeszcze jedno - nie miał pojęcia, jak długo utrzyma się działanie czaru Shanar, skoro się od niej oddalał. Na razie był osłonięty iluzją, ale jak długo utrzyma się ten stan?

Nie była to pocieszająca myśl.

Między gałęziami mignęli mu dwaj strażnicy. Przeszli pod gigantycznym sklepieniem łukiem z połyskliwego kamienia. Echo przyniosło mu słowa ich rozmowy. Zaciekawiony przyspieszył, chcąc jak najwięcej usłyszeć.

– Eskorta na Wstąpienie to zaiste zaszczyt - mówił pierwszy. - Balzael przyjmie cię na audiencji, a jeśli będziesz miał szczęście, może pojawi się sam Archanioł Odwagi. Mało któremu z nas, żołnierzy, trafia się taka szansa.

– Słyszałem, że Gealit jest piękna, choć sam jej nie widziałem - odparł drugi. - Podczas jej narodzin kazano mi stać na warcie przy Kręgu. Samotnie, pozwolę sobie dodać. To była kara za niepowodzenie na drugiej próbie.

– Piękna, tak. Ale coś jest z nią nie tak. Zobacysz, o co mi chodzi, kiedy dotrzemy do Biblioteki.,.

Ich głosy ucichły, kiedy zniknęli w hallu z kolumnami. Zayl przystanął w miejscu, gdzie kończyła się osłona drzew. Miał przed sobą około trzydziestu stóp otwartej przestrzeni dzielącej go od łuku i sali, teraz pustej.

– Nie zrobisz tego, co myślę... - mruknął Humbart. - Zobaczą cię, chłopcze! Pamiętaj o zadaniu.

Ale Zayl już wychynął spod osłony, stanowczym krokiem przemaszerował pod łukiem i wszedł do chłodnego wnętrza.

Uskoczył za kolumnę i rozejrzał się dookoła. Cuda, które widział wcześniej, bladły w porównaniu z tym, co malowało się przed nim teraz. Po prawej stronie, tej bliżej ogrodów, strzeliste przypory ciągnęły się pozornie bez końca wspierane potężnymi kolumnami rzeźbionymi misternie w postaci o konturach wyrysowanych światłem migoczącym jak kryształ, dzięki czemu wydawały się nieustannie poruszać.

Zayl ruszył między kolumnami, trzymając się skraju gigantycznej sali i w miarę możliwości unikając światła. Wszędzie rozbrzmiewała muzyka tak piękna, że w jego sercu obudziła się tęsknota za tym, co pozostawił za sobą. „Salene”, pomyślał i ujrzał ją przed oczyma. Jej piękne, żywe oczy zagładające mu w twarz, jakby pytała, czemu ją porzucił. Jako kapłan

Rathmy wierzył, że jego życie potoczy się najbardziej odpowiednią dla niego ścieżką i skończy, kiedy przyjdzie pora, nie wcześniej. Teraz jednak zaczął wątpić w przeznaczenie; zastanawiać się, czy nie zszedł z wyznaczonej mu drogi. Zobaczył matkę i ojca stojących na dziobie płonącego statku, wzywających go na pomoc. Zginęli z jego winy, to on wzniecił ogień. Może los przestał mu sprzyjać? Może stało się to właśnie w tamtym momencie? A jeśli wszystko było iluzją? Poświęcił swoje życie Trag'Oulowi, Strażnikowi Sanktuarium, wierzył całym sercem w przemianę Rathmy, by służyć Równowadze. Wielki smok przetrwał jako gwiazdozbiór mówiący o ludzkiej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, a każda z nich istniała wyłącznie dzięki Równowadze. Światło i ciemność, Królestwo Niebios i Płonące Piekło, między nimi Sanktuarium niczym języczek u wagi... Równowaga musiała zostać zachowana. To dlatego tu był i ryzykował życiem. Teraz jednak nie mógł uwierzyć, że tak rzadko kwestionował nauki starszych, nigdy się nie zastanawiał, czy może Trag'Oul nie był wytworem skrzywionego umysłu pierwszych nefalemów, zagubionych, znękanym i ściganym przez rodziców Zayla na koniec Sanktuarium i dalej.

„Wiesz, że nauki Rathmy są prawdą - powiedział z uporem cichy, trzeźwy głos w jego głowie. - Twoje moce są tego dowodem; pozwoliły ci zaglądać do innego świata, przywoływać umarłych, wyczuwać Równowagę we wszystkich rzeczach”. Nawet Humbart, duch, którego Zayl wskrzesił i zaklął w czaszce, był potwierdzeniem, jak wiele nekromanta się nauczył i co było możliwe. A jednak wszystko to wydawało mu się oszustwem, wielkim kosmicznym żartem, zaś jego życie - nieustanną wędrówką, pozbawioną większego celu, a także przyczyny innej niż złudzenia.

Do Zayla powoli dotarło, że muzyka się zmieniła, pojawiło się w niej głębsze, bardziej złożone tło. Ciężar przygniatał mu ramiona. Otrząsnął się

nagle. Co go opętało? Przeszedł spory kawałek, nawet o tym nie wiedząc. Dwaj strażnicy znów byli w zasięgu jego wzroku, ale na szczęście żaden jeszcze się nie obejrzał.

Przystanęli pod wielkimi drzwiami. Zayl podkradł się najbliżej jak śmiał i przyczał za kolumną. Czuł się niemożliwie mały, nic nieznaczący, jak drobina pyłu wobec całego świata. Gdzie był Trag'Oul teraz, w godzinie największej próby? Gdzie się podziąła wiara kapłana Rathmy?

Drzwi przed Luminarei zostały otwarte przez anioła. Nie był odziany w zbroję i miał kobiece kształty. Powłóczyste szaty obejmowały światłość jej istoty łagodnymi krzywiznami. Głos anioła zawtórował muzyce w idealnej harmonii, a patrzenie na nią było jak spoglądanie prosto w słońce.

– Po co przyszliście? - spytała.

– Odpowiedzieć na nasze powołanie - odparł pierwszy strażnik. - I zaprowadzić Gealit ku światłu.

– Ona czeka - oznajmiła anioł. - Los stoi przed wami otworem.

Biblioteka Losu. Serce Zayla zatrzepotało w piersi niczym ptak. Oczywiście, zbliżając się do tego miejsca, odczuwał wpływ Biblioteki - los zmieniający się w tęsknotę, przeznaczenie w przypadek, tak jak ostrzegął Tyrael. „Królestwo Niebios może oddziaływać na ludzi w sposób, którego nie jesteście w stanie pojąć”.

Strażnicy wyminęli anioła i weszli do jaśniejszej sali. Zaylowi przeszło przez myśl, by iść za nimi, ale anioł pozostała na swoim miejscu. Zobaczyłaby go, a był za blisko, by iluzja Shanar się obroniła.

Nekromanta spojrzął na swoje dłonie. Okrywający je biały ogień trzepotał.

Magia czarownicy słabła. Zaylowi skończył się czas.





## ROZDZIAŁ 32



### *Ogrody Nadziei*

Jacob rozglądał się zdumiony. Wyszli spod osłony drzew i ujrzeli przed sobą najbardziej niewiarygodny krajobraz, jaki Jacob kiedykolwiek widział.

Ogrody Nadziei.

Nic - nawet w wyobrażeniach z jego najśmielszych snów - nie mogło się z tym równać.

Ziemia była oprószone kwiatami o wielobarwnych świetlnych płatkach. Kwiaty zmieniały się bezustannie, gęste klomby lśniły jasno, po czym przygasały, zastępowane przez inne rozkwitające wybuchami barw. Żywe fontanny światła i dźwięku, krystaliczne formy przypominające roziskrzony krzewy wyrastały spomiędzy kwiatów i słały kaskady krętych pędów. Sdzawki wokół fontann chwytaly migotliwe kurtyny światła i pyłu, iskrząc jak wysadzone klejnotami.

Widok zapierał dech w piersiach. Jacob poczuł przypływ otuchy, prawie jakby oderwał się od ziemi, muzyka napełniła jego znużone ciało energią, wydawało mu się, że jest lekki i wolny. Wszystkie mroczne sny, które lepiły się doń niczym pajęczne sieci, wszystkie tragedie z przeszłości, śmierć ojca i matki, utrata pewności siebie i celu - wszystko to zniknęło. Ogrody pieściły

jego ciało, szeptały o miłości i pokoju. Nie był już samotny i nigdy więcej nie musiał być; gdziekolwiek pójdzie i cokolwiek zrobi, to miejsce zostanie w nim na zawsze. Raj...

– Czyhają tu wielkie niebezpieczeństwa - ostrzegł ich cicho Tyrael. - Uważajcie, żeby nie zatracić się w pięknie tego, co widzicie i czujecie. Pamiętajcie, że nadzieję łatwo utracić, łatwo zmienić w rozpacz. Pamiętajcie, że nie zostaliście stworzeni, by doświadczać tego ogrodu.

Jacob drgnął i ocknął się, ale poczucie błogości go nie opuściło.

W Ogrodach Nadziei były inne istoty.

W oddali bezgłośnie sunęły anioły, inne siedziały bez ruchu na ławkach wśród kwiatów albo zaglądały w świetlne sadzawki, jakby tkwiły tu od wieków. Żaden nie nosił zbroi; miały na sobie szaty koloru porannej mgły. Były pięknymi, wytwornymi istotami, zdradzającymi perfekcję formy wykraczającą poza granice tego, co pojmowało Sanktuarium.

Żaden jednak nie rozpoznał ani nie zaczepił horadrimów. Byli dla nich oddziałem anielskich żołnierzy, maszerujących na ceremonię Wstąpienia. Czar Shanar wciąż się trzymał.

– Co z sakwą?

Jacobowi zdawało się, że to Gynwir zadała pytanie, ale nie miał pewności. Czar oddziaływał również i na zmysły członków drużyny i Jacob widział tylko żołnierza Luminarei o łagodnie falujących skrzydłach.

– Zayl znajdzie drogę do sali Rady - odparł Tyrael. - Jeśli nie, poniesiemy Kamień gołymi rękami.

Pozostali milczeli. Wszyscy wiedzieli, że dotknięcie Kamienia bez osłony równało się bolesnej i okrutnej śmierci. Ale Jacob nie potrafił się przejąć tą myślą. Łagodna muzyka i panujący wszędzie spokój wciąż kołysały jego obawy.

Ścieżki z tłuczonego kryształu wiły się między klombami, wokół niby-drzew i sadzawek. W oddali, w falującym jak od gorąca powietrzu, widać było grube mury i strzeliste wieże Dworu Sprawiedliwości.

Jacob poprowadził drużynę ścieżką wśród zwisających pędów żywego światła. Kiedy przechodził pod wysokim, krystalicznym niby-drzewem, delikatna gałązka musnęła go po głowie. Ciepło rozlało się po całym jego ciele. Gwałtownie nabrał powietrza - głowę nagle miał pełną obrazów siebie samego jako małego chłopca. Wspomnienia były żywe i świeże, z czasów, zanim plaga szaleństwa ogarnęła Staalgard; kiedy jego matka i ojciec żyli w pokoju. Ojciec, konstabl, był wtedy spokojny i zrównoważony; był człowiekiem, na którym można polegać, nigdy niedziałającym pochopnie, zawsze wysłuchującym obu stron sporu przed rozstrzygnięciem na korzyść jednej lub drugiej. Mury miasta były dzięki niemu mocne i bezpieczne.

Następny pęd otarł się o ramię Jacoba, budząc w horadrimie dreszcz. Wspomnienia o ojcu zrobiły się krwawe i mroczne. Jacob wpadł w sieć czasu i przestrzeni, z której nie było wyjścia. Jego ojciec spłodził syna, który nie mógł uciec przed własną przeszłością; plaga szaleństwa, która zniszczyła jego rodzinę, była tylko objawem czegoś głębszego, bardziej zepsutego - jakiejś słabości charakteru, przed którą Jacob nie mógł uciec, choćby starał się ze wszystkich sił.

Znów poczuł delikatną pieśczętę świetlistej rośliny, tym razem na policzku. Przywodziła na myśl dotyk chłodnych, bezwładnych palców trupa. Ujrzał wisielców na murach Staalgardu, usłyszał śmiech ojca, niosący się echem po pustych ulicach. Zobaczył hordy barbarzyńców, niosące runy barwy ognia, szturmujące mury z mordem w oczach, fala za falą. Ujrzał demony, które zajęły ich miejsce, gdy owe mury padły.

Nie dało się ich powstrzymać, nie było końca szaleństwa i krwi. Jego rodacy byli wyrzynani, jeden po drugim.

Cienkie, szare sieci zwisały wszędzie, oplatały świetliste drzewa, spływały z nich niczym duszący koc na zagony kwiatów. Po sieciach biegały tłuste, włochate pająki, ich ślepia odbijały blask sadzawek, kły ociekały jadem. Jacob obejrzał się za siebie, na sadzawkę, która odbijała horror rozgrywający się w jego głowie, obnażała prawdę. Zobaczył zmasakrowanego trupa Shanar obok własnego. Nie było nadziei na odkupienie, nie było przyszłości poza tym miejscem. Zagubił się wśród duszących sieci.

Wrzasnął.



Wrzask roztrzaskał błogość ogrodów niczym siekiera szybę. Horadrimowie zamarli w pół kroku, a anioły, które spacerowały albo siedziały pogrążone w milczącej kontemplacji; teraz popatrzyły w stronę drużyny. Mieszkańcy Niebios nie chorowali, ale zdarzało im się cierpieć od ran i z niepokoju, udawały się więc do ogrodów, by wyzdrowieć i odnaleźć ukojenie. Nie były zachwycone takim zamieszaniem.

Tyrael bezgłośnie zaklął. Pokonali ponad połowę drogi przez ogrody, kiedy Jacob odskoczył od zwisających pędów jak oparzony. Archanioł wiedział, że może do tego dojść, zwłaszcza tutaj, gdzie obietnica nadziei mogła szybko zmienić się w coś zgoła przeciwnego, zwłaszcza jeśli ktoś nie był gotów zaglądać w głąb siebie.

Coś jeszcze było nie tak. Tyrael przyjrzał się dokładniej. Gałęzie drzewa, pod którym stał Jacob, obrosły cienkie, szare pędy, tak delikatne, że prawie

niewidzialne - były niczym rysy grubości włosa na jasnych świątłach ogrodów. Ale rozprzestrzeniały swoje zepsucie jak straszną chorobę.

Kamień tu dotarł.

Zasięg zepsucia zmroził serce Tyraela. Królestwo Niebios zostało skażone i nie sposób przewidzieć, ile czasu trzeba będzie, by ten proces odwrócić, kiedy już zabiorą stąd Czarny Kamień Dusz.

Miał jednak pilniejszy powód do zmartwień. Iluzja Shanar zaczęła blaknąć jak miraż znikający w oddali, a spod niej przeświecały śmiertelne postacie horadrimów.

Kilkoro aniołów ruszyło w ich stronę. Nie byli to żołnierze, ale mogli podnieść alarm. Jeśli Tyraelowi nie uda się dotrzeć do sali Rady przed pojawieniem się Luminarei, nie będzie już żadnej nadziei.

– To ty.

Anioł o kobiecych kształtach zatrzymała się niedaleko. Jej aura pulsowała delikatnie, skrzydła falowały.

– Oskarżono cię o zdradę. Imperius polecił każdemu, kto cię zobaczy, zameldować o tym straży.

– Cokolwiek słyszałaś, jesteś w błędzie. Byłem w Sanktuarium z sekretną misją, której szczegóły nie powinny cię interesować.

– Ja... - Nagle anioł popatrzyła na pozostałych i wzdrygnęła się. - Ich pieśń... To nie są Luminarei!

Jacob zatoczył się w tył, potknął o krawędź zbiornika, chwiał przez chwilę, usiłując odzyskać równowagę, a potem runął w sadzawkę światła.

Jej lustrzana powierzchnia rozpadła się na wiele barwnych płaszczyzn, kiedy staalgardczyk się w niej zatopił. Zbiornik nie był głęboki, ale kiedy światłość zakryła Jacoba, ten szarpnął się gwałtownie i znów wrzasnął, opędzając się przed czymś, czego Tyrael nie widział. Shanar podbiegła do niego, chwyciła go za rękę i próbowała go wyciągnąć. Kolejne anioły

ruszyły w ich stronę. Jacob się opierał, ale czarownica ustawiła go do pionu, trzymając za zbroję.

Jeden z aniołów krzyknął, zaszokowany i skonsternowany.

Skrzydła Jacoba zniknęły.

Czar rozpadał się coraz szybciej. Wszelki pozór porządku rozpływał się w chaosie, prawdziwi Luminarei spadną im na karki lada chwila.

Tyrael podjął decyzję w ułamku chwili.

– Uciekajcie!





## ROZDZIAŁ 33



### *Bitwa się rozpoczyna*

Zayl schował się głębiej za kolumnę. Przez lata nabrał wprawy w ukrywaniu się. Ale było to doraźne rozwiązanie większego problemu - czar Shanar przestawał działać.

Chwilę później wielkie drzwi znów się otworzyły i wyszło z nich dwóch strażników. Skinęli głowami aniołowi, odstępili na bok i znieruchomieli sztywno, wyprężeni.

Z Biblioteki wyszedł kolejny anioł.

Zayl musiał przyznać, że uroda Gealit zapiera dech w piersiach. Jej aura była jasna i wyrazista jak poranne słońce w pogodny wiosenny dzień, lekkie, złociste szaty układały się wspaniale łagodnymi fałdami na ulotnym ciele. Szerokie, zwężające się ku końcom skrzydła unosiły się za nią w powietrzu, falowały, jakby w każdej chwili miała wzbić się do lotu.

Jednak Zayl przelotnie dostrzegł w niej coś dziwnego - ciemniejsze zabarwienie koniuszków skrzydeł, jakby uczepił się ich jakiś cień.

– Los to twój ostatni doradca - powiedziała anioł przy drzwiach. - Przekazuję cię pod pieczę Obrońców Łuku. Będą cię prowadzić, gdy

wstąpisz w szeregi Odwagi i przysięgniesz służyć temu Aspektowi do końca twoich dni, dopóki nie zginiesz. Czy jesteś gotowa?

– Jestem - odparła Gealit.

– Bardzo dobrze. - Anioł odstąpiła w bok. - Przyjmij więc swój los i obyś znalazła spokój.

Zniknęła z powrotem za drzwiami. Luminarei ruszyli naprzód, prowadząc Gealit między sobą. Zayl prześlizgiwał się od kolumny do kolumny, trzymając się tak blisko nich, jak tylko śmiał. Póki co szczęście mu sprzyjało. Nie słyszał żadnych ostrzegawczych krzyków, nie zanotował żadnych nagłych reakcji. Oddalali się od Biblioteki, w głąb rozbrzmiewającego echem korytarza.

Szli prosto ku Salom Odwagi i armii Luminarei.



Strażnicy i Gealit szli w milczeniu, zbliżając się do skrzyżowania z innym ogromnym, pustym korytarzem. Skręcili w prawo. Daleko przed nimi korytarz kończył się otwartym dziedzińcem. Za łukami rozciągał się bezmiar przepięknych ogrodów niczym łąka usiana migotliwymi klejnotami.

Zayl zatrzymał się gwałtownie. Horadrimowie, już bez swoich fałszywych skrzydeł, biegli co sił, ścigani przez lecące anioły.

Strażnicy też ich zobaczyli. Jeden krzyknął z zaskoczeniem, zwolnił i ruszył w poprzek korytarza do otwartych łuków - wprost na kryjówkę Zayla.

Nekromanta wyciągnął z pochwy kościany sztylet. Broń o falistej kłindze była zaklęta magią podarowaną nekromantom przez Trag'Oula, wielkiego smoka. Nekromanci posługiwali się duchową energią umarłych. Zayl

używał swojego sztyletu już wiele razy na dużo różnych sposobów, ale nie próbował jeszcze przyzywać jego mocy tu, w Królestwie Niebios, nie miał więc pojęcia, co się stanie.

Przyszła pora się przekonać.

– Hej, ty tam - usłyszał słowa strażnika, który zatrzymał się nagle, wpatrzony w cień, w którym czał się Zayl, i dobył swojego miecza, szkaradnego, jaśniejącego ostrza, tak jaskrawego, że nekromanta aż się skrzywił. - Jesteś jednym z nich.

Zayl został odkryty, nie miał szans nigdzie się schować. Wymruczał pod nosem zakłęcie, najszybciej jak śmiał. Nie miał czasu na normalne przygotowania, nakreślenie run na kamiennej podłodze, ale przyzywanie duchów najpewniej nic by nie dało, spróbował więc czegoś innego.

„Trag’Oulu - pomyślał. - Wielki smoku, usłysz mnie...”

Strażnik zaatakował, tnąc z góry, a Zayl się zasłonił. Kościany sztylet zwał się ze świetlistym mieczem; między nimi wykwitł nagły rozbłysk mocy i światła. Nekromanta poczuł, że uginają się pod nim nogi, i przygotował się na ból...

Ale anielskie ostrze nie zagłębiło się w ciało nekromanty. Maleńki, kościany sztylet je zatrzymał. Strażnik zdawał się zbity z tropu, uderzył raz jeszcze. I znowu. Zayl parował ciosy, cofając się krok po kroku ku ogrodowi. Luminarei nacierał. Nekromanta szybko opadał z sił, mięśnie drżały mu z wysiłku. Usłyszał wołanie drugiego strażnika w korytarzu i opanował chęć, by obejrzeć się przez ramię. Chwila nieuwagi oznaczała pewną śmierć.

Aż do tej pory Zayl tylko się bronił. Ale w każdej chwili mógł spaść nań drugi Luminarei, odbierając mu nawet te nikłe szanse na przetrwanie, jakie nekromanta miał teraz. Jeśli Zayl chciał uciec, musiał działać szybko.

Ale Trag'Oul milczał, a duchów zmarłych tu nie było. Pomoc nie nadchodziła. Zayl musiał poradzić sobie sam.

Ujrzał przed sobą twarz, wyraźną i pełną. Salene. W jednej chwili wizja zniknęła. Zayl zobaczył czarnoskrzydłe potwory unoszące Salene w mrok nocy, widział jej ciało, porwane ku ciemnemu niebu; ujrzał przed sobą jej nierzeczywistą postać, przywołaną z martwych przez rzadki atak rozpaczy. Tak, kochał ją, wbrew naukom, które miały wyplenić takie uczucia z jego duszy, i być może to właśnie czyniło go człowiekiem.

Strażnik dostrzegł swoją szansę i uderzył. Zayl podniósł sztylet w ostatniej chwili i siłą woli skierował siebie w krętą kość, przywołując moc, która czaiła się w jego piersi niczym sprężona do skoku żmija. Jednocześnie przypomniał sobie, co Tyrael mówił im o nefalemach, o krwi aniołów i demonów, która zmieszana płynęła w ich żyłach. Był swoją własną najpotężniejszą bronią i zamierzał to teraz wykorzystać.

Miecz uderzył w kościany sztylet przy wtórze ogłuszającego huku i eksplozji mocy. Zamiast odrzucić od siebie tę energię, Zayl wymówił na głos słowa zaklęcia. Ostrze natychmiast zaczęło wchłaniać wszystko, co Luminarei mógł mu dać, karmiło się jego esencją, jak krwiopijca wysysało świetlistość.

Sztylet lśnił groźnie, a strażnik opadł na kamienną podłogę. Została z niego tylko pusta zbroja. Kiedy drugi Luminarei dopadł nekromanty, Zayl wypuścił skupiony ładunek energii, która trafiła anioła w pierś. Strażnik przeleciał przez korytarz, uderzył w ścianę naprzeciwko i znieruchomiał.

Nekromantę wciąż mrowiło całe ciało, wciąż czuł resztki krążącej w nim esencji. Nowy anioł, Gealit, stała bez ruchu kilka kroków od niego.

– Mnie też spróbujesz zabić? - spytała. W jej głosie słychać było zaciekawienie, postawa znamionowała zdumienie, nic więcej. - Jestem nieuzbrojona. Ale przekonasz się, że nie dasz rady walczyć dalej.

– Nie przybyliśmy tu zabijać - odparł Zayl. - Jesteśmy tu, by wszystkich was ocalić.

– W takim razie popełniliście wielki błąd - powiedziała Gealit.

Jej świetliste ciało pod szatą zaczęło puchnąć i rosnąć. Ciemność zawirowała gęściej, skrzydła zatrzęszczały od energii bynajmniej nie czystej, lecz skażonej złem. Wyglądało to, jakby anioł zrzucała powłokę światła, odsłaniając czarne wnętrze.

Zayl poczuł dygot Równowagi. To była ohyda, coś, co nie powinno istnieć. Odruchowo przelał wszystkie resztki zebranej energii w ostrze i pchnął nim w jądro istnienia Gealit.

Anioł zaskrzeczała. To był okropny, pełen wściekłości odgłos. Czerń rozlała się wokół sztyletu Zayla, ale nekromanta trzymał go oburącz. Zacisnął tylko zęby, czując lodowate palce ciemności. Chwila zdawała się ciągnąć w nieskończoność, aż w końcu mrok znikł i Zayl został sam.



## ROZDZIAŁ 34



### *Zabójcze starcie*

Tyrael biegł za Thomasem i Kullenem. Pozostali dotarli już prawie do olbrzymich kolumn, znaczących początek Dworu Sprawiedliwości, ale Kullen zostawał coraz bardziej z tyłu, sapiąc i dysząc, a Thomas zwolnił, żeby na niego poczekać.

Tyraela paliły płuca przy każdym oddechu, serce tłukło mu się w piersi, świat zaczynał wirować przed oczami. W normalnych okolicznościach wyprzedziłby ich wszystkich bez większego trudu, ale rana na piersi i utrata krwi niebezpiecznie go osłabiły.

Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że najbliższy z lecących aniołów jest już niebezpiecznie blisko. Anioł uzbrojony był w groźnie wyglądające zakrzywione ostrze o świecącym białym sztychu. Tyrael po raz kolejny dobył broni, gotów się z nim zetrzeć, żeby dać horadrimom więcej czasu. Ale w głębi serca wiedział, że to próżny trud. Zlatywały się ku nim inne anioły i było ich zbyt wiele, aby mógł z nimi walczyć.

A więc tutaj to wszystko się skończy. Wyprawa, która rozpoczęła się z chwilą, gdy oderwał sobie skrzydła i postanowił spaść do Sanktuarium jako śmiertelnik, stanąć po stronie ludzi. W zamierzeniu akt ten miał zbliżyć do

siebie ludzkość i anioły, pokazać im wzajemne mocne i słabe strony, wykuć wieczny pokój i niezłomny sojusz przeciwko siłom ciemności. Anioły i ludzie, wszechwładni. Teraz wizja ta wydała mu się absurdem. Kielich go zawiódł; Tyrael prosił o mądrość, a dostał tylko rozpacz.

„A może nie”, pomyślał. Chalad’ar pokazał mu śmierć. Może taki koniec był nieunikniony od samego początku. Jeśli tak, Tyrael zamierzał wyjść mu na spotkanie z honorem i polec w walce.

Kiedy się odwrócił, Kullen stał na ogrodowej ścieżce, ściskając coś w rękach. Klucz nefalemów. Archanioł dostrzegł też Thomasa z mieczem w garści.

Uczony miał na twarzy grymas ponurej determinacji. Zamknął oczy.

Z klucza strzeliła moc, trzeszcząca wstęga niczym błyskawica przecięła przestrzeń przed horadrimami. Spotkała lecące z prawej anioły i odrzuciła je tak, jak sztorm ciska wątlwym czółnem. Kullen wystrzelił z klucza ponownie, tym razem nad ramieniem Tyraela. Anioł, który ich ścigał, został uniesiony w górę i Ciśnięty w klomb kwiatów dwadzieścia stóp dalej.

„Nie doceniłem go” - pomyślał Tyrael. Myśl ta dodała mu sił. Ale nadlatywały kolejne anioły. Horadrimowie dotarli już do Dworu Sprawiedliwości i zniknęli w środku. Niewielka była to pociecha, w środku na pewno czekali na nich kolejni strażnicy.

Grupa Luminarei w pełnych zbrojach wyłoniła się spod łuków, biegnąc w ich stronę. Tuż za nimi zjawił się Sicarai. Niszczyciel pędził niczym wcielenie zemsty, w jego ręku świecił jasno miecz o dwóch ostrzach. Kullen odwrócił się ku niemu i spróbował wypuścić następną wiązkę energii, ale stracił chyba pewność siebie, bo olbrzymi wojownik odbił ją bez trudu.

Kiedy Sicarai ich dopadł, Thomas zasłonił przyjaciela własnym ciałem. Tyrael chciał przyjść im z pomocą, ale było już za późno; niszczyciel spadł



na człowieka i zadał cios, który roztrzaskał miecz Thomasa na kawałki, a jego samego powalił na kolana.

Thomas podniósł rękę, jakby chciał osłonić się przed atakiem, i następne cięcie Sicarai odrąbało mu dłoń w nadgarstku. Z kikuta trysnęła krew, obryzgała kwiaty. Thomas krzyknął, zgrzytnął zębami, na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

Sicarai zamachnął się po raz trzeci i jego cios prawie przerąbał Thomasa na pół.

Horadrim runął w przód, martwy, zanim ciało dotknęło ścieżki. Krew zabarwiła kryształowe okruchy czerwienią.

Kullen padł na kolana obok martwego przyjaciela. Niszczyciel wznosił miecz, a wtedy coś dużego uderzyło Tyraela z tyłu. Na archanioła spadła litościwa ciemność i niczego więcej już nie czuł.



## ROZDZIAŁ 35



### *Dwór sprawiedliwości*

Mikułow przystanął na chwilę w cieniu kolumnady, wznoszącej się wysoko nad jego głową. Dwór był chłodniejszy, ale nie mniej wspaniały niż Ogrody Nadziei. Każda nowa sala zachwycała bardziej niż poprzednia. Klasztor w Iwogrodzie wyglądał przy tym jak dziecięca zabawka. Mnich wiedział, że sama skala i majestat wejścia miały onieśmielać, przydawać szacunku i powagi temu, co działo się we wnętrzach Dworu Sprawiedliwości.

„Bogowie tu milczą”. Przeszedł przez portal do zupełnie innego świata, rządzonego przez inne zasady i dziwnych, obcych władców.

A Mikułow został sam.

Jacob, Shanar i Gynwir pędzili ku skrajowi ogrodów, mnich zaś przystanął na moment i zaczął zawracać, chcąc pomóc Thomasowi, Kullenowi i Tyraelowi, którzy zostali z tyłu. Ale na ścieżce między nimi wylądowała grupa pół tuzina aniołów, wymachujących bronią, a kiedy mnich odwrócił się, za swoimi plecami znalazł kolejnych. Pobiegnął więc przez kwiaty między dwoma dużymi światłodrzewami, kierując się na lewo w stronę otwartego kawałek dalej, w którym zniknęli pozostali.

Stamtąd wyjrzał do ogrodów i to, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach. Thomas, Kullen i Tyrael zostali schwytani przez oddział Luminarei pod wodzą Sicarai. Olbrzymi wojownik spadł na horadrimów jak huragan i niepowstrzymany obroną Kullena strzaskał miecz Thomasa, który próbował osłonić brata. A potem...

Mnich przez wiele lat ćwiczył odporność na fizyczny i emocjonalny ból. Bogowie wspierali go, gdy padał, podnosili, kiedy był słaby. Patriarchowie głosili potrzebę całkowitego spokoju w obliczu zła, konieczność robienia tego, co zrobić trzeba, bez jakichkolwiek oznak słabości. Przez lata szkolenia nawet skóra Mikułowa stwardniała, stała się niemal całkowicie odporna na broń czy szpony.

Ale to, co ujrzał, zabolalo go tak, jakby sam został zraniony. Przygryzł policzek, żeby nie krzyknąć, kiedy miecz Sicarai opadł, a krew Thomasa chlusnęła na ziemię czerwoną falą.

W jednej chwili Mikułow przypomniał sobie wizję, której doświadczył w drodze do Bramwell. Pułapka za bramami Niebios, przemiana Tyraela w zakapturzonego obcego bez twarzy, Thomasa ściętego mieczem archanioła...

Do ogrodów wpadało coraz więcej Luminarei. Tyrael i Kullen zniknęli pod ich naporem; mnich zobaczył, jak Kullen pada na kolana w morzu błyskających mieczy i zbroi, archanioł zostaje powalony ciosem z tyłu.

„Przepadli”. Serce i dusza Mikułowa krzyczały, ponaglały, żeby tam pobiegł, żeby pomścić ich śmierć, na ile tylko zdoła. Wiedział jednak, że to na nic, że nigdy nie pokona tak wielu aniołów.

Zeskoczył na podłogę, wstrząśnięty do głębi. Kolumny przed nim zdawały się giąć i wybrzuszać, wyciągać swoje cienie. W półmroku skradały się ku niemu jakieś sylwetki w upiornie znajomych strojach. „Iwogrodzcy zabójcy, wysłani tu za mną przez Patriarchów”. Wbrew ich

rozkazom Mikułow na zawsze opuścił Podniebny Klasztor, za co został skazany na śmierć. Zabójcy ruszyli jego tropem, gotowi ścigać go po krańce Sanktuarium i dalej.

Sylwetki zabójców zmieniły się w świetliste kształty Luminarei, zajmujących pozycje pod ścianami olbrzymiej sali, wychodzącej na Dwór Sprawiedliwości. Mikułow potrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się mgły sprzed oczu. Tu oczywiście nie mogło być iwogrodzkich zabójców. Choć mimo to znajdował się w niebezpieczeństwie.

Mnich przypomniał sobie bitwę o Gea Kul sprzed lat, kiedy nadciągnęła horda demonów i nie było nadziei na ucieczkę. Przyzywał wtedy wewnętrzną siłę, o której istnieniu nie wiedział, skumulowaną energię, która dziesiątkując wrogów, eksplodowała jak miniaturowe słońce i roztrzaskała ziemię pod jego stopami.

Teraz już wiedział, że był to początek jego przebudzenia - przemiany w wojownika nefalemów, zdolnego czerpać z prawdziwego źródła swojej siły.

„Dajcie mi siłę, by zrobić to, co muszę”. Śmierć przyjaciół poszłaby na marne, gdyby Czarny Kamień Dusz pozostał na swoim miejscu. Mikułow musiał mieć nadzieję, że Jacob, Shanar i Gynwir są w drodze do sali Rady. Musiał odciągnąć od nich uwagę straży. Misja musiała trwać bez względu na poniesione straty.

Zamknął oczy. Coś w nim narastało... Ogień, który spopieli wszystko. Ujrzał fale rozbijające się o skały, ulewne deszcze chłoszczące zbocza gór. Zobaczył huragany wyrywające drzewa z korzeniami, cyklony porywające wszystko, co napotkały na swojej drodze. Bogowie byli we wszystkich rzeczach, ich moc była wszechogarniająca, a on dzierżył tę moc w sobie niczym wyrywającego się na wolność demona. Pochwycił ją, gdy zaczęła go palić, zacisnął zęby, pozwolił, by nabrała sił i głębi.

Jeden z Luminarei dostrzegł go i krzyknął do pozostałych. Kiedy wzbili się w powietrze, Mikułow wyszedł z cienia, wziął głęboki oddech i potężnie klasnął w dłonie, w końcu uwalniając wewnętrzną bestię.



Jacob prowadził czarownicę i barbarzynekę w przepastne głębie Dworu Sprawiedliwości najszybciej i najciszej, jak umiał.

Nie wątpił, że anioły dotrą tu lada chwila. Mógł jedynie liczyć, że dalej będą ich szukać w szerokim korytarzu zamiast wewnątrz Dworu. Z tego, co mówił Tyrael, sale dziedziny powinny być puste, ponieważ nie wyznaczono nowego Archanioła Sprawiedliwości. Z mapy wiedział, że bezpośrednio po drugiej stronie znajdują korytarz prowadzący do sali obrad Rady Angiris.

Nad wielkimi wrotami wisiała połyskująca replika El'druina, dziesięć razy większa niż oryginał i odlana z jakiegoś nieznanego metalu. Symbol Sprawiedliwości, mający onieśmielić każdego, kto tu wchodził.

Ale była niczym w porównaniu z tym, co znaleźli za progiem.

Następna sala była pusta. Zbudowano ją na kształt amfiteatru. Z trzech stron ciągnęły się rzędy siedzeń, otaczające otwarty krąg na środku. Z czwartej strony przed kręgiem i ławami wznosiły się olbrzymie, kamiennie-kryształowe pulpity, a jedną ścianę od podłogi po sufit pokrywały słowa, wypisane dużym, eleganckim pismem. Jacob domyślił się, że musi to być Ściana Praw - wyryte w kamieniu i przestrzegane od tysięcy lat prawa obowiązujące w Niebiosach.

Ale nad całym kręgiem dominowały posągi, męskie i żeńskie anioły w długich szatach, górujące nad siedzeniami, wyciągające ręce i wskazujące palcami miejsce, w którym stałby oskarżony i skąd ku sklepieniu wznosiła się spiralna, kamienna kolumna. Wypełzały z niej postaci, demony i

udręczone anioły, krzyczące z bólu; skazani i potępieni, których grzechy na zawsze zastygły na ich misternie rzeźbionych obliczach. Wyciągali ręce ku olbrzymim posągom, błagając o litość.

– Wewnętrzny mrok - szepnęła Gynwir.

Barbarzynka patrzyła na rzeźby z pobladłą twarzą i otwartymi ustami. Shanar miała taką samą minę, łzy spływały jej po policzkach. Nawet ona nie mogła wykrztusić słowa. Jacob wiedział, o co chodziło Gynwir - krąg przesiąknięty był atmosferą strasznych czynów i niewybaczalnych grzechów, jakby duchy tych, którzy stanęli przed Sądem, zostały tu, by straszyć po wieki. Ciężka cisza przytłaczała troje horadrimów. Jacob wyobraził sobie rozprawy, które odbywały się tu przez stulecia, anioły odpowiadające za swoje grzechy z godnością i te, które z wrzaskiem wleczono do więziennych cel, leżących gdzieś głęboko pod jego stopami.

Winnym nie okazywano litości. Gdyby pojmano horadrimów, gdyby w ogóle przeżyli dość długo, by tu trafić, zostaliby skazani na mękę.

Jacob zadrżał. Wszystko, co kiedykolwiek zrobił źle, nagle do niego wróciło, zwieńczone wydarzeniami w Ogradach Nadziei. Dotknął ukrytej pochwy, skrywającej broń przekutą przez komtura Nahra - miecz Sicarai. Myślał, że miecz przepadł w sadzawce, kiedy dotknęły go pędy światłodrzewa. Teraz horadrim znów patrzył na jaśniejącą podwójną klingę. Ciężar broni w ręku uspokoił jego zszargane nerwy.

Nie mógł przestać myśleć o swoim załamaniu w ogrodach. Chciał mieć wszystkie te cechy, których wymagał odeń Tyrael, ale przy pierwszej przeciwności poddał się jak dziecko, wrzeszczał nękany duchami własnej przeszłości. A teraz drużyna poszła w rozsypkę, część z nich pewnie już zginęła.

„Wybaczcie mi”, poprosił Jacob w duchu. Było szaloną ironią losu, że stał tu, w sercu dziedziny samej Sprawiedliwości, po raz kolejny

zdemaskowany jako oszust. Zawiódł swojego ojca, swoich przyjaciół, cały swój świat, a do tego prowadził kobietę, którą kochał, na pewną zgubę.

Oszłomiła go prostota tej myśli. „Tak, kocham ją”. Oczywiście, że kochał; nigdy nie przestał. Ta prawda zagubiła się w gąszczu komplikacji i zaprzeczeń, ale pocałunek Shanar nadał parzył go w usta, smak jej ust wciąż go prześladował. To, że wszystkich ich czekała śmierć, tylko wzmagало intensywność jego uczuć.

Obejrzał się na czarownicę. Ujrzał jej śliczną twarz, tę kruchość, którą Shanar maskowała żartami i starannie przemyślaną swobodą, ukrywając w ten sposób swą prawdziwą osobowość. To dzięki jej niewiarygodnym umiejętnościom dotarli tak daleko.

Jacob poczuł w sobie narastający ogień, determinację, by stoczyć tę ostatnią walkę z honorem.

Kiedy ujął dłoń Shanar, gdzieś z zewnątrz dobiegł ich stłumiony huk i podłoga zadrżała im pod stopami. Jacob zachwiał się, ale odzyskał równowagę i przytrzymał czarownicę, zanim ta upadła. Przetoczył się nad nimi huk gromu.

Jacob nie wiedział, czemu pomyślał o mnichu. Nie wątpił, że za eksplozję odpowiedzialny był właśnie Mikułow. Mnich ściągnął na siebie uwagę Luminarei. A ich trójka musiała wykorzystać tę okazję i mieć nadzieję, że korytarz prowadzący do sali Rady będzie pusty.

Z zewnątrz dobiegły ich jakieś odgłosy. Ktoś nadchodził. Musieli się gdzieś schować i to szybko. Jacob poprowadził Shanar i Gynwir między rzędami siedzeń w dół, do kręgu. Kamienny słup górował nad nimi, jeszcze większy niż wydawał się wcześniej. Rzeźbione anioły i demony trzykrotnie przewyższały Jacoba. Szybko wcisnął się między dwa z nich u podstawy kolumny, Shanar i Gynwir zrobiły to samo. Potępieni wyciągali ręce, jakby



chcieli zatrzymać ich tu na wieki, zdusić w swoich zimnych, skamieniałych objęciach.

Chwilę później drzwi za pulpitemi otworzyły się z trzaskiem i przez salę przebiegło czterech Luminarei z bronią w ręku. Nie zatrzymali się, wybiegli przeciwnym wyjściem. Jacob zaczął jeszcze chwilę, żeby upewnić się, że nie zjawią się następni, a potem wyszedł z kryjówki i poprowadził dwie kobiety po stopniach w górę. Strażnicy zostawili drzwi za pulpitemi uchylone. Jacob podkradł się do nich najciszej, jak umiał - na tyle blisko, żeby wyjrzeć przez szparę.

Od sali rozpraw biegł następny korytarz. Był pusty.

Jacob wyprowadził Shanar i Gynwir z Dworu Sprawiedliwości w kierunku sali obrad Rady Angiris, gdzie w milczeniu czekał na nich Czarny Kamień Dusz i sekrety skryte głęboko w jego hebanowej skorupie.



## ROZDZIAŁ 36



### *Uwięzieni w Pięści*

Nicznym kolec wbity w skroń, ból przeszył mu czaszkę, szybko jednak przeszedł w miarowe pulsowanie. Tyrael błąkał się po krajobrazach ze snu, przechodzących z jednego w drugi. Widział Sicarai atakującego go ciągle od nowa; ostrze miecza niszczyciela lśniło w blasku szalejącej pożogi. Widział płomienie pożerające ludzi, wściekle smagające bezbronnych, niedające im szans na ucieczkę. Czuł smród palonego mięsa, który wzrastał się z każdą chwilą; wszędzie słychać było wrzaski torturowanych i konających. Lea wyciągała ręce w błaganiu o pomoc, ale Tyrael nie mógł się ruszyć; za nią stał Deckard Cain ze smutkiem i żalem w oczach. Jego broda była zalana krwią.

Archanioł otworzył oczy. Przez chwilę napierała nań ciemność. Spróbował usiąść, ale kolejne ukłucie bólu powaliło go z powrotem. Zamrugął, próbując zorientować się w otoczeniu. Świat runął na niego bez ostrzeżenia. Tyrael był w więziennej celi, ramiona i nogi miał przykute do ściany. Podniósł rękę i poczuł szarpnięcia łańcucha. Z ledwością mógł dotknąć tyłu czaszki; kiedy cofnął dłoń, lepiła się od krwi.

Przetoczyła się przez niego fala mdłości. Zamknął oczy, wziął głęboki oddech i znów je otworzył.

Kullen siedział skulony pod ścianą naprzeciwko, też w łańcuchach. Zakrwawiona łysa głowa opadała mu na pierś. Nie ruszał się i Tyrael miał wrażenie, że uczony nie oddycha.

Archanioł zebrał się w sobie i znów spróbował usiąść, tym razem wolniej. Huczący ból stopniowo słabł i Tyrael zdołał się podciągnąć po ścianie, dopóki nie zatrzymały go łańcuchy. Krępujące go pęta były przeznaczone dla aniołów i wibrowały z częstotliwością znoszącą anielskie brzmienie. Czuł ich drzenie na skórze.

Rozejrzał się po ścianach, splamionych juchą demonów. Śmierdziało tu śmiercią. W ciemności coś się poruszyło. Spotworniałe ciało przewalało się w mroku, złe ślepia błysnęły czerwienią niczym otchłanie samych Płonących Piekieł. Zadzwończyły łańcuchy, kiedy stwór naparł na demoniczne pęta - srebrne kajdany z obręczami czystego światła. Z jękiem postąpił do przodu. Na całym jego cielsku rozdziawiały się małe, bezwargie usta z zębami ostrymi jak igły, krótkie łapy rozsmarowywały śluz ciekący ze wszystkich otworów.

Drugi demon poruszał się w przeciwległym kącie, syczał i chrząkał, zwinięty w kłębek, zwodniczo spokojny niczym gotowy do uderzenia wąż. Słudzy Piekieł, schwytni przez Imperiusa i Luminarei. Trzymano ich tu, by straszili innych więźniów, a czasem, jeśli udało im się podejść dość blisko, rozrywali ich na strzępy.

Nie było tu muzyki, jasnych światła ani połyskliwych kryształów. Tyrael i Kullen znajdowali się w trzewiach Pięści, lochów Królestwa Niebios, stworzonych, by trzymać w nim potępionych przez wieczność. Niezliczone cele, wykute w wilgotnej skale, przeznaczone dla demonów, których nie sposób było upilnować gdziekolwiek indziej. Sale tortur przeznaczone dla

demonów, z narzędziami stworzonymi do cięcia grubej skóry czy odzierania kości z ciała. Cele zabezpieczone tak, by trzymać w nich przyszpilone do ścian anioły. Bezdenne studnie wypełnione słoną, lodową wodą, gdzie zanurzone po szyje demony musiały pływać tak długo, aż nie miały już sił unosić się na powierzchni - wtedy wyławiano je i zmuszano, by przechodziły wszystko od nowa. Korytarze między kolejnymi pomieszczeniami splatały się w labirynt - przepadłby w nim każdy, kto zdołałby zbiec. Na dolnych poziomach wciąż walały się zmumifikowane szczątki tych, którzy zabłądzili i pomarli w ciemności.

– Kullenie... - szepnął Tyrael.

Gardło paliło go żywym ogniem, usta miał suche i spękane. Pociągnął za krępujące go łańcuchy, wpierw lekko, potem mocniej. Trzymały; to nie były zwykłe pęta, wykute z pospolitego żelaza. Stworzono je dla najsilniejszych aniołów więzionych w Pięści i nie rozerwałyby ich żaden śmiertelnik.

Kullen poruszył się i jęknął. Tyrael nie dostrzegł na jego ciele żadnych ran. Może to nie była jego krew. „Thomas”. Przypomnił sobie wszystko, co wydarzyło się w ogrodach: Sicarai, który wypatroszył klęczącego, bezbronного i rannego horadrima. Krew barwiącą kryształowy pył.

Obudził się w nim gniew. Mocniej szarpnął łańcuchy. Ktoś go tu zamknął i zabrał El'druina. Archanioł poczuł ukłucie paniki, kiedy uświadomił sobie, że zabrano mu też Chalad'ara.

Cichy zgrzyt zmusił go do skupienia uwagi na otaczającej rzeczywistości. Wokół obrysu drzwi celi zabłysło światło i chwilę później do środka wszedł Sicarai.

– Uwolnij mnie - zażądał Tyrael głosem ochrypłym i o wiele za słabym, by zabrzmiał rozkazująco.

Sicarai nie odpowiedział. Czekał w milczeniu. Już po chwili dołączył do nich ktoś jeszcze.



Balzael przestąpił próg i stanął obok niszczyciela. Trzymał coś w ręku, ale Tyrael nie widział w ciemności, co to takiego.

– Okaleczony ptak w klatce - powiedział Balzael. - Przepowiadałem ci to nie tak dawno temu, prawda? Miałem nadzieję, że wrócisz tu dobrowolnie. Przyznaję, wciąż miałem wątpliwości. Sądziłem, że jesteś zbyt wielkim tchórzem. Ale zjawiłeś się wcześniej, niż się spodziewałem, i to z przyjaciółmi.

– Rozkuj mnie - zażądał cicho Tyrael - to przekonasz się, jakim jestem tchórzem.

Balzael parsknął śmiechem.

– Raczej nie. Choć z przyjemnością bym cię skrwawił, śmiertelniku. Brzydzę się tobą. Wiesz, że Rada dyskutowała na ostatnim posiedzeniu o twoim statusie archanioła? Nie wiedzą, jak cię nazwać. Być może zdrajcą. Staniesz przed sądem, jeśli pożyczysz tak długo. Zbrodnie takie jak twoje są karane śmiercią. Być może wezmę na siebie przyspieszenie wyroku i oszczędzę nam wszystkim zachodu.

– Śmierć przychodzi po nas wszystkich prędzej czy później.

– Po śmiertelników owszem. Czuję twój smród aż stąd. Wybrałeś stronę plugastwa z Sanktuarium, a teraz spotka cię ich los.

– Imperius nie wie, co Kamień z nim robi - Tyrael dość już miał gierek porucznika. - Z wami wszystkimi! Nie widzisz zepsucia, ciemności, która się między was zakradła? Wkrótce Królestwo Niebios upadnie, a jego miejsce zajmą Płonące Piekła.

– Jego nie obchodzą twoje teorie.

– Sprowadź go tu. Cokolwiek ma do powiedzenia, może mi to powiedzieć w oczy.

– Imperius? A czemuż to miałby się z tobą spotykać? Jest zajęty Wstąpieniem, a je nie śmiem zawracać mu głowy takimi głupotami - Balzael znów się zaśmiał. - Nie masz pojęcia, o co tu naprawdę chodzi. Nie jesteś zbyt mądry, co, mały ptaszku? Może twoja śmiertelność osłabiła ci rozum?

Tyraela przeszedł zimny dreszcz.

– Imperius nie wie, że tu jestem - domyślił się. - Skoro to nie mój brat, kto jeszcze bierze w tym udział poza niszczycielem? Te istoty, które nas ścigały?

– To nie twoje zmartwienie - zbył go Balzael. - Odegrałeś ważną rolę, znalazłeś twierdzę nefalemów i otworzyłeś drzwi, a teraz pora, żeby twoi przyjaciele dokończyli to, po co tu przyszli. Ty jednak do nich nie dołączysz.

Podniósł do światła przedmiot, który przyniósł, a potem rzucił go Tyraelowi pod nogi. Kielich Mądrości potoczył się z brzękiem po kamieniu i znieruchomiał obok stóp archanioła. Tyrael mimo woli poczuł wzbierające w piersi łaknienie. Zadrzał.

– Pilnie cię obserwowaliśmy - podjął Balzael. - Jesteś niewolnikiem Kielicha i zrobisz wszystko, byle znów zanurzyć się w studniach. Ale bez obaw. Nie sądzę, żebyś żył jeszcze długo. Obawiam się, niestety, że zostaniesz zabity podczas próby ucieczki, wraz ze swoim przyjacielem.

Tyrael nie zwrócił uwagi na groźbę rychłej śmierci, gdyż o wiele bardziej przeraziła pozostała część wypowiedzi Luminarei. Lodowate palce strachu ścisnęły go mocniej. Choć nie chciał w to wierzyć, wszystko to brzmiało zupełnie logicznie. „Odegrałeś ważną rolę... Teraz pora, żeby twoi przyjaciele dokończyli to, po co tu przyszli”. Przez cały ten czas, kiedy

szukał katakumb i wiedział, że widma czają się w pobliżu, czuł je... Tamtej nocy w Nowym Tristram, kiedy zabiły gościa karczmy i naznaczyły Jacoba. Mogły wybić horadrimów, jednak ich oszczędziły. A podczas bitwy na górze przemykały między drzewami i nad urwiskiem, nie atakując. Dlaczego?

Z pewnym wysiłkiem przywołał na wargi ponury uśmiech.

– Co masz na myśli, mówiąc, by „dokończyli to, po co przyszli”?

– Imperius i reszta Rady zostaną poinformowani, że ty, twój przyjaciel, no i ten trzeci, którego zabił Sicarai, przyszłście ukraść Kamień. Wyjaśnię im wasz udaremniony plan i nie wspomnę słowem o pozostałych śmiertelnikach. Jesteście doskonałym sposobem na odwrócenie uwagi.

– Chcesz Kamienia dla siebie - Tyrael połączył wszystkie elementy układanki. - A my go dla ciebie ukradniemy.

Być może z początku Balzael miał nadzieję, że wpływ Kamienia na Radę zmusi ją do zniszczenia Sanktuarium. Ale Rada nie działała dość szybko. Dlatego musiał improwizować.

– Archanioły skazą cię na śmierć, kiedy odkryją, co zrobiłeś!

– Być może - zgodził się niewzruszony Balzael. - Jeżeli mnie znajdą. Oczywiście do tej pory, jeśli wszystko pójdzie dobrze, będę już poza ich zasięgiem. Jeśli jednak zginę, to i tak niewielka cena za koniec ludzkiej rasy. Nasi zwiadowcy, których nazywacie widmami, zostali dobrze przeszkoleni. Wykonają całą brudną robotę.

Tyraelowi zakręciło się w głowie. Czy naprawdę dał się tak zmanipulować? Naprawdę był tak ślepy? Chalad'ar miał mu pomóc dotrzeć do prawdy, a nie ją ukrywać.

Spojrzał na Kielich leżący u swoich stóp. Wbrew wszystkiemu, co się stało, pragnienie zajrzenia w niego było wprost nieodparte. Wciąż chciał



zniknąć w jego głębiach, zatracić się w świetlistych niciach i znaleźć pokój w zapomnieniu.

– Nie wiesz, gdzie jest reszta horadrimów - powiedział z wysiłkiem. - Nie wiesz, ilu nas jest ani czy wciąż żyją.

– Ale wiem, dokąd idą - odparł Balzael. - Wysłałeś ich po Kamień. Odesłałem wszystkich wartowników spod sali Rady, zaś reszta Luminarei jest na Wstąpieniu. Wystarczy, że zaczekamy, aż twoja drużyna zanieśie Kamień z powrotem do Sanktuarium, a wtedy im go zabierzemy. Naprawdę sądzisz, że ktokolwiek z nich nam umknie, kiedy się za nich weźmiemy?

– Nie możesz wejść do katakumb - zaproponował Tyrael. - Są chronione...

– Dość tego - przerwał Balzael. - Nie kłopotz się takimi drobiazgami, gdy czekają ważniejsze sprawy. - Podszedł do leżącego pod ścianą Kullena. - Wciąż nie rozumiesz... - podjął cicho. - Kamień skrywa wielką potęgę. Może i został wykuty z ciemności, ale jego prawdziwe przeznaczenie ma zbyt wielką wartość, by go zmarnotrawić.

Echo huku w oddali sprawiło, że ściany i sufit lekko zadygotały. Balzael obejrzał się na Sicarai.

– Co to było?

– Nie wiem, panie - odparł niszczyciel. - Dowiem się...

– Nie - przerwał Balzael. - To bez znaczenia. Imperius siedział zamknięty w swoich komnatach, ale pora go wprowadzić w sytuację. Oczywiście na naszych warunkach. Wiesz, co masz robić. Idź.

Sicarai kiwnął krótko głową i wyszedł. Balzael pochylił się i chwycił Kullena za gardło, niemal unosząc go z podłogi. Odwrócił się do Tyraela.

– Ten posłuży za przykład. Żebyś naprawdę odczuł, jaką mamy nad tobą władzę.

Tyrael szarpnął się w łańcuchach. Potwory w kątach celi zajęczały ochoczo; błysnęły czerwone ślepia, kłapnęły paszcze.

– Nie zabijaj go - powiedział archanioł. - Jest niewinny.

– Och, bynajmniej nie jest - odparł Balzael z ciemności. - Ale ja go nie zabiję. Ty to zrobisz.



## ROZDZIAŁ 37



### *Luminarei*

Nekromanta prześlizgiwał się przez plamy cienia i światła. Promienie wpadały przez prowadzące do ogrodów arkady i prześwietlały ukośnie korytarz, ale nie były w stanie rozpędzić ciemności.

A może istniała ona tylko w jego umyśle.

Zayl widział, jak pada Thomas, jak Sicarai wlecze Tyraela i Kullena w stronę Dworu Sprawiedliwości. Czuł głuchoe tąpnięcie wybuchu i domyślał się, że to Mikułow. Niestety, nie był w stanie odgadnąć, czy mnich przeżył. Nigdzie nie widział Jacoba, Shanar ani Gynwir.

Wszystko wskazywało na to, że polegli; iż został już tylko Zayl z Humbartem.

Sami przeciwko całej armii.

Nekromanta okrążył Sale Odwagi, prześliznął się między wartownikami przy wejściu i ruszył dalej, za główną aulę. To, co tam ujrzał, zmroziło mu krew w żyłach - wielka sala pełna Luminarei, niespokojnych i szemrzących, czekających na przybycie nowego anioła. Prędzej czy później odkryją, czego dopuścił się Zayl. Miał nadzieję, że do tej pory zdąży stąd uciec i dotrzeć do sali Rady Angiris.

Korytarze i sale ciągnęły się w nieskończoność. Było tu na tyle ciemno, że rozpalono ognie wysoko pod sklepieniem. Na ścianach wisiały głowy demonów najróżniejszych rodzajów i kształtów, a także broń - wielkie miecze, włócznie, łańcuchy z kolcami i metalowymi prętami. Zayl przeszedł przez atrium, w którym wisiał jakby gobelin utkany ze świetlnych nici - ruchome obrazy przedstawiały słynne bitwy, toczone na przestrzeni wieków przez sługi Niebios i Piekieł. Widział tam rozrąbywane demony, niebo ciemne od anielskich zastępów, ziemię, która pękała i rodziła potwory. Widział Najwyższych Złych, którzy zwierali się w starciach z archaniołami w trzewiach samych Piekieł. I zobaczył też smoka, jaśniejszego niczym konstelacja gwiazd na nocnym niebie.

Z każdą kolejną przebytą salą czuł się większy, prawie niezwykły, a spowijająca go ciemność zaczęła blaknąć. Może i był ostatnim ocalałym horadrimem, ale co z tego? Wciąż mógł dotrzeć do sali Rady i ukraść Kamień spod nosa Luminarei, zakończyć misję, którą poprzysiągł wykonać. A jeśli go odkryją, będzie walczył do końca i zabierze ze sobą tylu, ilu zdoła. Już zabił strażników i Gealit - czemu więc nie następnych?

„Może powinienem zapomnieć o Kamieniu”, pomyślał. Może sama walka jest ważniejsza. Niszczyciel, który ich prześladował, koniec końców też był Luminarei... Całkiem możliwe, że wysłał go za nimi sam Imperius. Nadto Sicarai najwyraźniej współdziałał z widmami.

Widmami, które zabiły Salene.

Było jasne, że to archanioły odpowiadają za całe zło, które spotkało Zayla. Zasłużyły na śmierć za swoje przewinienia.

- Schowaj to - upomniał go cicho Humbart. - Chcesz, żeby nas zobaczyli?

Zayl uświadomił sobie, że dobył sztyletu.

- Bądź cicho, Humbarcie. Wiem, co robię - zapewnił czaszkę.

– Myślisz, że pozabijasz ich wszystkich? To miejsce wpływa na twój umysł, chłopcze! Nie rób niczego głupiego. Pamiętaj o Równowadze. Przyszedłeś tu po to, by ją przywrócić, a nie po zemstę, Zaylu! Nie jesteś taki.

Nekromantę przepełniały uczucia dotąd mu nieznane, a zarazem całkiem ze sobą sprzeczne. Humbart miał rację. Zayl zapomniał o swoim wyszkoleniu i pozwolił, by wpłynęła na niego zniewalająca moc Sal Odwagi. A mimo to nie potrafił wyzbyć się wściekłości, tego wszechogarniającego ognia, który wymykał się spod kontroli...

Gdzieś z przodu dobiegł ich jakiś dźwięk. Korytarz łączył się tam z większą salą. Zayl przywarł do ściany pod rzędem wyszczerzonych łbów o szklanych oczach, a potem z wolna zaczął przesuwać się w stronę zakrętu, zza którego doszedł go hałas. Zdawał sobie sprawę, że nie ma żadnej osłony. Na myśl o starciu wręcz serce zabiło mu szybciej i zaśpiewała krew. Wyczuwał, że za rogiem jest archanioł, może sam Imperius. „Zaraz się przekonam, czy archanioły krwawią”.

– Ostrożnie, chłopcze - mitygował go Humbart. - Ostrożnie...

Ale Zayl już go nie słuchał. Skoczył naprzód, ze sztyletem uniesionym i rozjarzonym wściekłym blaskiem...

I wpadł prosto na Jacoba ze Staalgardu.



Mikułow płynął przez głębiny, wciąż słysząc echo krzyków ginących mnichów z Podniebnego Klasztoru. Patrzył na nich z góry niczym bóg słońca, a gdy zabójcy podkradli się bliżej, niczym małpy wspinające się na niebosiężne drabiny światła i dźwięku, wyzwolił falę niszczącej energii,

która rozniosła mury klasztoru jak domek z patyczków i poszarpała ciała na strzępy.

Zgromadzeni w sali modłów patriarchowie siedzieli w kręgu ze skrzyżowanymi nogami i zanosili modlitwy do bogów. Fala mocy porwała ich i cisnęła na wiatr, odarła kości z ciała, zmieliła na drobiny i uczyniła jednością z wszechrzeczą.

I gdy Mikułow patrzył, jak znika miejsce, które od dziecka nazywał domem, też czuł, że się rozpada. Warstwy, które go tworzyły, zostały zdarte jedna po drugiej, aż zostało już tylko bijące serce. A potem nawet ono ucichło, kiedy na świat spadły anioły, tnące mieczami z czystego światła i wypalające ziemię do gołej, dymiącej skorupy.

Huczało mu w głowie. Usiadł. Na rzeźbionych kolumnach dookoła widać było ślady spalenizny, w polerowanym kamieniu posadzki pojawiło się cienkie pęknięcie. W korytarzu wały się fragmenty zbroi - jedyne pozostałości po Luminarei. Na chwilę Mikułowa przepełniło czyste zdumienie, że zdołał dokonać takich zniszczeń, jednak zaraz potem ogarnął go smutek. „Spowodowałem zniszczenia w Królestwie Niebios”.

Wydawało mu się to niemożliwe. Zabił anioły. Co to oznaczało?

Zamordowałyby go i resztę jego przyjaciół, gdyby nie zadziałał pierwszy. Ale ta świadomość nie dała mu ukojenia. Iwogrodzki mnich nie powinien czuć dumy, wstydu ani strachu. W dążeniu do większego dobra, w służbie tysiącu i jednemu bogowi nie było miejsca na poczucie spełnienia czy egoizm.

On jednak się zmienił, być może zmieniła się też jego tożsamość. Nie był już tylko mnichem z Iwogrodu. Sam Deckard Cain pouczał go, by zawsze działał w służbie tych, którzy nie mogą poradzić sobie sami. Los Sanktuarium spoczywał w jego rękach.

Mikułow usłyszał głośny szum nadciągających skrzydeł. W kraterze, który był jego dziełem, wstał i uniósł ręce. Zza rogu wyłoniła się fala aniołów, setki albo więcej, zagłuszające pieśń Niebios, która wciąż dobiegała łagodnie zewsząd i znikąd zarazem.

– Tu jestem! - wrzasnął Mikułow, jakby coś wyrwało mu te słowa z gardła. - Chodźcie tu, jeśli się odważycie!

A potem odwrócił się i pobiegł tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu, odciągając anielską hordę od Dworu Sprawiedliwości i sali Rady Angiris.





## ROZDZIAŁ 38



### *Czarny Kamień Dusz*

Zayl trzymał Jacoba za włosy z uniesionym sztyletem gotowym do zadania ciosu. Spojrzenie miał okrutne, rozmyte i przez chwilę Jacobowi się zdawało, że nekromanta rzeczywiście rozpląta mu gardło.

Gynwir skoczyła do przodu, ściągnęła z pleców topór i zamachnęła się na Zayla, który odbił jej cios sztyletem, zupełnie odruchowo. Energia zderzenia uwolniła deszcz iskier i fioletowy rozbłysk. Gynwir uderzyła ponownie. Jej cios wytrącił nekromancie sztylet z ręki; broń potoczyła się ze stukotem po podłodze.

– Czekał! - krzyknął Humbart, kiedy barbarzynka zamachnęła się, żeby skrócić Zayla o głowę. - Nie bądź głupia, kobieto! To nieporozumienie, nie widzisz? Zayl wziął was za wrogów!

Gynwir wydała z siebie gardłowy warkot, który przeszedł w zduszony szloch. Zdawała się zмагаć z samą sobą, potężne mięśnie aż drżały z napięcia. W końcu opuściła topór i odwróciła się.

– Przepraszam... - Zayl podniósł ręce. - Przez chwilę... przez chwilę widziałem czarnoskrzydłe widma i zmasakrowane ciało Salene.

Pozwoliłem, żeby to miejsce na mnie wpłynęło, i straciłem panowanie nad sobą.

– Najwyraźniej - stwierdził Jacob, masując szyję. - Gdzie reszta?

Wyraz twarzy nekromanty się zmienił.

– Tyrael i Kullen zostali zabrani przez Sicarai na Dwór Sprawiedliwości.

Thomas... Thomas nie żyje.

„Nie!”. Jacob nie chciał w to uwierzyć. - Jak?

– Sicarai go zabił. Kullen walczył dzielnie, ale było już za późno. Tyrael został napadnięty z tyłu.

– Kłamiesz - syknęła Gynwir. - To jakaś sztuczka...

– Niech cię szlag, kobieto! - warknął Humbart. - On mówi prawdę.

Barbarzynka postąpiła krok w kierunku Zayla i czaszki, ale Jacob ją zatrzymał. Starał się zapanować nad drżeniem głosu.

– Mamy mało czasu, niedługo nas znajdą. Thomas chciałby, żebyśmy szli dalej. - Wyciągnął rękę do Zayla. - Daj mi sakwę.

Nekromanta pokręcił głową; jego spojrzenie zaszklilo się na chwilę, po czym znów stało się przytomne.

– Nie. Nie możesz jej nieść.

– Mogę i będę - oznajmił Jacob. Był zaskoczony stanowczym tonem własnego głosu. W ten sposób znajdzie w sobie pokój i sprawiedliwość. - Daj mi ją, nekromanto.

Zayl odpiął sakwę od pasa; szarpał się przez chwilę ze sprzączką, dopóki Jacob mu nie pomógł.

– Jacobie - powiedziała Shanar - czar sakwy został naruszony. To cię zabije.

Zignorował ją i wziął zaklętą torbę, a Zayl podniósł swój kościany sztylet. Jacob miał wrażenie, że sakwa bije niczym serce. Dobył miecza, poczuł energię krążącą w jego ostrzu i odwrócił się do wejścia do sali Rady.

– Idziemy - rzekł i przestąpił próg.



Wszyscy zatrzymali się gwałtownie, oszołomieni pięknem komnaty. Światło padało ze strzelistych okien i z kopuły sklepienia. Ściany pokryte były niesłychanie szczegółowymi płaskorzeźbami wzorów kojarzących się z ruchem wody czy energii. Podłoga wyglądała jak zrobiona ze szkła lub kryształu. Inkrustowano ją złotymi wstęgami, które zbiegały się na środku, gdzie pięć koncentrycznych kręgów otaczało gwiazdę, a na kamiennym ołtarzu leżał przedmiot, po który przybyli.

Postumenty archanielskich tronów miały kształt rzeźbionych skrzydeł. Jacob spodziewał się zobaczyć strażę, ale sala była pusta. Schował broń. Choć otaczało go niewypowiedziane piękno, czuł obecną tu ciemność. Czarny Kamień Dusz leżał na postumencie i jarzył się słabym krwawym blaskiem.

„Wie, że tu jesteśmy... - pomyślał Jacob. - Nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale wie”.

Kamień był rozmiarów torsu dorosłego mężczyzny, o wiele większy, niż Jacob wnioskował z opowieści. Podeszedł do niego ostrożnie, okrążając ołtarz. Zdawało mu się, że artefakt pulsuje w padających z góry promieniach. Był obrzydliwością, wynaturzeniem, zrodzonym i wykarmionym nienawiścią, nieszczęściem i cierpieniem. I stworzył go człowiek. I to jeden z horadrimów. Ta myśl przepełniła Jacoba trwogą. Mimo to Kamień działał na niego hipnotyzująco, miał w sobie coś, co go przyciągało.

„Na tym polega jego sekret - zrozumiał Jacob. - Nienawiść jest pociągająca, łatwo się jej poddać”.

– Nie dotykaj go - powiedziała Shanar.

– Nie martw się - Na samą myśl o tym, przeszły go ciarki. Potem wpadło mu do głowy coś jeszcze. - Jak zdołamy go stąd zabrać?

– Jak rozumiem, Kamień rośnie w odpowiedzi na emocje śmiertelników, ale wziąłem to pod uwagę - uspokoił go Zayl. - Sakwa się powiększy. O ile oczywiście nie została za bardzo uszkodzona.

Serce Jacoba zabiło szybciej, jakby w rytm pulsowania Kamienia. Zauważył szare linie splecione ze złotym wzorem na podłodze. Wszystkie wychodziły z Kamienia i biegły ku ścianom. Przypomniawszy sobie szare smugi kalające drzewa w Ogrodach Nadziei. Znow przeszedł go dreszcz obrzydzenia. Siłą woli powstrzymał wzdrygnięcie, ale czuł się, jakby wszedł do kadzi pełnej pajaków. Chciał uciec z tego pomieszczenia - im szybciej, tym lepiej.

Ale najpierw musieli zabrać Kamień.

Jacob otworzył sakwę, ale ta była za mała, by pomieścić cokolwiek większego od Humbarta. Już chciał powiedzieć to głośno, lecz słowa zamarły mu na ustach, kiedy torba zatrzepotała mu w rękach i rozwarła się niczym głodne usta. Puścił ją; uniosła się w powietrze i opadła na czarną, połyskliwą powierzchnię Kamienia jak wąż rozdziawiający pysk, by połknąć ofiarę w całości. Cał po calu nasunęła się na Kamień. Pożarła go.

Oślupiały Jacob obejrzał się na przyjaciół. Gynwir cofnęła się, kreśląc w powietrzu ochronny znak przodków, Zayl kołysał się lekko w miejscu. Shanar mruknęła coś pod nosem.

Jacob znow spojrzawszy na sakwę, czując na przemian fascynację i obrzydzenie. Dokonała swojego zadania; w sali rozległ się wilgotny odgłos ssania. Kamień został zmniejszony, wciągnięty do środka, jego krwawy blask zgasł. Torba spoczęła nieruchomo na ołtarzu. Wraz z zawartością była na tyle mała, że dało się ją nieść.

– Nie będzie ciężka - zapewnił nekromanta. Mówił powoli, jakby z wielkim wysiłkiem. - Nie wiem jednak, jaki poziom bezpieczeństwa zapewnia czar. Być może dotkniesz sakwy i okaże się, że Kamień tobą zawładnie. Będziemy musieli szybko dotrzeć do portalu, zanim skutki staną się nieodwracalne.

Jacob podniósł sakwę, zważył ją w rękach. Zayl miał rację, staalgardczyk mógł ją nieść bez większego wysiłku. Delikatne wrażenie gorąca sprawiło, że poczęła go mrowić ręka.

– Chyba dam radę. Ale musimy zrobić po drodze jeden przystanek.

– Nie ma czasu na przystanki - zaprotestowała Shanar.

– On nie zostawiłby dobrowolnie żadnego z nas - rzekł Jacob. Aż do tej pory, dopóki nie powiedział tego na głos, nie miał pewności, czy sam w to wierzy, ale gdy tylko wymówił te słowa, wiedział, że są prawdziwe. „Tyrael by nas nie zostawił, nieważne, co powiedział nam o misji. W Sprawiedliwości liczy się nie tylko obowiązek”.

– My też go nie zostawimy, póki żyję.



## ROZDZIAŁ 39



### *Krąg Sądu*

Chalad'ar go pożerał.

Zaślinione bestie wyły i szarpały łańcuchy w głębiach Pięści, dając upust swojej żądzy krwi. Balzael przyłożył miecz do gardła Kullena i zmusił Tyraela, by ten zajrzał w Kielich.

Archanioł runął w bezdenną otchłań, spadał w nici emocji, zaczepiał o nie i koziółkował to w jedną, to w drugą stronę, zatracając się w poczuciu straty, żalu i rozpacz. Teraz wiedział, co w chwili śmierci czuli śmiertelnicy, których kiedyś kochał. Stawał się nimi na ten krótki moment, zatracił się w szoku, gniewie, bólu, strachu, by w końcu zaakceptować własne odejście. Zniknęli; nic nie zostało ani nikt ich nie opłakuje.

„Śmierć jest nieunikniona”. Wszyscy śmiertelnicy umrą, a potem zgniją, ich ciała obrócą się w proch i połączą z żywiołami, które je zrodziły. Ale dziedzictwo istot ludzkich trwa. W wojnie o istnienie światów konieczność nakazywała zbadać każdą możliwą przewagę, wykorzystać wszelką strategiczną opcję. Jeśli zginęli w służbie większego dobra, czy był to słuszny wybór? Czym była śmierć jednej duszy na tle dramatycznych zmagania dobra ze złem, światła z ciemnością?



Czy dałoby się usprawiedliwić, gdyby ktoś podjął tę decyzję za nich? A może było to morderstwo? Czy egzekucja setek tysięcy mogła być słusznym czynem, jeśli kończyła wojnę, która trwała od tysiącleci?

W odpowiedzi na pustkę Tyraela ogarnęło dziwne uczucie. Wbrew sobie zaczął się zastanawiać, czy Imperius nie miał racji od samego początku. „Przede wszystkim światło musi zatryumfować nad ciemnością”. Tyrael dryfował wśród nieskończonych świetlnych nici. Nagle zrozumiał. Potrzebował odpowiedzi na dwa pytania. Pierwsze brzmiało: „Co zrobić z Czarnym Kamieniem Dusz?”; drugie dotyczyło losu Sanktuarium.

Kamień pozostawał w Niebiosach, rozsiewał nienawiść i ból. Należało go usunąć. Sanktuarium, przy całym swoim potencjale, było skazą świata aniołów i być może najbezpieczniej i najmądrzej byłoby zlikwidować to zagrożenie całkowicie, wypalić, zanim zdoła się rozprzestrzenić i wszystkich ich pochłonąć.

Tyrael nie wiedział, jak długo tonął w Kielichu. Ktoś bił go po twarzy, najpierw lekko, potem mocniej. Zamrugął, jak zza mgły wyłoniło się otoczenie - Balzael stał nad nim, uderzając go wierzchem opancerzonej dłoni. Kiedy zobaczył, że Tyrael otwiera oczy, cofnął się.

– Tak lepiej - rzekł. - Nie pora, żeby się poddawać. Masz jeszcze coś do zrobienia.

Nie byli już w Pięści. Tyrael był przykuty do Kolumny Łez, gdzie posągi winnych i potępionych w nieskończoność błagały o wybawienie.

– Niesłychany obrót spraw, nieprawdaż? - Balzael ruchem głowy wskazał Sicarai, stojącego sztywno obok. - Jako Archanioł Sprawiedliwości zasiadałeś na swoim tronie w tej sali i osądzałeś niezliczonych więźniów. Dziś urządzimy bardzo krótką rozprawę, a ja będę sędzią i katem. Chcę ci pokazać, z jaką łatwością nad tobą panujemy.

– Nie panujecie nad niczym - zaprotestował Tyrael, ale głos miał ochrypły, zbyt słaby, by brzmiał przekonująco.

Balzael odsunął się i odsłonił stojącego za nim Kullena, związanego i zakneblowanego. Kullen miał szeroko otwarte oczy, zapatrzone gdzieś w pustkę.

– Wysłaliśmy do Imperiusa wiadomość, że pojmałem tych, którzy ośmielili się zakraść do naszych sal - powiedział anioł. - Przybędzie akurat na czas, by zobaczyć, jak zabijasz swojego przyjaciela, a ja na jego oczach usunę zagrożenie raz na zawsze. Czy raczej on tak właśnie będzie sądził. Twoje postępowanie potwierdzi słabość śmiertelnego serca, kiedy obrócisz się przeciwko bezbronnemu człowiekowi, chcąc ratować własną skórę. Imperius nie kocha ludzkości, ale najdroższy jest mu bitewny honor, a to, w połączeniu z twą zdradą Rady, przekona go, że nie miałem innego wyjścia, jak tylko stracić cię na miejscu za twoje grzechy.

– Opętała cię żądza krwi - powiedział Tyrael. - Ciebie też odmienił Kamień, Balzaelu. Popełniasz błędy.

– Bynajmniej. - Anioł zmusił Kullena, by ten ukląkł. - Widowisko, które tu urządzą, odwróci uwagę od reszty twojej drużyny i pozwoli im uciec z kamieniem. Już go mają. Zanim Imperius i pozostali zrozumieją, że do Królestwa weszło was więcej, będzie za późno, żeby ich zatrzymać.

– Być może, tyle że ja nie odegram roli, jaką dla mnie przygotowałeś.

– A to niby czemu? Wyczuwam, że zaczynasz się przekonywać do naszego punktu widzenia. Nieprawdaż? Chalad'ar mówi prawdę. Sanktuarium nigdy nie powinno było zaistnieć. Inarius był głupcem. Jego twór to wrzód na obliczu sił światła; drzwi, przez które sładzy Płonących Piekieł oraz wszelka ciemność dostaje się do naszego świata - i musi zostać wyeliminowany raz na zawsze.

Tyrael nie mógł odmówić tym słowom logiki, mimo że tego pragnął. Istnienie Sanktuarium nie miało uzasadnienia w boskim porządku rzeczy. Zostało stworzone jako kryjówka dla zbiegłych aniołów i demonów, a powstanie ludzkiej rasy wynikało z przypadku. Ofiara nefalema Uldysjana sprawiła, że lata temu Tyrael zmienił zdanie, dostrzegł w ludzkości potencjał. Zdolność do poświęcenia, honor i poczucie sprawiedliwości. Co jednak, jeśli mylił się od samego początku; jeśli ludzka skłonność do ciemności przewyższa wszystko inne? Co, jeśli jego śmiertelne sny o zagładzie Sanktuarium nie były wcale koszmarami, ale znakiem tego, co trzeba było zrobić dla dobra Niebios? A jeżeli to właśnie było jego powołanie jako Mądrości, prawda, przed którą zbyt długo uciekał?

„Najważniejsze jest, żeby światło zatryumfowało nad ciemnością”.

– Przyłącz się znów do nas, Tyraelu - powiedział Balzael. - To nie musi być koniec. Możemy razem wrócić do Sanktuarium z Kamieniem. Imperius i reszta Rady stali się bezsilni. To zmusi ich do działania, bo Kamień jest zbyt niebezpieczny, by pozostawać w Sanktuarium. Wierzę, że Niebiosy postanowią zniszczyć świat ludzi i usunąć zagrożenie - a jeśli nie, my to zrobimy. Bo musimy. Nie jest jeszcze za późno, żebyś został strażnikiem światła.

– Tak ich nazywasz? Strażnikami? Istoty, którym rozkazujesz?

– My jesteśmy strażnikami, głupcze! I wkrótce, kiedy zdobędziemy Kamień, ujawnimy się jako prawdziwi zbawcy Królestwa Niebios.

– A co zrobicie z Kamieniem?

– To nasza tajemnica - rzekł Balzael. - Ale mogę ci obiecać, że będzie to oczyszczające doświadczenie.

Tyrael spuścił wzrok. Z jego ramion nagle zniknęły łańcuchy, w dłoni pojawił się El'druin. Archanioł popatrzył na Kullena. Uczony stał bez ruchu, milczał, na twarzy zaschły mu łzy, tylko oczy wciąż pytały.

Ciemność narastała. Tyrael czuł, jak rozprzestrzenia się po Niebiosach; wkrótce zacznie działać w Sanktuarium, pochłaniając wszelkie światło. Ludzkość w końcu jej ulegnie, pozwoli, żeby owładnęło nią zepsucie. W końcu ludzie byli na poły demonami.

Chalad'ar pokazał mu właściwą drogę. Kielich go wzywał, zapomnienie kusiło...

– Gdzie reszta horadrimów? Porzucili cię, oczywiście, to leży w ich naturze. Interesuje ich tylko własne życie. Samolubność zrodzi chciwość, a ta - prędzej czy później - żądzę krwi. Zawsze tak jest. - Balzael wskazał Kullena. - Zabij go. Pokaż, że jesteś oddany służbie światłu!

Tyrael pokręcił głową. W sercu czuł pustkę. Do bólu zaciskał palce na rękojeści miecza. Wszystko, co zrobił, każda decyzja podjęta od chwili, gdy odrzucił skrzydła, była błędem. Anioły i ludzie nie mogli pokojowo współistnieć, a ciemność nie będzie pokonana, dopóki nie zostaną podjęte drastyczne kroki, by zapewnić zwycięstwo.

Podnosząc El'druina, słyszał ponaglenia Balzaela, a głos szepczący w jego głowie z każdą chwilą stawał się głośniejszy. Nie mógł myśleć, nie widział ani nie czuł przez kakofonię gorączki. Wróciły do niego sny o ogniu i krwi. O Sanktuarium rozpadającym się pod jego stopami. Krzyki mężczyzn, kobiet i dzieci wypełniały uszy.

„Wybaczcie mi”.



Kullen patrzył na swoje przeznaczenie oczami trupa.

Obudził się z jednego koszmaru prosto w następny. Ostatnim, co zapamiętał, zanim stracił przytomność, był Thomas, jego przyjaciel, wyciągający rękę jakby w błaganiu o pomoc, zanim miecz Sicarai przeciął

go na pół. Widział, jak oczy Thomasa otwierają się szeroko, a potem zachodzą mgłą, gdy uszło z niego życie.

„Nie mogłem mu pomóc”, powtarzał w myślach Kullen. Próbował i zawiódł. A teraz jego najlepszy przyjaciel nie żył.

Potem przyszedł nagły rozbłysk bólu i nieświadomość.

Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny. Zobaczył potwory, które musiały być wytworem koszmarów; groteskowe istoty o dziesiątkach głodnych, nabrzmiątych ust, przykute do ścian jakiegoś ciemnego miejsca. Przed sobą widział Tyraela, związanego, z zakrwawioną twarzą. Słyszał czyjąś rozmowę, ale nie rozumiał jej.

Kiedy ostatecznie odzyskał przytomność, Sicarai siłą stawiał go na nogi. Kullen miał związane za plecami ręce, potwornie bolała go głowa. Rozejrzał się i zobaczył olbrzymią kolumnę z posągami, wznoszącą się ku sklepieniu, i zwrócone ku sobie rzędy pustych siedzisk. Byli w Kręgu Sądu, a Balzael zamierzał zdecydować o jego losie. Jednak anioł nie rozumiał, że to nie miało znaczenia. Kullen był już martwy, trzeba było tylko rozlać jego krew.

Zobaczył, że Balzael cuci Tyraela mocnymi ciosami. Słyszał ich rozmowę, ale nadal nic nie rozumiał. Patrzył, jak Tyrael zмага się sam ze sobą, jak opadają jego pęta, a archanioł dobywa miecza.

Wtedy w końcu pojął - Balzael chciał, żeby to Tyrael został jego katem.

„Nie robi tego”, pomyślał Kullen. A jednak archanioł podszedł i przystawił swemu towarzyszowi miecz do szyi. „Zaczekaj”. To niemożliwe, Tyrael by go nie zdradził. Lecz gorące ostrze już nacięło skórę. Kullen poczuł strużkę spływającej krwi. Poczuł też, jak znów coś się w nim budzi, coś, o czym myślał, że umarło, a tymczasem tylko spało.

– Zaczekaj... - próbował jeszcze, ale oczy Tyraela zrobiły się puste i ciemne.

„Wciąż jesteś spętany - myślał Kullen - choć łańcuchy opadły”.

A wtedy Niebiosa wokół eksplodowały.

Wielki, niebieski piorun uderzył Sicarai w plecy, powalając go na ziemię. Niszczyciel zawył z zaskoczenia i bólu, poderwał się i obrócił do wejścia, skąd Shanar miotała następne pociski, a Gynwir szarżowała z uniesionym toporem. Obok niej Jacob pędził naprzód, a anielski miecz płonął w jego dłoni, za Jacobem zaś pojawił się nekromanta.

Na Dworze Sprawiedliwości zapanował chaos.

Serce Kullena zabiło szybciej, kiedy ujrzał Balzaela dobywającego broni. Odwrócił wzrok, gdy Tyrael uniósł El'druina. Chciał się odsunąć, ale nie mógł, a pozostali byli wciąż za daleko, żeby zatrzymać opadające ze świstem ostrze.

Ale miecz nie przeciął ciała, lecz więzy. Tyrael wyjął oswobodzonemu Kullenowi knebel z ust.

Oczy archanioła były jasne.

– Przepraszam cię za to - powiedział. - Byłem głupcem.

Rzucił się w wir bitwy, zostawiając Kullena klęczącego, oszołomionego, wstrząśniętego, że nagle znów żyje - i łaknącego zemsty.



Wstrząs spowodowany przybyciem horadrimów wyzwolił Tyraela. Archanioł nie spodziewał się, że po niego wróci. Podczas przygotowań omówili to bardzo dokładnie i Tyrael postawił sprawę jasno. Przede wszystkim liczyło się zadanie - zabranie Kamienia było sprawą najwyższej wagi i ci, którzy zostaną, za tę sprawę zginą. Musieli się z tym pogodzić, żeby mieć jakiegokolwiek szanse powodzenia.

A jednak wrócili, ryzykując własnym życiem i powodzeniem zadania, wrócili, żeby ratować przyjaciół.

Żeby ratować jego.

Pęta Chalad'ara opadły z niego w jednej chwili. Był w błędzie, w straszliwym błędzie. Wpuścił do swojego serca zepsucie i mrok, ale cokolwiek to znaczyło, musiało zaczekać. Teraz trzeba mu było działać, zanim będzie za późno.

Ku zdumieniu Tyraela, horadrimowie dotrzymywali kroku przeciwnikom. Jacob okrążał Balzaela z gorejącym Uświęconym Niszczycielem, Zayl z drugiej strony z uniesionym kościanym sztyletem. Ale Balzael nie atakował, ochraniał się tylko mieczem tak, że nie mieli do niego dostępu.

Nieco dalej kostur Shanar błyskał niebieskim światłem, a Gynwir tańczyła zwinnie wokół Sicarai, czekając, aż ten się odsłoni. Barbarzynka walczyła jak nigdy przedtem, czerpała siły z przesycającej ją magicznej energii. Rozwścieczony niszczyciel nie był w stanie przełamać jej obrony; jakimś cudem parowała jego ciosy swoim toporem przy wtórze olbrzymich eksplozji energii albo unikała ich całkowicie. Tymczasem Shanar uderzała raz po raz ładunkami mocy, wytrącając Sicarai z równowagi; obie kobiety współdziałały ze sobą idealnie, nie pozwalając się skupić aniołowi, który odwracał się to do jednej z nich, to do drugiej.

Niszczyciel wrzasnął z wściekłości i bólu, kiedy topór Gynwir zsunął się po jego ostrzu i trafił go w ramię. Ale był za silny, by ten cios poważnie go osłabił. Shanar próbowała zatrzymać go uderzeniem mocy, lecz wyrwał się i zaatakował Gynwir zbyt szybko, by barbarzynka zdołała się zasłonić, i Sicarai ciął ją w rękę. Prawie się wywinęła, ale Tyrael widział, że została ranna. Krew kapła z palców barbarzynki, kiedy ta ścisnęła stylisko topora, ostatkiem sił parując następne pchnięcie.

Nagle Sicarai znalazł się tuż przy niej. Wytrącił jej topór z rąk. Kiedy Gynwir upadła, podniósł broń do zabójczego ciosu.

Jacob upuścił sakwę z Kamieniem Dusz i rzucił się pod opadający miecz niszczyciela.

Zdołał się po części zastawić i nieco osłabić uderzenie, ale ostrze Sicarai cięło głęboko, obróciło go i cisnęło pod Kolumnę Łez. Wylądował tam bezwładnie w szybko rosnącej kałuży krwi.

Z krzykiem nie ludzkiej furii Kullen skoczył do przodu, dobywając klucza nefalemów. Wyrwała się z niego czysta energia, pomknęła po kluczu rozżarzonej do białości. Niszczyciel zasłonił się mieczem.. Straszliwy wybuch cisnął Kullena w tył i strzaskał broń Sicarai.

Anioł ryknął z wściekłości i bólu. Ruszył naprzód i podniósł Kullena, trzymając go za gardło. Horadrim zawisł bezradnie, wierzgając nogami; Sicarai przypatrywał się jego twarzy, jakby próbował zrozumieć, jak mogło go skrzywdzić coś tak małego.

Nie zauważył, że Jacob dźwignął się z podłogi. Krew spływała mokrym strumieniem po piersi staalgardczyka, oczy miał mętne, ale zdołał podnieść leżący nieopodal klucz. Energia zatrzeszczała w jego rękach i przeszła po kluczu; metal rozżarzył się do białości.

I Jacob wbił go niszczycielowi w plecy.

Klucz rozplątał zbroję niszczyciela. Anioł przenikliwie wrzasnął, zatoczył się, odrzucając Kullena, i złapał się za ranę na piersi krwawiącą jasnym światłem. Klucz wciąż tkwił w jego ciele. Sicarai zakołysał się w przód i w tył, a bijąca od niego światłość wzmogła się jak blask miniaturowego słońca. Cios Jacoba trafił go prosto w serce.

Stał jeszcze przez chwilę, orząc pierś pazurami. Rana się powiększyła, broczyła światłem, a jego bezcielesna sylwetka zaczęła blaknąć. Rozjarzył



się nagle oślepiająco, a horadrimowie odwrócili się pospiesznie, zasłaniając oczy.

Na podłodze zabrzęczała pusta zbroja.

Jacob wyciągnął klucz z napierśnika i przyjrzał mu się ze zdumieniem, jakby nie mogąc uwierzyć, co właśnie zrobił. Potem osunął się na podłogę i znieruchomiał.

Z krzykiem męki Gynwir uklękła obok niego, obiema rękami zakrywając ranę, jakby chciała powstrzymać uchodzące zeń życie. Duma, którą na widok swojej drużyny Tyrael czuł jeszcze przed chwilą, rozplynęła się na widok jednego z jej członków konającego z powodu poniesionych ran. Archanioł spodziewał się strat, wiedział, że są nieuniknione, ale teraz nie mógł tego znieść - nie po tym, co stało się w ogrodach.

„Przysięgam na wszystko, co święte, zapłacisz za to”.

Odwrócił się z powrotem do Balzaela. El'druin zapłonął słusznym ogniem, ale porucznik Luminarei zniknął. Balzael może i miał zamiar pozwolić im uciec z Niebios, ale wkrótce znów ruszyłyby tropem ich oraz Kamienia. Dopóki żył, Sanktuarium było w niebezpieczeństwie.

Tyrael popatrzył na swoją drużynę, zgromadzoną wokół leżącego towarzysza.

– Wracajcie do portalu - poleciał. - Tam się spotkamy, jeśli zdołam.

A potem wybiegł z Dworu Sprawiedliwości, w kierunku, w którym zniknął jego największy wróg.



## ROZDZIAŁ 40



### *Poświęcenie dla przyjaciela*

– Och, nie.

Shanar uklękła obok Gynwir nad nieruchomym ciałem Jacoba. Krew wciąż płynęła z rany pod jej palcami. Ostrze przebiło zbroję. Czarownica popatrzyła na Zayla oczami mokrymi od łez.

– Proszę, pomóż mu - błagała. - Widziałam, co zrobiłeś dla Tyraela w katakumbach. Proszę!

Zayl ukląkł obok i odsunął dłonie Gynwir, żeby obejrzeć ranę. Barbarzynka wstała i odwróciła się z okrzykiem. Udręczona patrzyła na czerwoną ciecz na swych dłoniach, jakby nie mogąc się pogodzić z tym, co się stało. Jej własna krew kapała z rany na podłogę.

Zayl ostrożnie rozsunął brzegi rozciętej zbroi. Ostrze drasnęło serce Jacoba i rozplatało głęboko mięsień pod barkiem. Miecz taki jak broń niszczyciela mocno ranił ludzkie ciało. Rana Jacoba była znacznie gorsza niż ta, którą odniósł Tyrael. Zayl musiał działać szybko, jeśli chciał mieć jakiegokolwiek szanse na uratowanie Jacoba.

Ale mieli też coraz mniej czasu, żeby wrócić do Sanktuarium, a Kamień nieustająco zatruwał wszystko w swoim pobliżu. W każdej chwili mogli tu

wpaść Luminarei.

„Może jest cień szansy...” To było coś, czego próbował dotąd tylko raz; wiedział, że będzie go to bardzo wiele kosztowało.

Wyjął z sakwy swoje przybory, drżącymi palcami wyciągnął Humbarta i położył go obok siebie, a potem ustawił świecę i zapalił ją. Nie miał pojęcia, jak czar uzdrawiający zadziała w Niebiosach.

– Spokojnie, chłopcze - mamrotał półgłosem Humbart. - Pamiętaj, ile cię kosztowało przyczepienie tej ręki...

– Zdaję sobie z tego sprawę - odparł cicho Zayl.

Związanie z ciemnością, która zalegała między życiem a śmiercią, obietnice złożone istotom, które lepiej zostawiać w spokoju. Istniały upiory, które poprzysięgły wieczną służbę Płonącym Piekłom i można było je przyzwać w takich sprawach, ale te, które obiecywały przywrócić w jakimś stopniu życie, najczęściej zabierały więcej, niż im się należało, niezdolne zapanować nad swoim głodem. Zresztą Zayl nie wierzył, by w ogóle dało się je przyzwać w Niebiosach.

Ale jeden już tu był.

W ranie wciąż wzbierała krew. Jacob zadrżał. Zayl wiedział, że ciało się nie uzdrowi, jeśli nie odwróci własnego czaru.

– Szybciej - prosiła Shanar. - On umiera!

– Użyj mnie - zaoferował Humbart. - Czar, który wiąże mnie z czaszką.

– Nie - przerwał Zayl. - Nie poświęcę ciebie za moje grzechy.

Spojrzał na swoją prawą dłoń, ukrytą pod czarną, wyściełaną rękawicą, którą nosił tak długo, że stała się prawie częścią jego ciała.

– Pilnuj sakwy - polecił Gynwir. - Będziesz musiała ją odtąd nieść. Jacob nie da rady, będzie za słaby.

„Albo martwy” - pomyślał, ale nie powiedział tego głośno. Ściągnął rękawicę. Obie kobiety gwałtownie nabrały powietrza, widząc białą kość i

wyschnięte ścięgna, poczerniały kikut w miejscu, gdzie dłoń szczepiła się z nadgarstkiem.

Zayl podniósł rękę nad raną Jacoba, mrużąc pod nosem czar związania krwi. Przytknął czubek sztyletu do ciała rannego, a potem wbił ostrze w swoje przedramię, tuż nad poczerniałą skórą, i ciął.

Sztylet zapłonął, kiedy krew zbryzgała pierś i ramię Jacoba. Zayl zazgrzytał zębami. Ból był wszechogarniający, palił jak żywy ogień, ale nekromanta się nie poddał, okrążył rękę ostrą jak brzytwa klingą.

Kapanie krwi zaczęło się odwracać. Krople unosiły się z rany Jacoba do sztyletu, barwiąc klingę czerwienią. Z jego kości zaczął bić żar, płomienie lizały nadgarstek Zayla, a dłoń zaczęła się oddzielać, zawisała na włóknach ścięgien. Ogień przypalił kikut nadgarstka i skoczył na pierś Jacoba, omywając otwartą ranę. Szkieletowa dłoń odpadła, kościane palce wpiły się w rozplątane ciało i zwały brzegi rozcięcia.

Nekromanta przycisnął kikut ręki do boku i schował sztylet z powrotem do pochwy. Ból niemal pozbawił go przytomności. Nie odrywał jednak wzroku od Jacoba, zobaczył, że dłoń dalej zszywa ciało, a tańczące nad nią płomienie na chwilę przybrały kształt demona o smoczym ogonie i łuskowatym ciele, który zagrzebał się głęboko w ranę.

Szkieletowa dłoń w końcu znieruchomiła i spadła na podłogę. Skóra Jacoba pomarszczyła się i poczerniała, trawiona od środka ogniem. Jacob zatrzepotał powiekami, otworzył oczy, wydał z siebie gardłowy jęk i złapał Zayla za ramiona.

– Boli... - wykrztusił i zakaszłał.

Nekromanta trzymał go mocno ocalałą lewą ręką. Ostatnie płomyki zgasły. Wtedy Zayl przewrócił się na plecy, ciężko oddychając; próbował na powrót znaleźć w sobie równowagę, a świat obrócił się i zalała go bezkształtna, bura szarość.



Jacob poczuł, że ktoś podnosi go z ziemi.

– Nie reaguje - usłyszał głos Gynwir.

Z wielkim trudem uchylił powieki i zobaczył, że Shanar pomaga Zaylowi spakować czaszkę, świecę i coś jeszcze, co wyglądało jak kości. Czarownica podniosła nekromantę na nogi i owinęła się w talii jego ramieniem. Głowa zwisała Zaylowi na pierś. Jacob miał wrażenie, że patrzy przez welon mgły, która powoli się unosi; czuł, jakby coś na nim siedziało - jakieś zwierzę, które wlało mu pod skórę i nie chciało go puścić.

– Nie ma czasu go cucić - zdecydowała Shanar. - Musimy uciekać!

I uciekali.

Shanar na wpół wlokła nekromantę, Gynwir dźwigała Jacoba na ramieniu. Co dziwne, nie czuł bólu, mimo że rzucało nim w dół i w górę. Nie wiedział, co się stało. Ostatnim, co pamiętał, był miecz niszczyciela i ból w piersi, upadek i wrażenie, że uchodzi zeń życie.

Teraz znów żył. To był jakiś cud.

– Postaw mnie - poprosił, ale barbarzynka albo go nie słyszała, albo udała, że nie słyszy. Wpadli do Ogrodów Nadziei przejściem rzeźbionym na podobieństwo olbrzymich, anielskich skrzydeł.

– Postaw mnie! - powtórzył Jacob głośniejszym głosem i tym razem Gynwir usłuchała.

– Nic ci nie jest? - spytała, chwytając go za ramiona. - Omal nie umarłeś.

Ogrody były zupełnie puste, ale nie mieli czasu dociekać dlaczego. Jacob czuł energię Czarnego Kamienia Dusz, zawieszzonego u pasa Gynwir.

– Czuję się jak nowonarodzony - zapewnił ją. - Właściwie nawet lepiej. Ale ty...

Z ręki barbarzynki miarowo skapywała krew.

– Przeżyję. Nie przejmuj się - mruknęła. - Nie zdołała jednak ukryć grymasu bólu. - Zabiłeś Sicarai. Jak?

– Co zrobiłem? - zdziwił się Jacob.

Zarazem jednak zaczęły do niego wracać urywki wspomnień, jakby fragmenty dziwnego snu. Przypomniał sobie moc krążącą w ciele, kiedy podniósł klucz Kullena...

Obejrzał się na nekromantę, który wyzwolił się z objęć Shanar i stał o własnych siłach, chwiejąc się i przyciskając do brzucha prawą rękę, jakby był ranny.

– Co mu jest?

– Mroczny czarownik uratował ci życie - wyjaśniła Gynwir. - Ale sam zapłacił za to wysoką cenę.

W głosie barbarzynki znać było niechętny podziw.

Jacob delikatnie ujął Zayla za lewą rękę, odsłaniając poczerniały kikut. Nekromanta spojrział na niego spod opadających na twarz czarnych włosów, teraz mokrych od potu. Jego dziwne oczy świeciły z ciemnych jam oczodołów, blada twarz wyglądała jeszcze bardziej upiornie niż zwykle.

– Coś ty zrobił?! - wykrztusił Jacob.

– Uratował twoją skórę, oto co! - powiedział Humbart z sakwy. - Odjął sobie rękę, żeby to zrobić. Ale nie ma czasu na czcze pogaduszki. Dalej, ruszajcie się!

Przez szpaler światłodrzew po drugiej stronie ogrodów przedostali się na szeroki bulwar prowadzący do studni mądrości. Nagle Jacob usłyszał grzmiący huk, zbliżający się z przeciwnego kierunku, gdzie bulwar kończył się okolonym gigantycznymi kolumnami wejściem do serca Srebrnego Miasta. Z wrót wybiegł Mikułow, pędzący tak szybko, że jego sylwetka

rozmywała się w niewyraźną smugę, za nim zaś gnała armia Luminarei z gorejącymi skrzydłami i mieczami w dłoniach.

– Na święte... - szepnęła Shanar.

Na mnicha posypały się pociski czystej energii, ciskane przez anioły jak pioruny. Mikułow uskakiwał, uchylał się i wirował wśród eksplozji, które wybijały dziury w kamieniu i wzbijały chmury szarego pyłu.

Mnich podniósł głowę i zobaczył towarzyszy. Zamachał dziko rękami.

– Biegiem! - krzyknął, cudem unikając trafienia. - Do portalu!

Natychmiast popędzili do studni mądrości, gotując się na nagły powiew lodowatego powietrza i pustkę pochłaniającą wszystkie dźwięki. Portal za Krynica był wciąż otwarty, czekał na nich.

Ale obok czekał ktoś jeszcze.

– A więc do tego doszło... - W głosie, cichym, a zarazem pełnym siły, pobrzmiwała nuta smutku. - Nie chciałam wierzyć, że zdradzi nasze zaufanie, niezależnie od jego zamiarów, ale chyba od samego początku znałam prawdę.

Złote światło zalało studnie mądrości, kiedy zawieszona nad ziemią istota popłynęła w ich stronę. Rozłożone wspaniałe, ogniste skrzydła okalały niewątpliwie kobiecą sylwetkę, wibrującą moc, która sprawiła, że Jacobowi zaparło dech w piersiach i padł na kolana.

– Jestem Auriel, Archanioł Nadziei - powiedziała. - A wy wtargnęliście na świętą ziemię, horadrimowie.





## ROZDZIAŁ 41



### *Sala Rady*

Korytarz za Dworem Sprawiedliwości był pusty.

Tyrael wrócił myślą do nie tak znów dalekiej przeszłości, kiedy dręczony bezsennością przyszedł tymi pustymi korytarzami do sali Rady Angiris. Patrzył wtedy na Czarny Kamień Dusz, tkwiący na swoim postumencie niczym mroczny, drapieżny ptak... Czuł płynący z niego jad, powoli zatruwający miejsca, które kochał, i istoty, które nazywał braćmi i siostrami.

Zaryzykował tak wiele, żeby spróbować ich ocalić; naraził się na ich gniew i utratę swego miejsca pośród nich, życia własne i cudzego, i wciąż się zastanawiał, czy postąpił słusznie. Być może jednak już wtedy w duchu wiedział, że obrona droga zaprowadzi go tutaj.

Balzael też tu był, obserwował go. Tyrael zastanowił się przelotnie, co mogło się wydarzyć tamtego dnia, gdyby nie przerwała im Auriel. Bolało go całe ciało, ledwie zagojona rana na piersi paliła ogniem. Ale sił dodawała mu myśl o zemście. W jednym ręku trzymał Chalad'ara, w drugim - El'druina.. Miał wiadomość do przekazania i wiedział, gdzie

Balzael pójdzie. Do miejsca, w którym zapadła każda ważna decyzja ostatnich tysiącleci. Do miejsca, z którego zaczęło się rozpętać zepsucie.

Do sali Rady.



Kiedy wszedł do środka, Balzael już na niego czekał.

Porucznik Luminarei stał przed pustym już postumentem. Rozpostarł skrzydła, ich blask oświetlał rzeźbienia siedzisk archaniołów, połyskliwą kryształową podłogę i złote inkrustacje. Przez wysokie okna i kopulaste kryształowe sklepienie wlewało się do sali jasne światło. Plugawy wpływ Kamienia już zaczynał słabnąć i Sala Rady zaczynała wyglądać jak nigdyś.

Nie licząc stojącego w niej potwora.

W sercu Tyraela płonęła nienawiść, przepełniał go gniew. Czuł, że Chalad'ar pcha go naprzód; że jego przeznaczenie dopełni się w tym miejscu, z ręki kogoś, komu kiedyś rozkazywał i kogo nazywał przyjacielem. Myśl ta tylko podkreśliła to, jak bardzo się zmienił, jak wielka była przepaść pomiędzy jego dawnym życiem a nowym, śmiertelnym. Ale najpierw chciał usłyszeć odpowiedzi.

– Co Imperius i pozostali wiedzą o twoich planach?

Balzael okrążył ołtarz.

– To bez znaczenia - odparł. - Liczy się to, że wszystko, o co walczyłeś, wszystko, o co walczyli twoi przyjaciele, pójdzie na marne. Po raz kolejny dałeś się podejść, ścigając mnie, a ich zostawiając bezbronnych.

– Jeśli zabiję cię teraz - rzekł Tyrael - bezpiecznie wrócą do Sanktuarium.

– Zabijesz mnie? Nie sądzę. Czekałem na szansę, by utoczyć ci krwi. Nie potrafisz pokonać anioła, już nie.

– Dopilnuję, żebyś nie zdołał ich dosięgnąć, Balzaelu. A jeśli ci się to uda, przekonasz się, że ich nie doceniałeś. Spójrz, co Jacob zrobił z twoim najlepszym wojownikiem, chociaż sam był śmiertelnie ranny. To nefalemowie, którzy odnaleźli swoje dziedzictwo i pozwolili, by uśpiona w nich moc wytrysnęła jak ożywcze źródło. To już koniec.

Balzael parsknął śmiechem, który poniósł się echem po sali.

– Jesteś ślepy - powiedział - na tak wiele rzeczy. Kamień, który niosą, powoli pożera ich żywcem. Nie czułeś tego? Naprawdę sądzisz, że bez twojego przewodnictwa zdołają oprzeć się jego wpływowi? Ciemność w ludzkiej duszy jest tak samo głęboka i potężna jak światło. A my mamy na miejscu armię, gotową na każde nasze skinienie. Nasi wysłannicy działali po cichu, małymi grupami, porywając ludzi pod osłoną ciemności, sprawdzając ich możliwości, siejąc zwątpienie i strach, przygotowując się do inwazji. Śledzili was od samego początku. To, co widziałeś w Sanktuarium, było tylko próbką potęgi naszych sił.

„Widma...”

– Z kim się sprzymierzyłeś, Balzaelu?

– Nigdy nie dowiesz się prawdy - odparł anioł. - Ale odpowiedź mogłaby cię zaskoczyć, gdybyś żył dość długo, by ją poznać.

Z tymi słowami porucznik Luminarei rzucił się naprzód z uniesioną bronią, jego skrzydła falowały niemi trzeszczącej energii.

Zaatakował tak szybko, że Tyrael ledwie zdążył zasłonić się El'druinem. Chalad'ar upadł na podłogę i potoczył się w bok, gdy dwa miecze spotkały się ze szcękaniem głośnym jak grom.

Balzael był silny, a Tyrael mocno osłabiony wpływem krwi. El'druin opierał się mocy anielskiego miecza Luminarei, ale nie mógł przyspieszyć ręki archanioła, nie mógł parować i ciąć bez niego.

Tyrael uskoczył przed wściekłą nawałnicą ciosów, ale Balzael był o wiele szybszy i tylko szermiercza wprawa archanioła uratowała go w tych pierwszych kilku sekundach. Balzael unosił się nad nim, atakował ze wszystkich stron. Tyrael odgrodził się od niego ołtarzem, uciekając na krótką chwilę spod gradu ciosów.

– Nie możesz się tam długo chować! - zakpił anioł. - Wielki Tyrael, niegdyś archanioł, teraz... nic? To już nie jest twoje miejsce. Decyzja, by zostać śmiertelnikiem, skazała cię na śmierć, a ja z przyjemnością zostanę katem.

Przeleciał nad kamiennym filarem, a Tyrael uchylił się i przeskoczył na drugą stronę. Zamierzał ciągnąć ten taniec najdłużej, jak tylko się dało. Bolała go pierś, mięśnie drżały z wysiłku. Horadrimowie powinni być już przy portalu. Musiał zatrzymać Balzaela jeszcze tylko przez kilka chwil, żeby mieć pewność, że są bezpieczni w katakumbach nefalemów...

Atak Balzaela był zbyt szybki i niespodziewany, by Tyrael zdążył nań zareagować. Jednym potężnym cięciem miecz porucznika strzaskał dzielący ich kamienny postument. Rycząc z furii, Balzael rzucił się na Tyraela, jego broń spotkała się z El'druinem z taką siłą, że głowica rąbnęła archanioła w twarz.

Tyrael zobaczył gwiazdy przed oczami i runął na podłogę. Leżał oszołomiony i zakrwawiony, bez czucia w palcach, nie mogąc skupić wzroku.

El'druin upadł gdzieś poza jego zasięgiem,

Ale Tyrael nie szukał miecza. Broń nie była mu już potrzebna. Sięgał po coś innego.

Balzael dźgał go lekko w ramię, z którego pociekła krew, i stanął nad nim w tryumfalnej pozie.

– Jesteś bezbronny i pokonany - napawał się. - Kazałbym ci się poddać, ale dla ciebie nie będzie litości.

Kiedy Balzael podniósł miecz do ostatecznego ciosu, Tyrael jeszcze raz wyciągnął rękę i chwycił w końcu to, czego szukał. Zacisnął palce na Chalad'arze i przyciągnął go do piersi.

Balzael spojrzawszy prosto w wirujące głębie Kielicha, krzyknął cicho i znieruchomiał. Tyrael z trudem dźwignął się na kolana, unosząc Chalad'ara tak, by Balzael wciąż zaglądał do środka - żeby porucznik wpadł weń tak, jak wcześniej Tyrael, żeby poczuł szalony pęd czystych emocji, obezwładniający wszystkie zmysły. Teraz dopiero archanioł rozejrzał się za mieczem. Wzywał El'druina. „Tam”. Broń spoczęła zbyt daleko, żeby sięgnął, ale tyle blisko, by chwycić ją w tej samej chwili, w której puściłby Kielich.

Balzael dygotał, walczył z mocą Chalad'ara. Tyrael wiedział, że kiedy Luminarei odzyska wolność, będzie zdezorientowany zaledwie przez chwilę. Archanioł musiał działać szybko.

Puścił Kielich i przetoczył się po ziemi, płynnym ruchem wstając na nogi. Zdając się na wyszkolenie całego życia, porwał El'druina i odwrócił się, gotów do ciosu. Ale Balzael otrząsnął się szybciej, niż Tyrael się spodziewał, i już był w ruchu. Krzyknął, rozwścieczony podstępem, i jego miecz świsnął w powietrzu. Drasnął archanioła w ramię, wytrącając go z równowagi. Tyrael obrócił się, ale było już za późno i dostał płazem anielskiego miecza w bok głowy. Runął na ziemię, wiedząc, że tym razem to już naprawdę koniec.

Wszystkie dźwięki zdawały się dochodzić do niego jakby z wielkiej dali. Spowiała go mgła dziwnych kolorów i kształtów. Zamknął oczy, kręciło mu się w głowie.

Przez zaciśnięte powieki dojrzał rozbłysk jasnego światła. Balzael krzyknął, jakby w tryumfie, ale - nie do wiary - Tyrael nie poczuł palącego bólu ciosu, nie doświadczył uczucia gasnącej świadomości i uścisku lodowatych palców ciągnących go w zapomnienie.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał porucznika nadzianego na ognisty kolec, sterczący z samego środka jego piersi.

Solarion, Włócznia Odwagi.

Krzyk Balzaela nie był krzykiem zwycięstwa, lecz bólu.

Anioł został uniesiony w powietrze, wymachiwał bezradnie rękami, nie mogąc się uwolnić. Za nim stał Imperius.

Tyrael wstał chwiejnie. Miał wrażenie, że podłoga się pod nim kołysze. W głowie brzęczało mu stado rozwścieczonych szerszeni, a ból omal nie odebrał mu przytomności. Wyprostował się jednak dumnie. Jeśli to miał być koniec, to będzie na niego gotowy.

Balzael znów krzyknął i jego krzyk przybrał na sile. Kryształowa kopuła pękła złowrogo, z góry posypał się kurz i odłamki, wirując niczym płatki śniegu opadające w snopach światła. Rana Balzaela zaczęła się robić coraz jaśniejsza, rozbłysła jak słońce i zgasła.

To już naprawdę był koniec.



Imperius odrzucił na bok szczątki swojego porucznika i wymierzył Solarion w Tyraela.

– Nie pozwolę, żebyś zginął w ten sposób - rzekł. - Ale odpowiesz za swoje zbrodnie przeciwko Niebiosom, bracie.

– Wciąż nazywasz mnie bratem, po tym, jak poszczułeś mnie niszczycielem jak demona?

Imperius znieruchomiał na chwilę, potem w jego głosie pojawiła się nuta jakby smutku.

– Jak możesz tak mówić? Nie zgodziłbym się na taki postępek.

– Spieraliśmy się od tysiący lat...

– A także niezliczoną ilość razy ratowaliśmy sobie nawzajem życie na polu bitwy. Kazałem Balzaelowi przyprowadzić cię całego i zdrowego, żebyś stanął przed sądem w Kręgu. Ale ty wystąpiłeś przeciwko Niebiosom i przeciwko postanowieniom Rady. Zaprowadziłeś między nas szajkę złodziei. Na pewno zostaniesz za to uwięziony i pozbawiony rangi archanioła.

– Przestałem być jednym z was w chwili, kiedy odrzuciłem skrzydła, Imperiusie. Teraz to widzę.

– Być może. Ale śmiertelnicy, których zgromadziłeś, przyszli tu i zabijali naszych współbraci! Zawsze miałem nadzieję, że dostrzeżesz swój błąd, przekonasz się, do czego zdolni są ludzie; zrozumiesz, czemu musimy wygnać tę plagę raz na zawsze, żeby zapewnić sobie zwycięstwo nad Płonącymi Piekłami. A jednak oto stoisz przede mną, po tym, jak zabiłem jednego z Luminarei, żeby uratować ci życie, i oskarżasz mnie, że wysłałem za tobą zabójcę. Za tobą, którego uważałem za brata.

– Nie wierzę ci. Zresztą nie mieliśmy innego wyjścia. Kamień. ..

– Nie obwiniaj Kamienia za swoje grzechy! Był tu bezpieczny, strześliśmy go! Tysiąc razy bezpieczniejszy niż w świecie ludzi. A teraz naraziłeś nas wszystkich na niebezpieczeństwo...

– Nie, Imperiusie.

Do sali weszły dwie nowe postaci, zatrzymały się obok Imperiusa, szeroko rozkładając skrzydła.

„Auriel i Iterael”.

To Auriel zaprotestowała, stanąwszy między Imperiusem a Tyraelem.



– Tyrael wybrał być może nienajlepszą drogę do celu, ale miał rację. Czarny Kamień Dusz powoli plugawił nasz świat. Gdyby tak było dalej, wszyscy bezpowrotnie uleglibyśmy ciemności.

Imperius rozjarzył się wściekłością.

– To szaleństwo, Auriel! Kamień jest niczym, dopóki Najwyższe Zło jest uwięzione...

– Nie wiem, w jaki sposób działał - odparła Auriel. - Wiem tylko, co czułam i co widziałam. A zepsucie w ogrodach, w tej tu sali, było prawdziwe. Zmieniało nas w sposób, którego nie rozumiemy. Tak subtelnie, żeby nie zauważyli tego ci, których zaślepiła własna duma. Nie czujesz tego? Zepsucie już słabnie. - Popatrzyła na Tyraela. - Być może trzeba było śmiertelnika, aby otworzyć moje oczy na prawdę.

– Ale ludzie muszą zostać pociągnięci do odpowiedzialności - upierał się Imperius. - Nasi bracia stracili życie. Luminarei przyniosą Kamień z powrotem tutaj, gdzie jego miejsce.

– Nie przyniosą - zaprzeczyła ze spokojem Auriel - bo rozkazałam im puścić ludzi wolno.

– Co takiego?! - Imperius wyprostował się na swoją pełną wysokość i przez chwilę zdawało się, że uderzy Archanioł Nadziei. - Nie miałaś prawa!

– Ludzie odeszli, Imperiusie, do miejsca, gdzie nasza moc nie sięga. Kamień jest bezpieczny i lepiej, żebyśmy nie wiedzieli gdzie. W Niebiosach znów może zapanować spokój. Nie pozwól, żeby twoja duma i wściekłość przyćmiły fakt, że staliśmy się całością. Okażmy litość.

– Litość jest oznaką słabości! - oburzył się Imperius. - Na wojnie nie ma dla niej miejsca.

– To samo powiedziałbyś o miłości - ripostowała Auriel. - I o współczuciu. Ale powinniśmy cenić te rzeczy tak samo w czasie pokoju i w czasie wojny. To nie są słabości, lecz oznaki siły. - Stała na środku sali

Rady. - Wnoszę o natychmiastowe głosowanie Rady. Postawić Tyraela przed sądem i skazać go za jego zbrodnie w Kręgu czy pozwolić mu zostać członkiem Rady w Aspekcie Mądrości, jako ambasadorowi między aniołami a ludźmi.

- Nie... nie możesz tego zrobić.

- To już się stało. - Auriel podniosła miecz. - Głosuję za jego przywróceniem i powrotem do Sanktuarium. Tam chce być i tam jest jego miejsce. Może strzec Kamienia, tak jak zamierzał od samego początku.

Odwróciła się do Tyraela.

- Żałuję, że nie zdecydowałeś się dalej próbować działać poprzez Radę, ale być może nie daliśmy ci wyboru. Przepraszam, że nie słuchałam, bracie. I przykro mi, że wybrałeś drogę, która prowadzi daleko od jedyne go domu, jaki znasz. Ale uważam, że decyzja należy do ciebie.

Spojrzała na Imperiusa.

- Twój głos.

- Ja... - Imperius zmagął się ze sobą, jego skrzydła poruszały się niespokojnie, iskrząc energią. - Ma stanąć przed sądem!

- A Iterael?

Ostatni członek Rady Angiris przez długą chwilę unosił się w powietrzu i milczał. Można było pomyśleć, że w ogóle nie zamierza się odzywać.

- Tyrael nie jest już archaniołem - rzekł w końcu. - Ale pozostaje członkiem Rady. Zrobił to, co zrobił, mając na celu dobro obu światów. Nie zostanie osądzony, ale mam nadzieję, że znajdzie odpowiedzi, których szuka, gdzie indziej. Jego los nie jest mi już znany.

- Oboje jesteście głupcami! - zagrzemiał Imperius tak głośno, że z góry znów posypał się pył i odłamki kryształu. Solarion zapłonął białym ogniem, po raz kolejny odpowiadając na wezwanie swego pana, i Tyrael nie miał wątpliwości, że Archanioł Odwagi pragnął użyć włóczni. - Postanowiliście

nas zniszczyć! Parząc się z demonami, Inarius skaził świętą esencję aniołów i sprowadził na nas wszystkich hańbę i ciemność - ludzką zarazę! Czarny Kamień Dusz otworzy drzwi do Sanktuarium Najwyższemu Złu, a z bram Piekieł wyleje się rzeka ohydy!

– Lepiej zaryzykować i go ukryć - powtórzył Tyrael. - Gdyby został tutaj, Niebiosa z pewnością zostałyby bezpowrotnie skażone i padłyby ofiarą ciemności.

– Śmierć naszych braci spada na twoje barki. - Imperius wylądował przed Tyraelem i wymierzył w niego Solarion niczym oskarżycielski palec. - W końcu zajrzałeś do Chalad'ara. Czy Kielich ci tego nie pokazał? Czy niczego się nie nauczyłeś?

Tyrael uśmiechnął się gorzko. A więc Imperius nie był jednak odpowiedzialny za czyny Balzaela, a przynajmniej nie za wszystkie. Jednak jego stanowisko wobec Sanktuarium było niezmiennie. Imperius wszystko postrzegał w kategoriach dobra i zła, bieli i czerni. Nie istniały dla niego żadne subtelności, żadne odcienie szarości.

Przez krótką chwilę Tyrael zastanawiał się, co by było, gdyby postanowił nie odrzucać skrzydeł i pozostać nieśmiertelnym. Co by się z nim wtedy stało? Czy w końcu dałby się przekonać Imperiusowi? „To wciąż mój brat”. Nie można już było odbudować straconego zaufania, sam Imperius też nigdy nie postrzegałby swego brata takim, jakim ten był kiedyś.

Być może, po tym wszystkim, Tyrael był bardziej człowiekiem niż aniołem.

– Użyłem Kielicha - powiedział. - Podobno zawarte są w nim emocje wszystkich istot myślących i być może to prawda. Odkryłem, co to znaczy być człowiekiem, nawet jeśli sam nie mogę się nim stać. Ale zostać świadkiem wszystkich tych emocji naraz oznacza odciąć się od nich, a w końcu - uodpornić się na nie. Znalazłem tam koniec miłosierdzia, koniec

miłości i dobroci, zamiast ich początku. Ale Chalad'ar w tym zawiódł. Postanowiłem pozostać w świecie ludzi, docenić ukryte w nich dobro i światło. Możesz sądzić, że ich skłonność do zła to zbyt wielkie ryzyko, ale ja uważam, że musimy je ponieść. Bez nich bowiem nie ma nadziei i ciemność w końcu zwycięży.

– Jeśli odwrócisz się teraz ode mnie, na zawsze pozostaniemy wrogami - powiedział Imperius. Mówił cicho, a z jego głosu bił chłód. - To decyzja bez odwrotu, Tyraelu.

Tyrael zobaczył, że Chalad'ar wciąż leży obok niego na podłodze. Podniósł go, poczuł w dłoni jego znajomy ciężar i mrowienie energii. Ale pragnienie, by zajrzeć w jego głębie, minęło.

„Tak mała rzecz, a posiada tak wielką moc - pomyślał. - Ale ja już nie jestem pod jej wpływem. Już nie”.

Cisnął Kielich w kierunku Imperiusa. Chalad'ar spadł na podłogę, potoczył się i znieruchomiał tuż przed archaniołem.

– Jestem śmiertelny i takim już pozostanę, a ludzkość to przyszłość was wszystkich, rozumiecie to czy nie - powiedział.

A potem odwrócił się i wyszedł z sali Rady, odchodząc ku nowej, niepewnej przyszłości.



## ROZDZIAŁ 42



### *Powrót nefalemów*

Tyrael umarł.

Kiedy przeszli bezpiecznie przez portal i w końcu dotarli do miasta nefalemów, pierwszą myślą Jacoba było, że zostawili po drugiej stronie jakąś istotną część. Przypominało to utratę kończyny.

Tyrael nie mógł przeżyć tak długo.

Ich przywódca poległ.

Gynwir odłożyła sakwę i odsunęła się od niej najdalej, jak mogła. Oparła się ramieniem o ścianę, wspierając zakrwawione dłonie na kolanach. Wyglądała, jakby zaraz miała się przewrócić. Poszarzała na twarzy, oddychała z trudem. Czarny Kamień Dusz emanował gorącą, lepką chorobą, którą wszyscy czuli głęboko w kościach. Ale ten sam ochronny czar, który nie dopuszczał do ukrytego miasta aniołów i demonów, nie pozwolił Kamieniowi opuścić katakumb. Pogrzebią go tu, głęboko pod ziemią, w najdalszych tunelach labiryntu, gdzie na wieczny spoczynek złożono samego Rakkisa. Tam artefakt pozostanie już na zawsze.

Tylko w ten sposób, wykonując zadanie do końca, mogli oddać hołd tym, którzy oddali życie, by uratować świat. Jacob zamierzał dopilnować, by tak

się stało, nawet gdyby dalej musiał ponieść Kamień sam.

– Naprawdę nic ci nie będzie?

Shanar stała obok niego, obejmowała jego ramiona, z twarzą tuż przy jego twarzy. Dotknęła zabliznionej rany na jego piersi i po raz pierwszy Jacob zdał sobie sprawę, że blizna kończy się dokładnie w tym miejscu, w którym naznaczyło go widmo, zakrywając dziwny ślad w kształcie półksiężyca. Czuł w sobie coś jeszcze, prawie jakby nosił pod skórą jakąś inną istotę. Było to niewątpliwie dziwne uczucie, ale nie takie złe. Cokolwiek zrobił Zayl, uratował Jacoba, a to było i tak więcej, niż ten mógł oczekiwać, kiedy dosięgnął go anielski miecz.

Zastanowił się nad pytaniem Shanar. Czy istotnie nic mu nie było? Kiwnął głową, świadom zmiany, która w nim zaszła, nowej pewności siebie, którą zyskał po walce z Sicarai. Jego siła nigdy nie pochodziła od El'druina czy jakiegokolwiek innej broni; pochodziła z jego wnętrza.

Może Shanar też odczuła zmianę. Ten jeden raz powstrzymała się od kpin i po prostu lekko go pocałowała.

– Dzięki niebiosom - szepnęła. - Ale zapłacisz mi za to, mój drogi. Mało nie umarłam z przerażenia, kiedy wykrwawiałeś się tam na całą podłogę.

Jacob uśmiechnął się, ale wciąż było mu ciężko na sercu.

– Zobacz, jak się ma Gynwir. Została ranna i nie wiadomo, co z nią zrobił Kamień. Musimy wkrótce stąd wyjść, bo wszyscy będziemy w niebezpieczeństwie.

Shanar przyglądała mu się przez chwilę, wreszcie kiwnęła głową.

– Mężczyzna z inicjatywą. Mogłabym się do tego przyzwyczaić. - Odwróciła się do barbarzynki, ale przez ramię spojrzała raz jeszcze na Jacoba. - Może mu się jeszcze udać - powiedziała. - Nie spisuj go na straty.

Jacob pokręcił głową. Przyjdzie pora na żałobę, ale nie teraz. Tyrael widział w nim przywódcę horadrimów i Jacob zamierzał spełnić te

oczekiwania. Musiał zająć się innymi, dokończyć ważne sprawy, poza tym w ciemności na zewnątrz wciąż czaiły się widma. Sanktuarium wcale nie było jeszcze bezpieczne.

Kullen siedział na kamiennym murku obok mnicha. Uczony nie odzywał się, odkąd wrócili, teraz patrzył tępo w przestrzeń. Stracił okulary i wyglądał bez nich delikatniej, bardziej krucho, a mimo to miał w sobie nową energię, która sprawiała, że pozostali trzymali się od niego z dala.

Jacob odwrócił się do nekromanty. Zayl był cieniem dawnego siebie. Ścisnął swój poczerniały kikut, słuchając mamrotania Humbarta - zbyt cichego, żeby Jacob zrozumiał choć słowo.

– Uratowałeś mi życie - powiedział z wdzięcznością. - Nie wiem, jak mogę ci odpłacić za to poświęcenie.

Zayl kiwnął krótko głową, w jego oczach na chwilę pojawił się dawny, dziwny błysk.

– Na moim miejscu zrobiłbyś to samo...

Jacob poczuł czyjaś obecność za plecami i niemal w tej samej chwili został odepchnięty na bok.

– Ty - Gynwir wskazała Zayla.

Jej ramię wciąż krwawiło, choć już mniej obficie, i Jacob pomyślał, że może jednak barbarzynka wyjdzie z tego cało. Przestraszył się, że Gynwir zaatakuje nekromantę, ale ona wyciągnęła rękę.

– Nie lubię magii, którą się posługujesz, ale umiem przyznać się do błędu - stwierdziła. - Możesz walczyć u mego boku, kiedy chcesz, nekromanto.

Zayl uśmiechnął się słabo i podniósł poczerniały kikut prawej ręki.

– Chyba nieprędko uścisknę komuś dłoń. Ale dziękuję.

– Racja - mruknęła Gynwir. - Przepraszam.

Rozległy się czyjeś szybkie kroki. Do sali wszedł Lorat Nahr, a za nim kilku rycerzy i horadrimowie z Gea Kul. Lorat nie posiadał się z radości na



ich widok, ale spoważniał, kiedy Jacob opowiedział, co się stało. Atmosferę świętowania szybko zastąpiła ta przepojona powagą hołdu dla poległych.

Wszystko to zmieniło się w jednej chwili, kiedy z portalu wyszedł Tyrael.



Były archanioł powiódł wzrokiem po ocalałych członkach swojej drużyny, którzy otoczyli go tłumnie, uradowani jego powrotem. Jeszcze kilka tygodni temu grupa obcych sobie ludzi - teraz mała armia wojowników, gotowych powierzyć sobie nawzajem własne życie. Stawili czoła niewyobrażalnym wyzwaniom i przeżyli, a Czarny Kamień Dusz spoczywał bezpiecznie w katakumbach.

Ale ich zwycięstwo nie obyło się bez strasznych ofiar.

Kiedy się już nacieszyli, Tyrael położył dłoń na ramieniu Kullena.

- Straciliśmy dobrego człowieka - rzekł. - Thomas nie zostanie zapomniany.

- Nigdy - powiedział Kullen i po jego policzku spłynęła samotna łza. - Był dla mnie jak brat.

- To, co zrobiłeś w Kręgu Sądu, uratowało nam życie - ciągnął Tyrael. Popatrzył na pozostałych. - Gdyby nie wspólny wysiłek, Sicarai by nas wyrznął do nogi, a Kamień pozostałby w Niebiosach. Całe Sanktuarium zawdzięcza wam przetrwanie. Niedawno poprosiłem was, byście wzięli na swoje barki wielkie brzemie, odpowiedzialność za coś, co nie było waszym dziełem. Robiąc to, miałem nadzieję, że odkryjecie swoje powołanie i wypełnicie swe przeznaczenie, choć szanse były nikłe. Teraz mogę powiedzieć, że zrobiliście więcej, niż mogłem oczekiwać, i że wszystko, o

co walczyliśmy, zostało spełnione. Kamień wrócił do Sanktuarium, gdzie pozostanie pod naszą strażą. Wszyscy jesteście bohaterami.

Zebrani zaczęli wiwatować. Tyrael podniósł rękę.

– To jeszcze nie koniec - rzekł. - Choć Balzael został pokonany, a archanioły przysięgły zostawić nas w spokoju, Sanktuarium wciąż jest w niebezpieczeństwie. Widma nadal prześladują ludzi. Trzeba wyplenić włóczące się demony. Ci, którzy walczyli u mojego boku w Niebiosach, muszą odpocząć z dala od Kamienia, żeby jego wpływ na nich osłabł, zanim znów ruszą do boju. Pozostali zostaną tutaj. Musimy umieścić Kamień w grobowcu Rakkisa i zamknąć go, a sam grobowiec nigdy nie może zostać otwarty. Ci, którzy pozostaną, będą strażnikami tego miejsca i nigdy nikomu nie zdradzą jego tajemnicy.

Tyrael pomyślał o księdze, nad którą pracował, prawie skończonej - zebranych dziełach Lei i Deckarda Caina oraz podsumowaniu tego, czego się nauczył jako śmiertelnik. Była to kronika wydarzeń, które doprowadziły go do tej chwili. Da ją horadrimom na przechowanie. Wciąż musiał dowiedzieć się bardzo wiele o swoim nowym życiu, a przyszłość była dlań zagadką, lecz wiedział, że będzie żył w Sanktuarium, służąc światłu na wszelkie możliwe sposoby.

To był teraz jego dom.





## EPILOG



### *Strażnik*

Istota, która kiedyś była Norlunem, kulila się w głębokim mroku śmierdzącej celi. Strażnicy tajemnego więzienia pod Kościołem Świętego Zakonu odeszli jakiś czas temu, zabrawszy wszystkie pochodnie, oprócz tej, która paliła się u podnóża schodów prowadzących na górę. To nie miało znaczenia. Nawet korzystając z tych dziwnych ludzkich oczu nie potrzebował dużo światła, żeby widzieć.

Kiedy rankiem wrócą strażnicy, ich świat będzie już zupełnie inny.

Sekta templariuszy, którą manipulował, by zrealizować swe cele w Zachodniej Marchii, poszła w rozsypkę, jego ludzie albo nie żyli, albo byli uwięzieni razem z nim. Dla Strażnika nie była to wielka strata. Norlun był w głębi ducha słaby, a jego templariusze byli tylko narzędziem, sposobem na odwrócenie uwagi i kamuflażem dla o wiele istotniejszego przedsięwzięcia, zakrojonego na o wiele większą skalę.

Strażnik przez jakiś czas patrzył oczyma Norluna, czekając, aż ich plany wydadzą owoce. Łatwo było mu opanować to ciało i duszę, a czekanie przychodziło mu bez trudu po tysiącach lat egzystencji.

Teraz jednak wszystko się zmieniło. Przyszła pora na kolejną część planu.

Popatrzył na stos trupów w kącie celi. Kiedy rycerze ich tu zamykali, było z nim sześciu mężczyzn - spory tłok. Przyglądał się ich pobladłym twarzom, zastygłym w grymasie przerażenia.

„Śmierć to pustka, a śmiertelnicy się jej boją”.

Strach był czymś, co mógł wykorzystać.

Balzael zawiódł, Rada Angiris nie chciała działać. To również nie była strata. Strażnik nie dbał o to, czy Balzael przeżyje dość długo, by przyłączyć się do niego w dziele oczyszczenia Sanktuarium. Wszystko, czego potrzebował, już tu było.

Jego Anioły Śmierci.

Nawet strata nowego anioła, tego, którego z przyjemnością przeciągnąłby na swoją stronę, nie była szczególnie dotkliwa. A teraz, dzięki tym głupcom, którzy nazywali się horadrimami, ostatni element układanki znalazł się w jego zasięgu.

Strażnik wstał i szeroko rozłożył ramiona. Ciało Norluna zaczęło się zmieniać, ręce i nogi wydłużyły, kręgosłup rozciągnął i wygiął z trzaskiem, strzelały napinane ścięgna. Ciało roztopiło się, spłynęło z kości jak rozgrzane masło. Gdyby w celi został ktoś żywy, poszarpałby się do żywego mięsa, żeby uciec przed tym horrorem.

– Ej tam - krzyknął ktoś z innej celi. - Co się tam dzieje? Brzmi to jak trzaskanie gnatów! Jesteś bezpieczny, lordzie Norlunie?

Strażnik nie odpowiedział. Wyciągnął nienaturalnie długie ramiona i wyrwał drzwi z zawiasów. Ciężka żelazna furta wyskoczyła z brzękiem i runęła w chmurze dławiącego kurzu. Człowiek w drugiej celi wrzasnął i zaczął wzywać pomocy, kiedy Strażnik wyszedł w krąg migotliwego światła, absorbując je, wsysając i gasząc.

Świat ogarnęła ciemność.

Strażnik zamierzał zacząć od dusz uwięzionych tu ludzi, potem przejść do katakumb i stamtąd zesłać grozę i zniszczenie na całe Sanktuarium.

Wreszcie przyszła pora ujawnić swe prawdziwe oblicze.

Czarny Kamień Dusz czekał.





## PODZIĘKOWANIA



Zabawa w cudzej piaskownicy zawsze jest sporym wyzwaniem, dlatego jestem dozgonnie wdzięczny wspaniałej i utalentowanej ekipie z Blizzard Entertainment, która urządziła ze mną burze mózgów, odpowiadała na wszystkie pytania o uniwersum *Diablo* i okazywała bezgraniczną cierpliwość wobec moich starań, by niczego nie pokręcić. Micky, Matt, Jerry, Joshuo, Seanie, Brianie (zaraz kogoś pominę, więc lepiej na tym poprzestaną) - dziękuję wam za wasz entuzjizm i wsparcie. Chciałbym też podziękować mojemu redaktorowi z Simon&Schuster, Edowi Schlesingerowi, za jego mądre rady, bystre oko i fantastyczny talent edytorski. Ta książka nie powstałaby bez niego. Dziękuję moim dzieciom - Emily, Harrisonowi, Abbey i Ellie Rose - za to, że znoszą moje pisanie (i humory). Na koniec zaś dziękuję mojej żonie Kristie, miłości mojego życia, mojemu księżycowi - dziękuję ci za twoje niezachwiane wsparcie i entuzjizm.



## O AUTORZE



Nate Kenyon jest autorem thrillera *Day One* wydanego przez St. Martin's Press. Napisał także siedem innych powieści i dziesiątki opowiadań - horror, thrillery i SF. Jego pierwsza powieść, *Krew zombie*, została nominowana do nagrody Bram Stoker Award oraz zdobyła nagrodę P&E Horror Novel of the Year. *The Reach*, również nominowana do nagrody Stokera, otrzymała świetną recenzję w „Publishers Weekly”, rozważano też jej ekranizację. Kenyon jest także autorem *The Bone Factory*, *Sparrow Rock*, *Prime*, *StarCraft: Ghost - Spectres* (2011) oraz *Diablo III: Zakon* (2012). Jest członkiem Horror Writers Association oraz International Thriller Writers.